

I - III
32.
hist

TARNOVIANA

*z księgozbioru
Witolda Gryła*

DLA MBP W TARNOWIE
PRZEKAZAŁA W DARZE
CÓRKA MAŁGORZATA
KĄDZIOŁA W 2007 ROKU

SP

No 38.

2021

1014011
1861. 1818

PAMIĘTNIKI

Z POBYTU

NA SYBERYI

RUFINA PIOTROWSKIEGO.

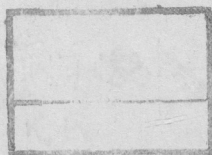
TOM III.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1861.

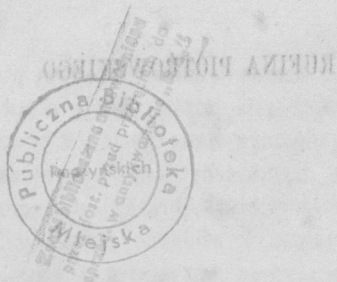
del 11/35779/14



ПАМЯТНИКИ

П. ПОЛТ

НА СИБЕРИИ



Том III

ПОЗНА

НАСТАВНИКЪ СИБИРСКАГО НАУЧНАГО ИСКЛЮЧЕННАГО

1881

1950R.5374

ROZDZIAŁ XXIV.

*O Polakach w Syberyi. Piotr Wysocki pułkownik.
Ksiądz Sierocinski i jego towarzysze, ich egzekucya
i śmierć pod kijami.*

Wiedeń (Austria) 19 sierpnia 1849.

Syberyo, kraino wichrów i lodów, płaczu i narzekań, dla czego tak często myślę i śnię o tobie? wszak kajdany i miny niemoga mnie nęcić, a twoje złoto dla mnie bez powabu. Byłaś czas jakiś istnym dla mnie grobem, dla wielu tysięcy mych braci jesteś grobem wiecznym. Mimo wspaniałość i wielkość przyrody władza despoty hojnie na cię zsyła wszystkie ozdoby Meduzy, a serce kamienieje gdy się wspomni o tobie! Dla czegoż jednak tak często myślę i śnię o tobie? Bo w swych objęciach okrutnych, trzymasz tysiące mych spółbraci, bo ty ich karmisz i poisz goryczą smutku i cierpień, tęsknoty i poniżenia, bo ty jesteś dla nas Polaków albo czyscem odkupienia, albo zatracenia piekłem. Już trzecie nas pokolenie swemi kośćmi zalega twe obszerne pustynie, a po tylu z nas niepozostało ani wspomnienia. Ileż tam wielkich, cnotliwych ofiar i niewinnych krwi najczystszej laskiej, w cierpieniach, bolach i samotności życia dokonało a i śladu niema gdzie grób dla ich ciała, a ich zgonu żadne nie poczuło serce, pomarli jak męczennicy, jak wyznawcy, w cichości i zapomnieniu od świata, pełni miłości.

Tom III.

1

ści i nadziei dla Polski. Od Uralu do Kamczatki Sybery, tyś naszymi łzami, tyś naszą krwią przesiąkla! Masz niestety, najświętsze prawo do naszych wspomnień, do naszego współczucia. Jeżeli do którego z wygnanców syberyjskich z ziemi rodzinnej, z piersi życzliwej choć westchnienie doleci, jakże on jest wówczas szczęśliwy! bo jedyny balsam pociechy dla jego znękaną duszy, bo on wdycha i tęskni bez końca, jego męki i boleści serca i duszy kończą się chyba z jego zgonem, jak jego miłość dla ojczyzny z ostatniem biciem serca. O Bracia moi! Ja co znam i czuję wasz smutek i osierocenie, tęsknotę i boleść waszego serca, przyjmijcie od waszego społeczeństwa niegdyś niedoli serdeczny udział w waszych cierpieniach i niešťczęśliwem położeniu jak i w nadziei, że Bóg będąc sprawiedliwym, wiecznie cnotliwym cierpieć nie dozwoli. Miejcie więc nadzieję oglądania jeszcze waszej ojczyzny, jak ja mam nadzieję w niej was powitania!

Jeszcze za czasów niecną pamięci carycy Katarzyny II zaczęto wysyłać Polaków do Syberyi, szczególnież z prowincyi zadnieprskiej i zadzwinińskiej, z Białej Rusi i gubernii smoleńskiej, a jak się z nimi obchodzono, poświadcza to do dziś dnia pozostała w mieszkańcach gubernii tobolskiej tego samego i dzikiego z nimi obchodzenia się pamięć. Ci mieszkańcy powiadali mnie samemu, że byli wówczas gubernator Szyrshyn przywiązywał Polaków do grubych i długich kłóców drzewa, po kilku około jednego kłoca: tak uwiązanych kazał spychać z wysokości góry, która jest w mieście Tobolsku, kłoc się tocząc z wysokości a przykrą gory druzgotał niešťczęśliwych na miazgę, a przynajmniej połamał im kości. Trudno wierzyć takiemu barbarzyństwu, ale jakże niewierzyć podaniu niezbyt odległemu, a które jeszcze żywo tkwi w pamięci miejscowego ludu. Zresztą cóż niepodobnego w tém obejściu się w Syberyi i w owych czas, kiedy dobrze każdemu Polakowi powinno być wiadomem, obchodzenie się okrutne Rosyan z Polakami, w samejże Polsce, w czasie

konfederacyi barskiej. Czyż Kreczetnikow nieodrżynał uszów, nosów, nieczynił wylotów obciążając skórę z ramion, albo je ucinając? czyż nieobrzynał pępków, nieprzytwardzał ich do drzewa i niekazał niešťczęśliwych pędzić razami, aż póki w serdecznym śmiechu wysnuwszy z siebie wszystkie wnętrności niepadli bez duszy? Ja temu podaniu bardzo wierzę, bo to jest prawdopodobne. Potomkowie dawniej wysłanych Polaków znajdują się na całej przestrzeni Syberyi, a wszyscy bez wyjątku przyjęli, bo przyjąć musieli wyznanie greckie i miejscowe zwyczaje: słowem zostali Sybirakami, nieomal wszyscy skarbowymi właścicielami, a niektórzy są kupcami. Wielu z nich pamięta, że ich dziad, niemówię już ojciec był Polakiem, i mniej więcej opisują z jakiego rodu, lub jakiego znaczenia. Niedaleko zakładu, gdzie byłem, jednej włości był głową krestianin Panowski, który zna i pamięta dobrze, że jego dziad był Polakiem. On zaś sam ma minę prawdziwie polską, postawy okazałej, ujmującej i godnej, ale ani mu się śni o Polsce, jest bogaty i zamożny. W Tarze było dwóch braci kupców małych, mieszczan, Grabiańskich, których ojciec był także Polakiem oni zaś są tylko Sybirykami. Takich rodzin, potomków Polaków, i nazwisk polskich mnóstwo i wszędzie w Syberyi się znajduje. Około miasta Siemipalatińska w okolicy pięknej i bogatej, w klimacie nieco cieplejszym, jest jedna czy dwie wsie z samych potomków Polaków złożone. mówią nawet jeszcze po polsku i hodują pszczoły. Miody z tych wsi są bardzo słynne w Syberyi, i w wielkiej znajdują się obfitości. Niemógłem się jednak dowiedzieć, kiedy przodkowie tych Polaków zostali tam zasłani i z jakiej części Polski. Zdaje się jednak, że to musiało być jeszcze za czasów Katarzyny, kiedy tysiącami z Białej Rusi i smoleńskiej gubernii Polaków w głąb Rosyi wyprowadzano na kolonije. Być może, że i to była jaka polska kolonija. Wielem się od Sybiraków nasłuchał wieści o Polakach, posieleńcach dawniej tam wysłanych. Naj-

nieszczęśliwsi byli ci, co już w podeszłym wieku byli do Syberyi zasłani. Smutne, najsmutniejsze wiedli życie. Niebędąc w stanie pracować, w ostatniej znajdowali się nędzy, i utrzymywali się żebranią i łaską swęj włości. Mówię tu o posieleniach wyższego stanu i wykształcenia. O Beniowskim, o jego wypadkach w Ochotsku i o jego ucieczce okrętem, którego zbuntował ekwipaż, wiedzą bardzo w Syberyi. Ale pominawsze dawne czasy, mówmy o nowszych, o naszych, mówmy o Polakach już za panowania łaskawego cesarza Mikołaja, szczególnie po rewolucyi 1831 roku do Syberyi zasłanych za polityczne przestępstwa.

Polacy stósownie do ważności winy politycznej są podzieleni na rozmaite w Syberyi kategorye; jedni skazani byli do Syberyi tylko na mieszkanie czasowe, na dwa, pięć i więcej lat pod dozór policyi miejscowej, bez utraty dostojenstw, szlachestwa i majątków, przytém z nadzieją powrócenia po upływie pewnego czasu do rodzinnej strzechy, a przynajmniej gdzie w jęj sąsiedztwo; liczba Polaków do tęg pierwszej kategoryi należących jest bardzo mała: z nięj pamiętam tylko nazwisko Kazimierza Szalewicza, którego już w Syberyi poznałem osobiście, a który za udział w sprawie Konarskiego Szymona był do Syberyi wysłany i mieszkał w Tarze. Jeszcze przy mnie, bo przy końcu 1845 roku, otrzymał od rządu pozwolenie zbliżenia się, niby ku Litwie swęj ojczyźnie, bo był rodem z gubernii wileńskiej, i wyjechał z Syberyi do Włodzimierza nad Klazmą, miejsca nowego swego przeznaczenia. Do tęg kategoryi należała także Panna Wielczopolska z Wołynia z tegoż powodu co i Szalewicz do Syberyi wysłana, mieszkała także czas jakiś w Tarze, i na rok przed mojęm przybyciem, otrzymała niby ulaskawiające pozwolenie zbliżenia się ku Wołyniowi, i wyjechała do Tuły czy do Kaługi, miejsca nowego przeznaczenia. Wielu innych Polaków a nawet i Polek z tęg kategoryi znajdowało się w Syberyi, ale po różnych jęj miejscach

i tak od siebie odległych, jak np. w Berezowie, Tobolsku, Tomsku i t. d., iż niepodobna o nich wszystkich wiedzieć.

Do drugiej kategoryi należą Polacy na posielenie skazani; tych jest bardzo wielka liczba i podlegają prawu ogólnemu posielenców, o których już mówiłem. Z nich znałem osobiście, albo tylko z nazwiska następujących. W okręgu tarskim i w samej Tarze: 1) Feliks Syczewski z gubernii kijowskiej powiatu lipowieckiego, mieszkający o dwie wersty od zakładu na zaimce, trudnił się gospodarką i myśliwstwem, był bardzo w biednym stanie, bo już miał lat przeszło 50 i zdrowia brakowało. 2) Konstanty Dorotkiewicz. 3) Karól Skierski. 4) Biegański, wszyscy trzej z Krakowskiego; dwaj pierwsi mieli po lat szesnaście, kiedy ich poaresztowano w Kieleckim. 5) Błoński z Augustowskiego, młody chłopiec, na rok do katorgi w tym samym, co i ja, tylko parą lat wcześniej, zakładzie skazany, wyszedł z nięj na posielenie, potulny, skromny, miły i dobry młodzieniec. 6) Kłosowski z Płockiego czy z Kaliskiego. 7) Januszkiewicz w Omsku. 8) Mocarowski około Tobolska, w Tobolsku. 9) Pietraszkiewicz z Wilna, spółuczeń, spółkolega, a może i spół-filaret Adama Mickiewicza, ten już po raz trzeci z kraju wysłany (dwa pierwsze razy do Rosyi) dosługuje się teraz, choć już podeszły wiekiem, i jemu to pozwolono z ulaskawienia, stopnia w służbie cywilnej. Jest to bardzo pocziwy i szanowany człowiek. Tamże 10) Kozłowski, z posielenca na profesora wzięty, także się stopnia dosługuje, jest to także światły i szanowany człowiek. Obaj choć żon niemają, ale dzieci huk. 11) Marchocki z Podola z pod Kamieńca, w 1845 roku otrzymawszy pozwolenie udania się na mieszkanie do Odessy, wyjechał z Tobolska. 12) Piotr Moszyński, na kilka lat przed mojęm przybyciem otrzymawszy powrót do kraju, wyjechał z Tobolska. Tu także w Tobolsku na lat kilka przed mojęm przybyciem umarł pułkownik od strzelców konnych,

Krzyżanowski, ten sam, co był w Kijowie dla porozumienia się ze spiskowymi Pestla. W Kurgawie 14) Sobański, który w chwili pozwolenia powrotu do kraju był zabitym, zarzniętym przez własnego służącego. Wielu innych Polaków tej kategorii znałem z nazwiska, a niektórych osobiście, ale i jednych i drugich nazwiska zapomniałem.

Do trzeciej kategorii należą Polacy na dwa, trzy, pięć, piętnaście lub na całe życie do katorgi skazani. Z tych także jednych znałem osobiście, drugich z nazwiska; jedni byli jeszcze w katordze, drudzy z niej już wyszli. Z tej kategorii w okręgu tarskim byli: 1) Jan Siesicki, mój spółtowarzysz niedoli, z Lubelskiego, na całe życie skazany do katorgi, w nią go zostawiłem. 2) Karól Bogdaszewski po trzech latach katorgi, przy końcu 1844 roku, wyszedł na posilenie. 3) Orlicki z Litwy, z korpusu kadetów w Petersburgu; w czasie naszej rewolucyi przeszedł, jako prawy Polak, do Polaków, w czasie szturmów reduty wolskiej ranny, w nią był wzięty, po kilku latach katorgi wyszedł na posilenie. 4) Piotr Wysocki z Litwy (ale nie pułkownik), z gwardyi Wołyńców stojącej w Warszawie, za przychylność sprawie Polaków, był lat kilka w katordze, później wyszedł na posilenie. 5) Minkiewicz, z mińskiej gubernii z Minkowia, od lat dwudziestu już w Syberii będący, był w katordze, jest na posileniu, niegdyś obywatel majątny, urzędnik, spokrewniony przez żonę z znaną rodziną Podberezkich, z których jeden major Podberezki jest w emigracyi z 1831 roku, zostawiwszy w kraju żonę i dorosłe córki, wkrótce po swoim do Syberyi przybyciu ożenił się z jedną posielenką, prostą kobietą i miał z nią syna ośmastoletniego chłopca, ale prawdziwego Sybiraka, bez najmniejszego wychowania. U tego Minkiewicza stałem na stancyi. Około Irkutska i w zakładach nerczyńskich byli: 6) Wężyk z Krakowskiego. 7) Erenberg z Krakowskiego. 8) Z ichże sprawy Podlewski z katorgi wyszedł na posilenie. 9) Serednicki Eustachy z Podola. 10) Ze sprawy Konarskiego

Orzeszko. 11) Pułkownik i naczelnik powstania listopadowego, nieszczęśliwy Piotr Wysocki, na całe życie do torgi skazany do Nerczyńska, po próbie ucieczki zasłany do fortecy Akatui daleko za Nerczyńskiem. Około Irkutska, w zawodach nerczyńskich, mnóstwo jest Polaków w katorżnych robotach, ale w takiej odległości trudno jest o wszystkich wiedzieć, przeto wiele nazwisk tych nieszczęśliwych pozapomniałem.

W 1845 roku latem w miesiącu lipcu czy sierpniu, transportowano wraz z partya pięciu Polaków przez miasto Tarę do robót ciężkich gdzieś około Irkutska, zdaje się, że do Aleksandryjskich zawodów, a tymi byli: 1) Aleksander Bieliński, syn pułkownika Bielińskiego z Lubelskiego. Ten nieszczęśliwy młody człowiek po raz drugi zwiedza Syberya. Ledwie wróciwszy z Syberyi, dokąd był wysłany na posilenie, odetchnął rodzinnym powietrzem, gdy wkrótce znów skazany został do ciężkich robót. 2) Karpiński z Lubelskiego, którego brat rodzony jeszcze przedtem był wysłany do Nerczyńska. 3) Gzowski. 4) Więckowski, adwokat z Warszawy. 5) Młody zupełnie człowiek Gross. Do Tobolska przywieziono ich w kibitkach, od Tobolska zaś poszli w partyi, w łańcuchach.

Już wzmiankowałem, że jest nieco względu na przestępstwo politycznych posielenców i katorżnych. Ci którzy są zesłani do min Nerczyńska, zwykle w nich niepracują, to jest: niepuszczają się do wnętrza ziemi. Ale w godzinach przeznaczonych do pracy, muszą wychodzić z taekami i wozic niemi ziemię, lub wydobyty minerał, jednak praca nie jest nad siły. Z początku zwykle ostrzej i surowiej postępują z katorżnym nowo przybyłym, później, jeżeli się do tego nieda jakiego powodu, obchodzą się łagodniej. Rossyanom ze spisku Pestla do robót wysłanym jako to księciu Trubeckiemu, księciu Wołchońskiemu, Morawjewym, Stengelowi, Jakuszkinowi itd. z początku niedawano maki dla chleba, ale tylko

zboże w ziarnie, każdy z nich musiał sobie pierwój zboże zemleć w żarnach nim mógł mieć mąkę i chleb. Ci wszyscy szlachetni Rossyanie wyszli z katorgi, niektórym pozwolono mieszkać na posieleniu w gubernii tobołskiej, reszta zaś została na posieleniu w gubernii irkuckiej, żyją w zgodzie i łącznie z sobą, mają miejsce swoich zgromadzeń do zabaw, a raczej rozrywek w swém nieszczęściu. Chętnie przyjmują do swego grona Polaków, dla których mają wielkie współczucie. Niemogę z pewnością powiedzieć, czy w nerczyńskich zawodach katorżni polityczni nazywani są tylko numerami i czy mają pewien areztancki uniform. Ze wszystkiego sądząc, zdaje się, że tak nie jest i zapewne nazywani są własnymi nazwiskami i ubierają się, jak kto może i zechce. Bo dla czegożby inaczej postępowano z katorżnymi w tobołskiej gubernii, aniżeli w irkuckiej? Co do kryminalistów, ci mogą być ponumerowani i mieć uniform katorżnych.

Do czwartej kategorii należą Polacy do robót w areztanckich rotach skazani i pracują po fortcach syberyjskich; tych jest bardzo mała liczba, ale za to ich położenie jest nieznośniejszém daleko od położenia katorżnych; pracują bowiem w kajdanach, mają złe i niewygodne życie, tak co do jedzenia, jak i do mieszkania. Między innymi, było w areztanckich rotach trzech oficerów ze sławnie bitnego czwartego pułku liniowego; ci po kilku latach, pięciu czy siedmiu fortecznych robót, wypuszczeni zostali na posielenie; jeden trudnił się dawaaniem lekcyj dzieciom, drugi znalazł miejsce przy propinacyi, z trzecim niewiem co się stało. Znałem ich nazwiska, ale zapomniałem. W fortecznych areztanckich robotach był także Woźniakowski o którym wspominałem, a który później był ulaskawiony na żołnierza do batalionów syberyjskich.

Do piątej kategorii należą Polacy do pułków, lub jak zwykle nazywają, do batalionów syberyjskich wcieleni na prostych żołnierzach, albo na całe życie, albo na

piętnaście lub dwadzieścia lat, bez wysługi, ale z nadzieją powrotu do ojczyzny dla złożenia w niej swych zwłok śmiertelnych. Jak zaś wielka liczba Polaków po tych batalionach się znajduje, łatwo przez przybliżenie osądzić z garnizonu w zakładzie gdzie byłem; na stu ludzi garnizon składających, było dwudziestu Polaków: w okręgowém miasteczku Tarze, gdzie garnizon nierównie był mniejszy, stosunkowo było w nim Polaków jeszcze więcej. Zapamiętałem niektórych nazwiska: Jezierski, Denisewicz, obaj z Podlaskiego, Zieliński Mateusz, Tabak, Celiński z Polski kongresowej, Głębocki z Wołynia. Jeżeli ten sam stosunek z małą różnicą zachowuje się we wszystkich garnizonach i batalionach, można mniej więcej mieć dokładne wyobrażenie o liczbie Polaków będących w tych batalionach. Ksiązę Roman Sanguszko był także skazany na prostego żołnierza do batalionów syberyjskich i znajdował się w Tobolsku. Daleko przedtem przed moim do Syberyi przybyciem, Sanguszko za usilnem swęj zamożnej rodziny staraniem, otrzymał niby ulaskawienie, to jest: przeniesienie się do pułków kaukaskich z pozwoleniem dosługiwania się stopnia. Tak się nieszczęśliwy dosłużył, że ogłuchł na śmierć i bardzo mało co widzi.

Kto niewie, kto niechce wiedzieć, co to jest być żołnierzem rossyjskim, i to przez całe życie, ten z trudnością sobie może wyobrazić smutne tylu tysięcy naszych rodaków położenie; a jednak w tej liczbie znajdują się ludzie z pięknem wychowaniem, z wykształceniem umysłowem, niekiedy nawet wysokiem i znakomitęm, które niestety daje im jeszcze więcej uczuć ich niedolę i przyszłość; bez żadnej przyszłości, życie bez celu, cierpienia moralne i poniżenie bez końca. Otóż uczucie tak wielkiego nieszczęścia i prawie rozpacz o lepszej nadziei, tak okropnie wpłynęły na ich moralne usposobienie, na ich duchowość, że większa część z nich, o ile mi wiadomo, i o ile sądzić mogłem z naocznych przykładów, oddała się zgubnemu nałogowi pijaństwa, w którym zapewne szuka

morderczej ulgi dla swych cierpień. Na wielu z nich starła się szlachetność rysów i gry ich fizyonomij jak i uczuć serca; nazwałbym tych ludzi za straconych, bo zdemoralizowanych. Niepotępiajmy ich jednak surowo, kto niewie, kto niedoświadczył co to jest wielkie nieszczęście, długie lata, a nawet całe życie bez ustanku gnębiące człowieka, kto niewie co to jest karność wojskowa rosyjska, szczególnie dla tych, co uważani są za buntowników i ta niewola co ich gniecie i to nędzne życie; ten niemoże sobie wystawić, do jakiego stanu zwątpienia o wszystkiem co jest wzniosłe, piękne, sprawiedliwe, szczytne i prawdziwie boskie niekiedy przyjść może. Ale jeżeli z boleścią serca przychodzi mi tak mówić o braciach upadłych na duchu i moralności, to za to z prawdziwą rozkoszą duszy i dumą narodową, wspomnieć mi wypada o tych, którzy z prawdziwem religijnem wyznawców i męczenników poddaniem się, krzyż pokuty i zasługi dźwigają i takich jest niemało i ja niektórych z nich znałem. Ponieważ położenie moje niedozwalało mieć obszernych stosunków, a zatem jest mi niepodobna podać tu nazwisk przynajmniej części Polaków w batalionach syberyjskich zostających. Jednak znałem niektórych osobiście, a wielu z nazwiska, ale jednych i drugich nazwiska przepominałem.

Podług prawdopodobnych wiadomości, wszystkich Polaków w Syberii będących, a należących do pięciu wspomnianych kategorii znajduje się nieprzesadzając do pięćdziesięciu tysięcy, niemówię z samej Polski kongressowej, ale z całej w dawnych granicach objętej i to 50,000 najczystszej krwi laskiej. Ta liczba wcale niebędzie się zdawała przesadzoną, kto zechce sobie przypomnieć, że w siedmdziesiąt tysięcy haniebnie broń złożyliśmy w 1831 roku, że tych wszystkich co się chwycili broni i co byli tą rewolucją skompromitowani, można liczyć do stu siedmdziesięciu tysięcy. Wyemigrowało z kraju najwięcej piętnaście tysięcy, reszta pozostała albo w kraju, albo była przez rządy pruski i austriacki zmuszona do niego wró-

cić; pozostało zatem w kraju sto pięćdziesiąt pięć tysięcy. Wiadomo także, iż tylko szczegółowe wyjątki, z tych co powrócili, pozostały w Polsce, całość zaś wcieloną została do pułków rosyjskich; najwięcej skompromitowanych wysłano do Syberii*). Dodajmy do tego ciągle od rewolucyi 1831 roku aresztowania i wysyłania do Syberii, a liczba 50,000 niebędzie wcale przesadzoną.

Z tak wielkiej jednak liczby Polaków do Syberii skazanych, jeżeli nadspodziewane jakie nienastąpią wypadki, bardzo rzadko który ujrzy swą ojczyznę, choćby przynajmniej dla złożenia w niej swych kości. System Mikołaja bardzo jest mądrze rozporządzony w dręczeniu i zużyciu ludzi. Nadzwyczajnej potrzeba łaski, aby który wprost z posielenia, a raczej jeszcze z katorgi wrócił do domu; polityka tego zabrania. Ale potrzeba przechodzić stopnie łaski. I tak biorą człowieka w samym kwiecie wieku, to jest w latach 20tu i tylko na lat 5 skazango do ciężkich robót w Nerczyńsku. Po skończonych pięciu latach roboty, wyjdzie na posielenie, mając lat 25. Pięć lat zostawszy posieleńcem w gubernii irkuckiej, za szczególną łaską cesarza, mając już lat 30, przenoszą go do gubernii tobolskiej tylko pod dozór policyi. Tu przebywszy lat pięć, za nową łaską przenoszą go, mającego już 35

*) Ostatnie to twierdzenie autora jest mylne, mianowicie co do oficerów i żołnierzy z królestwa kongressowego, gdyż większość żołnierzy pozostała w kraju, a oficerowie, którzy zaraz wrócili za amnestją prawie wszyscy. Jeżeli było tylu żołnierzy w wojsku rosyjskiem i w batalionach syberyjskich, którzy służyli w czasie rewolucyi 1831 roku, to stąd pochodziło, że ich później pobrano w rekruty i powcielano w pułki i bataliony konsystujące na wschodzie i w Syberii. Z powstańcami z prowincyi zabajkańskich inaczej postąpiono, dla tych niebyło przebaczenia i prawie wszystkich wysłano na Kaukaz lub do Syberii. Zresztą jak względem jednych tak drugich niebyło stałego postępowania; względem wielu z pierwszej kategorii niedochowano warunków amnestyi, z drugiej nie wszystkich ukarano, jak się to zwykle dzieje pod rządem rosyjskim.

(Przypisek wydawcy).

lat do jakiej gubernii rosyjskiej na mieszkanie, n. p. do wołogodzkiej, do kostromskiej, do włodzimirskiej lub jakiej innej. Gdzie przebywszy lat 5 i mając lat 40, za nową łaską, ma prawo powrócić do gubernii, w której się urodził i tam zostając pod dozorem policyi, w latach 45 może wrócić do domu gdzie się urodził, ale jeszcze najmniej przez lat 5 zostaje pod obserwacją policyi, niewolno mu nigdzie wyjechać bez opowiedzenia się: szczęśliwy, jeżeli w pięćdziesięciu latach zupełnie się od opieki uwolni. Lat więc 30 ciągłej niewoli. Taki system stopniowej łaski wielu nieszczęśliwych ludzi i odejmuje im energią stanowczego działania, jakby śmierć sama niebyła miłszą i znośniejszą nad życie tak nikczemne, tak pełne nicości, tak upośledzone, tak marnie, bez pożytku dla siebie lub kogokolwiek zużyte!

Po przybyciu mojem do Syberyi najusilniejszym mojem staraniem było dowiedzieć się, czy majora Łukaszińskiego w niej przypadkiem gdzie niebyło? czy ten patryarcha polskich męczenników nieprzyszedł tam dla świadczenia w minach Syberyi męczeństwu Polski, jak mu świadczył w fortecy Zamościa i w lochach belwederskich. Ale nikt mi w tym względzie najmniejszej niemógł dać wiadomości, i to jest prawdopodobna, jeżeli nie pewna, że Łukaszińskiego nigdy w Syberyi niebyło. Wiadomo całój Polsce, że Łukasziński będąc na czele spisku, mającego ze spiskiem Pestla podobne zamiary i cele, lat kilka był więziony w fortecy Zamościa, a później w wilgotnych i ciemnych lochach Belwederu w Warszawie, tuż pod mieszkaniem dzikiego Konstantego, że go tak nielitościwie czasami katowano, że całe plecy krwią spływały i że dla większego bólu znowu go bito po ledwie zaczynających się zaciągać ranach. Znałem w Emigracyi w zakładzie Dijou, gdzie z 1839 na 1840 rok bawiłem, Polaka Emigranta Jaszowskiego, służącego w drugim pułku ułanów, później wziętego na żandarma, a ostatecznie służącego w czasie naszej rewolucyi w pułku karabinierów, pod je-

nerałem Sznajde, ten będąc jeszcze żandarmem, z parą razy przyprowadzał Łukaszińskiego do kommissyi śledczej, i wiele mi smutnych o jego cierpieniach i męczeństwie szczegółów opowiadał. Kiedy rewolucya w Warszawie wybuchła, jakaś sroga fatalność wszystkim kazala zapomnieć o nieszczęśliwym Łukaszińskim, którego Konstanty wywólkwszy z więzienia, poprowadził go z sobą przykutego do działu, cofając się z Warszawy ku Zamościowi. Niejaki Deręgowski, będąc wzięty do wojska rosyjskiego, uciekwszy z cytadeli warszawskiej i przybywszy na emigracyą do Francyi w 1837 czy 1838 roku opowiadał mi za rzecz pewną, że bawiąc z pułkiem w Infantach, dowiedział się od siedzących w więzieniu Dynaburga nad Dźwiną, że na ścianie jednego więzienia wyrte było nazwisko: Łukasziński. Zaprowadzonoż go rzeczywiście aż tam i tam go domęczono, lub do jakiej innej fortecy został przewieziony? żyjeż on jeszcze w lochach ukryty? albo niedoczekawszy się chwili, ani swojej, ani ojczyzny swojej oswobodzenia, téj ojczyzny, którą całém sercem kochał, za którą tyle wycierpiał, przeniósł się do ojczyzny wiecznej po nagrodę, na łono samego Boga? Po powrocie moim z Syberyi do Francyi, jedna dama polska, godna wiary, opowiadała mi w Paryżu, że w lat kilka po naszej rewolucyi, rozmawiając z jednym generałem rosyjskim Kor....wem, zapytała go, co się stało z Łukaszińskim? Niewdając się w żadne obszerniejsze tłumaczenie, rzekł tylko kiwnawszy smutnie głową: „Il n'existe plus.“ Czy tak jest lub nie, trudno twierdzić lub zaprzeczyć bez pewnych dowodów. Cokolwiek jednak się stało ze szlachetnym a nieszczęśliwym Łukaszińskim, to jego życie tajemnicze w ciemnicach i lochach, czy ten zgon i grób jego niczyją łzą nieskropiony, zgon, którego straty nikt nie poczuł, grób samotny, jakby sieroty, nad którym nikt nie westchnął, nikt, wieczny pokój niepowiedział; takie życie, zgon i grób człowieka, który żył tylko i oddychał dla Polski, mają coś w sobie z tego tęskno-bole-

sno-uroczego powabu, co nas mimowolnie pociąga i ńci ku sobie, jakby dla wynagrodzenia pamięci i ceniom męczennika tej obojętności, jakąśmy mu za życia jego okazywali. O! cnotliwy, szczeropolski cieniu Łukaszińskiego! tyś zostawił nam w puściznie swojego ducha, podobnie jak Likurg zostawił Spartanom zachowanie swych praw, aż do swojego powrotu, pociesz się, będziemy tym duchem oddychali, póki plemię Polski istnieć będzie, a w wielkiej uczcie wolności narodowej, ty pierwsze między nami zajmiesz miejsce.

Żaden z naszych generałów rewolucyjnych a pozostałych w kraju, niebył wysłany do Syberii, a przynajmniej o tem niemogłem się wcale dowiedzieć: byli oni wysłani tylko w głąb Rosyi, na kilka lat pod dozór policyi, na mieszkanie; niektórzy byli we Wjatce, a większa nierównie część była w Wołogdzie. Dawno już wszyscy wrócili do kraju.

Dla odbywania obrządków religijnych katolickich, rząd rosyjski utrzymuje w Syberii dla katolików Polaków czterech księży katolickich własnym kosztem: z nich, dwóch jest przeznaczonych na gubernie tobolską i tomską, a dwóch drugich: na jenissiejską i irkucką*); księża przeznaczeni do tobolskiej i tomskiej gubernii, mają zwykle swą rezydencją w Tomsku. Gdzie mieszkają dwaj drudzy, tego niewiem. Obowiązkiem tych księży jest: w pewnych porach roku i raz na rok objeżdżać wszystkie miasta, miasteczka, fortece i zakłady, gdzie się tylko Polacy w pewnej liczbie znajdują, tak dla wysłuchania ich spowiedzi, jak i dla dopełnienia innych obrządków, jak n. p. poświęcenia grobów zmarłych katolików, a pochowanych w roku i nieobecności księdza bez żadnych ceremonii religijnych. Ksiądz odbywa tę podróż kosztem rządowym, pocztą i

*) Prócz tych czterech księży katolickich przez rząd utrzymywanych, jest wielu innych wysyłanych przez zakony, tak polskie jak nawet zagraniczne, a tolerowanych przez rząd rosyjski.

(Przypisek wydawcy).

podług marszruty mu wydanej od władzy: przybycie księdza poprzedzone jest kilką dni uprzednią wiadomością o jego przybyciu, ażeby można zawiadomić w bliskości i powłościach mieszkających Polaków. Z kolei w 1845 roku w zimie i śród wielkiego postu, przybył ksiądz do Tary, a później i do naszego zakładu. Spowiadaliśmy się wszyscy, a ksiądz z obowiązku troskliwie zapisywał wszystkich spowiadających się nazwiska, które winien później władzy przedstawić. Rzecz niepojęta i dziwna: rząd Mikołaja, który wszystkimi możliwymi sposobami, nawet gwałtownymi i przymusowymi, stara się w Polsce, a szczególnie zabranych prowincjach, jak w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, niszczyć i wytępić religią katolicką, rozszerzając grecko rosyjską, w Syberii nadzwyczaj ostro nakazuje Polakom wypełnienie obrządku katolickiego, i gdy kto z Polaków niespowiadał się, a władze się o tem dowiedziały, mogłyby ściągnąć na się dość surową odpowiedzialność. Mnie się zdaje, że jedyną przyczyną tego postępowania jest ta, że religia katolicka niebędzie wcale niebezpiecznym żywiołem dla polityki Mikołaja w Syberii, dla tego Mikołaj tak surowo przepisuje wypełnienie jej obrządków, gdy tymczasem w Polsce, a szczególnie w zabranych prowincjach, też religia katolicka będąc jedną z najżywoźniejszych cech narodowości polskiej, dla tego ją usiłuje Mikołaj tam wytępić. Smotrytel zakładu Aramilski, był tyle dobrym, że pozwolił naszemu księdzu mieć mszę w swoim salonie, jako najobszerniejszym pokoju w całym zakładzie i najwspanialszym, i wraz ze wszystkimi czynownikami i swą żoną był przytomny naszej mszy świętej. Szczególniej się przypatrywał ceremoniom religijnym księdza przy ołtarzu i wcale niewiele znalazł różnicy między religią grecką a katolicką, mówiąc, że to samo wyobrażenie Chrystusa, Matki Boskiej i tak samo świeczki się palą przy ołtarzu. W tak szczupłym obrębie miejscowości, znalazło się Polaków katolików do czterdziestu: żołnierzy, posieleńców i katorżnych; śpiewa-

liśmy w czasie mszy pieśni nabożne, po mszy świętej suplikacye: a śpiewaliśmy z taką szczerotą, z takim rozrzewnieniem, jak nigdy. Było w tym nabożnym śpiewie, w tych pieśniach wielkopostnych, oprócz uczucia wdzięczności i prośby ku Stwórcy o odpuszczenie winy i przestępst grzesznikowi, jakby przypomnienia cośmy stracili, i jakby błagalne modły do Boga, o powrót do ojczyzny, o powrót do Polski wolnej i niepodległej. O święta religio Chrystusa, jak wielką, rzeczywistą pociechą jesteś dla nieszczęśliwych, bez ciebie wyschłoby uczucie w sercu i źródło łez — ty jedno i drugie zasilasz. A to jest wielka ulga dla cierpiących, móżdż czuć i czasem zapłakać w nieszczęściu; to są jeszcze znaki życia człowieka, który niezupełnie zdrętwiał, zkamieniał, spodlił się, zniczekniał. Religia katolicka tak jest narodową polską, więcęć powiem, tak jest rzeczywistą narodowością Polski, że Polacy nawet niekatolicy, ale schyzmatycy i kalwini, z chęcią przychodzili na naszą mszę świętą i szczerze się modlili; a gdym się zapytał, dla czego tam chodzili, odpowiedzieli: bo ten ksiądz i ta msza katolicka, tak przypominają Polskę i jej narodowość, że my wszyscy Polacy, jakiegobądź wyznania, w gruncie jesteśmy katolikami, to jest Polakami. I ja ich bardzo dobrze rozumiałem. Niepojmuję w istocie prawdziwego Polaka, któryby nie był prawdziwym katolikiem, i gdyby nie był z imienia, w gruncie duszy nim koniecznie być musi. Przybycie księdza do naszego zakładu, było dla nas pewnym rodzajem uroczystości, jak to zapewno w Syberii wszędzie się dzieje, gdzie ksiądz polski do Polaków przybędzie, już to dla tego, że przybywa do nich do spełnienia aktu tak ważnego, tak świętego dla każdego katolika, jakim jest spowiedź; już to dla tego, że ksiądz polski dla Polaka zawsze jest miłym i pożądanym gościem: bo i obrokiem duchownym gospodarza nakarmi i rad pocziwych udziela; a przytęm takie u nich serce polskie! Nasz ksiądz zabawiwszy w naszym zakładzie dwa dni, pospowiadałszy

i dawszy komuniją ś. wszystkim i dwie msze święte odprawivszy, opuścił nasz zakład, z wielkim naszym żalem i pospieszył gdzieindziej nieść słowa pociechy i rad zbawivnych. Księża katolicy polscy, nie z przymusu, ale dobrowolnie poświęcają się udzielać pomocy religijnej i światła duchowego swym spółwyznawcom i braciom w Syberii, i obowiązują się do niej na lat dziesięć, po upływie których, jeśli żądają, mogą się zmienić i wrócić do Polski, a inni na ich miejsce przybywają. Niewiem, z jakiego zakonu, jakiej reguły i z kąd byli dwaj księża przeznaczeni do gubernii irkuckiej i jenijskiej. Ten zaś, który nas odwiedzał i jego kolega, obaj przeznaczeni do gubernii tobolskiej i tomskiej, byli z zakonu św. Dominika, rodem ze Żmudzi i z klasztoru na Żmudzi; byli zaś ubrani nie po zakonnemu, w białe płaszcze i habity, ale w czarne sutany księży świeckich, które nie tak się brudzą i nietyle rażą Syberyaków. Księża tacy podróżują po wszystkich kątach całej Syberii, mogliby, gdyby sobie chcieli nieco pracy zadać, napisać dokładną historiją Syberii, a przynajmniej historiją Polaków w Syberii będących. Żałuję, żem zapomniał nazwiska tego księdza i jego towarzysza: obaj są bardzo pocziwi ludzie, gorliwi kapłani i powszechnie od wszystkich Polaków lubieni i poważani. Mają swą zwykłą rezydencyą, jak mówiłem, w Tomsku, gdzie się także znajduje dość piękny, obszerny i murowany kościół katolicki, który w każdą niedzielę i w każde święto przepełniony jest ludem: to dowodzi, ile tam jest katolików. Wiele jednak i niekatolików lubi do niego chodzić. Niezdarzyło mi się zapytać, kiedy i czym kosztem i staraniem kościół ten został zbudowany. Czy w Irkucku lub gdzieindziej w Syberii znajduje się jeszcze jaki kościół katolicki? nic o tém niewiem.*) Księża nasi w Syberii, są prawdziwą dla wy-

*) Ostatniemi czasy, w r. 1849 a w 1850 poświęcony wspólnie katolicki kościół w Irkucku. (Przypisek wydawcy).

słanych tam Polaków pociechą. Musi to jednak trud być niepospolity: to objeżdżanie Syberyi, mniejsza czy zimą, czy latem i mniejsza jaka pogoda, deszcz czy śnieg, burza, zawieje, mróz czy gorąco! Być księdzem w Syberyi, jest to prawdziwa zasługa przed Bogiem i pocziwymi ludźmi. Ja przynajmniej czułem wielką potrzebę religii.

Przystępuję teraz do opisanie smutnego i krwawego epizodu w historii polskiej, w historii jej męczeństw, pomnażającego i liczbę Polski męczenników i sposoby nas męczenia. Wiem, że świat ucywilizowany temu opowiadaniu nieuwierzy i poda wszystko pod wątpliwość: nazwawszy to opowiadanie eksageracją, uniesieniem: jak nieuwierzył i podał pod wątpliwość: że za czasów konfederacji barskiej, rosyjski generał Kreczetników i pruski pułkownik Sully, dzicy i okrutni, obcinali zchwytanym konfederatom uszy, nosy, wargi i ręce po łokcie; jak na pośmiewisko naszej narodowości obciągali z ramion skórę i zarzucali ją na plecy na kształt wylotów u kontusza; jak żywcem wnętrzości z nich wysnuwano. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że Szyrshyn, gubernator Tobolska, przywieźwał żywych Polaków do grubych kłoców drzewa, które z wysokości spuszczać góry i które się z niej tocząc, druzgotały i łamały kości nieszczęśliwym wyziewającym ducha w tych okropnych męczarniach; że rząd carycy Katarzyny drugiej podniecił ciemne wieśniactwo ukraińskie do wyrznięcia i wytępienia Polaków i rzeki krwi polskiej popłynęły; że dziki Suwarów wyrzwał, wymordował Pragę, nieprzepuszczając słabym i niewinnym kobietom, i jeszcze słabszym i niewinniejszym niemowlętom, które brano na dzidy lub których głowy roztrzaskiwano o węgiel domu. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że już odtąd zaczęto nas wysyłać tysiącami do głębi Rosyi i do Syberyi; że nas ciągnano po wszystkich kraju więzieniach; że nieprzebaczano nawet dzieciom i uczniom po szkołach, że okropnie prześladowano i mordowano uczniów uniwersytetu wileńskiego, z których niektórzy pomarli pod

razami, innych wysyłano do Syberyi lub pułków rosyjskich na prostych żołnierzy, a to wszystko z łaski Nowosilcowa i Pelikana; że majorowi Łukasińskiemu zadawano męczarnie i katusze trudne do opisanie, więząc go po ciemnicach, lochach i fortcach, że go przykuto do działa; że w Warszawie za rządów Konstantego, z przyczyny rzeczzonego szpiegostwa, żaden dom, żadna zacna rodzina, niebyła pewną, czy jutro niezniknie którykolwiek z jej członków i pójdzie do więzienia, ciemnego, prawdziwej otchłani, gdzie go bijąc i mordując różgami i morzą głodem i pragnieniem, karmiąc słonemi śledziami; że nieprzebaczając nawet kobietom, dla wybadania z nich tajemnych jakichś zamiarów politycznych, ścisano brodawki ich piersi strunami, aż do omdlenia, aż do konwulsyi. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że po naszej rewolucyi w Kronsztadzie kilkunastu Polaków zabito kijami za to: że niechcieli przysięgać na wierność swemu i ich ojczyzny tyranowi, że tamże i dla tej samej przyczyny dziesiątkowano młodzież polską rozstrzeliwaniem; że nie tylko więziono kobiety Polki po klasztorach i wysyłano za przestępstwa polityczne, ale jedną damę, pannę w Lubelskiem, mającą udział w wyprawie r. 1833, smagano różgami, jawnie przy policyi i to po obnażonem ciele; że Szymona Konarskiego, dziki książę Trubecki, gorącym łaskiem i rozpalonem żelazem piec kazał dla wybadania z niego zeznań, że w Warszawie w cytadeli tak nielitościwie i okrutnie z więźniami politycznymi postępowano, że kilku życie sobie odjęło, a nieszczęśliwy Lewitu żywcem się spalił dobrowolnie. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że w 1846 roku przewrotny rząd austriacki rozkazał ciemnemu pospólstwu galicyjskiemu rznąć i mordować szlachtę polską, z której tyle set ofiar padło, a później, dla powściągnięcia buntu, niby bez wiedzy rządu podniesionego, uzbroidł się przeciw rozjuszonemu i zaciekłemu pospólstwu, i przydał obłudę do okrucieństwa. Judasz sprzedawszy krew niewinną, chciał z niej umyć później

sobie ręce; że w Wielkiem Księstwie poznańskiem w r. 1848, rząd pruski, szczytający się oświatą swojego narodu, pozwolił, nietylko mordować, ale i piętnować. Świat nieuwierzy, jak nieuwierzył: że nas Polaków od ośmdziesięciu już lat męczą i mordują, wynaradawiają, wypleniają, i rozpędzają po wszystkich stronach świata, że nami pustynie,miny i więzienia napelniają; że nam skrępowano sumienie, że nam odjęto język i religią, że cały naród polski, jego czucie, myśl i technienie okuto w kajdany, że każdego Polaka na Prokusta łożu obalono, wtłoczono. Wszystkiemu temu świat ucywilizowany nieuwierzy. Dla kogoż więc piszę, gdy nas świat tak boli? gdy wstyd mi nawet przed nim się zwierzać: bo jest bez serca, bez duszy: bo nieczuje, niepojawia naszych boleści? Piszę jedynie dla tego, abym oddał hołd i świadectwo prawdzie, abym podał do sprawiedliwszej potomności smutną pamiątkę nięszczęść i męczeństw narodu polskiego; piszę w końcu dla tego, aby moje sumienie było czyste przed Bogiem, zem człowiek nieobludny, zem się niezaparł najświętszej prawdy, w świecie, gdzie tyle kłamstwa, fałszu i zmyślań; przystępuję tedy do opowiadania.

Piotr Wysocki, przed powstaniem 1830 roku, podporucznik z piechoty i przewodnik szkoły podchorążych w Warszawie. jeden z naczelników powstania, w ciągu rewolucyi ostatecznie pułkownik i dowódzca dziewiątego czy dziesiątego pułku piechoty, w czasie szturm Warszawy przez Moskale 6 i 7 września 1831 r., broniący reduty wolskiej, w niej ranny i wzięty przez Moskale, został zawieziony do Petersburga. Tam długo więziony, indagowany, wyrokiem sądu wojennego na śmierć skazany, a ulaskawieniem Mikołaja, został potępiony na całe życie do robót ciężkich w Nerczyńsku. Kiedy do Nerczyńska przybył, tego z pewnością niewiem, podług pogłosek w Syberyi, miał do niego przybyć w 1833 roku. Pułkownik Wysocki przybywszy do Nerczyńska, zastał już na miejscu kil-

kunastu swych ziomków, na tę samą karę, z różnicą lat, co i on sam wskazanych. Obchodzono się z nim, jak ze wszystkimi i podobno miano nieco względu, na jego los, zdrowie, stopień i znaczenie. Niewola gdyby najłżejsza i najłagodniejsza, zawsze jest niewolą i poniża godność i wielkość człowieka, lecz taka niewola, jakiej doświadczają katorżni, dla szlachetnej i cnotliwej duszy Wysockiego była do niezniesienia; tém bardziej, że była do zgonną; umyślił więc, niemogąc innym sposobem, uwolnić się z niej ucieczką. Trudności w tym względzie są prawie do niepokonania w Syberyi, szczególnie dla przestępców politycznych, nad którymi władze bezpośredni i czujny mają dozór. Znalazłszy więc kilku spółników swojego zamiaru, a dla nieznajomości drogi zwierzywszy się ze swemi zamiarami przed jednym miejscowym chłopem, który pewno dla obiecanej mu nadrody zdawał się im sprzyjać i miał służyć za przewodnika, jednej nocy o naznaczonej i umówionej godzinie, powierzywszy swe losy przewodnikowi, puścili się na pieszo w drogę. Przewodnik zaprowadziwszy ich, jak mówił, na miejsce bezpieczne, i tam ich zostawiwszy, poszedł sam niby dla obejrzenia, czy przejście, którem uciekających miał przeprowadzić, nienastępowało jakiej przeszkody i było wolne: w rzeczy samej, wrócił do zakładu, z kąd byli uciekający, poszedł do smotrytela, czy do jakiego czynownika i doniósł: że tylu Polaków ucieka, i że w tém a w tém miejscu się ukrywają natychmiast część garnizonu miejscowego ruszyła w poгон i miejsce, gdzie uciekający Polacy ukrywali się, obsadziła: Polacy widząc niebezpieczeństwo im grożące i pozbawieni wszelkiej sposobności ratowania się ucieczką, chcieli się przedrzeć siłą i podobno zaczęli się bronić: w tej obronie Wysocki został ranny i wszystkich zabrano. Wysocki, jako dowódzca i początkujący w zamiarze ucieczki, dostał 1500 kijów: tego już dobrze i z pewnością niepamiętam; jego towarzysze także byli cieleśnie i surowo karani. Świadek naoczny srogięgo wyroku zapadłego i

wykonanego na pułkowniku Wysockim, jeden szlachetny Rossyanin, godzien wiary pod każdym względem, przeniesiony z Nerczyńska na posilenie do tobołskiej gubernii, a należący przedtém do spisku Pestla, opowiadający ten smutny przypadek, zapewniał: że Wysocki był okrutnie nielitościwie bity, tak, że ledwie pod kijami nieskończył i prawie nieżywego zanieśli do lazaretu. Po wygojeniu z ran i po odzyskaniu zdrowia, jakby niedosyć było, na tój karze dzikięj i okrutnej, za naturalne uczucie człowieka chcącego tylko być wolnym, pułkownik Wysocki z Nerczyńska był wywiezionym jeszcze dalej, bardzo daleko, aż do fortecy Akatui, gdzie największych tylko i niepoprawnych wysyłają zbrodniarzy, kryminalistów i gdzie najnielitościwiej z nimi się obchodzą. Tu Wysocki był rzeczywiście użytym do ciężkich robót, aż do omdlenia. Wieści biegły, oparte na prawdopodobieństwie, że często zapadał na zdrowiu, że był milczący, smutny i popury, unikał towarzystwa ludzi, nikogo znać, z nikim mówić niechciał. Nieufność ku ludziom i ku swemu przeznaczeniu oświała jego duszę. W chwilach wolnych od pracy, starał się być odludnym, samotnym, zamykał się w stancyi i zdawało się, że wszystkie uczucia w nim zakamieniały; słowem, stan jego zdrowia duszy i umysłu tak był smutnym, że przechodzi wszelkie usiłowania w oddaniu go wyrazami. W którym roku to nieszczęście spadło na Wysockiego i jego towarzyszy, z pewnością tego niepamiętam; zdaje się, że to było w 1836 lub w 1837 roku. Kiedym był w Syberyi, Wysocki był jeszcze w Akatui i w chwilach wolnych od pracy, dla zajęcia się czémkolwiek, trudnił się robieniem małych, kwadratowo-wypukłych mydelek; widziałem jedno mydelko jego roboty z napisem: P. W. Akatuija. Po powrocie już do Francyi z Syberyi w 1846 roku, szczególnym trafem dowiedziałem się z pewnością, że Piotr Wysocki z Akatui był przeniesiony bliżej ku Irkutsku i tam wraz z wielu innymi zostaje w katordze. A zatem ten męczennik sprawy narodowej,

przynajmniej jeszcze żyje. Taka jest smutna historia pułkownika Piotra Wysockiego, naczelnika powstania listopadowego.

Z księdzem Sierocińskim i jego towarzyszami nieszczęścia, tak się stało. A że to było w Omsku, bliżej mojego zakładu i niedawnemi czasy, rzecz tę więc całą wiem nie tylko dokładnie, ale jak być można najdokładniej, bo cała o tём wie okolica, a ja w tём przedmiocie rozmawiałem i rozpytywałem się szczegółowo, nie tylko u Polaków, ale i u Moskali, Syberyaków, jednych i drugich naocznych świadków: znałem nawet takich, co z księdzem Sierocińskim siedzieli razem w więzieniu w Omsku. Wszystkich opowiadania były najzgodniejsze. W tój więc jednozgodności zeznań spoczywa przerażająca prawda, o której chcę mówić. Ksiądz Sierociński, przed powstaniem listopadowem był przeorem, czy superiorem klasztoru księży Bazylianów w Owrużu na Wołyniu, gdzie były szkoły pod ichże dozorem. Po wybuchu rewolucyi w Warszawie, jako prawy syn ojczyzny, ksiądz Sierociński nie pozostał nieczynnym, przygotowując się sam i innych do powstania, w którym bardzo czynny miał udział. Schwytany przez Moskali, osadzony w więzieniu, wyrokiem sądu i wolą Mikołaja, zdjęto z niego kapłańską Sakrę i z księdza przeora, wskazany został na prostego kozaka: posłano go więc do Syberyi do pułków kozackich, do których wcielony, wraz z innymi kozakami, czas jakiś, w stroju kozackim, z lancą, szablą i na koniu uwijał się po stepach kirgizkich, uwijając się za Kirgizami. Już powiedziałem, że w Omsku od niejakiego czasu istnieje szkoła wojskowa kozacza, potrzeba tedy było do niej nauczyciela. Przypomniano sobie, że ksiądz Sierociński był professorem i że miał pod swym dozorem szkoły; że przeto musi być zdatnym do uczenia i światłym człowiekiem: zresztą sami czynownicy rozmawiając niekiedy z nim, postrzegli w nim rzeczywiste zdolności i wysoką naukę, i w rzeczy samej, ksiądz Sierociński był prawym Polakiem,

sumiennym professorem, sumiennym kapłanem i bardzo światłym człowiekiem, i oprócz przyniotów nieodbitych dla nauczyciela, posiadał jeszcze kilka języków obcych: jako niemiecki i francuzki, a więc z kozaka, robią go nauczycielem w szkole Omskiej, po ukazu, ale nie nauczycielem mającym prawo, do znaczenia tego nazwiska i obowiązku, do zasług i stopni, tylko nauczycielem z rangą prostego na zawsze kozaka, zawsze należącego i liczącego się do swego pułku. Podobnie głupie i śmieszne dziwactwo, tylko w jednej Rosyi być może. Ksiądz przeor Sierociński, w wątlęj i szczupłej organizacyi, przy osłabionem zdrowiu, i tkliwej aż do rzewności duszy, posiadał moc i hart duszy niepospolity, wysokie przekonanie i uczucie o godności człowieka, czuł mocno niesprawiedliwość Polsce wyrządzoną i miał wiele litości dla nieszczęśliwych swych braci spółwygnańców, spółwięźniów w Syberyi. Rzucił więc myślą, duchem i sercem po niezmiernym obszarze pustyń tej Syberyi, policzył nieszczęśliwych, zruchował siły i zasoby a przypomniawszy szczęście Bieniowskiego, nadzieja uwolnienia siebie i wszystkich nieszczęśliwych z Syberyi, w razie, gdyby samą Syberyi z pod jarzma despotycznego uwolnić było niepodobna, słodko choć zwodniczo doń się uśmiechnęła. Zaczął tedy przy swoich nauczycielskich zatrudnieniach, zabierać znajomości i zawierać stosunki, tak z Polakami, których w Omsku wcale niebrakło, jako też z Rossyjanami, wyższe wychowanie, ukształcenie, zdolności i wstręt do stanu, w jakim się znajdowali, mającymi. Ci dzielając zamiary i cele księdza przeora Sierocińskiego, jeli się przygotowywać innych do tychże zamiarów i celów. Nietrudno było o zwolenników, gdzie tyle było uczuć zdraśniętych, gdzie tyle serc zakrwawionych krzywdą i niesprawiedliwością. Do tych zamiarów należeli Polacy, Rossyjanie i Tatarzy: żołnierze i posieleńcy. Potrzeba było być społecznikiem i to jest przypuszczonym do wszystkich działań tajemnie, ażeby do-

ładnie móż wiedzieć sposoby, jakich chcieli spiskowi użyć do wykonania powziętych zamiarów; zresztą potrzeby być bardzo nieogłędnym, ażeby wiedząc nawet, odkrywać szczegóły działań, których wyjawienie, dziś jeszcze mogłoby narazić niejedną osobę i obudzić jeszcze większą czujność i surowość władz. Dosyć jest wiedzieć, że celem zamiarów Sierocińskiego być miało, oderwanie Syberyi od Rossyi, a następnie jako środek do tego, uwolnienie wszystkich z ciężkich robót i posielenia. W razie, gdyby się niepowiodło, miano się cofać zbrojną ręką przez stepy Kirgizkie, do haństwa Taszkenu, gdzie jest wielu katolików, albo do samą Bucharję, a ztamtąd, jeśliby tego konieczna wymagała potrzeba, przedzierać się do posiadłości angielskich w Indyach wschodnich.

Każdy pomysł, każdy zamiar, choćby najświetniejszy i najwięcej za sobą słuszności i prawdopodobieństwa udania się mający, jeżeli się nieziści, nieuda, przez gmin nieczujący i nierozumiejący bywa zwykle uważany za śmieszny i płochy, a jego sprawcy, jako słabsi, a raczej nieszczęśliwsi i dla tego pokonani, wliczeni zostają zwykle w poczet ludzi zuchwałych samolubów, a nawet zbrodniarzy pragnących tylko własnego wyniesienia się. Ja co miałem sposobność poznać nieco i miejscowość Syberyi i jej stosunki i usposobienie jej mieszkańców różnych kategorii, śmiało mogę twierdzić, że zamiar Sierocińskiego w oderwaniu Syberyi od Rossyi był na mocnych oparty podstawach i mógł się udać, nierozwodząc się, jakim sposobem, ani chcę o wszystkiem mówić i teraz utrzymuję, że Syberya od Rossyi musi być niezależną i oderwaną, potrzeba tylko sprzyjających okoliczności, które na przeznaczenie narodów jak i pojedynczych ludzi tak wielki wpływ wywierają. Wszystko ją bowiem od Rossyi oddziela, tak położenie geograficzne i system naturalny komunikacyi, jak usposobienie i duch miejscowy mieszkańców, małej tam potrzeba iskry, aby rozdmuchać wielki pożar; powtarzam, dla Syberyi potrzeba tylko nieco przy-

jaznych i szczęśliwych okoliczności, aby była niepodległą od Rosyi. Jakkolwiek bądź pomysł przeora Sierocińskiego znalazł wierny odgłos w wielu piersiach i szeroko po Syberyi się rozpostarł, wszystkie przygotowania były już poczynione, szło tylko o zaczęcie, o wykonanie, a co się stać miało za dni parę. Omsk miał dać hasło, jako najwięcej mający wojska, spiskowych i jedyną w Syberyi artylleryą i wiele zapasów wojskowych, jako ammunicyi, broni, kasę itd. Spiskowi ręczo i śmiało się do dzieła brali. Dnia jutrzejszego wieczorem miała się zacząć rewolucya. Lecz jak wszędzie tak i tam znaleźli się ludzie podli i nikczemni, którzy, jak złośliwy szatan, wszędzie i wszystkiemu co dobre i uczciwe, stają się na przeszkodzie. I któż jeszcze byli ci ludzie? Wstyd mi rumieni czoło, duma się narodowa oburza we mnie, a serce niechciałoby wierzyć takiej szpetności i szkaradzie uczuć; cobym dał za to, gdybym przed światem mógł ukryć tę hańbę, tę skazę na święte imię naszej narodowości rzucone! lecz uczucie sprawiedliwości nakazuje mi istną i bezstronną powiedzieć prawdę. Tymi ludźmi niebyli ani Rosyjanie, ani Syberyjczycy, ani Tatarzy; to byli Polacy, i to Polacy walczący i przelewający niedawno przedtém krew swoją za niepodległość swojej ojczyzny Polski, i właśnie dla tego od jój i ich ciemięzcy na całe życie do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy skazani. Było ich trzech, wszyscy trzech żołnierze powstania 1830 roku; dwóch z nich służyło w wojsku polskiem jeszcze przed rewolucyą. Jednego nazwisko przepomniałem, dwóch drugich nazwiska pamiętam dobrze, nazywali się Gajewski rodem z kongressowej Polski i Knak rodem z samej Warszawy. Ci trzech nikczemnicy i wyrodni Polacy, w wigilią zaczęcia rewolucyi, a zatém w najniebezpieczniejszej jój kryzys, upatrzywszy sposobność, poszli do komendanta fortecy Omska pułkownika Degravé, tego samego, o którym już mówiłem, i wszystko mu odkryli. Na nie-szczęście wiele wiedzieli i na nich wiele liczono: byli za-

tém przypuszczeni do najważniejszych tajemnic. Wiedzieli zatém, że przeor Sierociński był naczelnikiem i którzy po nim najwięcej mieli wpływu i znaczenia, wiedzieli, kiedy i jakim sposobem miała się rewolucya rozpocząć, wszystko to odkryli i od razu wszystkiemu temu przygotowaniu zapobieżono. Ponieważ Sierociński i niemal wszyscy naczelnicy wymienieni, jak i sami zdrajcy byli w Omsku lub w jego sąsiedztwie, natychmiast tedy ich poaresztowano i wydano najsurowsze rozkazy i rozporządzenia do miejsc najodleglejszych, ażeby jak najrychlej aresztować wszystkich podejrzanych lub jakikolwiek wpływ mających, winnych czy niewinnych: Polaków, Rosyjan, Syberyaków, Tatarów, żołnierzy, posieleńców, krestian. Najwięcej zaaresztowano Polaków. Trudno wiedzieć o liczbie przytrzymanych w całej Syberyi; bez przesady jednak można ich liczbę podnieść do tysiąca blisko początkowo, później ich liczba znacznie się zmniejszyła; przytrzymanych zwożono do Tobolska, Tomska, a najwięcej do Omska siedliska zamiarów i gdzie byli tych zamiarów naczelnicy. Te aresztowania nastąpiły w 1834 i 1835 roku. Dano znać o wszystkim do Petersburga, zaczęło się śledztwo. Dwie kommissye jedna po drugiej wyznaczone do prowadzenia śledztwa rozwiązały się, nie niepostanowiwszy, tak rzecz zdawała się zagmatwaną, tyle osób było w tej sprawie skompromitowanych; sumienie członków tych dwóch kommissyj nieośmieliło się brać na siebie tak wielkiej odpowiedzialności, ponieważ było związane wielkiem nieszczęściem winnych, których zamiar samo ich usprawiedliwiał połozenie, wielką liczbą ofiar i nieubłaganém prawem despotyczno-carskiem. Trzecia dopiero kommissya złożona z członków z Petersburga nadesłanych śledztwo to doprowadziła do końca, co wszystko trwało lat przeszło trzy. Z oskarżonych jednych, z początku śledztwa, drugich nieco później, innych po ukończoném śledztwie jako niewinnych z więzień wypuszczano, a którzy się zdawali być winnymi, tych za-

trzymano dla poddania ich prawu. Ksiądz przeor Sierociński w ciągu trzechletniego więzienia i śledztwa, zachował niezachwianą stałość charakteru i nieugiętą moc duszy. Przy rezygnacyi prawdziwie chrześcijańskiej, odpowiadał z godnością na zapytania i nic z niego niemogli wydobyć; a jednak pod zasłoną żelaznej woli, pod nieuskromioną hardością ducha, pod tym zuchwałym i nieugiętym temperamentem Sierociński miał czule serce i tkliwą, rzewną duszę; przymioty tak na pozór sprzeczne z sobą, a które jednak w samej istocie zawsze się znajdują w szczęśliwie uorganizowanym człowieku, chcę mówić, w każdym niepospolitym mężu. Przytém czułość i tliwość Sierocińskiego połączona z wolą i charakterem nikogo niezdziwi, kto się dowie, że on był rodem z Ukrainy, gdzie krew nie woda, serce nie lód, wola nie próżna butność, męstwo nie fanfaronada, a czyn nie paplanie. *Raz rodyła maty, raz propudaty*, to jest przysłowie ludu ukraińskiego. Miałem sposobność czytania poezyi księdza Sierocińskiego, które urywkami w ciągu trzechletniego więzienia pisał. W tych dorywczych i jakby z natchnienia urywkach cała piękna i szlachetna Sierocińskiego dusza się objawia; ileż tam chrześcijańskiej pokory, ile godnej dumy człowieka, ile tęsknoty duszy, ile prawości Polaka, ile smutku, żalu, cierpień i nieszczęścia duszy człowieka, dla którego tu na ziemi już niema nadziei!

Nareszcie zapadł wyrok w Petersburgu skazujący księdza przeora Sierocińskiego, Drużdżałowskiego, Jabłońskiego, Szokalskiego, Górskiego czy Zagórskiego, przeszło sześćdziesięcioletniego starca oficera jeszcze za wojen Napoleona, wszystkich za udział w rewolucyi 1831 roku skazanych do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy na całe życie, i Rossyanina Miededyna, każdego na siedm tysięcy kijów bez litości; wyraźnie w wyroku było: *na siedm tysięcy kijów bez litości* (na siem tysiąc pałok bez poszczadi), a gdyby przypadkiem który tę karę przeżył, po wyzdrowieniu miał być zasłany do

katorżnych ciężkich robót w Nercyńsku na resztę dni życia swego; masę zaś obwinionych, ale mniej skompromitowanych, wyrok, stosownie do przestępstwa, skazywał na trzy, dwa tysiące, jeden tysiąc i pięćset pałek, lub różg, a później jednych przeznaczył do ciężkich robót na całe życie, lub na pewną lat liczbę, innych od razu wskazał na posielenie, innych porozysłał do innych garnizonów w dalekie strony Syberyi. Nadszedł dzień fatalny wykonania okrutnego i srogiego wyroku, dzień straszego sądu, bo nigdy tak wielkiej liczby od razu, ni tak surowo niekarano; to było w tysiąc ósmset trzydziestym siódmym roku (1837) w miesiącu marcu, ale którego dnia niepamiętam, a w mieście Omsku. Jenerał Gałafiejew, dzikiego i okrutnego serca nastajaszczij stupajka, był przysłany z Petersburga umyślnie dla ściśłego i wiernego wykonania wyroku, i istotnie serce Mikołaja powinno być zadowolone i rozradowane z takiego wyboru; dzikość duszy barbarzyńcy Gałafiejewa i chciwość krwi prawdziwie tygrysia, oburzyła wszystkich Rossyan nawet, katów rosyjskich najwięcej przywykłych do jej rozlewu. Do dnia zatem dwa kompletne bataliony każdy po tysiąc ludzi, a to dla łatwiejszego rachowania tysięcy pałek, wystąpiło za miasto Omsk do egzekucyi wyroku. Jeden z tych batalionów powinien mordować tych, co na siedm tysięcy pałek byli skazani, a drugi tych, co na mniejszą ich liczbę byli osądzeni. Oba bataliony wyrównawszy się, wyciągnawszy się we dwa szeroko rozwarte szeregi, stały w pewnej od siebie odległości; kat Gałafiejew miał baczne oko na wszystko, a stał przy batalionie o siedmiu tysiącach kijów, prawdziwie wierny zastępca Mikołaja. Podług ustaw i zwyczajów rosyjskich, żołnierze puszczający, jak się pospolicie mówi, przez różgi, powinni stać w wolno ściśniętych szeregach, bijąc niedaleko odrywać łokieć od boku i niewysuwając naprzód nóg z szeregu, trzymać je w postawie żołnierza pod bronią; pręty zaś ich powinny być takiej tylko grubo-

ści, aby ich trzy mogło wejść do lufy od karabina. Tu było wszystko inaczej i na opak, Gałafiejew kazał żołnierzom wziąć odstęp na długość ręki, bijąc, kazał wyciągać ramiona na całą ich długość i występować jedną nogą naprzód z szeregu, dla tém sposobniejszego zadania razu z całej mocy, pręty zaś były to po prostu kije, z których jeden tylko mógł się zmieścić w lufie od karabina. Wyprowadzono nieszczęśliwych więźniów z ich więzień i przyprowadziwszy na miejsce kary, przeczytano im wyrok; niebędę zatrzymywał czytelnika uwagi nad batalionem mającym karać większą liczbę, lecz na mniejszą chłostę wskazanych ofiar, męczenników. Zatrzymam się tylko nad batalionem mającym zamordować Sierocińskiego i jego pięciu towarzyszy. Zaczęła się tedy krwawa egzekucya, podwójna, i jęki do nieopisania dziko mordowanych. Którego z nich naprzód puszczone przez kije i bito tego już nie pamiętam, wiem, że bito każdego z kolei, a Sierocińskiego, jako naczelnika spisku, a następnie jako najwinniejszego, zostawiono na sam koniec, aby serce jego przesycić boleścią, zgrozą i trwogą, widokiem mąk i cierpień jego spółtowarzyszy i tych, jakie jego samego czekały. Bito, mordowano każdego podług litery dekretu, to jest bez litości. Żaden z nich, oprócz Szokalskiego, za którym się wstawił doktor batalionowy i którego z tego powodu nie tak mocno katowano, siedmiu tysięcy kijów niewychodził, niewytrzymał, padł w śnieg krwią oblany i skonał albo pod razami na miejscu, albo wkrótce potem. Ksiądz przeor Sierociński patrząc na ten skon i męki swych spółtowarzyszy, gotował się w duchu, jakby w ogródcu, do straszego przejścia, do okropnej męczeńskiej śmierci. Przyszła nakoniec kolej i na niego, gdy mu podług zwyczaju obnażono plecy, a to było w marcu i w Syberyi, i przykrępowano ręce do karabina, jak to jest także we zwyczaju w podobnych razach, za który dwaj żołnierze prowadzą mordowanego między szeregami dla zachowania jednostajności kroku; gdy mówię obna-

zono i przywiązano księdza Sierocińskiego do karabina, bagnetem w piersi. Doktor batalionowy przybliżył się do niego dla pokrzepienia go wzmacniającymi kroplami, gdyż, jak mówiłem, będąc delikatnej organizacyi, po trzechletniem więzieniu zupełnie z sił opadł i był więcej podobny do bladego widziadła, do cienia człowieka, niż do samego człowieka; lecz hart duszy, nieugięta wola i duma godna i szlachetna, zostały te same; na podane więc sobie przez doktora krople, odwróciwszy głowę odpowiedział: pijcie krew moję, krew naszą, ja waszych kropeł pić niepotrzebuję, niechcę. A gdy dano rozkaz do męczeńskiego marszu, pobożny kapłan, prawy, nieodrodny od swoich prawowiernych przodków, Polak, Sierociński zaczął na głos mówić psalm pokuty: „*Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam tuam* itd., to jest: Zlituj się nademną Boże, według wielkiego miłosierdzia twego itd. Gałafiejew krzyknął z całą wściekłością, jakby go zły duch opętał, raz, drugi i trzeci, silniej bić, silniej, silniej (pokrepsze nakazywał, pokrepsze, pokrepsze) to też tak go silnie mordowali, że zaledwie przeszedłszy raz jeden tylko między szeregami w drugi koniec batalionu, to jest po tysiącu kijach, padł w śnieg cały krwią zlany, omdlały i prawie bez przytomności; chciano go postawić na nogi, ale się na nich utrzymać nie mógł. Na pogotowiu były już sanie z przyrządzonem rusztowaniem: postawiono Sierocińskiego na kolanach na tém rusztowaniu, ręce mu w tył zagięto i związane, nachylono nieco głowy i karku i w takiej postawie tak go przytwierdzono, tak przykrępowano, iżby się nie mógł ani naprzód ani w tył pochylić, ani podnieść, tak uwiązanego na saniach zaczęto między szeregami wozić, a Gałafiejew ciągle krzyczał, mocniej i mocniej. Z początku wożenia Sierociński wydawał jeszcze jęki boleści, które coraz wolniej i słabnąc w końcu zupełnie ucichły. Sierociński jeszcze oddychał do czterech tysięcy kijów i Bogu ducha oddał, resztę razów to jest trzy tysiące kijów wyliczono już na

jego trupie, a raczej na nagim szkielecie. Tak zaś nie-
 litościwie wszystkich, a szczególnie Sierocińskiego bito,
 że podług wyrażenia naocznych świadków tak Polaków jak
 i Moskali z którymi sam o tém rozmawiałem, że ciało
 stłuczone, posiekane na zrazy lgnęło do kijów i precz od-
 latywało; nagie tylko kości się bielily, które prawie prze-
 trącano, a wnętrzości było widać. Na tak srogie, na-
 wet w samej Rosyi niepraktykowane dotąd morderstwa,
 wszyscy się oburzali. Nie tylko Polacy, ale sami Ros-
 syanie, którzy jako żołnierze musieli bić tych nieszcze-
 śliwych, a z którymi sam mówiłem, umyślnie dla dowie-
 dzenia się o istotnej prawdzie, zaręczali mi najsumienniej,
 iż nigdy nikogo niewidzieli tak srogo, okrutnie i dziko za-
 mordowanego, jak tych Polaków zamordowano, a cała
 zachodnia Syberya mówi o tym wypadku, jako o nad-
 zwyczajności, która w niej dotąd miejsca nie miała. Ci,
 którzy jeszcze w okropnych boleściach oddychali, i ci
 których na miejscu pomordowano, zaniesiono do szpitala
 i niebawem Polaków i jednego Rossyanina w jednym za-
 miastem pochowano grobie. Pozwolono było Polakom pro-
 szącym o to, wystawić na grobie swych pomordowanych
 spółbraci znanie zbawienia i do dziś dnia (w 1846 r.)
 wielki, czarny, drewniany krzyż, jako znak męczeństwa,
 sterczy wśród stepu, samotny i odosobniony, rozpinając
 swe ramiona nad mogiłą ofiar, jakby dla okazania nad
 niemi opieki, za to, że w imię krzyża, w imię sprawie-
 dliwości śmierć poniosły. Ksiądz Sierociński i jego spół-
 towarzysze pomarli śmiercią, jaką umierali tylko męczeń-
 nicy i święci. Taka śmierć, takie męczeństwo musi mieć
 swoich apostołów i wyznawców. Jeden tylko Szokalski,
 za którym mocno i szczerze wstał się doktor batalio-
 nowy, i który z tego powodu nie tak okrutnie był mor-
 dowany, po kilkomiesięcznej chorobie wyleczywszy się z ran
 zadanych, był wysłany podług dekretu na całe życie do
 robót ciężkich do nerczyńskich zakładów. Ale ból z przy-
 czyny egzekucyi tak osłabił jego władze umysłowe, że

dostał pewnego rodzaju melancholii, a raczej obłąkania,
 i wkrótce po swoim do Nerczyńska przybyciu, strzałem
 w głowę życie sobie odebrał.

Te morderstwa działy się za panowania Mikołaja,
 któremu dziś cała rządząca Europa, tak monarchija, jak
 i republika pochlebia, i którego wielbi łaskawość, łago-
 dność i mądrość rządów.

Z tych, którzy byli skazani na mniejszą karę, a któ-
 rych mordował drugi batalion, jedni byli odesłani do swo-
 ich batalionów, innych skazano na posilenie, a innych
 nakoniec w katorżu robotu na pewną liczbę lat lub na
 całe życie, stósownie do ich winy. Ale co spowodowało
 tych niegodnych imienia polskiego Polaków do zdradzenia
 tajemnicy? czy urojona nagroda, czy zysk podły, czy po-
 prostu niekczerałość duszy? Prawda, że im przyrzeczono
 dymissye i powrót do kraju, ale z tego przyrzeczenia za-
 den z nich nic niekorzystał: bo jednego utopiono jeszcze
 w Syberyi, drugiego zabito gdy wracał do Polski, a Knak
 czując zgryzotę sumienia i pogardę, jakaby był niechyb-
 nie okryty, niechciał wracać do Warszawy i dobrowolnie
 został w Syberyi w wojsku; zrobiono go praporszczykiem,
 chodzi jak cień potępieńca, wybladły i wyżółkły, z pię-
 tnem Kaina na czole. Polacy i Moskale nim pogardzają
 i od niego stronią. Taka nagroda zdrajcom. W czasie
 mojego pobytu w Syberyi podły Knak znajdował się
 w garnizonie w Omsku.

W tym samym roku, to jest w 1837, książę Gor-
 czakow zostawszy jenerał-gubernatorem zachodniej Sybe-
 ryi, przeniósł swą stolicę z Tobolska do Omska. Książę
 Gorchakow, jest to istotny Satropa azyatycki, hardy, du-
 mny, zarozumiały, ma być jednak sprawiedliwy, nie do
 tego z tém wszystkiém stopnia, aby gardził tłusto na-
 smarowanem łapowem i w swoim rodzaju jest dość do-
 wcipnym. Niejaki Nippa, będący na krótki czas przed
 mojem do Syberyi przybyciem sprawnikiem w Tarze, miał
 nieszczęście, które nie każdemu urzędnikowi, nawet ros-

syjskiemu mogło się zdarzyć, to jest: że ważny jakiś dokument w sprawie tajnej policyi, a jemu powierzony, gdzieś zaginął. Nieszczęśliwy Nippa tłumaczył się, że go myszy zjadły. Ztąd padło podejrzenie, że Nippa coś skrewił. Książę Gorczakow wezwał go do siebie dla tłumaczenia się z zatraconych dowodów. Nippa człowiek dobrze wychowany, gdy mu dano z kolei posłuchanie, zaczął mówić do księcia Gorczakowa po francuzku, ale książę Gorczakow ofuknąwszy się na niego, rzekł doń po rosyjsku: Ty pa ruski maszenniczył, pa ruski izjasniajś (tyś po rosyjsku szalbierzyl, po rosyjsku się tłumacz). Jednak mimo gniewu księcia Gorczakowa, Nippa po rosyjsku się tłumacząc, tak mu udowodnił i tak go przekonał, iż nareszcie uwierzył, że myszy dowody zjadły. Gdyby rosyjscy czynownicy wiedzieli o tym nowym kruczku, ileżby to dowodów myszy i szczury u nich dotąd pozjadały?

Zapomniałem w wyliczaniu nazwisk mi znanych w Syberyi Polaków dodać, że w tym samym czasie, kiedy Aleksander Bieliński, Gzowski, Więckowski, Karpiński i Gross prowadzeni byli do katorgi, przybyli do batalionów syberyjskich na prostych żołnierzy skazani: Wasiłowski do fortecy Troicka czy Pietropawłowska, tego dobrze już niepamiętam; Łaźniewski z Lubelskiego do Omska; Hirszfild podobno z Warszawy, do Siemipalatyńska. Później nieco, w tym samym 1845 roku, bo już pod zimę, prowadzono znowu trzech do katorgi ku Irkutskowi, wszyscy trzej z Lubelskiego; z nich zapamiętałem tylko nazwisko Gruszeckiego, którego brat już się znajdował od lat kilku w katordze; drugi blondyn ściągłej twarzy i rumiany, melancholicznego wejrzenia i przystojny młodzieniec, poeta; trzeci miał nazwisko włoskie i niebardzo od swoich spółkolegów lubiony. W zakładzie, gdzie byłem, był także skazany do robót ciężkich na całe życie, Kulessza ze smoleńskiej gubernii.

ROZDZIAŁ XXV.

Zamiary i przygotowania do ucieczki, przeszkody. Ucieczka z Syberyi przez Tiumień, Irbit, Werchoturje, góry Uralskie do Solikamska (tobolska i permska gubernije), przygody tej podróży. Opis tego kraju i gór Uralskich.

Wiedeń (Austria) 23 sierpnia 1849 roku.

Dałem już poznać, jak przepędziłem zimę z r. 1844 na 1845. Z nadeszłą wiosną a raczej latem, żywiej i gwałtowniej obudziło się we mnie uczucie mych cierpień i żądza wolności. Odbywałem powinność na mnie włożoną jak zawsze, aż do ustania gorzelni w miesiącu maju. Inni katorżni podzieleni na partye, wysłani zostali w lasy dla rąbania i przygotowania drewna do gorzelni, później przeznaczeni zostali do koszenia siana, dla skarbowych koni użytych przy gorzelni, a najwięcej dla koni czynowników. Wszyscy zaś biórowi i ja z nimi zajmowaliśmy się uporządkowaniem rachunków i rejestrów z calorozowego przychodu i rozchodu wódki. Miałem jednak dość wolnego czasu do myślenia o czem inném, niż o mojem zatrudnieniu. Z nadejściem zimy i rozpoczęciem gorzelni, znowu wiadome już zacząłem pełnić obowiązki. Jedną razą przy końcu 1845 roku dzierżawca Aleksiejew lubiący ze mną rozmawiać, przybył do naszego bióra już późno

wieczorem; a ponieważ był wesołego naturalnie humoru, a nieumiejąc dowcipnie żartować, zaczął mnie szykanować Polską i Polakami, między innemi rzekł do mnie: Nieprawda żebyś chciał wrócić do Polski? Ta chęć zdaje się jest wrodzona każdemu człowiekowi, który kocha swoje ojczyznę a którego z niej przemocą wyrwano. Wszak twoja ojczyzna jest teraz Rosssya i Syberya? Nie, moją ojczyzną była, jest i będzie Polska. To ty sądzisz, że Polska kiedykolwiek jeszcze powstanie, będzie niezawisłą od Rosssyi i ty w nią będziesz? Dla czegożbyś nie miał tego przekonania, że Polska może być jeszcze tak wielką jak była niegdyś i że ja jeszcze w nią być mogę? Cha, cha, cha, cha i jeszcze się łudzisz tą nadzieją! nie, już ci Polski twojej nieodładać, tu zginiesz. Dla czegożbyś miał nigdy już Polski nieogładać? los jest zmienny, a Bóg sprawiedliwy. Nie, nic z tego niebędzie, Polacy nieumieją robić rewolucyi, porwą się nagle jak szaleni, a wkrótce tracą odwagę i ducha; gdzie im przeciw Rosssyi walczyć? Teraz na Polsce choć wyśpij się. Te ostatnie wyrazy: choć wyśpij się na Polsce, mieszczące w sobie pogardę i urągowisko, tknęły mnie do żywego; zapomniawszy tedy o położeniu, w którym się znajdowałem, odpowiedziałem z przekąsem: My Polacy, jest temu więcej jak lat dwieście, wyspaliśmy się do syta i wygodnie na Rosssyi, na samą Moskwie, czemużby się my nie mieli jeszcze raz na nią wyspać? Ta moja odpowiedź tknęła Moskala, zczerveniał się po uszy, lecz gniew obróciwszy w żart, rzekł do mnie: Jak widzę, jesteś bardzo zuchwały — i znowu mnie zaczął szykanować. Zniecierpliwiony i rozdrażniony zacząłem mówić z uniesieniem i na serio. Aleksiejew patrząc na mnie z uwagą, rzekł pół żartem, a pół na serio: Patrzaj, patrzaj, któżby go znając mógł mniemać, że ma jeszcze w sobie tyle życia, ognia i zapалу? zdawało się, że lada dzień umrze, tak zawsze jest smutny, blade i wyschły, a oto oczy mu się świecą jak błyskawice, z którychby piorun mógł wypaść; wierzę teraz Polakowi. Da-

libóg (Jéjbohu) niechciałbym się z nim sam na sam gdzie spotkać. Postrzegłem, że zbłądziłem unosząc się, bo przez to mógłbym na się pilniejszą władzy zwrócić uwagę, więc w ciągu pogadanki starałem się Aleksiejewa wyprowadzić z mniemania, jakieby o mnie mógł powziąć, zmusiwszy mnie niejako do odkrycia się przed nim, kim byłem w istocie.

Neograniczałem się tedy na spełnieniu obowiązków przemocą na mnie włożonych; tajemnie zatem i bez ściągania na siebie nie tylko władz, ale czyjejkolwiek uwagi, robiłem przygotowania do wykonania mego zamiaru, powziętego jeszcze w Kijowie zaraz po przeczytaniu mnie wyroku. Po wysłuchaniu tego wyroku przestałem od razu się golić dla zapuszczenia brody tak poważnej i poważnej między rosyjskiem pospółstwem i jego duchowieństwem. W zakładzie smotrytel i urzędnicy czynili mi uwagę, dla czego się niegolę i zapuszczam brodę? odpowiedziałem im na to: że chyba wtedy się ogolę, gdy będę wolnym. To chyba przez całe swe życie golić się niebędziesz, mówili do mnie śmiejąc się z mej nadziei; śmiałem się i ja z nich w duchu, ale nic nie mówił. Choć miałem odzienie dobre i porządne, zacząłem z czasem, z wolna i stopniowo, jakby dla zastósowania się całkowicie do mojego położenia, do którego udawałem pozornie, że przywykam, ubierać się po miejscowemu i więcej odpowiednio powołaniu katorżnego, słowem, używałem wszystkich sposobów dla przekonania wszystkich, że oprócz mojego położenia, którego polepszenia oczekiwałem tylko od łaski Mikołaja, o niczem w świecie więcej nie myślałem, przytém ciągle smutek i słabość zdrowia wszystkich przekonywały, że może niezadługo i życie zakończy. Ale pod tén powierzchownóm zaniedbaniem siebie, pod tym smutkiem i słabością ukrywała się niezmiordowana troskliwość o siebie, życie i energija, które daj Boże, abym do ostatnich chwil mojego istnienia zachował. Lecz czemuż najgorętszym, najwznioślejszym moim

życzyniom i zamiarom okoliczności i osoby stawały na przeszkodzie? Rzuciłem myślą i duszą po Syberyi, zrachowałem zasoby, siły i nieszczęścia. Chcieć tylko, a wszystkie zapory prysłyby przed stałą i niezachwianą wolą tylu tysięcy nieszczęśliwych. Ale nieszczęście wielkie i długie cierpienia to mają w sobie, że upodlając człowieka, czynią go niezdolnym do żadnych wielkich przedsięwzięć. Woli wlec życie nieszczęśliwe w smutku, pogardzie i poniżeniu, aniżeli je stracić poświęcając je dla odzyskania praw i swęj godności.

W katordze bynajmniej niebraknie ludzi zręcznych w rozmaitej professyi, takich na przykład: co umieją robić pieniądze srebrne i złote, banknoty itd., coż dopiero wyrzynać pieczęcie z rozmaitemi herbami i napisami i umiejących pisać pasporta. Za kilka a najwięcej kilkanaście rubli assygnacyjnych można było dostać sobie pasport, choć na niestęplowym papierze, nie na wielką odległość i na czas krótki. Zresztą, mając pieczęć, można samemu sobie podobny napisać pasport, choć nie drukowany (plakannyj). Rozumie się samo przez się, że ten przedmiot niemógł być dla mnie obojętnym i w rzeczy samej przyprowadziłem go do skutku. Ale największa trudność była w tém, którędy i dokąd uciekać? taka odległość na wszystkie strony, takie na okolo pustynie, bagna i lasy, takie niebezpieczeństwo, tak wielka władz czujność i tak szybki na wszystkie strony i we wszystkich kierunkach pocztowy pościg za politycznym zbiegiem, przestępcą, iż prawie niepodobna o tém nawet myśleć. Dodajmy do tego, iż sami Syberyjczycy i Tatarowie, mimo chleb i sól, które zostawiają za oknem dla uciekających, mimo rzepę, którą zasiewają dla nich na polach naddrożnych, czynią niekiedy na uciekających zasadzki i ich strzelają, usprawiedliwiając ten czyn barbarzyński sławném u Syberyjczyków przysłowiem: lepiej zastrzelić warnaka (katorżnego), aniżeli wiewiórkę; bo z wiewiórki jedna tylko skóra, a z warnaka trzy; to jest: zwierzechnie

odzienie, koszula i skóra powlekająca ciało. Gdyby jeszcze było kilku towarzyszy tej niebezpiecznej podróży, gdyby przynajmniej było dwóch razem, byłoby różniej, weselej i śmielej, ale rzuciwszy okiem i myślą na okolo siebie i nieznacznie zbadawszy ducha nieszczęśliwych, przekonałem się najoczywiście, że na nikogo liczyć niemogłem, a przykład wiadomy dobrze wszystkim politycznym wygnańcom, katorżnym i posielencom, dany na pułkowniku Piotrze Wysockim, Sierocińskim i jego towarzyszach w Omsku, odejmował każdemu z nich nawet chęć myślenia o ucieczce, coż dopiero mówić o wznioślejszych i śmielszych zamiarach? zostawiony tedy byłem sam sobie, swojemu przemysłowi i opiece Boga.

Cokolwiek jednak bądź, postawiony na rozstajnych drogach dwóch moich zamiarów równie śmiałych i niebezpiecznych, jednym z najpierwszych moich obowiązków było obeznac się z Syberyą, z duchem jej mieszkańców różnorodnych, różnoplemiennych i różnego stanu; jak równie z położeniem jej geograficzném i komunikacyami. Do tego potrzebowałem oprócz wiadomości nabytych na miejscu, karty Syberyi jak można najdokładniejszej. Po długich usilowaniach i pod rozmaitemi pozorami, dostałem tej karty Syberyi, tyle pożądanęj a najdokładniejszej jak dotąd istniała. Pożyczono mi ją. Miała najmniej wzdłuż i w szerz dwa i pół łokcia, czyli pięć stóp. Dostawszy ją, nie wpatrywałem się, ale przyklejałem się do niej całe godziny, tak dla obeznania się z Syberyą, jak z drogami i komunikacyami z nią wiodącemi, na przypadek gdyby wznioślejszy pomysł się nieudał. Ale wszędzie naokoło przedstawiały się przeszkody prawie nie do pokonania, jak przestrzeń i odległość do niezmiernienia.

Pięć dróg, a raczej pięć kierunków mi się przedstawiało do odwrotu z Syberyi, ale równie niepewnych, równie niebezpiecznych. Pierwsza droga: udać się na wschód w głąb Syberyi okolo Irkulska, Nerczyńska ku Ochotsku; tam zaś wsiadłszy na jakikolwiek statek, gdyby to było

podobna, zawinąć do brzegów zachodnich Ameryki; do Kalifornii na przykład, ztamtąd do Stanów Zjednoczonych a z nich do Europy, do Francyi. Druga droga: udać się wprost na południe przez stepy Kirgizów do Bucharyi, ztamtąd przez Persyą i Kabuł do posiadłości angielskich w Indyach wschodnich; albo z Bucharyi przez Persyą i Turcyą: w obu razach ztamtąd do Europy, do Francyi. Trzecia, prowadząca na południo-zachód, to jest: dostawszy się do gór Uralskich, wziąć się na lewo, dojść do źródeł rzeki Jaika dziś nazwanej Uralem i popłynąć nią aż do morza Kaspijskiego; ztąd dostać się do Czerkiesów i albo zostać u nich, albo podług okoliczności przez Persyą i Turcyą dostać się do Europy, do Francyi. Czwarta droga: dopadłszy gór Uralskich i przeszedłszy je, wziąć się nieco na lewo, a stanawszy na wysokości miasta Ufy w orenburskiej gubernii dopłynąć do Wołgi, rzeką w nią wpadającą, później Wołgą dopłynąć aż do kanału łączącego ją z Donem, i Donem dopłynąwszy przez Nowy Czerkask do Taganrogu, tam albo wsiść na jaki okręt i morzem Czarnem dostać się do Europy, do Francyi; albo gdyby to się nieudalo, z Taganrogu przez ziemię kozaków dońskich, guberniją ekaterynosławską, cherzońską, Bessarabiją, Multany i Wołoszę dostać się do Turcyi, a ztamtąd do Francyi. Piąta nakoniec droga wprost na zachód, to jest: dopadłszy gór Uralskich na wysokości Tobolska i wzięwszy się w prawo na północ rzekami Peczorą i Wyczegdą dopłynąć do Dżwiny, a tą ostatnią do Archangielska, tam wsiadłszy na jaki okręt europejski, dopłynąć do Szwecyi lub Anglii, a ztamtąd do Francyi. W tych trzech ostatnich razach powinienem być z zakładu, gdzie byłem, podpłynąć na łódce rzeką Irtyszem aż pod Tobolsk (800 werst czyli 114 mil polskich), a ztamtąd dostawszy się do gór Uralskich, obrać kierunek najdogodniejszy stosownie do okoliczności, bo wszystkiego przewidzieć niepodobna. Najdłuższą z obranych dróg była pierwsza, najkrótszą zaś ostatnia. Z karty

zatem ponotowałem sobie znaczniejsze punkta na tych drogach będące, aby podług nich się było można kierować. Właściwie zaś najprostszą drogą była ta, która prowadziła środkiem Rossyi przez Moskwę: ale ponieważ była najniebezpieczniejszą dla uciekającego, z przyczyny straż na niej porozstawianych i czujności władz, dla tego ją opuściłem. Wszystkie jednak z dróg przezemnie obranych, tyle przedstawiały trudności, iż kiedyś się nad niemi zastanowił, niewidziałem prawie podobieństwa ich pokonania: a w końcu przewidywałem tylko moją zgubę, śmierć w pustydiach, lub okropniejsze nad samą śmierć, gdybym był schwytany, katusze moskiewskie.

Śród tego wahania się i udręczeń moralnych różnego rodzaju, trudnych do opisania, nadeszła wiosna, a z nią i nadzieja urzeczywistnienia mych zamiarów. Widok przyrody tchnącej życiem i rozkoszą, budzi zwykle w sercu człowieka gorące, nienasycone pragnienia szczęścia, wszystkie uczucia żywiej i gwałtowniej w nim działają, a wyobrażenie z upodobaniem przypominając błogie choć zbyt krótkie przeszłości chwile, tworzy obrazy uroczyste spełnionych w przyszłości nadziei, tak, że ze wstrętem i oburzeniem, a nawet z przestraczem jakby ku nicestwu spogląda na to wszystko, co nam stanowi nieprzełamaną tamę w ziszczeniu naszych pragnień i nadziei. A niewola i stan, w którym się znajdowałem, odmówiły mi szczęścia, a raczej mi je odjęły na całe moje życie, zabraniały mi nawet, że tak powiem, myśleć o niém. Zresztą cóż myśleć, co samo uczucie bez istoty? Łatwo więc sobie wyobrazić usposobienie mojego ducha: życie mi się stało najnieznośniejszym ciężarem, którego bym się chciał pozbyć, lecz nie bez zemsty nad tymi, co mnie i tylu innych tak srogo udurczyli. Stałem się więc milczącym, więc ponurym, dzikim i odludnym: a najokropniejsze uczucia miały mą duszą: krew, mord i pożoga były najulubieńszym przedmiotem mych myśli, jak jednem uczuciem mojego serca. Najboleśniej uczułem, że do niewoli niezrodzon, że nie

naprawdę był Polakiem, że nie darmo oddychałem wolnym powietrzem lubej Ukrainy, gdzie „Kozak z rodu niezna Pana, bo wychowany na stepach, jak ptak jest wolny.” Położyłem więc na szalę rozważa i uczucia, moje niewolę dożgonną i rychlejszą śmierć lub wolność, i nie dłużej się wahałem w wyborze: obrałem ostatnie. Czemuż niebyłem zrozumiany? dla czego moje uczucie, moje najmocniejsze postanowienie, nigdzie nie znajdowało echa? a zatem, ponieważ, gdybym w ucieczce był schwytany, sroga mnie czekała męczarnia, dla ochronienia się od niej, uzbroiłem się zawczasu wielkim składanym nożem, w rodzaju sztyletu zrobionym, a którym ciągle nosił z sobą, naprzód dla zadania razu, ktoby śmiał rękę na mnie położyć, a w ostatnim przypadku, dla utopienia go we własnym sercu, abym nieprzyczynił radości okrutnej pastwienia się nademną moim mordercom. Niech Bóg mi przebaczy to samobójcze postanowienie! W moich wieczorach i samotnych przechadzkach nad Irtyszem, oglądałem jego brzegi z prawdziwą przyjemnością, patrzałem z rozkoszą na jego bystre, balwaniące się nurty, które mnie lada dzień miały ponieść, aż pod Tobolsk. Luba rzeko! ty byłaś wówczas jedyną powiernicą moich cierpień i nadziei; tobie, jak najlepszemu, najzaufanyszemu przyjacielowi, powierzałem losy mojego serca, mojej duszy i moich nadziei!

Nareszcie przy końcu miesiąca czerwca 1845 roku: jednego wieczora po ukończeniu pracy, przygotowawszy pierwój zapas żywności potrzebny przynajmniej na czas jakiś i przebrawszy się w odzienie także oddawna przygotowane, ale od nikogo dotąd niewidziane, udałem się moim zwyczajem nad brzeg Irtyżu. Noc była piękna i księżyc przyświecał, co dla mnie było wielką niedogodnością, niezważając jednak na to, wyciągnąłem ukrytą nad brzegiem w zarośli łódkę, spuściłem na wodę, siadłem w nią, a westchnawszy gorąco do Boga, aby mi błogosławił, odbiłem ją od brzegu i puściłem się z biegiem

rzeki; oglądałem się na wszystkie strony, aby uniknąć warty, nad brzegiem Irtyżu będącej: gdy w tém nagle i niedaleko przed sobą usłyszałem głos smotrytela Aramilskiego, głośno śmiejącego się i rozmawiającego ze wszystkimi miejscowymi urzędnikami. Widać, że korzystając z pięknej nocy, chcieli użyć przyjemności przechadzki wieczornej i wyszli nad Irtyż. Niebyło zatem ani chwili do stracenia; zwróciłem tedy łódkę w bok nieznacznie i w cień wróciłem nazad, a wyciągnawszy łódkę na brzeg, zacząłem rozmyślać, co mam robić dalej? płynąć lub nie? i czy mnie kto niespostrzeże? Płynąć mi niewypadało: bo gdybym nawet niebył poznany, a dostrzeżono tylko łódkę płynącą mogliby łatwo po mojem zniknięciu z zakładu wpaść na trop i puścić się pocztą za mną w pogoń. Przesiedziawszy i przedumawszy czas jakiś, już brzask dnia nadchodzącego pokazywał się na wschodzie, bo o tej porze roku nocy w Syberyi są bardzo krótkie, ze spuszczoną głową, z sercem smutnem, powróciłem do domu: a zastanowiwszy nad nieudaniem się mojego zamiaru, wniósłem z tej przeszkody, że Bóg mnie przestrzegł o jego jeszcze niewczesności, odłożyłem więc na później wykonanie jego.

Wkrótce jakoś potem dowiedziałem się o księdzu Sciegennym i nowych ofiarach, jakie spiszek w Krakowskim przymnożył. W tymże samym prawie czasie, wpadło mi do rąk kilka razem numerów francuzkiego dziennika *Journal des Debats* i chociaż w nich były powycinane, powysmarowane i poczernione, całe kolumny, z nich się jednak dowiedziałem, że nasza światła i dobra Polka, autorka *Pamiętek po dobrej Matce* Pani Hoffman z Tańskich, zakończyła w Passy przy Paryżu doczesne, a narodowości polskiej i Emigracyi poświęcone życie: i że ksiądz Kajsiewicz miał nad jej grobem mowę. Z tychże dzienników także się dowiedziałem, że Mikołaj czynił przegląd wojska w Medyolanie i widział się w Rzymie z papieżem Grzegorzem XVI. O tych ostatnich wiadomościach, donosiły także dzienniki rossyjskie i Tygodnik Petersburski,

w Petersburgu po polsku redagowany. Nowi koledzy nie-szczęścia, o czém już mówiłem, powiększyli przez ten czas ludność syberyjską, a jam trwał ciągle w moim zamiarze: zginąć lub być wolnym.

Przy końcu lipca tegoż samego roku znowu siadłem do łodzi, ale już z innego miejsca, więcej dogodnego do spełnienia zamiaru ucieczki; było to także z wieczora. Tą razą miałem wypłynąć z jeziora łączącego się bardzo wąską cieśniną z Irtyszem. Całą noc, to jest przez parę godzin pływałem w koło po tém jeziorze, niemogąc zeń znaleźć wyjścia. Przyczyna tego była następująca: w Syberji z wody w czasie spokojnych i pogodnych nocy, lecz przy oziębioném powietrzu wychodzą gęste opary czyli mgły, ale tak gęste, że o parę kroków nic ujrzeć niepodobna. Te opary powstają w kształcie kolosalnych słupów, niewielkim ustępem od siebie oddalonych tak że wszystko przed tobą zasłonią. Nad samém dopiero świtanie odkryłem cieśninę, ale już było nie czas. Wróciłem więc znowu do domu, ale tą razą boleśnie zasmucony nieudaniem się zamiaru. Zdawało mi się, że zły geniusz mojego przeznaczenia stawiał mi te przeszkody, postanowiłem tedy idąc za jego natchnieniem, jego samego pokonać. Wówczas przyszła mi do głowy myśl choć nie nowa, ale która zaczęła nabierać w mojem przekonaniu więcej wagi i znaczenia, bo do rychlejszej śmierci lub osobistego prędszego zwolnienia łączyła się więcej pewność. Wijąc się tedy jak wąż gdy mu kto na głowę nastąpi, a niemając mocy wydostania się z pod przemocy, zapuszcza jeżeli może jad swój zabójczy w stopę go gniotącą, i sam ginąc śmierć zadaje; przedsięwziąłem jeżeli niebędę mógł się wydostać z niewoli, zemścić się najokropniej i samemu zginąć. Pomijając wznioślejsze pomysły, które niemogły w sercach wygnańców długiém i wielkiem nieszczęściem przygniecionych znaleźć odgłosu, i w których przekonaniu wszystko jest niepodobnem; pominawszy to wszystko, o czém mi niewolno mówić, za-

trzymałem się jedynie nad zamiarem zniewolenia sobie katorżnych tego zakładu, i sposobami mi wiadomymi, rozbroiwszy garnizon, wszystkie zakłady skarbowe jako to: gorzelnia, magazyny, składy itd., słowem cały zakład spalić, zniszczyć, krwią zalać, aby i śladu niebyło miejsca, gdzie despota wolnych ludzi traktuje jak najpodlejszych niewolników. I jak mi Bóg miły, byłbym to zrobił. Jeżeli zatem smotrytel i inni czynownicy zakładu z przyczyny mojej ucieczki mieli jakie nieprzyjemności; niechże się na to nieuskarżają i dziękują Bogu, że mi pozwolił uciec; mieliby bowiem później daleko więcej nieprzyjemności, któż wie, czy mógłbym, czym nawet byłby powinien oszczędzić ich życie. W takich zamiarach nie-może być półśrodków, a zatem niemoże być i przebaczenia.

Każde pocziwe i ludzkie serce, każda prawa i szlachetna dusza, wzdrygnąć się zapewno mimowolnie musi na podobnego rodzaju zbrodnicze zamiary, a czytający mnie, mogą mnie posądzić o dzikość charakteru, o okrucieństwo serca, o krwiożercze uczucia, słowem o wielką, nawet wrodzoną skłonność do zbrodni, do morderstwa. Mylą się jednak tak sądząc; te uczucia były we mnie wywołane pogwałceniem i podeptaniem w mej osobie, w osobach mych spółrodaków, w naszych uczuciach, w naszej duszy, wszystkich praw najświętszych stanowiących boskie pochodzenie człowieka. Przez porównanie mojego położenia z położeniem innych zrozumiałem i poczułem, co tyle tysięcy ludzi niewinnych i uczciwych a w podobnym mojemu znajdujących się stanie cierpieć muszą, przez najdzikszą niesprawiedliwość jakiej się nad nimi dopuszczano; zrozumiałem, dla czego każdy niewolnik uciśniony, jeśli ma uczucie godności, jeśli pojmuje swoje wzniosłe przeznaczenie człowieka, jest mściwym i okrutnym, a nawet podłym i nikiemnym, bo mu zabroniono być szlachetnym, wspaniałomyślnym, otwartym i szczerym; zrobiono z niego zwierzę i bydlę, do zwierzęcych

tedy i okrutnych udaje się, udawać się musi sposobów dla odzyskania praw sobie należnych jako człowiekowi, od tych dzikszych jeszcze zwierząt, ludzi, co mu te prawa wydarli; któż jest w istocie winniejszym? Czy ten który zabrania używania praw wrodzonych istocie rozumnej, czujnej i sięgającej swą duchowością podnóża tronu samego Stwórcy, i ci co podobnie barbarzyńskie urządzenia wspierają i wykonywają? Czy ten, któremu wszystkie jego prawa wrodzone będąc odjęte, wydarte, i który niemogąc ich odzyskać drogą prawdy i sprawiedliwości, ucieka się w ich uzyskaniu do praw i sposobów wrodzonych i nieubłaganych, jak sam fatalizm: to jest ząb za ząb, oko za oko, krew za krew.

Okropny a niecofiniony zamiar zemsty odłożony na później, ażbym się znalazł w konieczności jego wykonania, nieprzeszkadzał mi bynajmniej przemyśliwać nad środkami do wykonania dawniej powziętego zamiaru. W lecie 1845 roku miałem sposobność poznać podpółkownika Jakowlewa, który z Tobolska przyjechał do zakładu ekaterynieńskiego z kolei dla zlustrowania garnizonu. Był to ten sam Jakowlew, którego batalion w 1838 rozstrzelał w Witnie Szymona Konarskiego. Na początku zimy tegoż samego roku z polecenia generał-gubernatora księcia Górczakowa przyjechał dla zwiedzenia zakładu czynownik pan Podlewski, ten sam, który wybudował w Tobolsku statek parowy, a który mu się nie udało. W grudniu tegoż samego roku wyszły nowe rozporządzenia jeszcze bardziej ścieśniające położenie posieleńców i katorżnych, a które miały wyjść w wykonanie z początkiem maja 1846, a o czém już mówiłem. W tymże samym miesiącu i w tymże roku zjechał jakiś wysoki urzędnik z Tobolska dla zwiedzenia katorżnych, dla przekonania się, którzy są zdolni do pracy, a którzy nie i dla sprawdzenia czy w podaniach smotrytela o nich nie było stronności. Na początku stycznia 1846 roku zjechała komissya w celu sprawdzenia, czy wypuszczeni od lat

piętnastu i niżej na posielenie z katorgi, wybyli w niej przepisane lata, a to stosownie do nowych rozporządzeń miłościwego i łaskawego Mikołaja. Wszystkie te nowe rozporządzenia dodały mi jeszcze więcej, jeżeli podobno energii i determinacyi; bo więcej jeszcze mogły mnie uczynić nieszczęśliwym, nowe i trudniejsze co raz do pokonania stawiając mi przeszkody. Moje zachowanie się przez ten cały czas było tak spokojne i tak ciche, że najmniejszego podejrzenia wzbudzić niemogło w urzędnikach, nieli mnie za swojego nazawsze, ubierałem się jakem to już powiedział po syberyjsku, w kozuch i armiak a brodę miałem długą. Powierzchność tedy była należycie katorżną.

Nadszedł rok 1846 i jam się zdecydował użyć tej pory roku dla dopięcia zamiaru, którego niemogłem, po dwakroć usiłując, wykonać przeszłego lata. Bawiąc przez czas dość długi w Syberyi i oznajomiwszy się lepiej z językiem syberyjskim, zwyczajami i miejscowemi okolicznościami, dowiedziałem się, że każdego roku w miesiącu lutym, bywa ogromny jarmark w mieście Irbiti w permskiej gubernii (a o czém już mówiłem), że na ten jarmark cały miesiąc trwający, kupcy z całej Syberyi i z całej Rossyi się zjeżdżają, że jest wtenczas na gościncach z przyczyny wielkiej liczby i nagle przyjeżdżających powózek, a raczej sani wielkie zamieszanie, i o innych drobnostkach i szczegółach, o których miejscowy człowiek koniecznie wiedzieć powinien. Postanowiłem tedy pojechać na jarmark, a z pięciu dróg obrawszy najkrótszą, z jarmarku chciałem się udać do Archangielska, gdzie doczekawszy się wiosny wsieść na jaki statek kupiecki, ale nie rossyjski, i na nim odpłynąć do Anglii, lub przynajmniej do Szwecyi lub Norwegii a zamtąd do Francyi. Lecz muszę tu uczynić wzmiankę o tém, co mnie ostatecznie zagnęło udać się do Archangielska.

Od niejakiemu czasu zaszło w Petersburgu wychodzić pismo, a raczej dzieło poświęcone opisaniu szczegó-

łowemu każdej gubernii pod względem wiadomości geograficznej, statystycznej, archeologicznej itd., słowem żywa kopija *de la France pittoresque* i ten sam tytuł noszące. Trzecia czy druga z początku gubernia była archangielska, w jej opisie szczegółowem z kartą doń załączoną, wyszukiwałem środków dla mnie potrzebnych; z niego dowiedziałem się między innemi, że do Archangielska rok rocznie przybywa 400 do 500 okrętów kupieckich, z nielicznym bardzo wyjątkiem rossyjskich, wszystko cudzoziemskich, zagranicznych. To odkrycie było dla mnie nieocenionem, mniemałem, że najtrudniejsza było dostać się do Archangielska, do którego z miejsca gdzie się znajdował w zakładzie było tylko 3,200 werst czyli 457 mil polskich, a ztamtąd bardzo łatwo przy takiej liczbie okrętów dostać się na którykolwiek z nich. Nastąpił miesiąc luty, a wkrótce i zapusty dość w tym roku wczesne; kto mógł i chciał hulał, jadł i pił, jam niechulał ani pił, bo o czem innem myślałem. Wszystkie władze umysłu i serca skupiły się we mnie w jedno ognisko, w jedno uczucie, uczucie wolności, któremu nieodstępnie towarzyszyła przepaść śmierci, lub co gorsza rusztowanie katusz. Ale im bliższą była chwila wykonania zamiaru, tém głębszą pokryłem ją tajemnicą i przed najlepszymi znajomymi i przyjaciółmi najmniejszej nieokazywałem niechęci i nieukontentowania z mojego położenia, owszem zacząłem utrzymywać że się zaczynam do niego przyzwyczajać, i że mi już nie tak przykro było w Syberyi, jak się zdawało z początkiem do niej przybycia; od miesiąca przeszło wyniosłem się z domku Siesickiego pod rozmaitemi pozorami, aby na niego żadne niepadło podejrzenie z mojego zniknięcia, o którym zapewno ani się domyślał. Dla zmiany rysopisu, w którym wyraźnie powiedziano, że był łyśy, wystarałem się sobie zawczasu o perukę, ale prawdziwie syberyjską, to jest uszytą w kształcie zwykłej i jak można naśladowującej peruki, ze skóry koziej niegarbowanej, szerścią na zewnątrz, ta pe-

ruka nasadzona na głowę, źle się na nią trzymając i podsuwając się coraz w górę łatwo zdradzała oszukaństwo, ale długie jej włosy ciemno rudawe dobrze rozczesane, najdoskonalej naśladowały włosy ludzkie; w lecie niemożliwy mi służyć, na zimę najstósowniej się przydała.

Ach! kto nie był w podobnym mojemu ówczesnemu położeniu i kto się nieprzygotowywał do wykonania stale podobnego zamiaru, ten z trudnością pojmie uczucia jakie mną w tej chwili miotaly: było mi tęskno, smutno, okropnie, wesoło i lubo. Przygotowawszy tedy wszystko, co było potrzebnem i możliwem do podobnej podróży i w tej porze roku postanowiłem drugiego dnia zapust wieczorem opuścić zakład, a raczej z niego uciec. Drugiego zatem dnia zapust wieczorem dość późno przebrawszy się jak następuje: to jest wzięwszy na siebie trzy koszule syberyjskie, z których na wierzch kolorowa, kamizelkę sukienną błękitną z grubego sukna, dwoje gacek, spodnie szerokie sukienne z podobnego sukna co kamizelka, krótki kożuszek po kolana dobrze wyłożony, armiak, na wierzch kożuch długi, dwie pary pończoch wełnianych na nogi, obwinionych jeszcze sukiennymi szmatami, buty nowe przestronne z długimi marszczonemi cholewami dziegiem dobrze wysmarowanemi i trącącemi, pas wełniany długi w pręgi czarne, czerwone i białe, którym się mocno podpasalem, na głowę kozią perukę, którą podwizałem chustką przez uszy niby od zimna, w rzeczy zaś samej dla tego, aby ją lepiej zamaskować i aby się niesuwała po głowie; na perukę nałożyłem czapkę okrągłą, czerwoną z aksamitu z lampasem ciemnym ze skóry psa czy innego jakiegoś zwierza, słowem czapkę jakiej używają dobrze się mający chłopcy syberyjscy w dzień świąteczny, a nawet pisarze i dozorcy kabaków, lub przykazyki; podwinawszy kołnierz od kożucha zwierzęcego, podwizałem go chustką dla zasłonięcia twarzy od zimna i aby niebyć poznanym, tak powiadam przebrawszy się, włożyłem do worka prostego jedną parę butów nowych foremniejszych od tych; co miałem

na nogach, jedną koszulę, letnie błękitne ruskie spodnie, niebieską torbę, którą miał jeszcze z Francji, chleba i ryby dla posiłku na czas jakiś. Włożywszy spodnie w długie cholewy zwyczajem rossyjskim, zatknąłem za cholewę sztylet, aby był zawsze na pogotowiu; w zanadrze włożyłem sto dziewięćdziesiąt rubli assygnacyjnych w banknotach 5 i 10 rublowych; ręce zaopatrzyłem w długie skorzane rękawice szerszą na zewnątrz, opatrzone ciepłą podszewką, a dla dokompletowania ubioru wziąłem potężną laskę. Kiedy już tak byłem przybrany do niedopoznania, bo nigdy mnie w podobnym ubiorze niewidziano, i poleciwszy los mój opatrności gorącemi modły i aby mi dodał siły i wytrwałości w niebezpiecznym przedsięwzięciu, późno wieczorem około dziesiątej, ubocznymi a wiadomymi mi drożynami wyszedłem piechotą z zakładu na początku, bo 6 czy 8 lutego 1846 r. po siedemnasto miesięcznym pobycie w Syberyi, do której, jak wiadomo, przybyłem w miesiącu sierpniu 1844 roku.

Serce mi drżało z trwogi i nadziei: nie szło mi o życie, szło mi o mój zamiar, o moje uczucia. O tej porze roku mrozy w Syberyi są mocne. Mróz tego wieczora, a raczej tej nocy był nadzwyczaj silny, a śniegi tej zimy niezwykle głębokie, księżyc jaskrawo świecił i srebrzył się o latające w powietrzu kryształy śnieżnych cząstek. Przeszedłem po lodzie Irtysz, moj Rubikon. I spiesznym krokiem choć w ciężkiem ubraniu puściłem się drogą ku Tarze. Nocy w Syberyi zimową porą są bardzo długie: gdzież za noc zejść mogę? a co potem robić? bo pogoń za mną niechybna. Bóg opatrny, pomyślałem sobie, a dzięki jemu, dał mi nie zajęcze serce, jakoś to będzie i szedłem dalej — chcąc jak najspieszniej dostać się do Tary o 12 wiorst od zakładu odległej. Nie wielki uszedłszy kawał od zakładu, usłyszałem za sobą kogoś pędzącego saniami: jadący niemi ledwie mnie minął, stanął. — Dokąd idziesz, zapytał mnie chłop sam jeden siedzący w saniach? — Do Tary odpowiedziałem. — A zkąd je-

steś? — Z zaimki (to jest z folwarku, z futoru), z pod Zaliwinaj. — Zaliwina była wioska od zakładu nie bardzo daleko odległa. — Daj 60 kopiejek (złoty polski) to cię zawiozę do Tary, bo tamtędy nie droga do domu. — Nie, to drogo; kiedy chcesz to dam ci 50 kopiejek. — No, dobrze, siadaj. — Siadłem i pojechałem. Para koni była dzielnych, droga sanna przewyborna, chłop spieszył do swego domu na ostatki, a konie przy mrozie same lecieć chciały, lecieliśmy ptakiem, w pół godziny najwięcej byłem w Tarze. Do zakładu gdzie byłem, mnóstwo przyjeżdżało wieśniaków z mąką, po wódkę i dla innych potrzeb. Ten chłop był jednym z podobnych, a był gdzieś tam z za Tary o mil kilka. Zsiadłem w Tarze w pierwszej lepszej ulicy: chłop pojechał w swą stronę, ja poszedłem w drugą. Dzięki Bogu za pomoc. Zwyczajem miejscowym pośzedłszy pod okno pierwszego lepszego domu, głosem donośnym i po rossyjsku zawołałem: czy nie ma koni? — A dokąd? — Na jarmark do Irbiti. — Są — A ile? — Dwa. — Co chcesz za werstę? — Ośm kopiejek (cztery grosze polskie). — Nie dam tyle, weź sześć. — No, cóż robić, dobrze. — W parę minut konie były gotowe i zaprężone do sanek. — A zkąd wy? — Z Tomska, przykaszczyk takiego to kupca (pierwszego lepszego rozumie się) mój kupiec pojechał już przede mną do Irbiti, jam się musiał zostać za interessami i dłużej musiałem zabawić niż się zdawało, a teraz spieszę, aby się kupiec niegniewał za spóźnienie się, poganij spiesznie i prędko, dam ci jeszcze na wódkę. Świsnął chłop, a konie kopnęły z kopyta. Wtém zaczęło się chmurzyć, gęsty śnieg zaczął padać; myśmy lecieli, konie już się pomęczyły, a jeszcześmy niedojechali do nowej stacyi. Chłop zbłądził z drogi, ani mógł się zorientować. Błądząc czas długi niebyło inną rady, jak śród lasu noc przepędzić. Jam udawał, że mi się gniewał na chłopca za to, że mi czas zmitrężył, chłop zaś wymawiał się, uniewinniał. W rzeczy zaś samęj szło mi o to

jedynie: abym przez tę noc mógł jak najdalej oddalić się od zakładu, z kądem pogon mogła wyjść za mną. Noc tę więc, leżąc na saniach, w konwulsyjnych przepędziłem drganiach, w stanie duszy trudnym do opisania, bo dopiero najwięcej o cztery mile byłem od zakładu oddalony, łatwo tedy mogłem być dościgniony, a wówczas pozostawało mi tylko, nóż we własnem utopić sercu. Nareszcie zaczęło świtać. Jedź do Tary nazad, rzekłem do chłopca, innego najem, gdyś taki dureń (durak) nie ci niezapłacę, i jeszcze cię do policyi oddam, żeś mi tyle czasu napróżno zmitrzął. Byłem zdecydowany wrócić do Tary i innego chłopca nająć. Ujechawszy z werstę drogi chłop mój się zatrzymał, obejrzał na wszystkie strony; oto jest droga (a raczej ślad nieznaczny) którąśmy powinni byli jechać. Czy jesteś pewny, że to ta droga? A teraz jestem pewny. Ale ja, przyznam się, zacząłem chłopu niedowierzając i przypominałem sobie zdradę, jakiej uległ nieszczęśliwy pułkownik Piotr Wysocki. Na zapewnienie chłopca chwilę się zastanowiłem, pomyślałem i rzekłem, jakby głosem fatalizmu: jedź kiedy jesteś pewnym, tylko pospieszaj. Jechaliśmy prawdziwie po kuryjersku, a ja się oglądałem, czy kto za mną niepędzi, i przysłuchiwałem, czy nieusłyszę za sobą dzwonka. Zawiózł mnie na stacyą do swego znajomego, u którego napiwszy się herbaty i zgodziwszy się po sześć kopijek na werstę ruszyłem dalej, ale prawdziwie po syberyjsku; siedmdziesiąt werst czyli dziesięć mil polskich tą pocztą bez odpoczynku ujechałem; i tak następnie od stacyi do stacyi zmieniając konie spieszyłem wraz z drugimi na jarmark do Irbiti. Tego samego dnia późno w nocy przybyłem do wsi nazwanej Sołdatskaja; nie miałem drobnych dla zapłacenia woźnicy. Zeszliśmy do karczmy napelnionej ludem, mnóstwo było pijanych, bo to ostatni dzień zapust, dobyłem z zanadrza pięćdziesiąt rubli assyg. dla zmiany, dziesięć dałem karczmarzowi do zmiany, 40 było pod moją ręką. Wtém nawał ludu czy przypadkowy czy umyślny, ale nagły

i gwałtowny odtrącił mnie od stołu, i w moich oczach jakaś ręka sięgnęła po moje 40 rubli i znikła w tłumie. Szukałem i groziłem policyą, ale wszystkie poszukiwania i groźby były próżno, z resztą nie miałem ani czasu ani chęci długo na miejscu pozostać. W Syberyi mnóstwo jest łotrów różnego rodzaju, jak łatwo można wnosić: ze zbiegowiska różnego rodzaju przestępców z Rossyi do niej corocznie wysłanych. Przy szczupłych pieniężnych zasobach, z którymi potrzeba mi było dostać się do Francyi, strata czterdziestu rubli była dla mnie nieodżałowaną i niezem niewynagrodzoną. Ale mniejsza o czterdzieści rubli, wraz z niemi zabrano mi najlepszy mój, choć podrobiony paszport (miałem ich dwa) i kartkę będącą z pieniędzmi, a na której z mapy wynotowałem drobnym charakterem drogę, którą iść miałem, to jest miasta i miasteczka, jako ważniejsze punkta, podług których miałem się kierować. Takem się zasmucił tą stratą, tym nieprzewidzianym wypadkiem, że przesiadłszy na nową furmankę pocztową, położyłem się w saniach dla wytchnienia z kłopotu i ze złej doli: co jest, jak wiadomo, u mnie nałogiem.

Nazajutrz wyjechałem na koniec na wielki szlak, czyli gościniec pokryty furmankami i spieszącymi się na jarmark. Tu już byłem bezpieczniejszy: bo gdyby nawet pogon i przybyła do tego szlaku, trudno, niepodobna nawet zatrzymywać tysiące podróżujących i sprawdzać ich paszporta i rysopisy; niedowierzając jednak, spieszyłem jak mogłem, dając na wódkę jamszczykom; tym sposobem przejechałem Iszym, nadedniem dnia trzeciego przejechałem Tiument, a późno wieczorem tego samego dnia przybyłem do miasta Irbitki na jarmark. We trzy więc doby, czyli w 72 godzinach, ujechałem 1000 werst czyli 143 mil polskich: co wynosi na godzinę 13 $\frac{2}{3}$ wersty, czyli 2 mile polskie bez mała. Łatwo więc sobie wyobrazić szybkość, z jaką spieszyłem.

Na wielkim trakcie w czasie tak licznego podróży-

jących przejazdu, nikt i nigdzie o pasport mnie się niepytał, a chłopci uganiają się na wyścigi o najecie się: bo to jest żniwo ich zarobkowania, konie syberyjskie choć niewielkie, ale szybkie do biegu i wytrzymałe, tak, że sam niemi jechałem po 50 lub 70 werst bez popasu i wytchnienia i to bardzo prędko. Syberyjczycy i w ogóle Moskale, bardzo zręcznie i śmiało jeżdżą saniami, które tak są zrobione, że się wywrócić niemożę: bo od przodu idąc ku tyłowi sanie się coraz rozszerzają, rozdają i zniżają tak, że wierzchnie podłużniki u tyłu, najwięcej o stopę są wyższe od płozów. Prawda, że siedzenie jest bardzo niewygodne w tych saniach, i musisz się dobrze trzymać, aby z nich niewylecieć: ale wywrócić się nimi, żadnym sposobem niepodobna. Już zaraz za Tiumenią, kraj staje się nadzwyczaj górzysty, obszerni poprzecinany płaszczynami, a zbliżając się coraz ku Irbiti, kraj staje się nadzwyczaj górzystym, a następnie wyboje na gościńcu w głębokim śniegu, tak są głębokie, długie i szerokie, że koń z saniami się w nich ukrywa. Nieprzywykłem trudno przejść piechotą tam, gdzie Syberyjczycy jeżdżą saniami. Niektóre miejsca na gościńcu, przez które przejeżdżać musieliśmy koniecznie, były tak przepaściste, że kiedyś spojrział w nie nadół, zdawało mi się, że ja, woźnica i konie karki połamiemy: gdzieś tam: zwinne konie z dziwną zręcznością umieją sobie poradzić, a lekkie sanie chyląc się tylko na jedną i na drugą stronę i przeważając się z tyłu na przód i z przodu na tył, jak fala niedoznają zawady. Muszę się jednak przyznać, że choć najmniejszego szwanku z tej jazdy niedoznałem, strachu jednak niemało się nabawiłem. Pod Irbitią już spotykałem wracających z jarmarku jamszczyków z ładownemi saniami; trzeba widzieć, z jakim niebezpieczeństwem, z jaką śmiałością, z jaką pracą i siłą wytężeniem ludzi a szczególnie koni, przebywają ci jamszczycy te górzyste i przepaściste przeprawy. Żal nieszczęśliwych bydła, których niemało w tych przeprawach ginie.

Wjeżdżając do rogatek miasta Irbiti późno wieczorem, żołnierz stojący na rogatkach zawołał: stój! pasport! a po cichu do mnie: dawaj dwadzieścia kopijek i jedź prędzej (dawaj dwadzet kopijek i pajeżdżaj skarieje), dałem mu dwadzieścia kopijek i pojechałem, bez pokazania pasportu, którego mówiąc nawiasem, po skradzeniu mi pierwszego lepszego, nigdzie w policji przedstawić niemożę, bez jawnego skompromitowania się. Woźnica zawiózł mnie do jakiegoś domu gościnnego, (a w czasie jarmarku, wszystkie domy Irbiti są oberzami) napelniony ciżbą ludzi prostego stanu, jako to: jamszczykami i chłopami. Gospodarz niechciał mnie przyjąć, wymawiając się wielkim zbyt natłokiem: ale ja mu powiedziałem, że tylko chcę przenocować, gdyż jutro pójdę do oberzy, gdzie mieszka mój kupiec, którego dla późniejszej pory niemożę odszukać, ja zaś wnet wyszedłszy, niby do policji dla zameldowania pasportu, wróciłem po chwili, mówiąc, że mój pasport zatrzymano w policji do jutra. Nastąpiła wieczera, ale prawdziwie syberyjska: barszcz z suszoną rybą, kasza z olejem i kapusta kwasna nie sieczona, ale w główkach na cztery części pokrajanych i surowa; jadł gdzie kto mógł: na stole, na ławie, na ziemi. Ja siadłem z kilku jamszczykami około stołu do wieczery: przed jedzeniem, zwyczajem rosyjskim przeżegnałem się trzy razy sposobem ruskim, jako prawowierny grecko-rosyjskiej religii wyznawca. Przy wieczery wszczęła się pogadanka o jarmarku i kto za czém przyjechał? Rozumie się, że przyjechał dla ważnych także interesów z moim kupcem. Kłamałem jak mogłem i dosyć mi to szło gładko. Jeżeli wieczera, do której wcale niemałem apetytu, i którą jadłem z przymusu i dla oka, niebyła wysmienitą, to zapach dziegciu i jamszczyków gęsto w izbie natłoczonych niemożę dodać apetytu. Rozebrałem się i ja, zrzuciłem oba kożuchy i armiak, zostałem tylko w koszuli, i w kolorowej po wieczchu dwóch drugich koszuli, na wierzch spodni wypu-



szczonęj, a podwiązanęj w pasie wązkim wełnianym paskiem, a raczej taśmą zwyczajem syberyjskim: w tém odzieniu byłem nastajaszczy Sybirak. Mimo tego przebrania, jednak niebyłem bez słusznęj obawy i strachu. Na tym jarmarku było wielu z okolic Tary, z kąd uciekłem, wielu z nich znało mnie osobiście, a więc nierównie znało mnie z widzenia, mógł jaki znajomy i tu się trafić i mnie poznać. Szczęściem nikogo ze znajomych nie widziałem: a gdyby nawet i znalazł się który, coby mnie znał, mógłbym go zdekoncertować moją kozią peruką, którą na przód głowy nasunawszą i zwiesiwszy na czoło długie jęj włosy, zmienilem znacznie jęj fizyonomią: aby się zaś peruka niezsunęła, ciągle ją miałem podwiązaną hustką, uskarżając się: że mnie zęby bolały. Po wieczery zapłaciwszy co się gospodarzowi należało za nią, zabrali się wszyscy do spania, gdzie i jak kto mógł: na ławie, na piecu, na ziemi, na słomie i na gołęj ziemi, inni pod ławą — ot tak zwyczajnie po rusku. I jam się położył: ale nie dla spania: raz dla tego, aby mi w nocy moja peruka z głowy niezlaźła i aby mnie w tym stanie nieodręszono, a powtóre było o czém myśleć.

Dzięki Bogu, myślałem, udało mi się tysiąc werst z okładem we trzy doby i bez żadnęj przeszkody; gdyby i była pogoń, gdyby i wpadła z początku na mój trop, jużby mnie nie doścignęła: bo uciekający ma jednę tylko drogę, a ścigający dziesięć. Ale komuż z urzędników i czynowników mogłoby przyjść na myśl, aby ktoś z Syberyi uciekając, mógł uciekać na Archangielsk, wyżej nierównie od Tobolska, choć już w Europie, na północ posunięty! zresztą jakiby powód i cel uciekającego do tegoby zmuszał? gdyby zatem i była pogoń, co niechybnie nastąpić musiało, wszystkie tych pogoni poszukiwania i pościgi odbywałyby się po gościńcu przez środek, a najwięcej ku jęj południowi. Niech gonia wiatr w polu, pomyślałem sobie. Wszystko to dobrze, ale co dalej robić? co dalej począć? Mój rysopis wysłano do Petersburga, a ztąd po całej Ros-

syi po wszystkich guberniach, z których rozesłano go do wszystkich powiatów i gmin: po wszystkich więc traktach mogą być silne stráže. Przy tém po ukradzeniu mi a raczej po wyrwaniu mi z rąk 40 rubli assyg. i po zapłaceniu podróży do Irbiti, której koszt wynosił do 75 rubli assyg.: zostało mi się tylko 75 wszystkiego rubli assyg.: a odległość tak wielka i przeszkody do nieprzewidzenia; jechać dalej niepodobna, potrzeba było koniecznie iść dalej piechotą. Gdybym miał pasport jak się należy, drukowany (plakaty), wszystkiemu temu dałoby się jeszcze zaradzić, ale mi go skradziono wraz z pieniędzmi i kartecką, na której były wypisane znaczniejsze punkta drogi, którą iść miałem; tego zatem wszystkiego mi brakło i biłem się z myślami, co dalej przedsięwziąć i pod jakim iść pozorem? Prawda, że główniejsze miasta pozostały mi w pamięci, mógłem tedy zwrócić na się uwagę tych, którychbym o nie pytał, z przyczyny wielkiei ich odległości od siebie. Mimo jednak te trudności i rzeczywście trudne położenie, byłem prawdziwie szczęśliwy: szczęśliwy, że stanowiący krok uczynił do wolności, że pokonał siebie odważając się na to niebezpieczne przedsięwzięcie, szczęśliwy nadzieją, że Bóg pobłogosławi śmiałości, bo kosztem życia, może nawet kosztem męczarni, powziętemu zamiarowi. Poleciwszy tedy zawsze i wszędzie czuwającęj nad człowiekiem Opatrzności dalsze me losy i postanowiwszy korzystać z dziennych okoliczności, usnąłem mimowolnie na chwilę spokojnie. Jeszcze przed dniem powstawali wszyscy, wstałem i ja i zwyczajem w kraju przyjętym, przeżegnałem się sposobem grecko-rosyjskim trzy razy przed obrazami, zwykle u węgła domu umieszczonemi i kilka przed nimi uderzywszy pokłonów, a ubrawszy się i wzięwszy mój worek na plecy, wyszedłem niby za interesami do mojego kupca.

Miasto Irbit, jak już mówiłem, leży na wschodnięj pochyłości gór Uralskich, na wzgórzu, z którego szeroki na prawo, to jest na wschód otwiera się widok, a zatem

leży jeszcze w Syberyi, chociaż należy pod względem administracyjnym po gubernii permskiej. Jest dość obszerne, a choć pobudowane z drzewa, domy dosyć schludne, choć nieokazałe place i rynek przestronny, ulice szerokie: w tém mieście bardzo wiele jest także dorózek i sanek, stojących po ważniejszych punktach miasta, dla spieszniejszego przejazdu z miejsca na miejsce. Sklepów drewnianych na składy towarów mnóstwo. Wyszedszy na miasto, zastałem je przepełnione ludem i saniami, konie były po stajniach. Sanie stały na rynku ustawione partiami, ustawione w szeregi, wyrównane jak żołnierze; ażeby zaś wiele miejsca niezajmowały sanie próżne, były złożone jedno na drugie po kilkoro; takich sani było najmniej kilkanaście tysięcy. Ruch w mieście był niezwykły i miejscowości tylko właściwy. Z jednych sani wyladowywano towary przywiezione, na inne ładowano towary do wywiezienia; jedne ładowne przyjeżdżały do miasta, inne już naładowane z miasta wyjeżdżały. Przybyłem do Irbiti na początku lutego: a o sto blisko werst niedojeżdżając do niego, już spotkałem mnóstwo sani ładownych z jarmarku wracających: a tych co na jarmark jechały, nierównie było więcej; taka zamiana towarów i taki ruch, trwa cały miesiąc luty. Ileż to tysięcy sani ładownych w przeciągu tego czasu może przybyć i odjechać z Irbiti? i na ile tam milionów rubli srebrem towarów się sprzedaje? Dla mnie był to widok zupełnie nowy i zajmujący.

Z Irbiti do Rosyi prowadzą dwa gościńce: jeden na lewo przez Ekatorynburg, góry Uralskie, Kungur itd. do południowej i środkowej Rosyi, a drugi na prawo przez Werchoturje, góry Uralskie, Solikamsk itd. do północnej Rosyi. Pochodziwszy czas jakiś po mieście i zorientowawszy się i kupiwszy także kilka bułek chleba i soli na drogę, włożyłem je do worka, zwróciłem się na prawo i wyszedłem z miasta rogatkami drogi, wiodącej do Werchoturja. Żołnierze przy rogatkach stojący, wi-

dząc nastajaszczoho Sybiraka, porządnie ubranego a śmiało kroczącego, jakby za jakim pilnym interesem, ani słowa mi niemówiąc, przepuścili. Wyszedszy za rogatki i zarzuciwszy worek na plecy i przedni jego koniec zatknąwszy za pas, dla oswobodzenia rąk i spieszniejszego pochodu, puściłem się na pieszo. Boże pobłogosław mi, rzekłem w duchu i ze łzami w oczach i dodaj mi odwagi! Zima w tym roku była nadzwyczaj mroźna, a śniegu ilość tak wielka, jak sami Syberyjczycy nieczęsto widzieli; dość jest powiedzieć: że w permskiej gubernii, przez którą wówczas przechodziłem, a gdzie domy i ich dachy choć drewniane, ale mocno są zbudowane, pod ciężarem śniegu nierzadko się zapadały. Tego ranku, ledwie minął rogatki, powietrze się zmieniło, nieco ociepliło i śnieg obfity i gęsty zaczął padać: było cicho i spokojnie, ale światła bożego niebyło widać przed mgłą śniegu; droga była kopna i ciężko po niej było stąpać; jednak jej ślady były wyraźne, bo naprzeciw siebie jadących spotykałem; jamszczyków spieszących na jarmark i tych zwykle pytałem o drogę. Niebądc miejscowymi niepytali się o pasport; zresztą co im do tego? Oni co podróżują po całej Rosyi, z jednego jej końca w drugi, wnoszą, że i drugi ma potrzebę podróżowania. Droga szła śród pola, na prawo daleko odkrywały się obszerne doliny Syberyi, poprzepłatane wzgórzami i niewielkimi lasami, gdyż po większej części były to pola orne i sianożęcie; a na lewo w niewielkiej ode drogi odległości, wznosił się grzbiet gór Uralskich, pokryty gęstemi i nieprzejrzanemi lasami. Jeżeli przymuszony był przechodzić przez wieś jaką, której ominąć było mi niepodobna, o nikom się ani o drogę, ani o cokolwiek niepytałem: ale szedłem śmiało i udając, jakbym był z okolic i dobrze świadomy miejscowości i drogi, dokąd idę. Ztąd niezatrzymywałem się nigdy we wsi, ani dla spoczynku, ani dla posiłku. Jeżeli mi się jeść zachciało, dobyłem z worka kawał zmarzniętego chleba i albo idąc, albo usiadłszy gdzie na ustroniu, w lesie, pod

drzewem i na śniegu, jadłem, a przy pierwszej lepszej przerębli, na rzece, lub strumieniu, gdzie konie poją, gdy mi się pić zachciało, napilem się, albo jeżeli na tej dogodności mnie zbywało, brałem śnieg do ust, który w nich tając dostarczał mi wody i gasił pragnienie. Przeszedłszy wieś jaką, gdym był niepewny drogi, do ostatniego, na samym końcu wioski położonego zachodziłem domku, dla rozpytania się o nią, udając, że byłem z okolicy z tej a tej wioski i idę do najbliższego miasta za jakimś interessem, że chociaż oznajmiony z miejscowością, z przyczyny śniegów i zamieci, wątpię, czym niezblądził z drogi, dowiedziawszy się, o czém mi potrzeba było wiedzieć i niewdając się w żadną inną dalszą rozmowę, wychodziłem: przeżegnawszy się pierwój trzy razy, podług miescowego zwyczaju. Tak przeszedł pierwszy dzień mojej pierwszej podróży: ciężko mi iść było w ciężkim ubiorze, przymuszony byłem zdjąć wierzchni kozuch i zarzucić go na plecy. Zmęczony do upadłego, bom szedł rączo, spieszenie, a droga była kopna, bo śnieg głęboki ją przysypał. Za zbliżeniem się nocy, udałem się do pobocznego lasu i tam po prostu, sposobem Ostiaków, wydrążywszy dół pod śniegiem, zabrałem się do spoczynku, którego mówiąc prawdę, mocno potrzebowałem. Od chwili ucieczki z zakładu, aż do dnia niniejszego prawie żadnej nocy jeszcze nie spałem: bo natłok myśli i uczuć snu mi niedozwolily, a mara niebezpieczeństwa ciągle mnie goniła. Napróżno człowiek ma odwagę i gotów jest umrzeć: mimo mocne postanowienie, niemoże być obojętnym na własne niebezpieczeństwo, na własną zgubę; ma wstręt wrodzony do nicości, do śmierci.

Dziwne wrażenie zrobił na mnie ten pierwszy nocleg, leżąc w tym dole, a raczej w norze lodowej, śnieżnej, rozmyślałem nad moim położeniem, nad tą samotnością wśród świata i ludzi, w których zdawało mi się widzieć moich tylko nieprzyjaciół; bo przed kimże się ukrywałem, jeżeli nie przed ludźmi? Cobym był dał za to, gdybym się mógł obejść bez ich spotkania aż do Francyi, ale

jakże żyć bez nich? jak bez ich pomocy choć nieumyślniej i prawie mimowolnej dostać się tak daleko? Tak rozważając, smutno się zrobiło mej duszy, memu sercu; byłem prawie w Ogródcu cierpienia. Z tem wszystkiem, szczęśliwy, że mnie pod śniegiem żaden z ludzi zaszkodzić niemoże, i zmęczony podróżą i myślami, usnąłem z całym przekonaniem i zadowoleniem bezpiecznego wypoczynku. Chociaż pod śniegiem jest nierównie cieplej niż na powierzchni jego w tej porze roku, z tem wszystkiem nieoswojonemu jeszcze z tym sposobem noclegu, zimno szczególnie w nogach mocno mi się czuć dało, a śnieg od ciepłika ciała i oddechu zwilżony, nieco zwilżył i wierzchni kozuch, co było wielką niedogodnością; korzystając z tej nauki na przyszłość postanowiłem odtąd wierzchni kozuch szerścią na wierzch obracać i dobrze mi było. — Mróz w nocy był silny. Po obudzeniu się czułem się niezdrowszy i jakby osłabiony, i jeszcze do dnia ruszyłem w drogę. Idąc, rozgrzałem się nieco i stałem się zdrowszym i weselszym; weselszym nadzieją; bo co krok naprzód, byłem bliższym celu, do którego zdążałem. Ale około południa powstał nagle silny wiatr północny, jak raz w oczy mi bijący, ale suchy, mroźny, miotający kupy śniegu i wnet zasypujący drogę nawet dobrze utartą tak, że wkrótce ani śladu jej niebyło. Mieszkańcy tych okolic, zapewno z rozporządzenia rządowego, zaraz z początkiem zimy po obu stronach główniejszych gościńców, przechodzących przez odkryte pola, dla ich oznaczenia zatykają wicie, a raczej wysokie gałązki drzewa po większej części jodłowego, blisko jedne drugich posadzane. Śniegi jednak tej zimy były tak wielkie, że w wielu miejscach gałązek widać nie było. Z tej tedy przyczyny, i z przyczyny zamieci, zbilem się z drogi i zacząłem błędzić; zapadałem w śnieg po pas, a czasami i z głową, byłem w strachu, abym na zawsze niezblądził i niezginął od zimna i braku pokarmu, chociaż jeszcze miałem chleba na dni kilka. Nareszcie ku wieczorowi wpadłem na jakąś drogę, sam nie-

wiem jakim sposobem, przez przypadek, i szczęściem na prawdziwą. Mój bardzo niski wzrok był mi wielką przeszkodą w tej podróży i przyczyniał się niepomalu do błędzenia i narażenia się na niebezpieczeństwo. Tego dnia zmęczyłem się do niewierzenia i czułem się nieco przeziębłym, potrzebowalem ogrzania się i przesuszenia. Późno już w wieczór przybliżyłem się do jakiejś wioski, od której w niewielkiej odległości i blisko drogi, którą szedłem, postrzegłem skromny i odosobniony domek i kobietę młodą przed nim stojącą; przybliżywszy się, prosiłem ją o nocleg; młoda kobieta z chęcią zezwoliła. — W domku zastałem staruszkę jej matkę, pozdrowiwszy ją zwyczajem miejscowym, usiadłem na ławie. Kobiety zaczęły mnie się pytać, z kąd byłem i dokąd Bóg mnie prowadził? Odpowiedziałem: że byłem z tobolskiej gubernii i idę na zarobek do bohotolskich zakładów skarbowych.

Bohotolskie zakłady skarbowe, żelazne, leżą w górach Uralskich daleko na północ za Werchoturjem, ponieważ te zakłady są wielkie i wiele ludzi potrzebują, a zatem bardzo wielu tak z tobolskiej jak i z permskiej gubernii udają się do nich na zarobek. Chociaż moja odpowiedź była tylko pozorna, bo zmyślona, była jednak tak prawdopodobną, że żadnego niepowinna była obudzić podejrzania w umysłach moich gospodyń. Tymczasem rozebrawszy się, zaczęliśmy to o tém, to o owém rozmawiać. Nastąpiła wieczerza, zjadłem z apetytem ciepłej potrawy, jakąkolwiek ona była i zapłaciwszy za nią co się należało, zabrałem się do spania na ławie, mówiąc najpierw pacierze po katolicku po cichu, a przeżegnawszy się po grecku i kilka pokłonów uderzywszy po rosyjsku. O jak miłem dla mnie schronieniem był ten domek i jego ożywiające ciepło; zdawało mi się, że w najwygodniejszym pałacu.

Wyjeżdżając z zakładu, wziąłem na siebie, jak wiadomo, trzy koszule dla ciepła, dwie białe na spód, a czer-

woną kolorową na wierzch. Idąc więc spać, zdjąłem dwie wierzchnie, dla wygodniejszego wypoczynku i otrzeźwienia ciała. Widać, że ta mała okoliczność wzbudziła w staruszcze podejrzenie; rozebrawszy się i zrzuciwszy bóty dla przesuszenia obuwia, któregom już przez pięć dób niezrzucał, wyciągnąłem się na ławie, ukrywszy sztylet w zanadrzu. Już mi się na sen zanosilo, gdy staruszka zaczęła coś szeptać bardzo po cichu swojej córce; to wzbudziło we mnie podejrzenie, które zamieniło się prawie w pewność, gdy po chwili młoda kobieta wyszedłszy, wróciła niebawem z miną tajemniczą i coś zaczęła swęj mamie znowu po cichu szeptać. Ja udałem, że śpię, ale gdzie mi tam było do snu; rozmyślałem, jak sobie postąpić na wszelki wypadek i zdecydowawszy się, spokojnie leżałem i czekałem. Najdalej w półgodziny (była już noc głucha) weszło do izby trzech chłopów, i jeden z nich zapytał półgłosem: a gdzie on? młoda kobieta wskazała na mnie. Przybliżywszy się do mnie wszyscy trzej, jeden z nich odezwał się głośno: a co? on śpi? jam się wcale nieodezwał udając, że spałem. A co ty za jeden? ja milczałem. A z kąd ty? nic nieodpowiedziałem. Oto śpi, jak kamień, odezwał się z nich najstarszy. Nareszcie zaczęli mnie trącając i wołając budzić; wtenczas dopiero niby się przecknąłem: powtórzono mi poprzednie pytania i żądano pokazania pasportu. Ja udając powierzchowność najspokojniejszą i bynajmniej niewstając, zamiast odpowiedzi na pytania zapytałem nawzajem, jakim prawem pytano mnie o pasport: może który z nich był głową lub urzędnikiem? — Ta żaden z nas nie jest głową włości, ani żadnym urzędnikiem, my jesteśmy tylko tutejsi mieszkańcy. Ale ja nie wiem, czy wy jesteście tutejsi mieszkańcy i w nocy napadacie na dom i pytacie o pasport? kto wie, co wy za ludzie? Może wy chcecie mi mój pasport tylko odebrać, ale bądźcie pewni, że wam go niedam, ani niepokażę, póki się nieprzekonam, kto jesteście? — Da my tutejsi. Natenczas obróciwszy się do gospodyń zapyta-

łem: Czy wy znacie tych ludzi i czy oni tutejsi? — Zapewno — my ich znamy, oni są tutejsi gospodarze. Więc niby zaspokojony ich odpowiedzią rzekłem: chciałem wstać, ubrać się i iść do tutejszego głowy włości, ale że jesteście tutejsi gospodarze, to wam można wierzyć. Jestem ten a ten (Ławrentij Kuzmin) z tobolskiej gubernii i idę do bohotolskich zakładów na zarobek; kilka razy już tędy przechodziłem, i teraz moja partya poszła naprzód, a ja u znajomego w tej a w tej wsi zatrzymałem się czas jakiś, chcę moją partją dogonić, która mnie ma czekać w Werchoturju; zacząłem opowiadać dobrze mi wiadome z opowiadania niektóre szczegóły miejscowości, a w końcu pokazałem im mój pasport. Choć to niebył pasport płakatny, to jest: na stęplowym drukowanym papierze (a niekiedy władze wydają na bliższą odległość i na czas krótki i na prostym papierze), ale na nim była pieczęć rządowa doskonale wytłoczona z podpisem urzędników, to jest: moim własnym. Widać, że czytać nieumieli, bo wszyscy trzej patrzali tylko na pieczęć. Zupełnie zaspokojeni i przekonani o jego wiarygodności, zaczęli ze mną rozmawiać bez podejrzenia i po przyjacielsku, rozpytując się o jarmark w Irbiti, o niektórych kupców i o inne szczegóły. Wiele w tym względzie rzeczy było mi wiadomych; mogłem tedy jako tako ich ciekawość zaspokoić. Przeprósiwszy zatem mnie za nieprzyjemność, jaką mi wyrządzili, biorąc mnie za uciekającego z katorgi lub z posielenia, za złodzieja lub rozbójnika (co, jak mówili, dość często u nich się zdarza) i życzywszy mi dobrej nocy, wyszli.

Jeżeli oni byli przekonani, że nie złodziej, nie rozbójnik, i nie zbieg z Syberyi, to ja byłem prawdziwie uszczęśliwiony, że mi się tak udało, że mi Bóg pozwolił wybrnąć tą razą z grożącego mi niebezpieczeństwa. Ale dotąd smutnego nabyłem przekonania, że muszę na przyszłość unikać noclegów po wioskach i wyrzec się jako tako wygodnego, bo przynajmniej ciepłego noclegu. Żartowa-

łem później ze staruszki i jej córki; wymawiały się jak mogły i wkrótce usnęliśmy wszyscy.

Jeszcze dodnia, pokrzepiony snem i ciepłem, już byłem ubrany i gotów do podróży, do pozostałego chleba dokupiłem go jeszcze więcej i pożegnawszy się z gospodyniami, którym nie bardzo byłem wdzięczny za wyświadczoną mi usługę, wyszedłem. Nieco okrzętniej i staranniej ubrany lżej mi było iść: przytém już zacząłem przywykać do podobnej podróży. Zmówiwszy poranne pacierze i potężny kij wyciąwszy z lasu, spiesznym krokiem puściłem się ku Werchoturju do bohotolskich niby zakładów. Mróz ostry, mimo że pięknie słońce świeciło, dawał ochoty i rzeźwości do pochodu. Odtąd zacząłem już iść lasami. Około wsiów jest nieco pola, później znowu lasy i lasy. Choć przypadek zeszłej nocy wiele mi dawał do myślenia, szedłem jednak lekki i wesoły i wcale mi niebyło zimno. Minałem jedną lub dwie wioski, nikogo o nie w nich niepytając, dla bezpieczeństwa, a na noc poszedłem do lasu pod śnieg. Ale w wyborze noclegu byłem już przezorniejszy. W lesie gestym, około drzew grubych jodłowych czy sosnowych, śnieg nieprzystaje do pnia samego: między śniegiem a pniem jest pewna na kilka cali odległość próżna; otóż spuściwszy się po pniu w dół do jamy, między śniegiem a pniem będąc, kijem w śniegu wydrażałem dziurę, wygortywałem śnieg na zewnątrz, udeptywałem go nogami, śnieg formujący sklepienie nory gniótłem nieco do góry, aby się nie tak pruszył i sypał, otwór od drzewa nieco zasłaniałem i kładłem się do spania i było mi jako tako niby ciepło i wygodnie. Tak sobie zawsze i później radziłem. Zdarzało się jednak nierzadko, że z moją norą poradzić niemógł, bo albo się zapadła, albo się bardzo śnieg pruszył, albo mi było niewygodnie; wówczas usiadłszy pod drzewem i oparłszy się o nie plecami, tak siedząc, przespałem lub raczej przedrzemałem czas jakiś. A gdy uczułem zimno i pewne zdrętwienie w ciele, które są zwi-

stunami zamrożenia na śmierć, wówczas zrywałem się i szedłem sam niewiedząc czy dobrze idę, bo w nocy. Ale szedłem dla rozgrzania się. Z początku było nieco okropnie samemu jednemu wśród lasów nocować, ale później z tem się oswoilem i szedłem na noc do lasu jak do oberży. Nieraz zdarzało się także, że mnie śpiącego śnieg w nocy zasypał; wówczas prawda było mi najcieplej, ale było dość nieprzyjemnie ze śniegu się wydobyć. W tej zimowej podróży, w tych noclegach i przy braku ciepłego, rozgrzewającego pokarmu, a niekiedy i przy braku chleba, byłem nieraz narażony na śmierć niechybną od głodu i zimna. A co gorsza, żem czuł przybliżającą się chwilę blizkiego zgonu. Kiedym się czuł osłabionym, głodnym lub przeziębionym, wówczas nieprzewyciężona jakaś siła do snu mnie ciągnęła; były to widoczne zaprosiny do śmierci: tej chwili najwięcej się obawiałem. Sprzeciwiałem się i passowałem jak mogłem między życiem a śmiercią; jednak gdyby Opatrzność sama w podobnych chwilach niebyła mi przyszła na pomoc, mimo zabiegów i usiłowań moich, niemógłbym się wycofać i wyrwać z objęć śmierci, co mnie tak już szczerze do siebie tuliła, musiałbym być koniecznie nie raz, ale sto razy zginąć. Ale zapewno nie takie było rozrządzenie i wola Wszechmocnego, który mnie zachował może dla doświadczenia nowych ciosów nieubłaganego mojego losu, a może, co jest pewniejsza, dla ogłoszenia przed światem jego dobroci i miłosierdzia nad tymi, którzy w nim zawsze pokładają swą ufność z prostotą i szczerotą dziecięcia. Co do mnie, pragnę, aby łaska Pańska zawsze tak żywo ożywiała mą duszę, jak ją ożywiała wtedy, kiedy opasany zewsząd niebezpieczeństw, w Bogu jednym całą i zupełną położyłem mą ufność i nadzieję.

Nazajutrz po ostatnim a tu wymienionym noclegu w lesie, około południa postrzegłem wśród niewielkiego pola samotny i odosobniony od poblizkiej wsi domek, bardzo porządnie zabudowany; niebyła to karczma, bo opodal

ode drogi. Dla powzięcia pewności, czy dobrą szedłem drogą, zaszedłem do tego domku. Zastałem w nim gospodarza i gospodynię, oboje przyjemnej twarzy i pięknej postaci, dwóch chłopaków niewielkich ich synów, i córkę z nich najstarszą, bo może około siedemnastu lat liczącą; wszyscy zabierali się do obiadu. Po zwykłym przywitaniu się, rozpytaniu się o drogę i zapewnieniu, żem niebłądził i któredy mam iść dalej, chciałem wyjść natychmiast, ale uprzejmi gospodarstwo zaprosili mnie na obiad, bardzo smaczny, a przedewszystkiem ciepły; rozumie się, żem tego nieodmówił i przyjąłem z prawdziwą w duszy wdzięcznością. Siadłem tedy do stołu i pożywałem dar boży z pocziwem gospodarstwem. Rozmowa nasza była, jak zwykle w podobnych razach bywa, to jest: zkąd, dokąd itd. odpowiadałem jak mogłem najlepiej. Ale jeżeli byłem wdzięczny gospodarstwu za ich uprzejmość, to im nierównie byłem więcej obowiązany, że mi nastręczyli sposobność podziwiania prawdziwej piękności. Nie od dziś już żyłem na świecie, a tulając się przez lat tyle po nim, różne widziałem kraje i rozmaite w nich zdarzało się widzieć piękności, ale piękniejszej nad tę dziewczynę, córkę gospodarstwa, ani przed, ani potem niewidziałem kobiety. Muszę tu opisać jej postać, bo miałem dosyć czasu jej się przypatrzeć i mocno mi utkwiła w pamięci. Wzrostu była słusznego, kibici smukłej, kształtnej, a giętkiej, włosy ciemno blond obfite i długie w dwa grube warkocz splecione i w kształcie wieńca na głowie ułożone, brwi tego samego co włosy koloru w foremny łuk zagięte, ocieniały modro-niebieskie duże oko przezroczyście, pogodnie, skromnie iskrzące się pełnią życia i nadziei, a osłonięte gęstymi i długimi rzęsami, które mu szczególnego dodawało uroku; czoło gładkie, białe, piękne, może nieco za harde, ale przez to samo stanowiące pociągającą sprzeczność ze słodkim wyrazem twarzy, nieco owalnej, ozdobionej dwoma dołkami wdzięków, dziwniej białości, przez którą się przebijał ponętny, skromny, praw-

dziwie dziewiczy rumieniec; nos bardzo kształtny, usta mierniej szerokości rumiane, a w całym swym układzie mocno sympatyczne; zęby drobne, zdrowe i białe; niższa część twarzy wdziękami dopełniała piękności całego jęj owalu; podbródek łagodnie zaokrąglony, powabne stanowił przejście do prawdziwie łabędziej szyi ozdobionej dwoma sznurkami czerwonych koralów — dalej zamilczę, bo wszystko było odpowiednem; ręce miała drobne i kształtne, słowem, była to rzeczywista piękność, od której trudno było ócz oderwać, a bardzo niebezpieczna na nią patrzeć; miała na sobie ciemną sukienkę a z wierzchu granatowy sukienny kaftanik wydatnie obciskający piękną jęj kibić. Zresztą było w niej to, czego opisać niepodobna, jak niepodobna opisać szczęścia, które się tylko czuje. Patrząc na nią, pomyślałem: szczęśliwaś z swojej prostoty i żeś się w tych dzikich miejscach urodziła i wychowała, bo sama niewiesz, czém jesteś, ani ci grozi żadne niebezpieczeństwo spotykające tobie podobne wśród ucywilizowanego świata, wśród wielkiego zepsutego miasta. Podziękowawszy za obiad, pożegnałem pocziwych ludzi, rzuciwszy wprzód jednak wzrok ostatni na piękną Syberyaczkę. Dziwna jest jednak moc i władza prawdziwie doskonałej piękności! W mojem położeniu, w moim ówczesnym stanie duszy i wszystkich władz moralnych i umysłowych, nie mogłem jednak być zupełnie obojętnym na jęj powaby. Cóżby dopiero być mogło, gdybym się znajdował w szczęśliwszem położeniu? chociaż prawdę mówiąc, w podobnem to tylko położeniu, więcej niż kiedykolwiek czuć się żywo daje przyjemność i szczęście spokojnego, domowego życia, którego jedyną ozdobą i powabem jest dobra kobieta.

Dni mojej podróży upływały jednostajnie, tylko coraz mi się nowe przedstawiały widoki przyrody, bo szedłem podnóżem Uralu choć górzystym, przeplatane jednak wysokimi równinami. Jednych jamszczyków napędzałem jadących już z jarmarku Irbiti, drudzy mnie

napędzali; czas jakiś szedłem wraz z nimi i rozmawiając rozpytywałem się, jakby z niechcenia o miejscach z kądy byli, dokąd jechali, o drogach, o zwyczajach, o miastach, i tym sposobem dowiadywałem się często od nich o tćm wszystkićm, co mi potrzebnćm było do wiedzenia. Jednego dnia kiedy silna powstała zamieć zbićłem się z właściwćj drogi, i zamiast na prawo do Werchoturja wziąłem się na lewo do Tagiły, majątności Demidowych, już kilka verst w tym kierunku uszedłem, gdy jadący na przeciwko mnie wieśniak ostrzegł mnie o błądzie i ja wróciwszy nazad, podług jego opowiedzenia, wyszedłem w końcu na właściwy gościniec. Z jedną bandą jamszczyków, co mnie napędzili, wszedłem do miasta Werchoturja. Miasto to wśród gór, na wzgórzach i jego pochyłościach pobudowane, ma wszystkie domy drewniane, ale schludne, dwie czy trzy cerkwie murowane i bardzo piękne i okazałe, szczególnie jedna, są jego jedyną i prawdziwą ozdobą. Jest w tćm mieście jakiś święty cudowny rosyjski, ale nazwiska jego nie pamiętam. Niedaleko tego miasta, cokolwiek wyżej ku Uralowi bierze początek rzeka nazwana Tura wpadająca do rzeki Tokolu, niedaleko Tobolska. Z kądy Werchoturje znaczy miasto pobudowane u wierzchu czyli u źródeł rzeki Tury; bo miasto należy do gubernii permskiej. W gubernii tobołskiej jest miasto Turyńsk także nad rzeką Turą pobudowane od Tiumeni i Tobolska na zachód położone.

Minąwszy Werchoturje, w którym się wcale nie zatrzymałem, znowu wszedłem na drogę będącą wśród lasów, ale już skalistą i kamienistą. Dość daleko za Werchoturjem przy samotnej wśród lasu karczmi nade drogą położonej spotkałem sześciu młodych ludzi Rosyan. Z ich ubioru i mowy poznałem że nie są Syberyacy, ani tćż miejscowi. Zapytałem ich, z kądy byli i dokąd się udawali na pieszo? odpowiedzieli: że byli z archangielskiej gubernii, mezeńskiego powiatu najwyżej ku północy posuniętego, bo przypierającego do brzegów oceanu półno-

eno-lodowatego, szli zaś do gubernii tobolskiej, do Syberyi na zarobkowanie. Wszyscy byli weterynarze czyli konowały. Ci młodzi ludzie byli roslęj i kształtniej postawy, cery białej i rumianej, włosów nie blond jasnych, ale białych jak cienki len dobrze wyczyszczony, oczów błękitnych, słowem, byli podobni do Albinosów z wyjątkiem ocz czerwonych. Z ich opowiadań dowiedziałem się o wielu rzeczach dla mnie potrzebnych, jako też, że kraj, z którego przychodzili, był bardzo biedny, nędzny; żadne zboże, nawet owies i jęczmień, już tam nierosnie. Mieszkańcy jego żyją tylko rybolowstwem i przemysłem, a chleb dla nich dostarcza się z Archangielska. Ci ludzie z tak daleka szli piechotą, to mnie pocieszyło. Udzieliłem im także wiadomości o Syberyi (ale nie o tych stronach z kąd uciekałem) i gdzie najwięcej w niej znajduje się koni, to było potrzebnem w ich rzemiośle. Syberia dla północnych stron Rosyi jest ziemią obiecaną, jest to ich *El dorado*, z kąd to pochodzi, że całemi bandami mieszkańcy tych stron, nawet z familijami do niej przybysują na zarobek za pasportem i na lat kilka.

We dwa dni podróży od Werchoturja rzuciwszy drogę wiodącą do bohotolskich zakładów na prawo, a wziąłem się drogą na lewo wiodącą po długiej dolinie, na której księciu Lejchtenbergowi zwiedzającemu już niepomnę w jakim roku, górnicze Uralskie zakłady, padł koń w powozie. Odtąd szedłem tylko u podnóża Uralu dość gorzstego choć przeplatane dolinami, teraz zbliżyłem się pod sam szczyt jego. W ilu dniach zrobiłem tę podróż, przy jednostajności drogi, noclegów i wypadków wiedzieć z pewnością niemogę; wiem tylko, że szedłem krokiem jak mogłem najspieszniejszym i ile mi tylko sił starczyło, chciałem lecieć gdybym był miał skrzydła. Od czasu jakem wszedł w lasy, szedłem nietylko dniem ale i nocą. Mrozy szczególnie w nocy były bardzo silne; przy ciągłym pochodzie, przy życiu niewygodnym, bo żyłem tylko samem chlebem, przy noclegach, w których nietylko było

niepodobna ogrzać się, ale nawet przewdziać dla otrzeźwienia i oczyszczenia ciała, prawdziwie z sił opadałem, jedna tylko siła moralna wsparta nadzieją i ufnością w Bogu mnie jeszcze podtrzymywała. Idąc wyżej wzmiankowaną doliną, przybyłem do jednej karczemki a raczej izbuszki pobudowanej nade drogą dla wygody podróżnych, i w której, jak we wszystkich innych sprzedaje się chleb i rozmaita miejscowa żywność; choć byłem zmęczony, niechciałem jednak w niej nocować, bo było jeszcze dość wcześnie, a i niebyło czem w niej się pożywić, bo jam-szczyki wszystko w niej wykupili, chleb i wszystkie jadło, nazajutrz dopiero miała być żywność i chleb. Poszedłem tedy dalej i szedłem do późnej nocy; zgłodniały ledwie już lażem i mróz nielitościwy srogo czuć się dawał, a tu niewiadać ani wsi ani karczmy. Nareszcie przybyłem do jakiejś wsi gdzie głucha już cichość panowała; skrzyp tylko śniegu zmrożonego pod memi rozlegał się nogami; minąłem już jeden, drugi i trzeci dom, a pamiętny na przypadek, jaki mi się zdarzył, o nocleg prosić nieśmiałem. W tém nagle z domu, gdzie się jeszcze świeciło, odezwie się głos mocny: kto idzie? Swoją podróżny. A daleko masz do domu? O! daleko. Kiedy chcesz, to przenocuj u mnie. Bóg zapłać dobry człowieku, a niezrobię ci żadnej przykrości, bo już jest późno i może śpią u ciebie? No, co za przykreść, jeszcze nieśpimy, chodź, chodź. Poszedłem tedy, ot tak jakoś mimowolnie, zagniony gwałtowną potrzebą ocalenia życia. Domek był ciepły, schludny, gospodarz i gospodyni w pewnym już wieku bardzo poczciwi ludzie. Zapytali mnie zaraz, czy mi się jeść niechciało. Jeśli macie co ciepłego, zjadłbym z chęcią. Dostano z pieca jakiegoś barszczu (szczy), który mi się zdał przewybornym, dalej podano parzonkę (parionka), to jest: rzepę, którą pierwój upieczono, obłupiono i poskładano w kadzie; tę się później bierze i gotuje w wodzie zagęszczonęj z lekka mąką, albo całkiem albo na wpół przeciętą; rzepa tak upieczona, a która zwykle

jest małą, ma wiele w sobie cząstek cukrowych; zgotowana powyższym sposobem jest słodka i bardzo smaczna, do tego przydano zimnej, kwaśnej surowej kapusty, ale nie szatkowanej tylko w główkach na dwoje rozciętych, i chleba ile się jeść podobało. Najadłem się do syta. Chociaż się rozebrałem do koszuli, kosią jednak perukę podwiązaną chustką zostawiłem na głowie. Od czasu wyjścia z Irbiti po raz dopiero trzeci ciepłą jadłem potrawę, a po raz drugi w ciepłym nocowałem mieszkaniu.

Na zapytanie, zkąd byłem i dokąd się udawałem? odpowiedziałem, że z gubernii tobolskiej i idę do Solikamska, gdzie jeden z moich dobrze znanych oddawna osiadły, pisał do mnie, abym do niego przyszedł i pracował wraz z nim razem około warzenia soli (solowni) za co dobrze płacą. Gospodarz poczty przestawszy na tym zapewnieniu opowiadał mi między innymi, że tędy wiele ludzi przechodzi do Solowieckich monasterów za Archangielskiem położonych, i że nawet z jego sąsiedztwa bardzo wiele tam się udaje, i wiele mi szczegółów o tych Solowieckich monasterach udzielił; co mi utkwilo w głowie i postanowiłem z tego korzystać. Na moje zapytanie, jak się ta wieś nazywa? odpowiedział: „to jest Pauda paudunskij zawod skarbowy, niegdyś zamożny a teraz od niejakiemu czasu zupełnie opuszczony, i my z tą musimy chodzić na robotę aż do bohotolskich zawodów, co jest dla nas wielkim uciemżeniem.“ Dla czegoż musicie tam chodzić? „Bo my jesteśmy podzawodskoje (to jest do zawodu należący) z pokolenia w pokolenie.“ I tu mi zaczął opowiadać szczegóły, o których już mówiłem pisząc o rozmaitych kategoriach mieszkańców w Syberyi będących, a między nimi o kategorii podzawodzkich krestian. Dalej mi mówił, że kobiety, nawet dzieci od lat czternastu nie są wolni od pracy, na których także skarb wyznacza pewną ilość mąki i pieniędzy na miesiąc, ale już niepamiętam w jakiej ilości. Całe to opowiadanie zakończył uskarżaniem się na swój los nieszczęśliwy, po-

równyując go z losem wolnego skarbowego wieśniaka. Kiedym go zaczął rozpytywać o drogę, opowiadał mi któredyś iść potrzeba, że drogi do Solikumska przez góry Uralskie są złe i niewygodne, a nawet niebezpieczne w tej porze roku, ale między innymi powiedział, że jak tylko wyjdiesz za Paudę, tam będą ludzie co ci o paszport będą pytali, gdyż tam stoi warta, która daje bilety przepuszczające, u niej więc dobrze rozpytasz się o drogę. Wszystkie te wiadomości były dla mnie bardzo pożądane, oprócz ostatniej, to jest że mnie się o paszport spytają. Po takiej pogadance z prawdziwie poczciwymi ludźmi usnałem snem słodkim i spokojnym. Nazajutrz dodnia chciałem wyjść dalej w drogę, ale uprzejmi ludzie zatrzymali mnie na ciepłe śniadanie, już niepamiętam jakie. Chciałem im za wszystko zapłacić, ale choć biedni ani grosza odemnie wziąć niechcieli, mówiąc: twoja droga jest dość daleka, grosz ci się przyda, i ja kiedyś podróżowałem, wiem tedy, co to jest podróż, kiedy się niema pieniędzy przy sobie, popadłem był w wielkie nieszczęście ale Bóg mnie z niego wybawił, wiem zatem co to jest nieszczęście. *Non ignara malis miseris succurrere disco* wielką jest prawdą. W końcu pożegnawszy poczciwych ludzi wyszedłem z ich domu.

Przechodząc przez zakład paudunski w płaskim rozdole wśród lasu położony, a więc może niż ze stu domów składający się, dziwiłem się głuchej cichości, jaka w nim panowała, rzeczywiście ten zakład był opuszczony, gdzie nigdzie tylko pokazał się jakiś człowiek. Idąc nieposzedłem drogą, gdzie o paszport pytają, tylko zboczywszy na prawo udałem się w las brnąć w śniegu po pas, a czasami weń zapadając i z głową; uszedłszy kawał znaczny w tym kierunku rzuciłem się na lewo i napotkałem drogę, niebędąc jednak pewnym czy to ta sama, którą mi iść potrzeba było. Bez wahania się jednak poszedłem nią naprzód, szedłem dzień cały głuchą puszczą; ku wieczorowi przybliżyłem się do jakiejś karczemki, którą

tam nazywają izbuszką, samotną i wśród lasu położoną, a przy której stała jedna banda jamszczyków wracających z jarmarku z Irbiti, już popasali konie i ruszyli w drogę. Byłem pod samym szczytem Uralu. Od tej karczemki czyli izbuszki droga ustępuje na górę. Byłem zmęczony, potrzebowałem wypoczynku, ale żał mi było tracić czasu na próżno; choć już było ku wieczorowi kupiwszy chleba funt po sześć kopiejek czyli po trzy grosze w dalszą puściłem się podróż, odszedłszy kawał spory chciałem w lesie przenocować. Noc była cicha, spokojna a mróz tak silny, że aż kamienie pękały, niezdługo zeszedł i księżyc i pięknie uroczym przyświecał. Zachwycony tym pięknym, wzniosłym choć dzikim widokiem surowej przyrody, tak mocno przemawiającym do serca i umysłu człowieka o wielkości i przytomności Stwórcy wszechtworu, wpadłem z wolna w stan marzenia. Usiadłszy tedy na końcu drzewa dla wypoczynku, pogrążyłem się w dumania. Oh! tych wrażeń nigdy, nigdy niezapomnę; sam jeden wśród dzikiej i surowej przyrody i dzikszych, bo prześladowających mnie ludzi do tego stopnia, że ich oblicza niekiedy, przeniosłem się myślą i sercem do mojej ojczyzny, do mojej zagrody; przebiegłem całą moją przeszłość, wspominałem na długie cierpienia i krótkie chwile szczęścia, ale jak one były mile dla mojego serca, a kto nieumie cenić osób co mu życie uprzejmują, co go kochają, w podobnym dopiero, w jakim byłem, położeniu dowie się co stracił. A zwróciwszy później myśl i uwagę na ówczesne moje położenie, na to co mnie otaczało, co mnie spotkać mogło i ujrawszy się sam jeden wśród puszczy i śniegów, dreszcz strachu mnie przebiegł, bo w rzeczy samej było coś okropnego w tej głuchej ciszy pustyni o tej porze roku i nocy; miotany byłem dwoma uczuciami: zgrozą mojego położenia i nadzieją wolności i szczęścia. Jakże wówczas daleki byłem od mniemania, że po powrocie moim do Francji, zastanę tyle nowych nadspodziewanych wypadków, które kraj nie-

szczęśliwy Polski do nowych popchną zamiarów i w nowe wtrąca go nieszczęścia, jakże byłem daleko od przypuszczenia że w Poznańskim tyle ofiar, że w Galicyi taką rzeź zastanę! że w końcu wszystkie moje nadzieje utrzymywane złudzeniem zamieniają się w najokropniejszą pewność, że żadnej niema nadziei; i gdzie spodziewałem się znaleźć życie, znalazłem tylko — grób dla moich uczuć, dzięki Bogu że nie dla ojczyzny. Nie wiem jakbym był długo siedział w tych rozmyślaniach pogrążony, gdyby mróz mocno się czuć dający nie był mnie z nich wyprowadził, podniósłszy się tedy z miejsca i wzniosłszy oczy i serce do Boga, w którego nad sobą opiekę żywo wierzyłem, porwałem mój kostur do ręki i ochoczo z pewnością otuchą i nadzieją w duszy zacząłem się wdierać pod górę, drogą głęboko w śniegu oznaczoną, bo wydrążoną tak, że jej boki jak mur śnieżny sterzały na wysokość człowieka. Ktoby mnie wówczas widział w tym dziwnym ubiorze, z brodą, wąsami i brwiami grubo lodem namazłemi, a snującego się jak cień między drzewami, wziąłby mnie niezawodnie za ducha nocy. Jakkolwiek miałem wielką ufność w Bogu i byłem przekonany, że nic mi się złego bez jego woli stać nie może, jednak gałęzie gęstego lasu i drzew olbrzymich, grubo śniegiem obciążone, odbijając się przy blasku księżyca i cieni, tak niekiedy fantastyczne i okropne przedstawiały kształty, że wyobraźnia żywo nimi uderzona, ledwie nieprzypuszczała że to są postacie licznych złych duchów. Po długim nocnym pochodzie wyszedłszy na sam szczyt góry Uralu dość w tym miejscu wysoki, zatrzymałem się na nim dla wytechnienia, a rzuciwszy wzrokiem na około zawołałem w duchu: „Boże jak jesteś wielkim, wszechmocnym i dobrym w twych dziełach: moja cię dusza wielbi całą wielkością swojego początku jak i poddaniem się wyrokowi twój woli, czuję twą ojcowską opiekę nad sobą“ i zapłakałem z rozrzewnienia i wdzięczności, stanąłem już na samych kończynach Syberyi.

Wkrótce potem zacząłem schodzić na zachodnią pochyłość Uralu do Rossyi, w jakąś głęboką dolinę i szedłem wciąż dalej a dalej, minawszy dolinę zacząłem znowu podchodzić pod górę. Po obrocie gwiazd, po księżycu miarkowałem, że się zanosi na świtanie; sen mnie zaczął morzyć, potrzebowałem wypoczynku i pod śnieg się schowałem. Kiedym wyszedł z nocnego schronienia już słońce znacznie podeszło w górę, więc moim zwyczajem mówiłem pacierze, ale wkrótce przyszedłszy do miejsca, gdzie się dwie drogi rozchodziły, nie wiedziałem, którą obrać. Wybrałem jak mi się zdawało lepiej utorowaną, azatém pewniejszą i tam poszedł. Ku południowi napotkałem samotną izbuszkę w której się dowiedziałem, że zbliżdził. Wskazano mi drożynę bardzo niewygodną, która stanowiła przejście do drogi właściwej, nią poszedłszy i nikogo do późnej niespotkawszy nocy, zanocowałem na drodze. Nazajutrz szedłem nią dalej i nieco z południa zstąpiłem na pierwszy od wierzchu szczybel Uralu, drożyna ta dopiero u tej góry na właściwą wyszła drogę. Ta góra, jak sam szczyt Uralu, przez który przechodziłem, mają swe nazwiska, które zapomniałem. Zacząłem się spuszczać z tej góry dość miejscami przykręj, i ku wieczorowi doszedłem do wioski u samego jej podnóża położonej. Ta wieś należała do jakiegoś prywatnego obywatela rossyjskiego, ale ani tego obywatela ani tej wsi nazwiska nie pamiętam. Przeszedłszy tę wioskę, w której się wcale nie zatrzymywałem, poszedłem dalej i już późno w nocy, napotkawszy izbuszkę w niej zanocowałem.

W tych izbuszkach zwykle bywa mąż z żoną czyli dziad i baba, a często się zdarza że sam tylko mężczyzna w nich się znajduje, tam się o pasport niepytają. Przenocowawszy i przewidziawszy odzienie w dalszą rano puściłem się podróż. W tém usłyszawszy za sobą dzwonek jakby jaki zasiedatel lub sprawnik jechał, udałem się w bok drogi w las, i dopiero jak odgłos dzwonka minął wyszedłem z kryjówki. Tak zawsze robiłem gdy uży-

szął dzwonek czy za mną, czy naprzeciw mnie odzywający się. Wkrótce napędzili mnie jamszczyki z Irbiti do Czerdyna przez Solikamsk jadący. Przyczepiłem się do nich i miałem dosyć czasu przypatrzeć się jak oni jadą i jakie pokonywają trudności i przeszkody. Sani jednokonnych było do trzydziestu, jamszczyków tylko siedmiu; gdzie równa droga, jadą wszyscy razem, jeżeli droga idzie środkiem lasu a nie jest górzysta, jest najlepszą, bo konie idą drogą ubitą, z której niemogą się zmylić: po obu stronach takiej drogi, stoją prostopadłe mury śniegu, ale tak wysokie, że koń lub człowiek wśród nich jadący czy idący, zupełnie znika. Droga zwykle w lasach jest tak wązka, że dwoje sani minąć się nie mogą. Ztąd jeżeli się zdarzy, że kilka lub kilkanaście sani naprzeciw siebie jadących spotykają się razem, natenczas partya mniejsza lub z mniejszym ciężarem jadąca w śnieg zwracać musi; wpychają się konie z saniami do śniegu, gdzie niekłamiąc, nie tylko sanie, ale i konie z uszami toną. Po rozwinięciu się, ludzie obuch partyi pomagają nawzajem sobie wyciągać konie i sanie; takie rozmijania się są bardzo przykre, choć jednak dość często zdarzają się. Jeżeli jamszczyki jadą po płaszczyźnie nie leśnej, wzniosłej czy wklęsłej, gdzie niema z przyczyny zamieci wyraźnej drogi, tu jeszcze stokroć przykrzejsza podróż, bo koń ani jamszczyk nie będąc pewnym, kędy jest dobra droga, idą prawie po omacku: ztąd zdarza się często, że koń z całym ciężarem ładownych sani, albo w śnieg, albo nawet w głęboki dół wleci; potrzeba tedy konie wyprzagać i jego samego i sanie wyciągać. Albo jeżeli droga niemając ścian pewnych, jest pochyłą na jedną, na drugą, lub na obie strony, sanie idąc w zatokę, konia za sobą wciągają i oboje toną w śniegu lub dole. Jeżeli ładunek sani tego jest rodzaju, że potrzeba jest wielkiej objętości, jak n. p.: konopie, len, futra, których się zbierze 20 lub 25 pudów (800 lub 1000 funtów) na jednego konia i na je-

dne sanie: to się sanie wywracają a wywracając się, często i samego konia wywróca. W miejscach górzystych, i skalistych, albo urwistych, gdzie się ogromne z tej przyczyny robią po drogach wyboje w głębokim śniegu, koń nawykły, z całym ciężarem skacze w tę przepaść, z której z wielkiem wysileniem sił swoich i przy pomocy ludzi może się zaledwo wydostać. Pod przykrą górą jamszczyki zaprzęgają po dwa konie do jednych sani i wyciągają naprzód jedną ich połowę a potem drugą. Zdarzają się w górach Uralskich miejsca tak trudne do przeprawy, że jamszczyki ledwie 20 werst (3 mile polskie) na dzień ujechać mogą. W takich to przeprawach ludzie i konie wiele trudów ponoszą, a wiele koni ginie. Z Irbiti do Wielkiego Ustjuga po drodze, po której jamszczyki jechali, dość koni nieżywych leżało. Moskale jamszczyki, są ludzie na wszystkie niewczasy, trudy, do nieuwierzenia zahartowani; można powiedzieć, że to są ludzie żelazni, którym nic nieszkodzi. Kiedym się spotkał z jaką bandą jamszczyków w trudnej przeprawie będącą, pomagałem im w tych trudach: bardzo mi byli wdzięczni: a ja tymczasem korzystałem z ich towarzystwa i rozmowy, dowiadując się o tém wszystkiem, choć nieznacznie, co mi było potrzebnem do wiedzenia. Takim i tym podobnym sposobem podróżując, przybyłem jednego wieczora do izbuszki, gdzież zanocowałem. W niej mi opowiadano, że niedźwiedzie wielkie szkody czynią mieszkańcom, rozdzierając bydło i konie; a na moje zapytanie, czemu na niedźwiedzie niepolują? gospodarz izbuszki odpowiedział: a koby ich wypolował, tak ich jest wiele. Przymtem rzekł dalej: niekiedy pies odważy się śledzić i zdarza się często, że jeżeli zwącha jego łożysko, stuli uszy, zwiesi ogon i przejdzie obok niego, żadnego niedawszy hasła.

Z przyczyny jednostajności drogi, niemożności wywiedzenia się dokładnie o wszystkiem, ważniejszych szczegółów mojej dotychczasowej podróży dać mi niepodobna, a nawet nie mogę pamiętać w jak długim czasie tę po-

dróż odbyłem; dość powiedzieć, że różnemi drogami, drżynami i lasami, przechodząc przez wioski i izbuszki, jednego dnia wraz z jamszczykami przybyłem do miasta Solikamska w permskiej gubernii na zachodniej części Uralu a zatem już w Rosyi położonego. Zachodnia pochyłość gór Uralskich zdawała mi się mniej przykrą ale szerszą.

Począwszy od Timmieni miasta położonego u ostatecznej pochyłości gór Uralskich na wschodzie, ta pochyłość zaczyna się stopniami podnosić: znajdują się jednak w tej części bardzo obszerne doliny, a wsie w nich duże i zamożne, znać że ziemia jest urodzajna; lasów tu nie wiele. Zbliżając się ku Irbiti, pochyłość coraz się podnosi: tu już są doliny głębsze, przepaścijsze, ziemia mniej urodzajna. Od Irbiti do Werchoturja droga idzie po wyniosłej płaszczynie przeplatanej dolinami, w wielu miejscach skalista: wsie zaczynają tu należeć po większej części do zakładów fabrycznych górniczych, tak skarbowych jak i prywatnych: tu już lud mniej jest przemyślny jak rolniczy, bo grunt górzysty, kamienisty, a zatem mniej urodzajny; wsie rzadsze ale duże lasy wszelkie. Od Werchoturja przez Pandę aż do Solikamska, wyjąwszy sam szczyt gór Uralskich i ich bezpośrednie pochyłości, gdzie żadnych wsi niema, wsie są rzadsze, niewielkie, choć dobrze pobudowane, ale ubogie w zboże, zamożne jednak w przemysł i wyroby; biedy na mieszkańcach nie widać, są weseli, przezorni i jakby kontenci ze swego losu. Każda tu niemal wieś należy albo do jakiej fabryki górniczej prywatnej i mieszkańcy tych wsi są najbiedniejsi, stosunkowo do wsi innych, albo do wieśniaków poddanych płacących czynsz swojemu dziedzicowi i ci są najszczęśliwsi. Skarbowych wsi jest tu bardzo mało.

Jedna rzecz mnie zastanowiła w tych stronach, to jest język ich mieszkańców. Już począwszy przez Irbitią i dalej przez Werchoturję do Solikamska i do Czerdyna, a szczególnie po obu stronach gór Uralskich, język mniej

jest zbliżony do języka ruskiego, ukraińskiego, niż do rosyjskiego. Rasa ludzi inna, odmienna od rasy rosyjskiej, jednym słowem, w mieszkańcach tych stron wiele podobieństwa tak w języku jak w ich powierzchowności do naszego ludu ruskiego ukraińskiego około Dniepru mieszkającego. Nie są to przypadkiem potomkowie tych nieszczęśliwych Kozaków ukraińskich, których po zwycięstwie Karola XII i Mazepy pod Puławą Piotr wielki i jego następcy do kilkudziesięciu a może więcej i sta tysięcy wysłali w głąb na północ Rosyi do kopania kanałów, ażeby się pozbyć z Ukrainy zuchwałej rasy kozackiej z niechęcią znoszącej jarzmo rosyjskiego despotyzmu, po dobrowolnym oderwaniu się przez Chmielnickiego od Polski, a czego Kozacy później mocno żalowali. Wiadomo, że mało który Kozak z tych stron północnej Rosyi wrócił na Ukrainę, a niepodobna ażeby tak wielka liczba ich wymarła: zostawiono tedy ich do zaludnienia borów i szczytów Uralu.

Domy wsi w tych stronach są pobudowane sposobem, o jakim już mówiłem, a przyjętym w całej północnej Rosyi, to jest: z belek drzew grubych w zręb składanych, z przedpułapem i niebielone. Cerkwie w tej części jak i w całej gubernii permskiej są murowane, okazałe i w wielkim na zewnątrz i wewnątrz porządku, rzekłbym, w bogactwie utrzymane; dachy ich to jest kopuły zielono malowaną blachą pokryte i ogrodzone sztachetami. Z widoku cerki wniesć można, że i księżom musi się tam nieźle powodzić. Drzewa jodłowe, sosnowe, modrzewiowe, słowem szpilkowe, którego Ural i jego pochyłość wschodnia i zachodnia są pokryte stanowi, lasy piękne, gęste, niezmierzone, bardzo wiele jest drzewa masztowego i zdatnego do jakiegokolwiek budowy lub rękodziela. Drzewa jodłowe szczególniejszą są zadziwiającą objętością, wysokością i pięknoscią. Droga którąm szedł przez Ural, a która jest jedną z główniejszych, jest niepraktykowana latem dla powozów z pewnym ciężarem: i dla tego tylko

zimową porą jamszczyki po niej jeżdżą. Prawda, że rząd rosyjski od niejakiego czasu, dla komunikacyi i handlu chce tę drogę uczynić więcej sposobną do jazdy, i już w wielu miejscach, szczególniejszą ze strony zachodniej Uralu, powytykał, porównał i powycinał las na drogę: ale to można w stosunku roboty, jaka jeszcze pozostaje do uskutecznienia uważać tylko projektem.

Chleba funt w tych stronach kosztuje 5 do 6 kopiejek (3 grosze polskie); zwykłym pokarmem mieszkańców jest ogrodowina, a najwięcej rzepa, kapusta, kasza jęczmienna, lub owsiana, kwas, jagody leśne i tym podobne. Od Werchoturja i dalej na północ kartofli nie widziałem.

ROZDZIAŁ XXVI.

Dalszy ciąg podróży z Solikamska, przez Czerdyn, Kai, Lalsk, do Wielkiego Ustjuga (gubernije Permska, Wjatska i Wołogadzka). Miasto Wielki Ustjug. Opis tej części kraju. Przygody tej podróży.

Bruksella (Belgia) 8 września 1849.

Miasto Solikamsk jak na tamieczną ludność i swe przeznaczenie jest dość obszerne, choć nie bardzo porządnie z drzewa pobudowane: znajdują się w niem jednak i domy murowane, jedyną jego ozdobą mogą się nazwać cerkwie, których jest kilka. Muszą w tém mieście być i jakieś kuźnie, bo bardzo wielu spotkałem w niem ludzi czarnych jak węglarze, a niektóre ulice miasta są węglem dobrze poznaczone, co nadaje im widok nieochędnostwa i nieczystości. Widziałem tam tuż pod miastem w najniższej jego części wiele budynków w kształcie ostrokęgów ściegłych dość wysokich; mówiono mi, że to były studnie słonój wody, z której później sól warzą: ztąd te studnie i inne budynki do nich należące, nazywają się Solowarnią, to jest Solowarnią. To miasto i te zakłady należą do jakiegoś prywatnego obywatela rossyjskiego. Nie zatrzymując się ani chwili w tém mieście wraz z jamszczykami przeszedłszy je tylko, puściłem się dalej. Oprócz części wschodniej, gdzie są lasy, z innych części miasta

odkrywa się dość obszerna i bezleśna płaszczyna, ale droga sama szkaradna i wyboista. Ku wieczorowi napędziłem kilku mężczyzn i kobiet z prostego stanu udających się na odpust do Solowieckich monasterów: a ponieważ i ja odtąd wzięłem za pozór mojej podróży pielgrzymkę do tych monasterów, więc złączywszy się szliśmy razem i razem w jednym domu w najbliższej zanocowaliśmy wiosce. Bohomolców czyli pielgrzymów chyba tylko władze pytają o pasport; u ludu zaś rossyjskiego, choć półbarbarzyńskiego, ale mocno wierzącego, jest przekonanie, że człowiek odprowadzający pielgrzymkę do miejsc świętych, złym człowiekiem być nie może, a przynajmniej że nie jest złodziejem lub rozbójnikiem: ztąd w całej Rossyi jest wielkie dla pielgrzymów poszanowanie. Zdarza się często, że nie tylko pielgrzyma w dom swój przyjmą, co mają sobie nie tylko za obowiązek sumienia, ale nawet za błogosławieństwo nieba, lecz nadto nakarmią go i napoją nie za to nie wzięwszy; chyba w domu bieda jest tak wielka, że zgoła nie ma czém się podzielić z pielgrzymem. W tej części Rossyi, (o innych częściach wiedzieć z pewnością nie mogę) lud ma tyle ufności w pielgrzymach, że im daje nawet pieniądze, aby za nie na intencyą dawcy pielgrzym postawił zapaloną świeczkę przed cudotwórcą miejsca, do którego się udaje — co z największą akuracją jest wypełnianem. Rzeczywiście, cały lud rossyjski, o ilem go poznał, jest szczerze wierzący, bogobojny, a ztąd mający zasady wielkich cnót prywatnych i towarzyskich: szkoda tylko, że całą pobożność po większej części zasadza na powierzchownem wypełnieniu religijnych przepisów, że nie rozumie, nie może nawet rozumieć wewnętrznej i moralnej ich mocy, ani czi ich piękności; że niema i mieć niemoże czystego i zdrowego pojęcia o religii Chrystusa, w dzisiejszym swym stanie, bo wszystko się spiknęło przeciw moralności i szczęściu tego ludu: rząd despotyczny, ciemnota ogólna a zabobonna rossyjskiego duchowieństwa, zostającego pod bezpośrednim wpływem

despotycznego rządu, a następnie niemającego ani wolności, ani możności wyrobienia w sobie i wpojenia w lud czysto świętych zasad religii chrześcijańskiej; słowem, ciało i dusza tego ludu jest w niewoli.

Moi spółpielgrzymi i spółtowarzysze długą zmęczeni podróżą, bo byli z bardzo daleka, postanowili kilka dni wypocząć, co mi było wcale nie do smaku, bo chciałem jak najprędzej i jak najdalej od granic Syberyi się oddalić, a przytém wspomniawszy na odległość, jaka mnie dzieliła od Francyi i na szczupłe zasoby, nie miałem ani chwili do stracenia, nazajutrz zatem poszedłem sam jeden dalej. Szedłem czas jakiś należytym gościńcem, ale powstała zamieć ze śniegiem i mocnym mroźnym wiatrem północnym i zbiła mnie z toru; zbłądziwszy zatem inną poszedłem drogą. Kto niewidział północnych zawiei, ten niema o nich wyobrażenia. Ani bożego świata, ani drogi niewiadać. Często w tych gwałtownych zawiejach durałem się z nimi ile mi tylko sił starczyło, jak Arab pustyni, ten Emir Mickiewicza durał się z uraganem, z tą tylko jedną różnicą, że uragan pokonany prysnął przed nieugiętą wolą i siłą Araba, ja zaś przed moim Boreuszem dmiącym silnie w oczy wiatr ziębiący członki i miotający śniegiem, bardzo prozaicznie pod śnieg lub w las się schowałem. Po kilku dniach przykrój wędrówki dobiełem się pod samo miasto Czerdyn, przez które niepowinieniem był przechodzić, gdyż ono było daleko z drogi na prawo. Po zwykłych a wiadomych już noclegach potrzebowałem ogrzania się i wypoczynku, wstąpiłem więc do odosobnionego i daleko od miasta położonego domku; gościnnie przyjęty jako pielgrzym od gospodarza, pozwolono mi w nim przenocować i przesunąć się; choć była zima, plugawe rozbactwo mocno już mnie było osiadło, a to jest jedna także z niemalych nieprzyjemności: a oczyścić się z niego nie miałem ani sposobności, ani czasu. Po kolacyi gospodarz poczęstował mnie brażką, którą po raz pierwszy w mém życiu pilem. Brażka, jest to napój zrobiony z mąki ow-

sianej i przefermentowany, ale niewiem jakim sposobem; smak ma przyjemny, kwaskowaty, a tak mocna, że po wypiciu kwarty zaszumi nieco w głowie, żołądek się rozgrzeje i człowiek się nieco rozweseli. Do jój smaku jednak trzeba się przyzwyczaić. Ta brażka w północnej części gubernii permskiej i w przytykających do niej częściach gubernij wjatskiej i archangielskiej zastępuje miejsce kwasu powszechnie w całej Rosyi używanego za zwykły napój codzienny.

Gospodarz który z parę razy chodził sam do solowieckich monasterów i do innych miejsc świętych, których w tych stronach jest bez liku, wiele mi o monasterze solowieckim i o tych miejscach, ciekawych rzeczy powiedział, a między innemi wymienił o mil kilka od Czerdyna odległe miejsce, którego niepomnę nazwiska, gdzie się znajduje także jakiś święty cudowny i gdzie za bardzo dawnych czasów, kiedy książęta rosyjscy prześladować się o podziały wzajemnie, okrutnie i dziko się z sobą obchodzili, był uwięziony i zakuty w kajdany jakiś książę rosyjski i tam zamknięty w lochu na całe życie, życia w nim dokonał. Zapomniałem nazwiska tego książęcia. W guberniach permskiej, archangielskiej, wjatskiej i wołogodzkiej, słowem w całej tej części północno-zachodniej Rosyi mnóstwo jest duchowieństwa, cerkwi, kaplic, i kapliczek po lasach i drogach, a najwięcej miejsc wslawionych cudami, z których najwięcej korzystają popi, nie zaś święci.

Przenocowawszy, obszedłem miasto Czerdyn i wszedłem na jakąś drogę, z której ledwo wybrnąć mogłem, taki śnieg był głęboki; konie tych co jechali saniami literalnie topiły się w śniegu. Od Czerdyna zaczyna się kraj płaski, niski, wielkimi i nieprzebytymi lasami pokryty i bagnisty i dla tego zimową porą najsposobniejszy do podróżowania. Był to podobno już początek marca 1846 roku. We dnie czasem słońce dosyć pięknie świeciło, ale w nocy znowu mróz, a nazajutrz burza i za-

wieje; często w dniu jednym masz odwilż, słońce i zamieć; czas najniegodziwszy do podróży. Niepamiętam już w jak długim czasie droga, którą szedłem, zaprowadziła mnie na rzekę Kamę, po której jeżdżono i na której był gościniec, którym poszedłem dalej. Po obu brzegach rzeki Kamy, gdzie nigdzie były małe wioski z kilku domów złożone i w lesie pobudowane, wiele także było zupełnie odosobnionych i samotnych domków. Po kilku zatem dniach podróży i zagniony potrzebą, zaszedłem do jednego takiego domku dla posiłku, ciepłego noclegu i przewidziania się. Jako bohomoлец, to jest pielgrzym, byłem dobrze przyjęty. Gospodarz szył bóty dla siebie, naprawiał łapcie, a młoda gospodyni przędła kądziel. Po chwili gospodarz zapytał mnie o pasport, który mu pokazałem, spojrział i nie niepowiedział; kiwnął tylko głową na znak, że jest zadowolony. Ośmielony formalnością udaną mojego pasportu i znacznym już oddaleniem się od Syberyi, byłem nieco pewniejszym siebie i w razie potrzeby śmiejąc mój pasport pokazywałem, rozumie się przed tymi, którzy się na nim znać dobrze niemogli.

W tej części gubernii permskiej są już właściwi tak nazwani Permiaki, zapewne pokolenia fińskiego nazwanego po rosyjsku czechoński. Permiaki mają swój odrębny język wcale różny od rosyjskiego swoim pochodzeniem czyli etymologią. Permiaki mężczyźni mówią jako tako po rosyjsku, ale wiele jest kobiet, z którymi rosyjskim językiem rozmówić się bardzo trudno, chociaż wszystkie modlą się po rosyjsku, bo są religii greckiej; a gdy z tego powodu zapytał jedną Permiaczkę, czy rozumie pacierz, który mówi? odpowiedziała, że wcale nie rozumie, ale ją tak pop nauczył, więc potrzeba mówić. Kobiety Permiaczki w ogóle są brzydkie, chociaż są wyjątki i szkaradnie głowę ubierają, jest to czepiec zwykle z jakiej materii pstrój lub tła ciemnego, szerszy u góry i dla formy obręczą wszytą rozpięty, a węższy u dołu, słowem w kształcie czapki bez denka, ale bardzo niski i płaski,

a tak szkaradny, iżby najpiękniejszą twarz oszpecił, nadając jej wyraz nieszlachetny, coś naksztalt kaszkieców dawniejszych piechoty austriackiej. Ale wracam do moich gospodarstwa. Gospodarz choć już niemłody, ale zdrowy, czerstwy i silny mężczyzna, a do tego bywalec rozmaite mi od czasu do czasu robił zapytania lub opowiadał swoje wypadki; lecz młoda, ładna i ujmująca jego żona, choć wśród lasów wychowana, nieodrodna jednak od płci swojej, lubiącej zawsze coś świegotać, z taką uprzejmą natrętnością o wszystko mi się rozpytywała, z taką o cém mówiła, wyrażała się płynnością i tyle w niej było prawdziwie wdzięku kobiecego, że przedmiot rozmowy ciągle był nowy a nawet często w ambaras mnie wprowadzający. Być może, iż moja poważna postać pielgrzyma pokutnika wzbudziła w niej ufność ku mnie, bo gdy mąż wyszedł za jakimś interesem, z kolei mowy i wzdychając często rzekła do mnie: gdybyście wy wiedzieli, jaką ja jestem nieszczęśliwą, mam męża, do którego serce moje przylgnąć nie może, bom była przymuszona wyjść za niego. — Przecież jest przystojny i zapewne, że cię kocha, a dzięki Bogu biedy u was niewiadać, twój wstręt do niego jest niesłuszny. — Wszystko to prawda, na niczem mi niezbywa, a on mnie kocha aż do zazdrości; ale cóż, kiedy im więcej mnie kocha, tem go więcej nienawidzę, jego miłość jest tak ekliwą dla mnie, jak trucizna, cóż ja winnam, że go kochać niemogę, ach jaka ja nieszczęśliwa! i rzucawszy wrzecziono zaczęła szlochać. Przyznam się, że w prawdziwym był kłopotcie, bo ja, niestety! nie bardzo twardego serca; ale moje położenie było zbyt poważne, niedozwalające mi najmniejszego zapomnienia się. Mimo zatem wszystkiego, poglaskawszy ją, jak dziecko, po rozpalonem a gładkiem czole, zacząłem jej czynić rozmaite poważne i moralne uwagi i cieszyć nadzieją. Słuchając, rzekła nakoniec: Wy bardzo dobrze mówicie i ja to sama bardzo dobrze rozumiem, ale cóż kiedy mi życie nie mile. Pomyślałem sobie: rób co chcesz z kobietą, rady

jój niedasz, aż zaspokoisz jój serce; odsunawszy się tedy od niej, wkrótce poszedłem na przedpułap i tam położywszy się, moralizowałem jak mogłem i z większą mocą, bo byłem bezpieczniejszy. W tém nadeszła jakaś kobieta średniego wieku, miła, ale bardzo schorowana matka dzieciom; ta dowiedziawszy się od mojej gospodyni, żem boholec i udawałem się do solowieckich monasterów, dała mi piętnaście kopijek miedzią ($7\frac{1}{2}$ gr. polskie), prosząc mnie, abym na jój intencją postawił świece przed świętymi cudotwórcami Zosymą i Sawatijem. W ułożeniu tej kobiety, w całej jój postawie było coś jakby natchnionego, jakby anielskiego; zdawała się więcej należeć do przyszłego świata, niż do ziemskiego. Widok tej niewiasty uspokoił mnie zupełnie i wzniosłe, szczytniejsze w mém sercu obudził uczucia i obowiązki. Któż ten tajemniczy wpływ człowieka na człowieka, a szczególniej pleci na nas mężczyzn wytłómaczyć może? Czyż nasze uczucia nie są pod niejakim względem tylko zwierciadłem, w którym się żywo odbijają uczucia kobiet? Jeżeli tak jest, to dobre i moralne wychowanie i ukształcenie kobiet powinno być jednym z najglówniejszych a może i najpierwszym obowiązkiem każdego dobrze uorganizowanego i pojmującego swe wysokie powołanie towarzystwa. To dawanie na świece bohomolcom pieniędzy tak jest pospolite w tamtych stronach Rosyi, że jadący nawet drogą, a spotykający bohomolców, dają im pieniądze. Tym sposobem w ciągu mojej podróży do solowieckich monasterów naskładano mi do dwóch rubli assygnacyjnych (3 złtp. i gr. 10).

W tych stronach lesistych i bagnistych gdzie chleba mało, można poznać zamożność gospodarza po ilości worków napelnionych zbożem i ustawionych w kącie izby pod obrazami, u mego gospodarza takich worków korecowych było ze sześć. Przenocowawszy, i kupiwszy jedną bułeczkę chleba, bo więcej niebyło pieczonego, w dalszą puściłem się podróż. Dzień był piękny i słońce świeciło, nawet dogrzewało: było mi wesoło i błogo, rzuciłem rzekę

Kamę i udałem się drożyną na prawo w las; minąłem w lesie parę kaplic i jedną wioskę i zaocowałem w lesie. Nazajutrz rano wstawszy, trudno, prawie niepodobna było patrzeć na świat, taka zamieć, taka burza, ani śladu drogi zasypanej śniegiem, poszedłem jednak, ot tak na pamięć, niebędąc pewnym, czy dobrą szedłem drogą. — Szedłem dzień cały, ani człowieka, ani izbuszki, ani wsi niespotkawszy. Przenocowawszy zwykłym sposobem, szedłem dalej, ale w krzyżowaniu się choć rzadkich dróg w lesie, a raczej ich śladów, niemogłem wiedzieć, która z nich jest prawdziwą, a przynajmniej taką, coby mnie do jakiej wioski lub izbuszki zaprowadziła. Błądziłem tedy na dobre a i chleba już niestało. Siły słabły, bo chcąc wyjść na dobrą jaką drogę, nieszczędziłem kroku po głębokim brnąc śniegu i choć zawierucha nieustawała. Dzień następny błądziłem cały, przychodziłem już do rozpacz i ledwie już iść mogłem, bo głód srodze się czuć dawał i byłem na siłach zupełnie omdlały. Ku wieczorowi niebo się wypogodziło i mróz mocny zastąpił miejscem zawiei, głód i zimno okropnie mnie dręczyły, spać niemogłem tej nocy kurcząc się i wijąc od bólu i czczości. Wywłókszy się z legowiska, powitałem dzień piękny i jasny, omdlałem i niepewnym już spojrzeniem: czarna tęsnota, smutek i zwątpienie wstąpiły w mą duszę. Ani śladu jakiegokolwiek drożyny, a na około tylko las i las; orientuję się po słońcu, po mchu na drzewie, chcę iść dalej, ale już nogi niesłużą, mdło mi się robi, z czczości dostałem jakby zawrotu głowy; dobywam jednak sił ostatnich podpierając się kijem, łyż mi się do ocz ciska, wzywam nad sobą Boskiej opieki i ją przeklinam; narreszcie po niedługim passowaniu się zupełnie omdlały padam pod drzewem, kurez żołądka mocno mnie dręczył; usiadłszy, oparłem się plecami o drzewo i wśród cierpień duszy i ciała trudnych do opisania, wśród modłów i bluźnierstw, rzekłem do siebie: Więc niezadługo tu w tej puszczy, pod tém drzewem wszystkie moje cierpienia i na-

dzieje się skończą, i zagnałem już na wieki i całą duszą mą ojczyznę, mych przyjaciół i drogie sercu osoby. Wkrótce sen podobny do jakiegoś odurzenia i z szumem w głowie zaczął mnie morzyć, byłem jakby zdrtwiałym mimo bólu, jaki czułem wewnątrz. Jak długo byłem w tym stanie, wcale niepamiętam, bo całą duszą byłem już na tamtym świecie. W tém jakiś donośny głos mnie ocucił: otworzywszy oczy ujrzałem tuż przed sobą, a raczej nad sobą stojącego człowieka. To zjawisko, ten cud dla mnie nadprzyrodzony, tak mnie zelektryzował, tyle wlał od razu w me serce nadziei, ducha i energii, że prawie zapomniałem mojego ówczesnego położenia i stanu. Nieznajomy rzekł do mnie: Co ty tu robisz? — Zabłądziłem. — A zkąd jesteś? — Od Czerdyna i idę do sołowieckich monasterów, ale w czasie téj zamieci zbilem się z drogi i od kilku dni już nic niejadłem. — To niewielka rzecz, żeś zabłądził, my tutejsi, a błądźmy często i przepadamy, źleś zrobił, żeś w czasie téj zawiei puścił się w drogę, potrzeba było ją przeczekać. No, napij się trochę wódki, widzę, żeś z sił opadł (otoszczał), to cię trochę pokrzepi — i dobywszy z tajstry czy drewnianą, czy tylko skórą oprawną flaszkę, podał mi ją. Pociągnąłem łyk niewielki, który mnie orzeźwiwszy, zaczął mocno jednak palić wewnątrz; dobywszy później kawał zmarzniętego chleba i jakiegś ryby, i udzieliwszy część dla mnie, sam się napił wódki i usiadłszy jadł wraz ze mną. Był to promyślnik myśliwy, który chodząc za zdobyczą, wracał do siebie na łyżach i ze strzelbą. Między innemi rzekł do mnie: Te lasy rozciągają się Bóg wie jak daleko, a szerokość ich jest do stu pięciudziesięciu verst, są w nich wioski, ale ty już na żadną z nich niepójdziesz, tobie iść trzeba wprost na miasto Kai pięćdziesiąt verst ztąd odległe; ztąd niedaleko jest wielka droga, z której zbłądziłeś, tam prowadząca, i tu blisko nade drogą jest izbuszka stojąca w samym środku lasu; pójdiesz naprost w tym kierunku, a najdalej za półgodziny będziesz na dobrej drodze i bli-

zko izbuszki. — Dziękuję ci bardzo, niech ci Bóg zapłaci, żeś mnie od śmierci uratował. — No, co tam, alboż to my nie chrześcianie? no, wstawaj, pójdziemy, trochę cię poprowadzę. Podniosłem się jeszcze o swojej mocy, lecz z wielką trudnością, w głowie mi szumiało od wódki; poszliśmy, on po przodzie, ja za nim, ale bardzo wolno i z ostatniem sił wysileniem. Poprowadziwszy mnie kawał dość spory i wskazawszy jeszcze, którędy mi iść potrzeba, pożegnał mnie słowy: niech Bóg szczęśliwie prowadzi; a zwróciwszy się na lewo, poszedł w swą drogę i wkrótce znikł wśród lasu. Ja idąc na prost, wkrótce wyszedłem na gościniec i postrzegłem na prawo niedaleko stojącą izbuszkę. Radość moja była do nieopisania. Dowłókszy się do téj izbuszki i wszedłszy do niej, takiego nagle zawrotu głowy i niemocy doznałem, iż ledwie udało mi się usieść, a raczej osunąć się na ławę przy stole; żółto i ciemno mi się w oczach zrobiło, nic niewidziałem, nic nie słyszałem. Po kilku minutach takich mdłości przyszedłszy do siebie, prosiłem o gorącą potrawę. Dano mi szczęć (barszczu) i chleba: rzecz szczególna, jeść mi się chciało, a jeść nie mogłem; zjadłszy zatem lekkiego, gorącego barszczu i bardzo mało chleba, i rozebrawszy się jak mogłem, położyłem się natychmiast spać na będącém tuż przy piecu, a szerokiém dla pomieszczenia kilku osób, rusztowaniu drewnianém, bez żadnej pościeli i słomy. — Było to około południa, w izbuszce było bardzo ciepło. Spałem snem nieprzerwanym do południa dnia następującego, i gdyby gospodarz był mnie nieobudził, spałbym był zapewne jeszcze dłużej. Obudziwszy mnie, rzekł: Dalibóg sądziłem, żeś ty umarł, ale ty chwala Bogu jeszcze żywy. Gospodarz był jakiś dobry człowiek. Ja zaś byłem tak spocony, jakbym się w wodzie wykapał, koszule były mokrateńkie. Obudziwszy się, uczułem ból dość wielki i przykry u końców palców nóg, rąk i uszu; wszystkie te części mimo ciepłe odzienie i moje starania, były mocno nadmrożone, choć dzięki Bogu nieszkodliwie,

czulem się tak osłabiony, tak omdlały, że trudno mi się było podnieść; położywszy nieco, prosiłem o posiłek. Dano mi jakiegoś krupniku gorącego z rybą ugotowanego; tą razą jadłem dosyć, ale nieczując się w stanie iść dalej piechotą, ciągle leżąc, zatrzymałem się na noc drugą — i dosyć dobrze spałem, mimo że pluskwy, których jest krociami w tych izbuszkach, mocno mnie dokuczały. Ale to była najmniejsza z niedogodności mojej podróży.

Trzeba coś i o tych izbuszkach powiedzieć: stawiają się one zwykle nade drogami i w miejscach odległych od wsi i miasteczek dla wygody podróżnych i korzyści ich właścicieli. W tych izbuszkach znajduje się chleb, ryba, rzepa, kapusta, kwas, rzadko kiedy wódka i inne rzeczy do wygody życia służące; znajduje się w nich także siano i owies dla koni. Właściciele tych izbuszek mieszkający zwykle po wsiach i miasteczkach dostarczają wspomnianych zapasów, które stosunkowo do ich wartości, z przyczyny kosztów dostawy i odludnego miejsca każą drożej przedawać. Na ten cel osadzają w nich albo jednego tylko mężczyznę, zwykle podeszłego wiekiem, albo męża z żoną, a to stosownie do ważności drogi nad którą izbuszka stoi i do ilości domniemaną podróżnych. Z tego samego powodu te izbuszki są mniej więcej obszerne i okazałe, albo ciasne i niekezowne. Po większej jednak części są to domki małe, ciasne, brudne i pełne plugaństwa, niektóre z nich wewnątrz są tak okopcone dymem i sadzą jak wnętrze komina. Dla wygody podróżnych jest rusztowanie szerokie i długie, niby łóżko, ale bez pościeli i słomy. Jednak mimo to wszystko, te izbuszki w tych okolicach leśnych i bezludnych zastępują miejsce najwyborniejszych hotelów i więcej dla podróżnych są użyteczne. Izbuszka, w której się na drugą noc zatrzymałem, była jedną z lepszych i wygodniejszych, a dla mnie była przytulkiem ocalenia.

Możebym był powinien jeszcze jeden dzień w tej izbuszce zabawić dla zupełnego wypoczynku i wyzdrowie-

nia, ale obawa dłuższego pobytu i chęć, prawie rozkaz serca, popychający mnie ciągle naprzód a naprzód, nie-pozwoliły mnie dłużej tam pozostać i dla tego nazajutrz, to jest na trzeci dzień, po ciepłym śniadaniu i ze sporym zapasem chleba, puściłem się na pieszo w dalszą podróż, choć sił jeszcze nie miałem, choć byłem słabym, choć palce u nóg szczególnie mocno mnie dolegały, szedłem więc wolnym i mdłym krokiem: ufność tylko w Bogu, który mnie od widocznej zasłonił śmierci, i nadzieja wolności, mnie jedynie podtrzymywały; szedłem, z częstymi wypoczynkami, dzień cały wśród tej puszczy: ale droga była pewna, bo jedna. Ku wieczorowi dwoje próżnych sani, na których odwożono siano do izbuszki, wracały do domu do Kai, dokąd i ja szedłem. Za nieznaczającą cenę wsiałem do jednych sani i do wiozącego mnie, zajechałem na noc na kwaterę. Był to biedny człowiek, co się wynajmował u właściciela izbuszki. Przejechałem miasto Kai, na drugim brzegu rzeki Kamy i na wzgórku leżące, a będące niegdyś miastem powiatowym gubernii wjatskiej, bo dom mojego gospodarza był na drugim końcu miasta. Miasto Kai, jak na miejscowość, dość obszerne, ma obszerny rynek, ale całkiem z drzewa pobudowane. Nie-dojeżdżając do miasta, obszerne nad rzeką Kamą odkrywają się ługi pokryte łożą, bo miejsce niskie i błotniste. Gospodarz mnie wiozący mówił, że na wiosnę, a czasem i latem drogi tamtędy są niepraktykowane, mimo że wśród tego ługu usypaną i wzniesioną była grobla, po której szła droga.

Z miasta Kai, wraz z innymi pielgrzymami spieszącymi do solowieckich monasterów wyruszyłem w drogę, ale dla osłabienia i bólu palców u nóg, niemogąc z nimi zdążyć, sam się zostałem. Tu mi się wielkie zdarzyło nieszczęście: od niejakiego czasu robactwo zaczęło mi dokuczać, a peruka moja znacznie się przyczyniała do jego rozmnożenia na głowie, więc ją czasami w drodze zdejmowałem. Jedną razą, niewiem jakim sposobem, zgu-

biłem ją; proszę sobie wyobrazić, czym się niezasmucił zgubą kozić peruki, która rysopis mój zmieniała; cieszyłem się jednak, że byłem już daleko od Syberyi, a łysina zupełnie się zabrudziła, jak u prawdziwego tych okolic mieszkańca. Zostawszy sam, szedłem jak mógł, nocując na przemiany: to w lesie, to w izbuszkach pobudowanych wśród lasów, które tam ciągnęły się nieprzerwanie, gdzie niegdzie tylko i z rzadka ukrywając w swym łonie niewielkie wioski. W tamtych stronach jest zwyczaj, że ludzie odpoczywający po lasach, a nawet jeśli potrzeba każe, w nich nocujący wśród zimy, kładą ogień wielki w lesie dla ogrzania się. Napotkawszy takich ognisk kilka nade drogą, to mi dało do myślenia, że i ja mógłbym mieć ogień; odtąd zatem ilekroć zanocowałem w lesie, naniecilem zawsze sobie ogień i było mi ciepło i wygodnie; jednak w takim razie zapuszczałem się w las daleko od drogi i wybierałem miejsca niskie, a nawet doly, aby ognia z drogi niebyło widać.

Niebędę dłużej nudził czytelnika jednostajnością opowiadania mojej podróży nieprzedstawiającej ani wypadków mogących zająć uwagę, ani wrażeń odświeżających uczucia, podnoszących umysł, zachęcających do wytrwania. Jedno wrażenie, jedno raczej uczucie było nieodstępnym towarzyszem mych trudów, mój podróży, mojego losu: a tém było uczucie smutku ustępujące chwilowo miejsca uczuciu nadziei odzyskania wolności i swobody. Okolica, którą szedłem, nieprzedstawiała żadnych widoków, żadnej różnorodności godnej zastanowienia się i opisanego, bo wciąż tylko lasy, niziny, śniegi i lody, a wśród nich gościniec i drożyny przechodzące przez niewielkie wioski lub miasteczka. Opowiem jednak pewne zdarzenie w krótkości i jakby ogółowo: że nie raz jeszcze mimo wszelkich ostrożności, byłem głodny, przeziębiony i zbłąkany; że w jednej wiosce, niewiadomo z jakiego powodu, nigdzie mnie na noc niechciano przyjąć i musiałem nocować w lesie; że jedną razą idąc drożyną i lasem, spotkałem naprzeciw

siebie idącego szybkim krokiem, a raczej bieżącemu człowiekowi, który w popłochu uciekając, rzekł do mnie: Nie idź naprzód dalej; dwóch rozbójników za mną goni, ciebie zabiją. Z miny, ze strachu, jaki się malował na twarzy opowiadającego, byłem przekonany, że prawdę mówił. Był to już podeszły wiekiem człowiek, zbierający po okolicy składkę dla cudownego obrazu Matki Boskiej Tychwińskiej, będącej w mieście Tychwinie w wologodzkiej gubernii. Na tę wiadomość niebardzo miłą, rzekłem do niego: Czy daleko są rozbójnicy? — Nie, niedaleko. — A więc zaczekaj, nieuciekaj, będziemy się bronili; ich dwóch i nas dwóch, możemy się z nimi popробować. — Ale dziad przestraszony, niesłuchając rad moich, zmykał co tchu do izbuszki, którą przed godziną był minął, zaklinając mnie, abym to samo uczynił. Ale żał mi było i czasu i zrobionej już drogi, niechciałem się cofać. Zostawiony sam jeden chwilę myślałem, co miałem robić? nareszcie dobywszy z lasu drag potężny, poszedłem naprzód na spotkanie rozbójników, układając plan obrony i zdeterminowany albo zginąć, albo im śmierć zadać. Szedłem naprzód całe trzy lub więcej godzin z największą ostrożnością i oglądając się na wszystkie strony, a niespotkawszy ani żywego ducha, cisnąłem niepotrzebny ciężar, jakim mnie gniótł drag ogromny, pod którym się pocilem i poszedłem dalej. Doszedłszy dnia drugiego do izbuszki, opowiedziałem jej gospodarzowi to zdarzenie. Ten mi odpowiedział, iż w tych lasach niezmiernych i nieprzebranych mnóstwo się ukrywa złodziei i rozbójników, i że rozboje nierzadko się zdarzają; najwięcej jest w tych bandach rekrutów zbiegłych od wojska.

Inną razą kiedy w jednej izbuszce wśród dnia zmuszony byłem zatrzymać się, i zrzucając z siebie odzież dla przesuszenia, zupełnie bo do koszuli rozebrany, odpoczywałem leżąc na przedpałapie; nagle ni ztąd ni zowąd dzwonek zaczął, i chwilę później wszedł do izbuszki jakiś major od piechoty i czynownik, obaj w całej

paradzie. Łatwo wystawić moje położenie. Gdyby mnie spytali co byłem za jeden? z kąd jestem i czy mam pasport? jak mieli prawo zapytać, Bóg wie co by się wówczas ze mną stało. Ale oni chwilę się tylko zatrzymawszy dla zapalenia fajek, i coś z gospodarzem pomówiwszy wyszli i pojechali dalej. Ja zaś przez czas ich obecności leżąc udawałem że śpię, nastawiwszy jak zajęć uszów do słuchania, co by mówili, i myśląc nad sposobami ratowania się, gdyby przyszło do jakiej rozprawy; sztylet był nieodstępnym mym towarzyszem, ileż byłem wówczas szczęśliwy mając go z sobą, w śmierci było moje ocalenie, smutna konieczność, ale żywo wziąśćbym się nie dał.

Tak idąc, a dwa czy trzy razy podjechawszy na próżnych saniach wieśniaków, już to jadących po jakieś ciężary, lub po ich dostawieniu wracających do domów, przebyłem jakiś zakład skarbowy, i miasteczko Noszel, z drzewa pobudowane i nad rzeką Noszel leżące. Do tego miasteczka bardzo wiele bohomolców się ku wiosnie gromadzi, szczególnie z wiatskiej gubernii, i na statkach ze zbożem gdy rzeka puści, przez Wielki Ustjug do Archangielska płynących, przybywają do Wielkiego Ustjugu, ztąd do Archangielska, a z Archangielska do solowieckich monasterów. Chciałem i ja także w Noszel aż do wiosny poczekać, ale ponieważ bohomolców to jest pielgrzymów było jeszcze w nim bardzo mało, i przez długi pobyt na jednym miejscu mógłbym się jeszcze zkompromitować, zatem poszedłem dalej. Jednego dnia spotkałem z lasu jadącego chłopca, wiozącego rzepę wydobytą z piwnicy będącej w lesie; dał mi kilka rzep surowych, które natychmiast zjadłem z wielkim apetytem, bo były bardzo smaczne i słodkie choć niewielkie, ale nawet drobne. Rzepa w tych okolicach jest bardzo ważnym przedmiotem, wielka część mieszkańców nią żyje. Sieją ją w lesie między brzezina i krzewami, równie jak sieją w tych stronach lny po lasach, wyniszczony ich część

na pole pożarem, lny w tych stronach są bardzo piękne, a tém piękniejsze jeżeli na nowinie są siane. Z tego to powodu mieszkańcy wiele lasów niszczą na ich zasiewy. Tego dnia na noc późno wieczorem zaszedłem do odosobnionego domku i daleko ode wsi położonego. Gospodarstwo Wjaczanie nieumiejący nawet dobrze po rosyjsku mówić, przyjęli mnie gościnnie, dla pewności pokazałem im mój pasport z czego byli zadowoleni. Gospodarz przed wieczerzą, ponieważ to była sobota, wziął mnie z sobą do łaźni dla wymycia i wyparzenia się, z czego byłem bardzo kontent. Łaźnia była to maleńka izdebka z kłoców drzewa w zrąb zbudowana z pułapem, ale bez dachu i bez podłogi, zupełnie tak jak w Polsce i na Wołyniu są pobudowane kuźnie. Piec tej łaźni z kamieni nieforemnych i ani gliną ani wapnem z sobą połączonych złożony, szeroki, długi i wysoki najwięcej na trzy stopy, azatém półtora łokcia kubicznego mający, ogrzewa się drzewem wewnątrz a raczej pod jego kamieniami położonem; komina niema, więc łaźnie są kurne. Kiedy się kamienie dobrze rozgrzeją, wówczas na nie leje się zimna woda, para z tąd wychodząca rozchodzi się po łaźni i w tej parze ludzie się grzeją, myją i oczyszczają. W takiej łaźni i ja się wyparzyłem, i wyszedłem z niej z odurzoną głową od pary. Z małą różnicą wszystkie łaźnie w tych stronach są w tym guście i z podobną wygodą pobudowane, wyjąwszy łaźnie miast i bogatszych mieszkańców, kupców, czynowników, którzy mają wygodniej pobudowane.

Tymczasem wiosna, choć jakby ukradkiem, czuć się dawała: śniegi zaczęły tajać, a drogi psuć się: po niektórych miejscach, jak na przykład w dolinach lepij od słońca ogrzanych, miejsce śniegów, zastąpiło błoto, a miejsce lodów, głębokie strumienie wody. Nocą i rankami mróz i gołoledź, a w dzień błoto i woda, po których brnąć potrzeba było. Słowem, podróż piesza, a nawet sanna lub jakakolwiek inna, stawała się coraz niewygo-

dniejszą, prawie niepodobną. Śnieg wilgotny i mokry padając, moczył odzienie aż do ciała, później od mrozu wszystko krzepło, tak, że człowiek cały z duszą trząsł się od zimna. Po kilku czy więcej dniach podobnej a dla niewygody trudnej do opisanja podróży, przybyłem na saniach do miasta Lalska, na rozległej płaszczynie położonego, mierniej obszerności, źle pobudowanego z drzewa i błotnistego. W tym dniu, który zdaje się był niedzielny, był w nim targ dość liczny, na którym najwięcej było ryby. Przeszedłem to miasto wcale się nie zatrzymując i zanocowałem u jednego młynarza, którego dom z młynem stał daleko odosobniony nietylko ode wsi, ale od wszelkiego mieszkania. Młynarz był stary, ale jeszcze czerstwy, wysłużony żołnierz, rad bardzo mojemu przybyciu; a że to była sobota, zaprosił mnie z sobą do łaźni, równie wygodnej, jak ta, której dałem już opis. Po wyparzeniu się, zaprosił mnie na wieczerzę, którą jadłem wraz z nim i liczną jego, choć niebogatą rodziną, ale równie pocziwą i bogobojną jak jej naczelnik. Po wieczerzy nasłał mi dosyć słomy na posłanie, na której po łaźni i po wieczerzy bardzom wygodnie i smacznom się wyspał. Nazajutrz posiliwszy mnie ciepłym śniadaniem, przy pożegnaniu się prosił mnie, abym powracając z solowieckich monasterów, jego odwiedził, co mu przyrzekłem, dodawszy, jeżeli Bóg zechce, abym tędy wracał nazad. Tymczasem nogi mi się prawie zupełnie wyleczyły, i po śniegu zsiadłym od wilgoci a rankiem twardym jak bruk, szedłem spieszno, co mówię, prawie biegłem, aby zawczasu, nim śniegi zupełnie puszcza, nim Dźwina się rozmarznie, przybyć do miasta Wielkiego Ustjuga. Im bliżej byłem mojego celu, tém więcej byłem niecierpliwym dojść do niego.

Jednego dnia około południa zaszedłem do jednego domku, daleko ode drogi leżącego, dla kupienia sobie chleba. Zastałem w nim starca może sześćdziesięcioletniego, olbrzymiej postaci, z długą siwą brodą i młodą,

może ośmnastoletnią dziewczynę, bardzo miłej i uprzejmej postaci kołysząc dziecko i przyśpiewującą mu dla uspiania. Dziad sprzedał mi chleba za cenę dość drogą, po sześć czy siedm kopijek funt. Że zaś mi się jeść chciało, dobywszy soli i kazawszy dać sobie kwasu, zacząłem chleb z solą zjadać, popijając kwasem. Dziad po dobrym obiedzie, przypatrywał się obojętnie mojemu obiadowi, który z wielkim apetytem a nawet chciwością pożywałem, rozpytując mnie się o rzeczach zwyczajnych, ale młoda dziewczyna, patrząc na mnie i kołysząc dziecę, zdawała się być rozrzuwnioną moją ucztą: bo się lzy w jej oczach kręciły. Dziad pogawędziwszy, wyszedł na chwilę z domu. Ledwo drzwi zamknął, młoda dziewczyna jak blyskawica rzuca kolebkę, wspina się na ławę i z półki dostawszy dwa smaczne pierogi pszenne z serem i masłem, przychodzi do mnie i bez mojego pozwolenia, kładzie mi je w zanadrze za kożuch. Jakby się obawiając, aby jej uczynku dziad niespostrzegł; później usiadłszy przy kolebce, zaczęła dziecko kołysać i przyśpiewywać, jakby nigdy nic niebyło. Prawdziwie, tak mnie zdekoncertowała, mnie doświadczonego i ucywilizowanego człowieka, bywalca, ta młoda naiwna, wpółdzika dziewczyna swą śmiałością, dobrocią i skromnością, żem niewiedział, jak miałem sobie postąpić? Zły i dobry uczynek razem popeliła. Zły: bo bez pozwolenia i prawie kradnąc, dała mi pierogi; dobry: bo chciała dopomódz w nieszczęściu, w jakim zdawało się jej mnie widzieć. Jakkolwiek bądź, byłem jej wdzięczny: i gdybym był sędzią lub adwokatem w tej sprawie, nietylko dałbym jej wygraną, ale dałbym nagrodę godną czulego, tkliwego i szlachetnego serca. — Była to wnuczka starego gospodarza. Wychodząc z domu, rzuciłem wzrok na młodą dziewczynę pełen wdzięczności, i spółczucia: któż wie, czy to niebyła najszczerza z moich przyjaciółek, choć nie rodaczka, a dla których na próżno poświęciłem moje dziewicze uczucia i moje przyszłość. Głęboka wiara i fatalizm ciągnący nad prze-

znaczeniem ludzi, zaciętą zwodzą walkę w sercu i sumieniu prawego człowieka. W tym względzie niema pewnika: bo czy grzech pierworodny zaciął w człowieku jasne i czyste pojęcie o jego obowiązkach, o jego przeznaczeniu; czy doświadczenie na dowodach czynów ludzkich lub na swoich własnych oparte, naprowadzą zawsze duszę niewinną i sumienie nieskalane na bezdroże wątpliwości w wyborze postępowania. Przedstawi się wówczas smutne dilemma: być szczęśliwym docześnie, lub wiecznie, to jest: wybrać życie ciała tak ponętne, tak ludzające, tak praktyczne; ale krótkie i niedoskonałe, nieszlachetne w środkach i celach; bo samolubne; albo wybrać życie duszy, ducha, poświęcające się dla szczęścia drugih, niepomne o sobie, owszem tyrańskie i okrutne dla ciała, zmysłów, słowem życie zakonne, życie Chrystusa, życie pojęte w pełnem znaczeniu katolicyzmu, niedbając o teraźniejszość, ale tylko o przyszłość. O! szczęście obiecane, uludne, szczytne i wieczne, ale kosztem szczęścia praktycznego.

W tych usposobieniach w miesiącu kwietniu, odkryłem nakoniec przed samym Wielkim tygodniem ze wzgórza północną Dźwinę pokrytą jeszcze lodem, na którym przewożono największe ciężary, i miasto Wielki Ustjug, najeżone innóstwem wież cerkiewnych. W godzin kilka podróży wszedłem do niego, przeszedłszy przez Dźwinę. Na wstępną ulicę, długiej, dość szerokiej i gdzie same tylko domy drewniane, błota co niemiara, po i za kolana, jrzalem snujących się żołnierzy, których od Werchoturja niewidiałem: tak mało w tamtych stronach jest wojska. Widok żołnierzy niebardzo mi był miłym, bo to dowodziło czujności władzy w tém mieście: ale spuściwszy się na opatrność boską, szedłem dalej na ulicę ku środkowi miasta, biedząc się co dalej począć? iść ku Archangielskowi już niepodobna z przyczyny tajania śniegów, popsutych i pozalewanych dróg, jak i wezbranych strumieni i rzek; zaczekać w Wielkim Ustjugu aż Dźwina

niepuści, aby na barkach płynąć do Archangielska, byłoby bardzo dobrze, ale czyż można tak długo poczekać bez skopromitowania się? Z tego co mi po drodze opowiadano, domniemywałem się, że o tej porze w tém mieście musiało się już nazbierać mnóstwo bohomalców, nim się drogi popsuly, i aby z tamtąd na barkach popłynąć do Archangielska; ale jako nieświadomy miejscowości, nie mogłem wiedzieć gdzie się bohomolcy zbierają i do kogo zająć wypada. Tak myśląc i wciąż idąc, zaszedłem naraz na plac, formujący rodzaj nieregularnego rynku, gdzie zatrzymałem się przed jednym sklepem jagiel i maki, dla zastanowienia się, dokąd się miałem udać? Ale ledwie się zatrzymałem, gdy w tém wyszedł z tego samego sklepu jakiś bardzo młody mężczyzna, po mieszczańsku ubrany z niewielkim workiem maki na plecach i spojrzawszy na mnie rzekł: czy nie bohomolec? Tak jest. W sołowieckij monarstyr? W sołowieckij. No i ja tam idę: czy masz kwaterę? Jeszcze nie, bo dopiero przyszedłem. No, chodź zemną, choć już tam jest kilkunastu, ale jeszcze miejsce dla ciebie, a gospodyni bardzo dobra osoba, gotuje nam jeść i chleb piecze i oto właśnie kupilem maki na chleb i jagiel na kaszę. No chodź, chodź ze mną. Rozumie się, że tej sposobności niezaniebdał i poszedłem z nim. W rzeczy samej, zastałem wszystko jak mi opowiadał. Gospodyni z chęcią mnie przyjęła, a we dwóch niewielkich izbach, bohomalców mężczyzn i kobiet było pełno na ławach, na połatiach i na ziemi. Dom ten z tego jeszcze względu dla mnie był dogodny, że oprócz bohomalców, mnóstwo tam ludzi coraz nowych przybywało i ubywało: byli to ludzie, którzy z nadchodzącą wiosną spieszyli najmować się na barki dla zarobienia grosza. O pasport nikt nikogo się niepytał, a wszystko ta cizba musiała się mieścić w dwóch niewielkich izbach: byliśmy tam naksztalt śledzi w beczie: ale cóż robić? w mojem położeniu była to schrona nieoceniona i bardzo z niej byłem szczęśliwy. I ja kupilem maki na chleb i krup owsia-

nych na kaszę i mnie gospodyni upiekła chleba. Poznałem się z mymi towarzyszami i towarzyszkami brat za brat. Młody człowiek co mnie na kwaterę z sobą przyprowadził, nazywał się Maksym, mieszczanin z powiatowego miasta Urżuma, wiatskiej gubernii; inni bohomolcy tak ci co ziemną stali, jak i ci co stali po innych kwaterach, a których liczba do dwóch tysięcy blisko dochodziła, byli z rozmaitych gubernij, najwięcej jednak było z gubernii wjatskiej.

Przyjawszy nazwę pielgrzyma, to jest bohomolca, potrzeba było wykonywać i wszystkie jego religijne obowiązki: musiałem tedy wraz z innymi bohomolcami chodzić codzień na jutrznię i nieszpór do cerkwi, żegnać się po rossyjsku, bić pokłony setnie, trzymać zapalone świeczki, a co najgorsza, popa w rękę całować: i jeszcze z tego nietylko się nieśmiać, ale zachować serio i minę pobożną. Wprawdzie w każdym miejscu, w meczecie lub synagodze, gdzie tylko ludzie zgromadzają się dla oddania czci należnej jednemu Bogu Stwórcy, bez różnicy wiary wszystkich ludzi, każdy chrześcianin może po swojemu Boga chwalić, a tém bardziej katolik w kościele greckim. Z tém wszystkiém w tém mojem przymusowóm postępowaniu było coś tak nienaturalnego, tak fałszywego, że sam przed sobą wstydić się musiałem. I tylko moje położenie może mnie w części wytłumaczyć z uczęszczania i modlenia się w cerkwi. Umiałem po rusku cały Ojciec nasz i połowę Zdrowaś Marya, a Wierzę w Boga ani zacząć. Gdyby przypadkiem podobało się popowi kazać mi pacierz mówić po rossyjsku, mógłbym się znaleźć w bardzo przykrém położeniu; szczęściem że do tego nieprzyszło. Ale jeżeli pacierza po rossyjsku nie umiałem, to za to biłem pokłonów nierównie więcej niż każdy inny bohomolec, w dowód, że prawosławnój byłem wiary; a nawiasem mam honor powiedzieć, że to niejest tak łatwo jak się zdaje, bić pokłony. Niech kto zechce, zada sobie pracy, nie sto, ale pięćdziesiąt, jeden

po drugim uderzyć pokłonów, a przekona się o skutku rossyjskich modłów. Obchodziliśmy koleją wszystkie cerkwie, najczęściej jednak lubilem chodzić do cerkwi Śgo Michała. Pop tego kościoła, będący pierwój professorem w Petersburgu czy w Moskwie, czuł powołanie do stanu duchownego i dla tego został popem, a żywa jego wiara była rozlana po piękném bladém obliczu. Lecz kiedy po skończonej jutrzni lub nieszpóroch, wyszedłszy podług zwyczaju przed wielki ołtarz, mówił na głos i po kilkakroć: Panie Jezu Chryste Synu Boga, zmiłuj się nad nami grzesznymi (gospodi Isusie, Chryste Synie Bożij, pomiluj nas gresznych), to głos jego był tak rzewno przejmującym, tak pełnym wiary, że bez wzruszenia niemożna go było słuchać i szczerzem po katolicku, choć w cerkwi rossyjskiej Boga chwalił.

Chodzić do cerkwi katolikowi z musu, modlić się w niej i bić pokłony, jeszcze niewielkie zło, gdy inaczej być niemoże, ale w Rosyi jest zwyczaj, że przed wielkanocą każdy musi się koniecznie spowiadać: tu dopiero był dla mnie sęk z wielu względów. Naprzód ja niewiem jak to popi spowiadają, mógłbym na samym wstępie zdradzić się, a powtóre, jest to akt tak ważny w naszej w każdej chrześciańskiej religii, że tu, jeżeli nie tajemnica sama, to jej forma mogłaby być naruszoną. Szczęście że się dowiedział, że kto przed Wielkanocą niedawno już się spowiadał, drugi raz przed nią spowiadać się w tym samym roku niepotrzebuje: a zatem moim towarzyszom bohomolcom powiedziałem, że się niedawno w Łasku spowiadał, czując się nieco chorym, w skutek czego ozdrowiałem, a zatem nieposzedłem do spowiedzi, równie jak niektórzy z moich spółkolegów, co tego aktu rzeczywiście dopełnili. Tak upłynął cały wielki tydzień na pokłonach i modłach. Przyszła Wielkanoc, byłem na rezurekcyi noc całą, jak to zwyczaj w Rosyi i wraz z innym powitałem dzień Zmartwychwstania Pańskiego słowami: *Chrystos woskres*, to jest: Chrystus zmartwychwstał. Smu-

tna to była dla mnie Wielkanoc, a Świącone Izami duszy oblałem, udając na pozór wesołość.

Dla uniknienia ile możności zgłębliwego i nieznośnego, bo wcale pod każdym względem niestosownego towarzystwa, rzeczywiście lubilem chodzić do cerkwi; tam spokojny i samemu sobie oddany, gorące zanosiłem w duchu do Boga modły. W chwilach nieczynności najkorzystniejszą jest rzeczą, wzniosłemi zajmować się myślami, uszlachetniającemi człowieka. A cóż jest wznioślejszego i więcej uszlachetniającego nasze serce, nasze uczucia, jeżeli nie modlitwa szczerze z serca płynąca do tego, który jest źródłem prawdziwego szczęścia i cnót najwznioślejszych; bez którego wsparcia wpadlibyśmy w zwątpienie i ujrzelibyśmy się wśród przepaści, z której nasz rozum dźwignąćby nas niemógł. Są chwile w życiu człowieka, są wypadki i przeszkody, których rozumem pokonać mu niepodobna: wówczas udaje się do siły, do mocy nadprzyrodzonej, do wiary: a wówczas na wszystko się odważa. Ja byłem w tém położeniu, gdzie rozum mój przewidywał moję tylko zgubę, wiara wskazywała mi ocalenie: otóż dla czego tak mocno wierzyłem, tak mocno wierzyć byłem powinien. W czasie téj mojej podróży, byłem w wielkiej, a ciągłej pracy ducha, która mi bynajmniej nieprzeszkadzała przedsiębrać wszystkich środków ostrożności dla pokrycia i zamaskowania się. Dla przekonania moich towarzyszy, że z prostego stanu i prawdziwy rosyjski człowiek, dla ulgi gospodarzowi, niby przez grzeczność, że mi użyczył kwatery, pomagałem mu czyścić stajnię, gnój wyrzucać, zamiatać i czyścić podwórze i wodę dla gospodyni przynosić. Słowem, maskowałem się jak mogłem i rzeczywiście byłem tak od gospodarstwa jak i od moich towarzyszy lubiony, a nazywałem się Ławrentii, co znaczy Wawrzyniec. Nim dalszą opisać mą podróż, chciałbym pierwój opisać miasto Wielki Ustjug, w którym dość długo bawiłem.

Trzy rzeki: Noszel, Iug wypływające z wjatskiej gu-

bernii i największa z nich Suchona, płynąca z gubernii wologodzkiej, zlawszy się z sobą pod Wielkim Ustjugiem, dają początek północnej Dźwinie: miasto zatem Wielki Ustjug leży w kącie, a raczej widłach, sformowanych rzeką Suchoną i Dźwiną, na lewym brzegu jednej i drugiej. Jak na tamte okolice, to miasto jest dość obszerne, nawet okazałe, choć niemal całkowicie z drzewa pobudowane; jednak wiele już jest domów murowanych i piękných, szczególniej około wielkiego rynku i nad rzeką Suchoną; te domy należą do bogatych kupców, których tu jest dosyć. Jest tam także kontora (bióro) kupca Anglika mieszkającego w Archangielsku, ale którego nazwiska zapomniałem. W przedniejszej części miasta, są trotoary drewniane, które jeżeli nieprzeszkadzają, aby na nich wody niebyło, przynajmniej niedozwalają ugrzać w błocie. Ludność tego miasta niemoże przechodzić piętnastu tysięcy. To miasto przez swoje położenie nad rzekami spławnemi, na wiosnę, a szczególniej nad Dźwiną, w świecie handlowym tych stron, jest bardzo ważne: ono jest bowiem naturalnym składem tymczasowym produktów w gubernii wjatskiej, permskiej, wologodzkiej i Syberyi, które Dźwiną spławiają się do Archangielska, a z tamtąd morzem Białem i oceanem Północnym w różne części świata. Płodami temi są: żyto, pszenica, jęczmień, owies, len, konopie, łój, skóry surowe, mięso solone lub wędzone, smoła, drzewo do budowy okrętów, lub budynków, tarcice, mąka, jagły, futra różnego rodzaju itd. W zamian z Archangielska do Wielkiego Ustjuga przywożą rybę morską różnego rodzaju, a w największej ilości stokfisz. Cukier z rafinerii archangielskiej, której właścicielem jest wspomniany Anglik, sprowadzający kassonadę czyli piasek cukrowy do Archangielska okrętami. Cukier archangielski zimową porą dostarcza się do Syberyi. Stokfisz nazywa się po tureckiemu po rosyjsku sajga. Ustjug tak jest punktem ważnym, że rząd rosyjski miał zamiar doń przenieść wszystkie władze gubernialne z Wologdy, stolicy

wołogodzkiej gubernii, w której i miasto Wielki Ustjug położone. I jeżeli dotychczas nie masz władz gubernialnych, to zapewne jest temu na przeszkodzie jego geograficzne położenie, będące na kończynach gubernii wołogodzkiej.

Najwięcej miastu dodają okazałości piękne cerkwie murowane, a niektóre na żółto malowane z dachami zieloną pokrytymi blachą: tych cerkwi naliczyłem dwadzieści dwie: cały brzeg Suchony cerkwiami jest ozdobny i dla tego z tej strony, miasto najokazaliej się przedstawia. Oprócz cerkwi, znajdują się w tym mieście dwa klasztory zakonne; jeden zakonników (czernców) obszerny, żółto malowany, na końcu miasta nieco w dole położony, pod godłem ś. Michała; a drugi zakonnic (czernic) na pięknym wzgórzu za miastem pobudowany, mniej okazały, ale wesejszy; byłem w jednym i drugim. Zakonnice podzielone na dwa chory, same śpiewają na stalach (kryłasach); stare, jak zwykle stare, są przykładne i szczerze się modlą, ale młode, żywe i wesołe trzpiocą się i często śpiewając, najszczerzej się śmieją. Widać, głupie, niewiedzą na czym modlitwa zależy, a niemając do zakonu prawdziwego powołania, sam tylko ubiór i powierzchowne obrzędy biorą za istotę reguły i za wypełnienie przyjętych na się obowiązków. Byłem zgorszony trzpiotostwem zakonnic. W przewodnią niedzielę, stósując się do zwyczajów miejscowych, poszedłem wraz z innymi na cmentarz, daleko w polu na wzniosłej płaszczyźnie położony za klasztorem zakonnic. Cmentarz obszerny i bardzo dobrze i porządnie utrzymany: niektóre grobowe pomniki z kamienia lub nawet z marmuru, były dość piękne. Na cmentarzu są dwie kaplice bogate i okazałe, w których się nabożeństwo za umarłych dusze odprawia.

Nigdzie w całej Rosyi niewidział tyle żebraków płci obojg co w Wielkim Ustjugu: ale też nigdzie niewidziałem tyle względów i miłosierdzia dla nędzy. Żebracy niesą jednak natrętni; nieprzychodzą do izby, ale

tylko pod jej okno mówiąc: proszę o jałmużnę; kto co ma, to daje; najczęściej kawał chleba lub pieroga, o którym niżej powiem, jeżeli niema co dać, to się mówi: niech Pan Bóg da i żebrak odchodzi. Dla tych żebraków jest tam szpital, a raczej dom przytułku kosztem miasta utrzymywany. W czasie mojego pobytu chciano wszystkim biednym zabronić żebrania, a wszystkich pomieściwszy w rzeczonym szpitalu, dać im kosztem miasta przyzwoite utrzymanie: to jest mieszkanie, opał, odzienie i żywie. Ale żebractwo tak się na ten dobroczynny zamiar władz oburzyło, iż wołałoby, jak się odgrażało wyjść ze szpitala raczej, niż nie żebrac, niewiem tedy co się z nimi stało? W rzeczy samej, wielu z nich żebrało nietyle z potrzeby, ile z lenistwa, a z wyżebranego chleba, którego zjeść było niepodobna, robili suchary i sprzedawali i to na pudy. Bohomolcy płynący na barkach z Wielkiego Ustjugu do sołowieckich monasterów kupują takowe suchary: ja sam kupiłem dla siebie ćwierć całą sucharów bardzo smacznych, jak mi się wówczas zdawało i to prawie za bezcen.

Kupcy tutejsi mają chwalebny, prawdziwie chrześcijański zwyczaj, podejmować każdy z nich, stósownie do swjej możności własnym kosztem, pewną liczbę, kilku lub kilkunastu bohomolców, przez czas ich pobytu w Wielkim Ustjugu, nim odpłyną do Archangielska, dając im darmo obiad i wieczerzę, a to jedynie stosując się do ewangelicznego przykazania: łaknącego nakarmić, pragnącego napoić. Są w tym względzie wielkie nadużycia: bo bohomolcy mający nawet dostateczne zapasy, nadużywają tej chrześcijańskiej gościnności. Jam się nigdy niemógł odważyć na podobną spekulacyą, mimo namowę moich spółpielgrzymów i towarzyszy. Żyłem o swoim koszcie i jak mogłem. Z maki, którą kupiłem, uczynna gospodyni upiekła mi chleba, a z krup owsianych tam najtańszych zgotowała mi rzadkie kaszy, a raczej krupniku w dużym garnku, który mi na dwa lub trzy dni wystarczał. Na-

kruszywszy chleba do krupniku, jadłem go z apetytem. Przez cały ciąg pobytu w Wielkim Ustjugu, dwa razy tylko zgotowałem sobie krupniku z mięsem: dla oszczędzenia grosza, którego nie miałem wiele, a za którym miałem jeszcze odprawić podróż tak wielką.

W garnizonie miasta było kilkunastu Polaków, ale żadnemu nieprzyznawałem się, że jestem Polak. Tu także już po Wielkiej Nocy, z rozmów samychże mieszkańców dowiedziałem się, ale sposobem najnie dokładniejszym, niewyraźnym, że był gdzieś w Polsce jakiś bunt, że kilku buntowników powieszono; ale ani czasu, ani miejsca nieznaczono; a mówiono o tym z pewnym rodzajem obawy, podszepem jakby pokryjomu i ukradkiem. Z tych pogłosek niewiedzialem co miałem wnosić; wnosiłem tylko, iż coś być musiało w Polsce (czy te pogłoski niebyły rozpущone w skutek powstania w Wielkim Księstwie Poznańskim i rzezi galicyjskiej w 1846 r. nastąłych w miesiącu lutym? a oczem mi się ani śnić mogło). Tu także czytałem w jednym bardzo starym rękopiśmie kiryłą, to jest po cerkiewnemu z tytułami pisanym, starannie utrzymanym i jak mnie zapewniano jedynym, opowiadanie życia Matki Boskiej, a raczej jej rozmowy, rady i napomnienia, jakie dawała swemu synowi Jezusowi Chrystusowi, gdy się gotował do śmierci krzyżowej. Po przeczytaniu tego rękopismu, po zastanowieniu się nad nim, uwierzyłem w jego autentyczność: tyle tam jest prostoty, tyle prawdy, tyle serca matki dla swojego syna i tyle tam gorącej miłości Chrystusa dla rodzaju ludzkiego. Chciałem ten rękopis nabyć, ale jego właściciel tameczny mieszcza- nin za żadne pieniądze pozbyć się go nie chciał. Życie w Wielkim Ustjugu jest niedrogie przez wzgląd na miejscowość: funt pięknego żytniego chleba kosztuje 6 kopiejek (3 grosze polskie), mieszanego z jęczmieniem 4 kop., pszennego pięknego 10; ryba tania, mięsa funt 10 kop. Wódka zła i bardzo droga i dla tego anim jej tu niepo- kosztował; brażki już tu niema tylko kwas. Jak w ca-

łej niemal Rossyi tak i tu pierogiem nazywają pszen- ny chleb biały i czysty. Ale oprócz pszen- nych pierogów, w permskiej, wjatskiej, archangielskiej guberniach i w Wiel- kim Ustjugu są jeszcze pierogi jęczmienne, bardzo sma- czne, a które się robią takim sposobem: jęczmień na- przód dobrze wysuszony obłupują, zapewne pod lekkim kamieniem młyńskim z wierzchniej łuski, jak to u nas robią z jęczmieniem dla pęczaku: później tak oczyszczony z łupy jęczmień miela na mąkę bardzo miałką i przedzi- wnej białości: tę jeszcze przesiewszy na cienkie sito, sto- sowną jej ilość zarabiają na ciasto, lecz nie na wodzie, tylko na mleku i to zdaje się kwaśnem: zapewne dla smaku i rostu; ciasto tak zatworzone i bardzo rzadko, z wieczora przez noc podchodzi i rośnie tak, że jest go- towe do pieczenia. Że zaś jest bardzo rzadkie a nastę- pnie mogłoby się rozplynać na łopacie lub w piecu, na- kłada się na rozwałkowane ciasto żytnę gęste, cienkie i okrągłe, którego brzegi zewsząd podniesione i w kształ- cie, jaki się pierogowi chce nadać, przeszkadzają rozply- waniu się ciasta jęczmiennego; tak przygotowane, lecz jeszcze przed wsadzeniem do pieca te pierogi, smarują się masłem, albo się posypują z wierzchu roztartym se- rem, do którego dodaje się masła, poczem sadzają się do gorącego pieca dla upieczenia się. Tak upieczone pie- rogi są białości nadzwyczajnej i smak mają przewyborny, póki są gorące a przynajmniej ciepłe: szczególnie zaś są smaczne, gdy są z serem i z masłem, jak to już powie- działem. Można także te pierogi smarować masłem, gdy już są wypieczone; ten sposób jest najpraktyczniejszy. Zcierstwie, żadnego niemają smaku, bo są lekkie, kru- che, dziurkowate i jak piasek się rozsypują w ustach. Te pierogi są miejscową łakocią. Wartoby i u nas spro- bować tego sposobu pieczenia jęczmiennego ciasta; gdy- bym był gospodarzem, niezaniebałbym próby. Jagły tu są przywożone i dość drogie; najpospolitsza kasza, której tu używają, a która jest najtańsza, jest kasza owsiana,

lekka, zdrowa i smaczna: przenoszę ją nad kaszę jeżmienną.

Miasto Wielki Ustjug ma dwóch swoich świętych cudotworców: Ś. Prokopa, który niegdyś za swojego jeszcze życia (jak miejscowe kroniki i podania świadczą) miał wstrzymać swojemi modły straszny deszcz kamienisty, jakim Bóg tę okolicę za jej grzechy ukarał. Jeden z takich deszczowych kamieni granitowych, okrągły jak kropla wody, poczerniał od czasu i niepogody, a ważący najmniej ze trzy cetnary, leży na podmurowanym i dwie stopy może wysokim słupie przy wstępie, to jest: przy samém wejściu do cerkwi tegoż Ś. Prokopa, w której także spoczywają jegoż samego zwłoki w bardzo bogatej trumnie i w osobnej kaplicy. Odkąd historia zaczyna nam czynić podania o cudach i karach bożych, to jeszcze ani mnie, ani nikomu zapewne nie zdarzyło się wyczytać, aby Bóg kamieniami ludzi zabijał, a jeszcze kamieniami takiej wielkości! Był deszcz ognisty i siarczysty, co Sodomę i Gomerę pochłoniął; spadają także kamienie natury wulkanicznej jako fenomena, których naturalisci przyczyny jeszcze nie dociekli; ale żeby rzęśisty deszcz z kamieni granitowych, jakie w górach Uralu i około Wielkiego Ustjuga się znajdują, z nieba spadł, to jeszcze nigdy i nigdzie oprócz wyż wspomnionego przypadku nie było. Jakkolwiek bądź modły Ś. Prokopa musiały być bardzo silne, gdy tak ciężką plagę od swoich ziomeków potrafił odwrócić. Święty Prokop jest uważany za szczególnego tu patrona kupców pływających i spławiających płody na barkach jako téż i tu-tejszych flisów żeglujących po Dzwini: i dla tego każdy niemal kupiec spławiający swe produkta Noszelą, Jugem lub Suchoną przybywszy do Wielkiego Ustjuga, nieomieszka nawiedzić grobu Ś. Prokopa i kazać odprawić solenne nabożeństwo za pomyślność dalszej do Archangielska podróży, a przede wszystkim nie zaniedba hojnym datkiem udarować cerkiew, gdzie świętego patrona zwłoki spoczywają. Jeżeli Ś. Prokop ma wiele czci jemu nale-

żnej, to jeszcze więcej mają zysku ci, co się jego grobem i świętością opiekują. Drugim miejscowym świętym jest Ś. Jan przezwany głupiutenki (Światy Iwan Duraczok) który za życia przez pokorę udawał głupiego, znosił obelgi z tego powodu i napominał lud do pokuty, aby świętym zostać.

Zdaje się, że już wzmiankowałem wyżej, że mieszkańcy północnej Rosyi, z powodu ogromnych, nieprzebytých lasów, gruntów niskich, bagnistych i nieurodzajnych są więcej handlowi i przemysłowi niż rolnictwu oddani. W okolicach Wielkiego Ustjuga na około o czterysta verst a sięgając ku gubernii archangielskiej jest nowy rodzaj przemysłu, a takim jest: kupcy gubernii permskiej, wjatskiej i wołogodskiej mając po kilka lub po kilkanaście barek ładowanych, a przeznaczonych do Archangielska, potrzebują ludzi umiających chodzić po Dzwini: więc dla zapewnienia ich sobie wysyłają swoich przykażczyków jeszcze z początku zimy, którzy dają flisom zadatek z umówionej ceny, z tym warunkiem, aby w czas naznaczony na wiosnę przybył na wskazane miejsce, co jak najakuratniej zwykle się wykonywa. Jedni z tych flisów obowiązują się płynąć tylko do Wielkiego Ustjuga, a ztąd inni ich miejsce zastępują, inni zaś aż do samego płyną Archangielska. Otóż gdy czas żeglugi na Dzwini się zbliża, takich najemników flisów krociami przechodzi przez Ustjug lub do niego przybywa. Jakkolwiek wielka ich jest liczba, jest jednak jeszcze niewystarczająca i dla tego barki przybywszy do W. Ustjuga prawie zawsze jeszcze połowy ludzi potrzebują i ztąd ci ostatni w tak wielkiej liczbie do Ustjuga przybywają.

Tymczasem już i Wielkanoc i przewodna niedziela przeszła, śniegi już prawie zupełnie, a przynajmniej w wielkiej części stajały, a Dzwina jeszcze lodem była pokryta, a zatem i barek nie było widać, na których chciałem płynąć do Archangielska: nudziłem się, niecierpliwiłem tak długo w jednym zostając miejscu; ale na piechotę iść było

niepodobna, takie zalewy; lecz co mnie niepokoiło, to to aby przez długi pobyt w jednym miejscu przypadkiem nie skompromitować się. Każdy wie, że z nadchodzącą wiosną i nadzieja się budzi w sercu człowieka, jak większa tęsknota i niepokój się w nim rodzi. Bohomolcy z wytężonem okiem wyglądali przybycia barek, ja nie niemówiąc, wyglądałem je chciwiej od wszystkich — nudziłem się na śmierć tą nieruchomością. Nareszcie po trzech czy czterech blisko tygodniach tęsknego oczekiwania, około szóstego miesiąca maja pierwsze się pokazały barki płynące tuż i za krą i wraz z nią jeszcze: tak nagle i gwałtownie korzystają tamtejsi mieszkańcy z możności pływania na rzekach. Lecz Dzwina jeszcze płynąć nie można było, gdyż rzeka Wyczegda daleko niżej od Ustjuga wpadająca do Dzwiny, ledwie się była rozmarzła i krą swoją wraz z krą Dzwiny wsparłszy się zatamowały odpływ Dzwiny; więc jeszcze potrzeba było czekać, a barki coraz przypływając zatrzymywały się przy Wulkszu-Ustjugu. Radość bohomolców była wielka, ale moja była do nieopisania, wypadało mi tylko jakim sposobem na te się barki dostać. Kupcy tych barek, a raczej z tych poleceń ich przykańczyki wprost z pięknego uczucia religijnego przyjmują darino pewną liczbę bohomolców na każdą barkę, rozumie się, że tak przyjęci żyją o swoim koszcie i powinni mieć z sobą zapas dostateczny chleba lub sucharów, a kto może ryby i mięsa. Ale kupcy i ich przykańczyki wiedzą także, że między bohomolcami znajdują się i tacy, którzy dopełniając ślubu odwiedzenia miejsc świętych, chcieliby także zarazem coś zarobić, i przy mniejszej lub równej innym flisom zręczności w robieniu wiosłem lub rudlem chętnie najmują się za wpółdarmo: i takich bohomolców przyjmują bardzo uprzejmie, owszem ich poszukują. Wiadomo żem wyruszył z Irbiti mając przy sobie tylko 75 rubli assyg.: żyłem za nie przez trzy miesiące, to jest: luty, marzec i kwiecień, i maj już się poczynął. Chociaż żyłem bardzo skromnie, bo prawie

samym chlebem, a w Ultingu i kaszą, stosunkowo jednak do ilości funduszów i do drogi jaka mi jeszcze pozostawała do zrobienia, znaczny w zasobach moich pieniężnych poniosłem ubytek, bo przeszło 15 rubli assag.; zostawało mi jeszcze 50 rubl. assyg. Długom się zatem wahał co miałem zrobić, jakim sposobem pomnożyć mój kapitał, gdyż droga była jeszcze tak daleka, tak niepewna; a przytém pieniądze nadaje więcej śmiałości, niepodległości, mniej wzbudza podejrzenia, słowem ubezpiecza moją ucieczkę. Nie było co robić, potrzeba było odważyć się na salto mortale. Ja co nigdy wiosła a tém mniej rudla w ręku nie trzymałem, więc za przykładem innych Bohomolców najmujących się i jam się najał do Archangielska za 15 rubli assyg. do wiosła czy do rudla, bo dla mnie było jedno. Przykaczyk trudniący się najmem, w zakład pewności wymagał pasportu: to mi było trochę nie do smaku, ale ufny w tłok, ciżbę i pospiech najmujących się, dostawszy mój pasport oddałem przykaczykowi, który rzuciwszy tylko okiem na jego pieczęć, wraz z innemi pasportami schował w zanadrze: a miał tych pasportów więcej sta, bo na dwie barki ludzi najmował. Ledwie umowa na targu wśród rynku była ukończona, każdy z nas natychmiast co tchu zabrawszy chleb, suchary, mięso, rybę, na kilku wielkich łodziach popłynęliśmy do barki stojącej na kotwicy u początku Dzwiny i opodal od miasta. To się działo, bardzo dobrze pamiętam, dziesiątego maja 1846 roku. Pożegnałem tedy z wielką ochotą gościnne miasto Ustjug po długim i nudnym dla mnie w niem pobycie. — Tu się zatrzymam nieco dalszém opowiadaniem mej podróży dla zastanowienia się nad częścią kraju, którą przebyłem od Solikamska do Wielkiego Ustjuga.

Całą przestrzeń kraju od Solikamska przez Czerdyn, Kai, Lalsk aż do W. Ustjuga można nazwać jedną wielką płaszczyzną, niską, pokrytą lasami, wśród których na małych, okrągłych a raczej wyrąbanych z lasów polach nie

wielkie pobudowane są wioski i to daleko jedna od drugiej; od Lalska jednak ku W. Ustjugowi lasy są więcej wytrzebione, więcej jest pola i wiosek. Po tych lasach wielkie obszary bagien znajduje się. Ziemia w ogóle, z małym wyjątkiem nieurodzajna. Około Czerdyna i Solikamska sięją jęczmień, żyto i pszenicę: dalej zaś tylko jęczmień i owies i bardzo mało żyta; przyczyną tego jest klimat. Ale w zamian rodzą się piękne konopie, a szczególnie piękne lny, które wśród lasów brzoźowych, wypalwszy je wprzód, sięją na nowym pogorzelisku. Wiele tu jest kapusty, buraków, a szczególnie rzepy, którą także wśród lasów sięją. Jagód a szczególnie borówek czerwonych i klukwi jest podostatkiem; jako też ryby, nabiału i mięsa, bo jest gdzie wypasać bydło, które jednak równie jak i konie jest drobne i nie pięknej rasy: ale konie są krępe i wytrwale. W miarę oddalania się od gór Uralskich nikną stopniami poddani prywatnych obywateli i nastają tylko sami właściciele rządowi. Kraj ten możnaby nazwać biednym pod względem produktów potrzebnych do utrzymania życia: ztąd to zapewne pochodzi, że niemal wszyscy mieszkańcy trudnią się przemysłem, handlem, lub idą na zarobek do fabryk skarbowych lub prywatnych w najodleglejsze strony Rosyi. Mimo jednak ubóstwa kraju, nie widać wielkiej nędzy u ludu, a mieszkaniec jest obrotny i przezorny i zdaje się szczęśliwy ze swego położenia. Samaż więc tylko swoboda, jakiej wśród swych lasów używa, jest przyczyną jego szczęścia? — Porównując stan tych wieśniaków w tych niewdzięcznych stronach osiadłych, ze stanem wieśniaków naszych na miodem i mlekiem płynącej ziemi mieszkających, jakże pierwsi są swobodni od ostatnich, a nawet od wszystkich na świecie poddanych i niewolników! o ile zatem swoboda i wolność przyczynia się do uzacnienia i szczęścia człowieka, o tyle niewola i poddaństwo upadła go i jest przyczyną jego nędzy. Mieszkaniec tych stron jest śmiały i przedsiębiorczy; o kilka set, o kilka nawet tysięcy werst idzie

na zarobek i z dobytkiem wraca do domu; jest trzeźwy i skromny, ubiór jego stanowi pilśniowy ciemny, a raczej bury wysoki kapelusz, lub czapka, kozuch lub sukmana, bogatsi mają bóty, ogół zaś, szczególnie Wjateczanie chodzą w chodakach skórzanych lub łykowych. Pokarmem tych mieszkańców jest chleb, kasza jęczmienna lub częściej owsiana, rzepa parzonka (parionka) kapusta kwaszona w główkach i buraki; czasem ryba i mięso jako też nabiał.

Rząd w tych stronach, o ile miejscowość i ludność dozwolić mogła, liczne porobił komunikacje dróg częścią ukończonych, częścią tylko wycięciem drzew w lesie oznaczonych: ale szczególniejszą swą troskliwość zwrócił na komunikacją rzek, które systematem kanałów dla ułatwienia żeglugi i handlu ściśle z sobą połączył i dla tego dowóz zboża i innych produktów z południowszych i więcej urodzajnych części Rosyi, jak równie odbył miejscowych produktów i przemysłowości do północnych prowincyj i północnych portów znacznie ułatwił. Z tego to powodu mieszkańcy tych okolic więcej mają pociągu i ochoty do dalekich podróży. Rzadko tam znaleźć wieśniaka domatora, każdy z nich prawie daleko bywał, i wiele widział i słyszał: ztąd tu daleko więcej mają rozgarnienia i sądu.

Już mówiłem, że w permskiej gubernii są Permiaki, zupełnie różni pochodzeniem od Słowiano-Rossyan; obok Permiaków we wjatskiej gubernii są Wjateczanie, a w archangielskiej około Wyczegdy i Peczory są tak nazwani Zyranie. Każdy z tych szczepów ma swój język zupełnie różny od rosyjskiego, a nawet każdy szczep ma swój odrębny język, którym mówiąc, sami siebie nie rozumieją; udzielają się tacy za pośrednictwem języka rosyjskiego, którym bardzo źle i to nie wszyscy mówią. Wnosiłoby jednak należało, że to są odłamy wielkiego niegdyś szczepu fińskiego, których Rossyanie nazywają Czuchoncami. W tych prawdziwie okropnych a bez końca kniejach i puszczach składających się po największej części z drzew szpilkowych czyli iglastych, a poniekąd i z brzeziny, któ-

rych niejednokrotnie wielkie widziałem obszary pożarem spustoszone dla otrzymania nowego pola, znajduje się wiele zwierza, jakoto: niedźwiedzi, wilków, zajęcy, lisów, wiewiórek, i bardzo wiele włośczęgów, zbiegów od wojska, złodziei i rozbójników. Z tego względu mimo czujność władza, kradzieże i rozboje dość często się zdarzają. Przytém nazwałbym tę część Rossyi, licząc w to guberniją Archangielską i Wołogadzką krajem nadprzyrodzonych cudów: dla ilości i wpływu w niej grecko-rossyjskiego duchowieństwa dla mnogości cerkwi, kaplic i kapliczek po drogach, jako też z przyczyny mnogości świętych cudotwórców i miejsc cudownych. Nigdzie, w samej nawet Rossyi tyle świętych i miejsce słynnych cudami niema.

ROZDZIAŁ XXVII.

Dalsza podróż Dzwina do Archangielska; przygody tej podróży. Miasto Archangielsk. Prózne moje usiłowania dostania się na okręt. Opis Słowieckich monasterów.

Bruxella (Belgia) 15 września 1849 roku.

Kupiec, na którego barkę się najałem, był z gubernii Wjatskiej, ale już zapomniałem jak się nazywał; miał dwie barki ladowane: jedną żytem a drugą jęczmieniem. Obie barki, jak już powiedziałem, stały na kotwicy i daleko od brzegu, do którego jednak oprócz kotwicy były przytwierdzone grubemi linami uwiązanemi do słupów wbitych w ziemię. Po przybyciu na barki zaczęto dzielić ludzi po równiej liczbie na każdą barkę; losem padło, że ja z dwoma drugimi powinienem był płynąć do drugiej barki opodal od pierwszej i na przodzie stojącej; siedliśmy tedy we trzech na małą łódkę, lecz bałwany Dzwiny silnym pędzone wiatrem tak nagle ją porwały, żeśmy nie mieli czasu od razu dobrze nią zakierować: bokiemy więc łódki mieliśmy wpaść na tuż przy nas będącą linę, na której barka do brzegu była przytwierdzona, a następnie musieliśmy się koniecznie wyrwać; gdyby to nastąpiło, w ciężkiem odzieniu, w jakim byłem, przy bystrzej, szerokiej i bałwanami pieniającej się Dzwinie, chociaż nie złe uniem

plywać, wątpię jednak, abym się mógł uratować. Szczęściem dla nas, że jeden z moich towarzyszy flis z profesyi, pewny siebie i nieustraszony, tak zręcznie w chwili największego niebezpieczeństwa wiosłem pod nad głowami podtrzymał linę, że łódka po pod nią przeszła, i cali przybyliśmy do naszej barki, chwała Bogu. Wlazłszy na barkę postrzegłem więcej 40 bark wzdłuż Dźwiny, i opodal jedna od drugiej na kotwicy stojących, tylko pomyślniej pory do podróży czekających, tak wielka ich liczba od razu naleciała.

Nie wszędzie barki jednakowym sposobem są pobudowane: opiszę więc te co po Dźwinie ze zbożem pływają. Niemal wszystkie, z małą różnicą są jednakię wielkości i objętości, długość mniej więcej stóp trzydzięści, szerokość stóp 25, kształtu równoległoboku najdoskonalszego bez nosa i ogona; wysokość zrębu stóp dziesięć, cały zrąb barki jak i samo jęj dno jest zrobione z całych brewien (drzew) ociosanych, oheblowanych w czworobok i ściśle z sobą spojonych, zbitych i mchem poprzetykanych, a nawet przedziwem, co wszystko zalewa się smołą aby woda nieprzeciekała. Wewnątrz pierwszego zrębu bez dachu, robi się zrąb drugi zupełnie pierwszemu podobny, lecz najmniej o półtóry stopy od ścian i podłogi zrębu pierwszego oddalony, i w ten to drugi zrąb dobrze opatrzone, rogożami zewsząd wysłany a równy prawie co do wysokości pierwszemu nasypuje się zboże. Między ścianami pierwszego i drugiego zrębu w środku długości barki, po lewej jęj zwykle stronie jest pompa do pompowania wody, która się sący do barki przez ściany zrębu pierwszego i na podłodze osiada. Cały ten zrąb przykrywa się dachem z mocnych desek lub dranic i na mocnych opartym krokwiach, wspierających się zewnątrz końcami na ścianach zrębu pierwszego; te krokwie a następnie i sam dach, nie są tak strome jak krokwie domu, są jednak dosyć spadziste, aby nieostrożnie chodzący mógł się z niego stoczyć; sam szczyt dachu

zewnątrznego przykrywa się mocném wiązaniem z grubego drzewa w kąt zaciosanego, którego wierzchołek albo raczej grzbiet do wierzchu, a boki wewnątrz w całej swęj długości wydrążone na dół, to jest na dach opadają. Zapewno dla mocy barki, w samym jęj środku, a przechodzący od samego spodu aż po nad dach, nad który o dwa łokcie wystaje, stoi słup pionowy, mocny i gruby, tak że jego średnica mieć może do 30 cali. Tuż obok tego słupa na dachu na lewej jego pochyłości, stoi duża kwadratowa z surowego drzewa zrobiona skrzynia, wsparta na czterech słupkach niby nogach, i do większej swęj połowy napelniona ziemią: jest to kuchnia barki. Cały dzień ogień się na nięj pali, a w nocy dla ostrożności gasi się. Nad ogniem na zewnątrznych i wysokich ścianach skrzyni, kładą się dwa drewniane poprzeczники przez całą długość skrzyni przechodzące; na tych poprzecznikach zawieszają się kociołki na drewnianych hakach do gotowania jedzenia. Z prawej strony barki na przeciw pompy, azatém w środku barki i na najniższej części dachu, jest otwór kwadratowy, którędy ludzie z dachu do środka barki wchodzi. Zboże do wierzchu drugiego zrębu nasypane przykrywa się rogożami pozszywanemi z sobą, a raczej poprzytykanemi drewnianemi dużemi iglicami. Ponieważ od powierzchni zboża, aż do dachu szczególniej ku środkowi barki jest dosyć jeszcze miejsca próznego, azatém kładą się na wierzch zboża worki z mąką, z krupami lub innemi płodami, jeżeli potrzeba tego wymaga. Tam także składają się wiktuały flisów i bohomolców. Rogoże zaś rozslane na zbożu służy zarazem za posłanie wszystkim ludziom znajdującym się na barce, flisom bohomolcom, mężczyznom i kobietom. Między powierzchnią rogoż a dachem, jest wysoka przestrzeń (4 łokcie najmniej), aby można swobodnie pod dachem chodzić, dach ten zniża się zbliżając się ku krawędziom jęgo, i dla tego wszyscy śpią głowami do krawędzi, pod które się wsuwają. Pod dachem przybijają się półki dla składania

chleba, i wieszają się torby. Z tyłu barki nad dachem i na ścianie zewnętrznego zrębu jest przytwierdzona cała ogromna jodła, której cieńsza i krótsza połowa, azatem lżejsza i z olbrzymiem co do długości i szerokości uzbrojona wiosłem spuszcza się w wodę, a dłuższa i grubsza pochyło sterczy nad dachem; cała ta ogromna masa drzewa nazywa się rudlem (rul). Podobny zupełnie rudel i tak samo przytwierdzony tylko nieco mniejszy, jest z przodu barki i nazywa się dla różnicy *ponosna*. Oba te rudle zarzucają się barkami ramionami, lub sznurami. Dla lżejszej niby manipulacji *ponosną*, to jest: przednim rudlem przytwierdza się do samego jego końca słupek długości wyrównywającej najwyżej podniesionego rudla wysokości, i mogący się z łatwością obracać, ten słupek nazywa się *dziewką* (diewka). Jeżeli zatem potrzeba zarzucać *ponosną* z jednej strony barki na drugą, to jest: jeżeli tym rudlem potrzeba odbijać dla nadania barce właściwego kierunku, natenczas jeden z flisów bierze się natychmiast do dziewczki, i kiedy rudel zostanie podniesiony do pewnej wysokości tak, że dziewczka stanie prostopadle do dachu utyka ją w miejsce na to naznaczone, rudel podtrzymany tym punktem oparcia się z większą łatwością i mocą przechyla się na drugą stronę. Na zręcznym oprawianiu się z dziewczką wiele zależy, bo gdyby przez gapiostwo lub niezręczność będący przy niej nie utknął jej w sam czas, i w miejsce na to przeznaczone, dziewczka mogłaby mu się z rąk wymknąć, a rudel całym swym ciężarem mógłby spaść na głowy tych, co nim kierują. Zwykle do dziewczki wybierają zręcznego chwata. Do większego, to jest: tylnego rudla, potrzeba sześciu do siedmiu ludzi, do przedniego to jest do *ponosnej* czterech lub pięciu. Niewiem dla czego tylny rudel jest bez dziewczki? Wogóle mechanizm rudłów, jak i urządzenie całej barki jest głupie, potrzebujące wiele ludzi, i ciężkiej, bardzo ciężkiej pracy i wysilenia, którym tylko jeden rossyjski człowiek podolać jest zdolny; tu żadnej niema sztuki,

tylko sama siła zwierzęca, muskularna wszystko działa, i sztukę zastępuje. Stosownie do wielkości barki i jej ładunku wiosel jest 30 lub 40, połowa z każdej jej strony; ale tak, że jedna ich połowa z jednej strony barki będąca, jest posunięta ku tyłowi barki, a druga połowa z drugiej strony barki będąca, jest posunięta ku przodowi. Wiosła, a raczej ich rękojeście, które niczem innem niesą tylko całemi jodłami cienkimi, przytwierdzają się także na wierzchu barki jak rudle; cięższe i grubsze ich końce na dach wystają, a cieńsze uzbrojone szerokimi wiosłami spuszcza się do wody. Wszyscy więc pracujący ludzie około barki muszą koniecznie znajdować się na jej dachu; taka barka, w którą zwykle mieści się od 24,000 do 28,000 pudów zboża, oprócz innych ciężarów i ludzi na niej się znajdujących, wystaje nad wodę stóp 5; przydawszy do tego wysokość dachu stóp 8, a barka pływająca wydaje się jak jaki spichlerz lub dom.

Barką dowodzi a raczej kieruje tak nazwany *nośnik* (szyper); ten powinien znać najdokładniej w całej jej długości łożysko Dźwiny, jej mielizny, przeszkody; a po nurcie, po barwie wody, wiedzieć powinien, gdzie głębia, gdzie mielizna, gdzie miejsce pewne, a gdzie niebezpieczne. Na *nośników* wybierają zwykle flisów doświadczonych i często po Dźwinie pływających; kupcy *nośnikom*, ludziom w tych stronach wielkiego znaczenia, bardzo dobrze płacą. On zwykle stać powinien i zawsze stoi, jak żóraw na warcie, na wierzchu dachu, pośrodku barki, około środkowego słupa, na tak zwanym koniu, to jest: na samym barki grzbiecie i patrzy ciągle przed siebie; jednem słowem, *nośnik* jest *kommendantem* barki, którego woli i skinieniu cały ekwipaż jest i musi być posłuszny: i na nim ciąży wielka odpowiedzialność. Oprócz *nośnika* na każdej barce znajduje się także tak nazwany gospodarz barki, trudniący się jedynie porządkiem na niej, między ludźmi. *Prykacz* zaś kupca ma dozór ogólny nad wszystkimi kupca barkami. *Subordynacya*

na tych statkach jest wielka i posłuszeństwo bez wymówki. Każdy musi być zawsze przy swoim wiosle lub przy swoim rudlu, aby za danym znakiem każdy ręczę i razem wziął się do pracy. Oh! wielka to praca i ciężki zarobek, tak przy wiosle jak i przy rudlach, a nadwężone zdrowie i nabyta choroba nigdy mi o niej zapomnieć nie dadzą. Do pędzenia takiej barki potrzeba 40 do 50 lub czasami do 60 ludzi.

Po przybyciu na właściwą barkę podzielono nas wszystkich na partye i na specjalności: kto do wiosła, kto do rudla. Ja byłem przeznaczony do przedniego rudla; podzieliliśmy się później dobrowolnie sami między sobą, kto z kim miał jadać i naprzemian jeść gotować. Co ukończywszy, obrałem sobie miejsce do spania na zbożu, a ułożywszy się na niem rozmyślałem, jak tu się wziąć do pracy, do której niebyłem nawykły i wesół zarazem, że już byłem blisko Archangielska, gdzie, jak sobie ułożyłem, bez trudności mogłem się dostać na jaki europejski okręt, wyjechać z Rosyi i tym sposobem uwolnić się raz na zawsze od obawy ciągle mnie dręczącej być schwytanym i oddanym w ręce władzy dzikiej i okrutnej. W tych myślach usnąłem doczekując się dnia następującego, którego mieliśmy z Wielkiego Ustjuga odpłynąć. Nazajutrz dodnia każdy już był na swoim miejscu: nośnik stojąc na swoim stanowisku donośnym zawołał głosem: *sadiś, moliś Bohu*, to jest: siadaj, módl się Bogu. Ilu nas było na dachu, każdy siadł na swoim miejscu; jeden tylko nośnik stał na grzbiecie (koniu) barki, to jest jego przywilej, a raczej obowiązek. Po minucie siedzenia wstawszy, zaczęliśmy się żegnać znakiem krzyża świętego i kłaniać, a raczej kiwać, jak to zwyczaj w Rosyi przy żegnaniu się. Poczem wszyscy flisi, nośnik, przykazczyk i bohomolcy, dla uproszenia zapewno szczęśliwej podróży, każdy wrzucił do rzeki Dźwiny pieniądz miedziany, jakby zakupując u niej pożądane względy. Chociaż poczytywałem to za głupstwo i niewierzyłem w te gusła, udając

jednak, że w nie wierzę, z wielkiem przykładnem nabożeństwem także wrzuciłem do Dźwiny dwie kopiejki. Odwiązano liny, podniesiono kotwicę, barka spokojnie z wodą popłynęła; czasami tylko odbijano rudlami: postrzegłem, że niewielka sztuka.

Dzień z rana był pogodny i płynęliśmy kilka godzin dość szczęśliwie, ale wkrótce niebo się zachmurzyło, powstał wiatr silny i zaczął dąć z tak wielką mocą, że wzniezione i wzdęte bałwany Dźwiny groziły barce rzuceniem jej na brzeg lub na mieliznę; musiano tedy znowu zarzucić kotwicę i linami barkę mocno do brzegu przytwierdzić. Z tą okropną burzą naleciał nawał śniegu; burza trwała całe dwa dni, a ogromne kupy śniegu pokryły całą nieprzejrzaną przestrzeń. Zimno zaś było tak dokuczliwe, że flisi i bohomolcy kolejno zchodzili z barek na brzeg do domów poblizkiej wioski dla ogrzania się. Jam z niej nie zchodził, bom ciepło był odziany, a do tego już się zahartowałem; przytém nie na to wlażem na barkę, abym z niej za lada przypadkiem zchodził. Po burzy i śniegu nastąpiła odwilż, a wieczorami, nocami i rankami gołoledź tak, że po dachu na barce bez niebezpieczeństwa iść było niepodobna. Dwóch z flisów tej barki z tego powodu z dachu ześliznęło się do rzeki: jednego wyratowano, drugi utonął. Jam się z parę razy także był pośliznął po dachu choć niebezpiecznie, ale dzięki Bogu nie szkodliwie, bom ocalał. Nareszcie jednego dnia około południa cała flota barek, opodał jedna od drugiej dla bezpieczeństwa stojących, ruszyła się z miejsca; piękny to był prawdziwie i zajmujący widok.

Każdą razą, kiedy barka wyrusza z miejsca, gdzie jakiś czas zatrzymała się na kotwicy, nośnik stojący ciągle na samym grzbiecie barki, woła zawsze: siadaj, módl się Bogu; natenczas wszyscy siadają na swoich miejscach, lecz broń Boże usieść na grzbiecie (na koniu) barki, to byłaby zła wróżba, a nośnik wściekłby się od gniewu. Nośnikowi tylko wolno stać na koniu. Po jednej minucie

takiego poważnego siedzenia, jak Muzułmanie w swoich meczetach, każdy wstaje, żegna się, kłania i modli — i jam się żegnał i kiwał po moskiewsku: ale modliłem się po katolicku i szczerze prosiłem Boga, aby błogosławił tej podróży, prosiłem go tak szczerze, jak dziecko ojca. Wszystkie te ceremonije i modły były dla uproszenia szczęśliwej podróży. Nad brzegami Dżwiny po jednej i drugiej jej stronie jest dosyć wiosek i cerkwi, do każdej zatem cerkwi żegnaliśmy się i kłaniali.

Czas nastał pogodny i piękny i wesołośmy płynęli. Jeżeli barka szła należytym nurtem, to ją zwykle zostawiano naturalnemu biegowi rzeki, bynajmniej niepomagając jej wiosłami tylko odbijając rudłami dla nadania jej kierunku; wówczas wiosłarze odpoczywają leżąc, siedząc, gwarząc lub śpiewając. Lecz jeżeli natrafiono na miejsce niebezpieczne, to jest: że niedaleko była mielizna, lub że prąd wody przy zgięciu rzeki był tak silny, iż mogła barka o brzeg uderzyć i ugrząść w piasku lub się nawet rozbić, natenczas nośnik woła: wstawaj, zapuszczaj wiosła (wstawaj, zapuszczaj griebi): wówczas to następuje praca dla wiosłarzy i rudlarzy, często wiosłują i rudlują bez ustanku godzinę i dwie, aż się krwawy pot z nich leje, choć są rozebrani do koszuli; wówczas to rudle przerzucają się z jednej strony na drugą tylko siłą fizyczną, jak tylko można najprędzej, aż do omdlenia rudlarzy; a powiedzieć niemożna: że już niemogę, że sił braknie. Piękny to jest widok patrzeć na wiosłarzy kilkunastu lub kilkadziesiątu barek, pokładających się na swoich wiosłach i od nich powstających razem i w takt jak fale pszenicy przy mocnym wichrze. A kiedy dla ochoty krzykną na siebie: no, drużno, to jest: no, z ochotą, to prawdziwie zwijają się z mocą szatana. Jedni tylko Rosyjanie zdolni są podobnego ruchu i podobnej energii: i jam się musiał do nich stosować, bo chociaż byłem przeznaczony do rudła, z przyczyny słabości jednych, a nieobecności drugich flisów, musiałem się wziąć i do wiosła, a nawet i do dzie-

wki, z którą wówczas dość zrećźnie się uwijałem, tak, że wkrótce zacząłem uchodzić za jednego z lepszych i najpilniejszych flisów, i kiedyś się przypadkiem z potrzeby oddalił, a konieczność wymagała pracy, to wołano: gdzie Ławrenti, na którego pomoc można było liczyć. Z tego powodu łatwo z flisami zaprzyjaźniłem się i byłem od nich lubiony. Jeżeli, a co się często zdarzało i czas był piękny i niebyło czego robić, bo barka z biegiem wody zawsze płynęła, wówczas wiosłarze zasiadłszy w koło, różne śpiewali pieśni, ale to po moskiewsku z siłą, z duszą, z ochotą, z melodyą i akcentem temu narodowi tylko właściwym; niektóre pieśni były bojowe, więcej było miłosnych, niby romansów. W ogóle jednak można powiedzieć, że oprócz melodyi, a raczej sposobu śpiewania, w tych pieśniach była wielka czczość myśli i uczucia, a co jest charakterystyką niemal wszystkich pieśni gminnych rosyjskiego ludu. Z przyjemnością przysłuchiwałem się tym śpiewom, nauczyłem się kilka ich melodyj, nigdy jednak nie mogłem się nauczyć akcentu śpiewania, to jest: nagłych zwrotów, zacięcia, i że tak powiem, zahaczenia kończącej się i jakby konającej nóty do przejścia do nóty chorowej, żywej i pełnej energii. Jeżeli noc była ciemna, albo gdy w dzień nastąpiła burza lub wiatr mocny, barka musiała stawać na kotwicy; jeżeli zaś noc była pogodna, co z nielicznym wyjątkiem prawie było zawsze, płynęliśmy bez przerwy dzień i noc. Jednak mimo wszystko ostrożności, nasza barka dwa razy weszła na mieliznę; pierwszą razą po dwugodzinną pracę sam ekwipaż barki zamtąd ją wycofał, ale drugą razą tak mocno zaryła się w piasek, że z dwóch innych barek ekwipaże przyszły na pomoc. Do wycofania barki użyto bardzo prostej maszyneryi, nazwanej strzałą (striela), która niczem innem nie była tylko tylnym rudłem, będącym zwykle całym ogromnym drzewem, jodłą grubą i wysoką, jak maszt okrętowy. Odwiązano zatem rudel od barki i postawiono go pionowo w wodzie, aby się oparł o dno rzeki, przy jednym

boku i pośrodku długości barki; rudel tak prostopadłe do powierzchni wody postawiony nazywa się strzałą; na wierzchu tej strzały przystrojono mocną pulę, na którą zarzucono wielkiej grubości linę, której jeden koniec okreczony jest około środkowego słupa barki, jako punktu środkowej grawitacji całego jej ciężaru, a za koniec drugi której ciągną ludzie stojący na tejże samej barce, aby ją z miejsca wzruszyć i na wodę spławić; lina dwiema wstecznymi lecz nierównymi silami ciągniona, skracając się, coraz wzrusza a w końcu podnosi barkę; tego sposobu użył nośnik Żukow z drugiej barki innego kupca na pomoc przybyły. Praca ta ciężka trwała przeszło dwanaście godzin, nim barka szczęśliwie popłynęła. Nierzadkie na Dźwinie bywają przypadki, że barka uwiązłszy w piasku na zawsze tam została; zboże z niej na inną barkę przesypywać potrzeba, albo jeżeli się nadwreżyła, rozszczepiła, zboże do Dźwiny spłynęło, albo przez zamoczenie zupełnie się popsulo. Takowe przypadki są wielkiem dla kupców nieszczęściem; bo oprócz kapitału włożonego w zboże, traci jeszcze kapitał włożony na pobudowanie barki, która z opłatą, jaka się daje rządowi za pozwolenie pobudowania, wynosi, jak mi wiadomo, do trzech lub więcej tysięcy rubli assygnacyjnych. Oprócz tych wielkich barek chodzą po Dźwinie mniejsze jeszcze nierównie statki nazwane karbasami; te karbasy w kształcie dużej łodzi, a raczej zwykłego statku z masztem pobudowane, mogą mieścić w sobie od 500 do 2000 pudów ciężaru. Mają pokłady i zwykle służą do przewożenia maki, jagiel, krup, ryby, mięsa itd. Duże barki służą tylko jedynie do przewożenia zboża.

Kiedy barka stała na miejscu w nocy, każdy z kolei po dwie godziny musiał stać na dachu dla warty, mniejsza czy deszcz, czy śnieg, czy burza. Tymczasem coraz ściślej z mymi kolegami pozabierałem znajomości; fizyonomija jednego z nich bardzo mi się podobała i wpadła w oko: miał lat około 40, mocny, bronet, gdy

tymczasem mieszkańcy tych okolic są blondyni, biali, rysy twarzy miał łagodne i szlachetne, i był dobrym, poczciwym i koleżeńskim człowiekiem; słowem, pod wielu względami różnił się od ogółu flisów i bohomolców. To musi być z rodu polskiego, pomyślałem sobie; ale ponieważ Rosyjanie mają zwyczaj wołać się między sobą tylko imieniem chrzestnym, niemogłem zatem wiedzieć jego nazwiska familijnego. Nieznacznym sposobem w toku rozmowy, zapytałem go o jego nazwisko; odpowiedział, że się nazywał Matkowski, urodził się w archangielskiej gubernii, dokąd jego ojciec przybył gdzieś z głębi Rosyi, a dziad był z nad Dniepru; a więc się niezawiodłem, pomyślałem sobie; oh! gdzież dzisiaj niema rozproszonego lackiego pokolenia?!

Dźwina ma dno piaszczyste i często zmienia łożysko nurtu, jest dość bystrą i w tę porę roku mocno i daleko rozlewa, tak że w niektórych miejscach jej szerokość do kilka werst zajmuje; przy samem Archangielsku jej szerokość być może do trzech werst czyli do tysiąca pięćset sążni. Po nad Dźwiną z obu jej stron gęsto choć niewielkie wioski i bardzo pięknie choć z drzewa pobudowane; domy zwykle są dwupiętrowe, lecz zwyczajem w tych stronach przejętym wcale niebielone, ale zwykle te wioski pięknymi murowanymi cerkwiami są przyozdobione. Jużem mówił, że tam bardzo wiele jest świętych miejscowych, a zatem przed każdą cerkwią niemal na cześć tych świętych potrzeba było zegnać się, modlić i kłaniać, prawie w pół drogi do Archangielska na prawym brzegu Dźwiny w jednym niewielkiem miasteczku, jest święty Mikołaj cudowny szczególniejszy patron Rosyi i rosyjskich majtków; każdą barkę ekwipaż musi się koniecznie składać stosownie do swojej możności i chęci dla tego św. Mikołaja. Im bliżej Archangielska, tem domy wsiów są okazalsze, obszerniejsze i zwykle o piętrze. Z bardzo wielu wsi nadbrzeżnych mnóstwo kobiet i dzieci płci obojga podpływają na łódkach pod barki, prosząc o jałmużnę

i mówiąc tonem współśpiewającym i bardzo żalonym: *Batiuszki, Diadiuszki dajcie chleba*. W kilku miejscach, około w poł drogi do Archangielska, wyjeżdżający na łódkach i proszący o jałmużnę, śpiewają piosnkę, życząc, aby płynących Bóg szczęśliwie do portu doprowadził i pozwolił wrócić do domu; wyrazy tej piosnki są szczęśliwie dobrane, myśl piękna, poetyczna, a jej nota tak zajmująca, tak tęskna, że z prawdziwą przyjemnością jej się przysłuchiwałem; żałuję, że ani wyrazów, ani melodyi nie mogłem spaniętać. Każdy zatem z flisów, co ma, to daje; zwykle daje się chleba. Wyznać potrzeba, że u tego ludu rosyjskiego, o ilem go poznał, jest serce prawdziwie dobre, chrześcijańskie i miłosierne. Wieśniak rosyjski, chyba by wcale nie miał, aby prosić o jałmużnę, nie nieudzielił; a jeżeli ma kawał chleba przy duszy, i tym się z bliźnim podzieli. Pod tym względem ludzie i narody tak nazwane barbarzyńskie, daleko przewyższają ludzi i narody tak zwane ucywilizowane. Niechęć się rozwodzić nad tak rażącą różnicą, chociaż bardzo łatwo dostrzedz jej przyczyny; powiem tylko: że u ludów ucywilizowanych, skrzywieniem najświętszych zasad chrześcijańskich, następstwa są sprzeczne z temi zasadami. Brzegi Dźwiny i ich okolice nie mają nic zajmującego: lasy tylko po największej części sosnowe i jodłowe, w wielu miejscach wyrabane dla przepalenia ich i przetopienia na smołę, lub na rozmaitego rodzaju budowle, tarcice i gonty, są jedyną ich ozdobą, jeżeli dzikość przyrody tych brzegów i tych miejsc bez powabu nienadawałyby im pewnego uroku. W niektórych miejscach brzegi Dźwiny są bardzo strome i wzniosłe, choć niezbyt wysokie. Brzeg prawy Dźwiny jest nierównie wyższy od lewego.

Mieszkańcy archangielskiej gubernii, są dość rośli, kształtni, blondyni; ubierają się niemal wszyscy, z wyjątkiem mieszczan, w białe sukmanki nakształt wieśniaków krakowskich, w wysokie pilśniowe kapelusze, z których

najwięcej cenne i w modzie u młodych fanfaronów są tak nazwane kapelusze z periechwatem, to jest: będące pośrodku zwężone, u góry szerokie, nakształt kaszkiełtów ulańskich, tylko że okrągłe; kobiety w ogóle bardzo czysto, gustownie i kokieteryjnie się ubierają. Przepływając około miasta Kołmogorów, niedaleko Archangielska i opodal od brzegów Dźwiny leżącego, lecz którego szczyty cerkiew ztamtąd wyraźnie widzieć się dają, przywitałem życzliwem sercem to miejsce, które było kolebką pierwszego grammatyka rosyjskiego, sławnego Łomonosowa, i dziwiłem się, jak w tych stronach podobny człowiek mógł się narodzić, który jeszcze za czasów Elżbiety Piotrowniej carycy, swój wielkiej protektorki, śmiało odważyć się pisać przeciw brodom tak w Rosyi poważanym księży greckich, dowodząc serio-ironicznie, że ponieważ na tamtym świecie dusze wszystkich ludzi będą bez bród, a zatem słuszną jest, ażeby popi ich i tu na ziemi nienosili, że nawet nosić niepowinni, jeżeli niechęć być w sprzeczności z religią chrześcijańską. Tym dowcipnym Łomonosowa żartem tak duchowieństwo greko-rosyjskie było oburzone i rozżarte, że bez szczególnej opieki i woli carycy byłby Łomonosow poszedł na tortury (pytki), jak to był wówczas jeszcze w Rosyi zwyczaj. Bydło rogate kołmogorskie jest sławne na całą Rosyję; krowy kołmogorskie są pięknej rasy, duże i niezwykajnie dające wiele mleka. Bydło kołmogorskie w którąkolwiek stronę Rosyi przeniesione dla rozrodu, prędko się wyradza i traci sobie właściwe przymioty; trudno tego dociec przyczyny, zdawałoby się jednak, iż to zależy od zmiany pokarmu i od braku pastwisk podobnych pastwiskom naddziwniańskim.

Im bliżej podpływaliśmy pod Archangielsk i zbliżaliśmy się ku końcowi maja, tem więcej nocy się skracaly, a ostatnia noc przed przybyciem do Archangielska była tak widna, że można było czytać i pisać, a tak krótka, że ledwie parę godzin było przedziału między zachodem

a wschodem słońca. Kiedy nakoniec o wschodzie słońca szczyty wież cerkiewnych miasta Archangielska się pokazały, wszyscy wydali okrzyk radości; tymczasem miasto się coraz więcej odsłaniając, coraz wspanialszy widok przedstawiało, do czego niepomalu się przyczynił piękny, jasny poranek poczynającego się lata. Jeszcześmy opodal byli od miasta, kiedy flisi, stosując się do miejscowych przesądów, kuchenną skrzynię wraz z ziemią w niej będącą, słowem, całą kuchnią z największą uroczystością zwalili do Dźwiny. Każda barka tak samo postępuje ze swą kuchnią. Za zbliżeniem się do Archangielska stojącego na prawym nierównie wyższym od lewego brzegu, widzieć się dały na jego początku od wjazdu szpetne i nikczemne drewniane domki, ale płynąc dalej wzdłuż miasta domy stawały się coraz okazalsze i wspanialsze, a brzeg prawy Dźwiny zdobiące. Archangielsk zdał mi się i jest rzeczywiście bardzo długim i mającym widok wielkiego miasta. Nareszcie płynąc wzdłuż Archangielska, barka się zatrzymała na drugim jego końcu niedaleko od brzegu prawego, nieopodal przed mostem drewnianym pobudowanym na przesmyku Dźwiny, a łączącym miasto Archangielsk z wyspą i przedmieściem dość obszernym nazwanym jedno i drugie Solonbał. Ledwo się barka zatrzymała na kotwicy i została przytwierdzoną linami do brzegu, pierwszą czynnością flisów było łamanie wiosel, to jest tych części wiosel, które się w wodę nurzają; to także należy do przesądów miejscowych flisów. Stanąwszy u portu Archangielska, dopiąłem prawie w połowie celu mych życzeń, bo jak sądziłem, ztąd łatwo wsieść na jaki okręt cudzoziemski. Nasza barka przyплыnęła jedna z najpierwszych. Odebrawszy tedy mój pseudo-pasport i wzięwszy za mą krwawą pracę zarobionych 15 rubli assygnacyjnych, wesoło i ochoco, tak z bohomolcami jak i niektórymi flisami, przesiadłszy z barki na łódkę, wypłynąłem na brzeg i udałem się do miasta w całym tym towarzystwie; flisi szli za interessem osobistym, a boho-

molcy i ja z nimi szliśmy do Sołowieckoho dworca (sołowieckiego domu).

Idąc wybrzeżem czysto i pięknie brukowanym, dziwiłem się czystości i porządkowi miasta, jak i piękności jego domów: ale zaprzątnięty ważniejszymi myślami, patrzałem jakby z niechcenia na to wszystko, co mnie otaczało. Co dalej począć? jakim sposobem dostać się na okręt? oto myśl co mnie zajmowała jedynie. Dla pokrycia jednak mych uczuć i zamiarów, szedłem spokojnie i udałem się wraz z innymi bohomolcami do Sołowieckiego Dworca. Tam mnie przyjęto, jak każdego innego bohomolca bez trudności i weale niepytając o pasport. Złożyłem podług zwyczaju w tym Dworze przyjętego, mój tłomoczek na ręce klucznika, który go zamknął do komory. Sam zaś pochodziwszy cokolwiek w tłumie bohomolców, i przypatrzwszy się miejscowości, wyszedłem niby dla przypatrzenia się miastu, w rzeczy zaś samój, aby daleko od zgiełku módz swobodnie zastanowić się i wynaleźć sposoby wydostania się z Archangielska i z Rossyi. Przechodząc zatrzymałem się przy pięknej statui Łomonosowa dla przypatrzenia się jęj z bliska, a stojącej prawie w środku długości miasta na obszernym zieloną murawą pokrytym placu. Łomonosow w postaci kolosalnej, z odkrytą głową i rzymską togą przyodzian, jest lany z brązu, i lewą ręką sięga po arfę, którą mu geniusz w postaci skrzydlatego aniolka na klęczkach podaje. Cała ta grupa jak mi się zdawało, tak pod względem myśli jako też i sztuki, dobrze pojęta i wykończona stoi na niewielkiej wysokości (może 10 lub 12 stóp z podstawą) słupie; ale czy okrągłym lub czworobocznym, marmurowym czy granitowym, tego już nie pamiętam; pamiętam tylko jego kolor nieco czerwonawy. Udając gapia zatrzymałem się przy wielu innych wieśniakach na barkach przybyłych i przypatrywających się statui, a chcąc się przekonać, czy wiedzą na kogo patrzą, i czy znają przynajmniej nazwisko tego człowieka, zapytałem jednego

z nich, który zdawał się być między nimi najmędrszym, bo wiele rozповідаł: *a szto oto takoję?* (a co to takiego?) Da szto, odpowie: to był wielki czarodziej, umiał czytać na gwiazdach, deszcz, burzę i pogodę sprowadzać, i przyszłość przepowiadał; a temu dziecięciu (malczyku) swą umiejętność przekazuje, podając mu czarodziejski instrument, którego strony tyle różnych wydają dźwięków, ile być może przemian różnych w świecie i różnych losów między ludźmi. Że Łomonosow patrzył na gwiazdy, że wzdychał sercem do nieba jak każdy poeta szukający natchnienia, nic w tém niepodobnego do prawdy: ale że był czarnoksiężnikiem i przyszłość przepowiadał, to tylko dowodziło głupotę tłumaczącego i słuchających go. Idąc dalej wszedłem na środkową miasta ulicę, przez całą jego długość ciągnącą się; pięć szóstych najmniej domów jest drewnianych, ale bardzo okazałe i wspaniałe pobudowanych; ulica zaś prosta, czysta i porządnie brukowana: zwróciwszy się nieco na lewo, u samego końca miasta spuściłem się nieco nadół i wszedłem na most drewniany, o którym już mówiłem, łączący miasto z wyspą Sołonbał, a za przejście przez który trzeba zapłacić kopijkę. Zaraz za mostem na prawo, już na wyspie Sołonbał stoi dom drewniany, obszerny, bez pięt, niby pałac; to jest mieszkanie gubernatora, czy wice gubernatora. Idąc dalej na prost w kierunku mostu, prostą, szeroką, lecz niebrukowaną ulicą, na jej prawej ręce rozściela się szeroko przedmieście Sołonbał z kilku set domów, drewnianych, nikiemnych, na nizinie i prawie na trzęsawisku wśród błota pobudowanych, złożone; wprawdzie ulice Sołonbału są wyrównane, ale na nich pełno błota i wody, mimo że gdzieś tam są pomosty drewniane. Po domach i po sklepach wilgoci a nawet i wody pełno. Może w lecie tego niema, ale w czasie mojego przybycia tak było zupełnie jak opisuję. Na lewo zaś tej ulicy zbliżając się ku portowi, naprzeciw niewielkiego rynku brukowanego, i jako tako zabudowanego, stoją piękne, okazałe, o kilku

piętrach, murowane i bardzo obszerne koszary, i tuż przed niemi czysty, wyrównany, przestronny i zieloną pokryty murawą plac, na którym żołnierze się mustrują, a na który nikomu z cywilnych wejść niewolno, bo jest sztachetami ogrodzony; tuż za koszarami i po lewej także ręce, jest warstat gdzie się budują okręty; ten warstat nazywa się po rosyjsku werf' i znajduje się na południowym cyplu wyspy, tuż pod samym portem. W samym końcu ulicy przypierającej do portu, tuż za warstatem, stał wówczas nowo zrobiony i już spuszczonej na wodę piękny okręt wojenny o trzech masztach; był ochrzczony jakimś carskim, czy carskiej familii mianem, ale już zapomniałem. Stałem tedy nad samym portem ciągnącym się na prawo, daleko wzdłuż wyspy Sołonbał.

Chociaż to było przy samym dopiero końcu maja, do dwudziestu kilku jednak zagranicznych okrętów w porcie się już znajdowało; najwięcej było angielskich, reszta holenderskich, szwedzkich, norweskich i hamburskich, a żadnego francuzkiego. Zwróciwszy się zatem w prawo, poszedłem wzdłuż portu, mijając jeden okręt po drugim; niby gapiąc, przypatrywałem się pilnie, z uwagą, chciałbym był z jakim z majtków porozumieć się, rozmówić, ukradkiem, potajemnie, po francuzku lub po niemiecku, ale wszędzie byli natrętni świadkowie: oprócz tego na każdym okręcie cudzoziemskim stał lub przechadzał się jeden żołnierz rosyjski z dwiema lub trzema szewronami, świadek ciągły, bo dzień i noc na pokładzie będący, i natrętny wszytkiego świadek, co się dzieje na okręcie i na wszystkie osoby do tego okrętu należące jak i ich liczbę, obcemu na ten okręt wejść niemożna. Nadto, oprócz tych żołnierzy na każdym okręcie będących, stał długi łańcuch szyldwachów pieszych; nikt do okrętu wejść ani z niego wyjść niemógł, póki nieudowodnił, że do tego okrętu należy. Snuło się także wiele ludzi z pospólstwa i mieszczan; jak tu przy nich mnie po chłopsku przebranemu, chłopu rosyjskiemu, odezwać się po francuzku lub po nie-

miecku? Czyżby to od razu nieścianęło na mnie jakiego podejrzenia, jak równie i na moje zamiary? Czyż majtek, z którym miałbym był sposobność pomówienia, nie miałby był także jakiego podejrzenia i obawy? zresztą bez kapitana okrętu przyjąłby mnie niemógł na okręt, a sam kapitan nawet, czyby nie był w stanie powątpiewać o mnie i sądzić, że to łapka na niego ze strony władzy nasadzona: te i tym podobne nastroczając mi się uwagi, miały naprzemian moją determinacją. Jednak uparłem się mówić z jakimkolwiek majtkiem gdzie na ustroni, bez świadków: a później nawet z samym kapitanem okrętu. Ale cały ten dzień przechodząc nad portem, szczęśliwej nie znalazłem sposobności i smutny nad wieczorem wróciłem nazad do sołowieckiego dworca dla przenocowania. Przechodząc obok statui Łomonosowa, zatrzymałem się i tą razą przed nią, dla lepszego jej przypatrzenia się: stał przed nią jakiś młody człowiek porządnie po mieśzańsku ubrany, z kobietą, zapewne swą żoną i w suknię i kapelusz przystrojoną. Mężczyzna przyglądał się statui z wielką naiwną wesołością: sądząc, że musi wiedzieć, kogo ta statua wyobraża, dla ciekawości i przekonania się z gapiowską miną, jak poprzednio zapytałem go: proszę mi powiedzieć co to jest? Czy ty nie wiesz, odpowie z uśmiechem i kiwając głową, że to był wielki rycearz? Ho, pomyślałem sobie, cóż to dalej będzie. Ale jakże się nazywał? Aleksander Iszy, odpowie. Małom nieparsknął od śmiechu i natychmiast odszedłem, aby mi jeszcze nie powiedział, że geniusz klęczący był następcą rosyjskiego tronu. Taką znalazłem niewiadomość narodowych rzeczy w ludzie tamtych okolic.

Sołowiecki dworzec i cały jego dziedziniec dość obszerny były napelnione i zasłane bohomolcami zabierającymi się do snu: niektórzy z nich jutro rano mieli już płynąć na karbusach do sołowieckich monasterów; zachęcającym mnie do podróży odpowiedziałem: że będąc trochę niezdrow, muszę jeszcze jutro odpocząć, i dla wy-

należenia miejsca poszedłem do domu: ale we wszystkich jego pokojach i na wszystkich piętrach, pełno było bohomolców. Z piętra tedy na piętro, dostałem się po schodach aż pod sam strych domu, równie jak pokoje napelniony: ledwie mogłem znaleźć dla się kącik mały w samym rogu dachu i tuż pod nim: między mną, a tuż obok mnie śpiącymi a raczej tylko leżącymi, było miejsce próżne na jedną osobę, które umyślnie zostawiłem dla uchronienia się od wszów, których bohomolcy, zapewne dla większego umartwienia, krociami mają, ale przyszła jakaś pokutnica i zabrawszy je, położyła się obok mnie. Na tém poddaszu byliśmy ściśnięci jak śledzie w beczce: starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni, wszystko to leżało pokotem i tuż obok siebie: jedni gwarzyli, inni już usnęli, jam cicho leżał i dumał. Z tego com widział nad portem, przekonałem się, że w mojem położeniu wielkie są trudności do pokonania, a prawie nawet niemożność dostania się na jakibądź okręt. Postanowiłem jednak użyć wszystkich sposobów, aby z majtkim, lub z samym nawet mówić kapitanem. Moim smutnym dumaniom przeszkadzały wszy, co się na ciebie wyległy i coraz w większej liczbie od bohomolców przybywające, i sąsiadka, która krwi bardzo gorącej, rzucała się na wszystkie strony i rozmaite przybierała pozycye.

Nazajutrz rano część bohomolców odpłynęła do sołowieckiego monasteru, a większa ich część do dworca przybywała: gdyż barki coraz w większej liczbie z Wielkiego Ustjuga do Archangielska przybywały: ja rano zaszedłem do cerkwi należącej do dworca i tuż przy nim pobudowanej; pełno było w niej bohomolców: jedni kazali nad sobą, to jest: nad swą głową odprawiać modlitwy, inni akafysty (antyfony) i różne cerkiewne ceremonie; inni zaś schyleni, trzymali na głowie ewangelią. Ewangelia ta in folio: ogromnemi głoskami drukowana, miała więcej dwóch stóp długości i stósownie była szeroką i grubą; okładki miała grube drewniane, czarną skórą powleczone, na których było lanych ze srebra 12 apostołów, po 6 na ka-

zdój strony okładki; ciężar ten ewangelii musiał być bardzo wielki, sądząc z jej ogromu i wysilenia popa, który ją dźwigał. Kto chce, aby nad nim czytano ewangelią, stojąc schyla się tak nisko, aby pop mógł na głowie położyć ewangelią czytać. Jeżeli jest kilka głów razem schylonych, ciężar ewangelii rozkładając się na nie, nie tyle jest dotkliwym, ale podług mniemania ludu nietyle modły są skuteczne, bo zamiast na jedną osobę, skutek ewangelii rozkłada się na osób kilka. Ale jeżeli ewangelia na jednej spoczywa tylko głowie, o co się bohomołcy bardzo ubiegają, to trzeba prawdziwie moskiewskiego karku, aby ten ciężar, niemówię bez przerwania medytacyi religijnej, ale bez nadwreżenia samego karku, przez cały kwadrans, przez który trwa czytanie ewangelii znieść można było. Ale rossyjskiemu człowiekowi (ruskomu czelowieku) wcale to nieszkodzi. Widziałem jak jeden muzyk (chłop) wjatski, po takiej nad jego głową modlitwie, w czasie której krwią mu nabiegły żyły oblicza, wyszedłszy z cerkwi rzekł: sława Bogu, po przeczytaniu nademną ewangelii, jakby ręką odjął ból głowy, który od tak dawna cierpiełem. Za wszystko się płaci; kto da więcej, temu głośniej i szczerzej czytają i śpiewają, kto zaś da mniej, temu śpiewają ciszej i jakby z niechcenia. Rozpatrując się po Archangielsku, poszedłem znowu na Solonbał i kazałem jednemu szewcowi, odstawnemu żołnierzowi podszyc parę butów, którem zdarł w podróży, przyrzekł poszyć je jutro rano i dotrzymał słowa: miałem znowu dwie pary bótów. Od szewca udałem się wprost nad port: ta sama ostrożność, te same przeszkody: dwa czy trzy okręty już się ładowały zbożem, za kilka dni już odpłyną; jakże chciwem okiem patrzałem na te okręty! z jaką swobodą myśli i uczucia, raz będąc na okręcie i wolnym od obawy być schwytanym, oddałbym się uniesieniom i pewności słodkiej nadziei dopięcia mojego zamiaru. Z niektórych okrętów wynoszo balaszt, a coraz nowa liczba okrętów cudzoziemskich przybywała: lecz żadnej francuzkiej ban-

dery. Szukam sposobności mówienia z majtkami, spotykam trzech nieco opodał od brzegu i od ciżby, do okrętu coś przyprawiających: niby się przypatrując i gapiąc zapytałem po francuzku: z kąd jesteście? nie nieopowiedziałwszy patrząc tylko na mnie śmieli się; o to samo zapytałem ich po niemiecku? taka sama odpowiedź. Zapytałem ich nareszcie dwoma językami: gdzie kapitan okrętu? Pokręcili tylko głową swoje robiąc i śmiejąc się; trudno się porozumieć, świadkowie nadeszli, musiałem się oddalić. Idąc wzdłuż portu zwróciłem się na prawo między łoży wyspy Salonbał i zrzuciwszy z siebie odzienie i tak dalej, zacząłem się mścić z zaciętością nad słabszym od Moskala, ale równie dokuczliwym nieprzyjacielem, nad wszami, które się krociami zagnieżdżyły. Ten szczegół wcale niejest poetyczny, a tém mniej miły do czytania: ale z bajki się słowa niewypuszcza, jak mówi przysłowie i nędza ludzka ma swoje także poezya, z tą tylko różnica, że niejest uludą, tylko rzeczywistością. Wracając z polowania, choć woda była jeszcze zimna, szczególniej w tamtych stronach o téj porze roku, wykapałem się w niej do syta i uczulem się rzeźwiejszym. Później wróciwszy nad port, szukałem sposobności mówienia z majtkami, lecz żadnej nieznalazłem: i ten więc dzień zszedł bez skutku. Wróciłem tedy znowu do miasta i zwykłym sposobem przenocowawszy w sołowieckim dworcu, rano znowu udałem się na port; lecz wszystko było napróżno, a dłużej nad trzy dni we dworcu pozostać niemożna było. Gdybym był miejscowym, albo przynajmniej zaopatrzonym dobrym i niepodejrzanym pasportem, mógłbym może długi czas w Archangielsku zostając, znaleźć sposobność pomówienia i porozumienia się z majtkami, a nawet jakim kapitanem okrętu, dowiedziawszy się wprzód od nich, gdzie on bywa, gdzie go znaleźć można i jakim sposobem wypadałoby z nim mówić? Lub gdybym był porządnie i czysto ubrany, mógłbym bywać w kawiarniach lub restauracyach porządných, gdzie mówiąc nawet ob-

cym językiem, niczyjś niewzrócilibym uwagi i mógłbym w końcu spotkać się, pomówić, porozumieć się z jakim kapitanem okrętu. Ale w mojem położeniu ani jedno, ani drugie było niepodobnem.

Z tych i innych względów, i z rozmaitych dotychczasowych usiłowań, przekowawszy się najoczewiściej o niepodobieństwo dostania się na okręt i płynienia na nim, z prawdziwym bólem serca i głębokim smutkiem widziałem się zmuszonym dalej przez Rosyją znowu na pieszo odbywać podróż, znowu się tulać po lasach i pustyniach i znowu się lękać ludzi i przed nimi ile możności ukrywać. Dwie zatem obrałem sobie drogi do dostania się do Francyi, w obu razach wypadało mi koniecznie iść naprzód wzdłuż południowego brzegu morza Białego aż do miasta Onegi; tu doszedłszy, albo wziąć się na prawo i przez bagna przez Finlandyą na północ dojść aż do rzeki Torneo, wpadającej do północnej części odnogi Botnickiej i stanowiącej granicę między Rosyją a Szwecyą; przepłynąwszy rzekę przejść Szwecyą na południe, zkąd jakimkolwiek bądź sposobem dostać się do Francyi; albo z Onegi miasta pójść wzdłuż południowego brzegu morza Bałtyckiego, około Rosyi przez Inflanty i Kurlandyą, i dostawszy się około Połagi do Prus, dostać się w Poznańskie; a ztamtąd gdyby potrzeba kazała do Francyi. Na wszelki wypadek iść mi naprzód wypadało do miasta Onegi. Z Archangielska do Petersburga idzie także wielki pocztowy gościniec, najprostszy, a zatem najkrótszy i najwygodniejszy; z Archangielska do Petersburga tym gościńcem, jak mi mówiono, jest tylko tysiąc czterysta werst, czyli dwieście mil polskich: ale tym gościńcem pójść nie mogłem z przyczyny mojego pasportu i zwykłej czujności władz rossyjskich. Ale nim dalszą opowiem mą podróż, niech mi wolno będzie zatrzymać się nieco jeszcze nad Archangielskim i sołowieckim monasterem.

Archangielsk, jak już wiadomo, leży na prawym brzegu Dźwiny wznioślejszym od lewego, i o czterdzieści

lub sześćdziesiąt werst od jej ujścia do morza Białego. Miasto jest bardzo długie, ale stosunkowo do długości, bardzo wąskie, a pobudowane tak samo jak Petersburg, na bagniskach po rossyjsku nazwanych Tundra, a zatem na uposiedzonej od przyrody ziemi; praca jednak, sztuka i przemysł uczyniły z Archangielska rzeczywiście piękne miasto. Wiele jest wspaniałych cerkwi i domów muryowanych, reszta z drzewa, ale porządnie pobudowanych i czysto utrzymanych; wyjąwszy tylko tę część miasta, która się znajduje od wjazdu od strony Wielkiego Ustjugu; jedna tylko, dobrze brukowana, szeroka i czysto utrzymana ulica przechodzi przez całą długość miasta, poprzecznych zaś ulic pod kątem prostym przecinających podłużną jest kilkanaście. Jest wielki plac niebrukowany i zieloną murawą pokryty, na którym stoi statua Łomonosowa niedaleko i przed frontem jednej cerkwi, nazwałbym tę część miasta najpiękniejszą. Za tym placem idąc obok sołowieckiego dworca, nieco dalej i na prawo znajduje się obszerny na pochyłości ku Dźwinie i brukowany rynek, miejsce targów; tu wszystkiego co tylko do jadła jest potrzebnem, można dostać: śledzi, mięsa, ryby, wódki, mleka, sera itd.: funt chleba żytniego dobrze upieczonego kosztuje 5 do 6 kopiejek, a pszennego pyłowego kop. 10, wódka droga i zła. Ile razy jeść mi się zachciało, poszedłem na rynek, kupilem mleka z tworogiem na pół zmieszanego, i tam na miejscu na rynku, sposobem przyjętym zjadłem, przekupka udziela miski i łyżki; nabiał i ryby są bardzo tanie. Za tym rynkiem nieco niżej tuż nad samą Dźwiną, jest przystań barek i łódek, i targowisko. Tam mnóstwo tych łódek i barek ładowanych owsem, jęczmieniem, sianem, bydłem, drobiem, jajami itd. z stolic przybywa. Idąc od Sołonbalu ku sołowieckiemu domowi samém wybrzeżem, wszystkie domy tego wybrzeża porządnie wybrukowanego, są piękne i okazałe, między niemi odznacza się dom Anglika, o którym już wspomniałem, a którego niepaniętam nazwiska; przy do-

mie jest piękny dziedziniec, niby ogród drzewami nasadzony; przed tym domem na samym brzegu Dźwiny stoi wysoki maszt z linami, koszem (hüne) i banderą angielską, a przy tém maszcie jest piękna altana. Niedaleko domu, i w téj samej linii jest dość obszerny gmach muryrowany, jest to jak mi mówiono raffinerya cukru, będąca własnością Anglika, a która dostarcza cukru nawet do Syberyi przez Wielki Ustjug, itd. Dalej widne były szczątki niby ruiny jakiegoś opuszczonego, a obszernego magazynu z czerwonej cegły. Cała część tego wybrzeża pięknie wybrukowana, a dla podtrzymania brzegów Dźwiny powbijane są pale, lub porobione drewniane parkany. Przy długiej ulicy widziałem jeden gmach nowy, jeszcze zupełnie niedokończony, lecz obszerny i ozdobny; mówiono mi, że to miał być teatr. Archangielsk w ogóle jest piękne, wesołe i bardzo czyste miasto: widok z niego na lewy brzeg Dźwiny daleko się rozszerza; ale jak tylko którakolwiek z poprzecznych uliczek wyjdiesz za miasto, aż ci się tęskno zrobi, tak smutna przyroda; i tuż pod miastem, pod domami zaraz jest tundra, to jest: bagnisko z drzew ogolocene, i tylko zielonym mchem pokryte. Przy samym końcu północnej części Archangielska, a jednem wyższém ramieniem Dźwiny od niego oddzielona, znajduje się obszerna, lecz niska, bagnista i łożą pokryta wyspa Solonbał, na której jest przedmieście tegoż nazwiska. Ponieważ o tém przedmieściu dość już mówiłem, dodam tylko dla dopełnienia jego opisu niektóre szczegóły. Portem nazywa się po prostu brzeg Dźwiny na południo-zachód wyspy, do której okręty przystają: wzdłuż tego brzegu, to jest: portu powbijane są ogromnej grubości niskie słupy, do których się okręty przytwierdzają; a z ilości tych słupów można wnosić, że kilka set okrętów rok rocznie tam przybywa. Nad portem niedaleko, i wzdłuż brzegu pobudowanych jest kilka dużych kuchni drewnianych, tak nazwanych angielskich, gdzie majtkowie cudzoziemscy, najwięcej zapewne Anglicy jeść sobie

gotują i ogrzewają się. Do środka tych kuchni wejść nieśmiałem. Niedaleko od portu stoi kilka drewnianych magazynów, gdzie kupcy zsypują zboże i z kąd to samo zboże ładuje się na okręty; najczęściej jednak i prawie zawsze tak się zdarza, że barki ze zbożem przybyłe z Wielkiego Ustjugu do Archangielska, podprowadzają się pod okręty, do których z nich zboże przesypuje się; te barki tym lub innym sposobem wypróżnione nie płyną nazad do Wielkiego Ustjugu, ale się sprzedają na miejscu; gdyż drzewo z nich jest przydatne do różnego rodzaju budowli i rękodzieł; na okręty ładowne zbożem, bierze się także czasami i pewna ilość drzewa. Ludność Archangielska może wynosić, o ile mogłem wnosić, od 20,000 do 25,000 ludzi, nie licząc w to przybyszów w wielkiej liczbie tu znajdujących się; ruch w mieście i w porcie jest wielki. Około Archangielska znajdują się tartaki, hamernie i innego rodzaju zakłady. Dla ułatwienia handlu i przewozu, znajdują się w Archangielsku dwa parostatki, którem na własne widział oczy. Mieszkańcy Archangielska ubierają się czysto i wykwintnie: z tego względu możnaby Archangielsk nazwać miastem fastionablów rosyjskich mieszczan, i którzy przeciw rosyjskim, a nawet w ogóle przeciw słowiańskim zwyczajom, poświęcają potrzebę żołądka, dla potrzeby stroju. Między żołnierzami tam znajdującymi się, byli także i Polacy, ale z żołnierskich dzieci; trzech tych malców, po lat 14 lub 16 mających raz spotkawszy nad portem, zapytałem czy im jest dobrze w téj szkole? Cóż robić, dobrze, nie dobrze, być w niej trzeba. Zapewno was w niej niebiją? Da, tak, niebiją, czyż car naprózno karmi i daje odzienie? jak dadzą różgi, to aż krwią spłyniesz; jednak chłopaki były zdrowe i dobrze wyglądały. Archangielska gubernia najobszerniejsza, i najmniej ludna w Rosyi europejskiej, jest jedną z najuboższych ale najwięcej przemysłowych i handlowych; prawie nieznajdziesz mieszkańca, któryby jakim przemysłem lub handlem się niezajmował. Wogóle jednak są daleko

szczęśliwsi od mieszkańców gubernii żyźniejszych lecz poddanych. Oprócz znanych już kategorii, na które się dzielą wieśniacy rossyjscy, znajdują się w tej gubernii krestianie tak nazwani, do dóbr ekonomicznych rządowych należący, ci odrabiają pewną dla skarbu powinność w naturze.

Teraz chcę nieco powiedzieć o sołowieckich monasterach do których się pozornie udawałem, a w których nigdy niebyłem z powodu, że mi były nieco z drogi i niechciałem ani czasu ani szczupłych zasobów tracić. Jednak chociaż w nich nigdy nie byłem, znam jednak ich historią dosyć dokładnie: już to z powodu że dla pobożnych ludzi drukowane wychodzą książeczki, w których znajduje się opis tych monasterów, życie w nich mieszkających, i cuda jakie się w nich działy i taką książeczkę, którą niektórzy bohomolcy mają, sam czytałem; już to, z powodu że będąc długi czas z bohomolcami, z których niektórzy po kilka już razy chodzili do monasterów, a niektórzy z nich po kilka lat w tych monasterach bawili, nasłuchalem się szczegółów, które mnie w wielu względach o tych monasterach objaśniły. Mogę zatem w krótkości dać dokładny ich opis. 6280 werst czyli o czterdzieści mil polskich na zachód od Archangielska, na morzu Białem znajduje się kilka wysepek: największa z nich nazywa się *Sołowki*; wnosić należy, iż pierwiastkowo należała do Finlandyi i jej mieszkańców Finów. Później promyszlenniki stariej Rzeczypospolitej nowogrodzkiej, sięgający coraz dalej na północ, tak dla obłowu zwierz, futer, jak dla połowu ryb i handlu tę wyspę do siebie zagarnęli; tak że się stała własnością Rzeczypospolitej, która później znowu odstąpiła tę wyspę na własność prywatną swojej znakomitej posadnicy Marcie, w nagrodę jej cnót prywatnych i wielkich przymiotów i zdolności w rządzeniu. Kiedy religia chrześcijańska przyjęta przez Włodzimirza Igo wielkiego księcia kijowskiego rozszerzywszy się szybko po najodleglejszych częściach Rossyi, rozkrzewiła się także w całej

Rzeczypospolity Nowogrodzkiej, gorliwi tej boskiej religii wyznawcy szukali spokojnych zaciszy, a nawet pustyni, aby bez przeszkody i daleko od zgiełku mogli się oddać rozważaniu jej świętych tajemnic i zasłużyć sobie na szczęście wieczne, robili się tedy pustelnikami. Wyspa Sołowki samotna na morzu, a wśród srogięj i dzikiej przyrody położona, mogła prawdziwego ascetę zachęcić do szukania dla się na niej schronienia przed światem. Jeden z najpierwszych pustelników tej wyspy był tak nazwany Święty Zosyma, który własnoręcznie pobudował sobie tam drewniany domek i drewnianą kapliczkę; po nim nastąpił Święty Sawatij, a później inni pustelnicy i Święci. Świątobliwe życie tych ludzi, a szczególnież Zosymy i Sawatija, stawszy się głośnem w tych stronach sprawiło, że ludzie pobożni zaczęli ich nawiedzać, niektórzy z nich tam zostawali i z czasem i pomału założyli klasztor zakonników (czernców). Cuda jakie święci Zosyma i Sawatij za życia i po śmierci czynili, wliczyły ich w poczet świętych rossyjskich. Klasztor z drewnianego został niezadługo murowanym. Dzięki składanym ofiarom pobożnych ludzi, ze szczupłego stawał się coraz obszerniejszym i przestronniejszym, tak że z czasem i dzisiaj został ogromnej wielkości i niepospolitej wspaniałości. Ponieważ w klasztorze z czasem przybyło bogactw i położenie wyspy tego wymagało, zatem naokoło klasztoru zrobiono mocną fortecę. Kiedy Rzeczpospolita nowogrodzka przeszła pod berło żelazne carów moskiewskich, i Sołowki wraz z monasterem temuż samemu losowi uległy, carowie tak dla ochrony miejscy świętego, jak i dla własnych widoków, jeszcze mocniej Sołowki obwarowali. I musiała ta forteca już za dawnych czasów uchodzić za bardzo mocną, kiedy Rosyianie z sąsiednich i nawet ze zbyt odległych okolic, obstawający przy władzy Borysa Godunowa przed partyzantami Dymitra Samozwańca, jak to pismo, com czytał, wyraża się (czy nie przed Lisowczykami), którzy aż po morze Białe zapędzili się, skryli się do tej fortecy wraz ze

wszystkimi swojemi najdroższymi skarbami. Partyzanci Dymitra Samozwańca kusili się niejednokrotnie fortecę sołowieckiego monasteru zdobyć, ale zawsze odparci zostali. Odtąd sława monasteru cudami świętych Zosyma i Sawatija od napadu obronionego o wiele się powiększyła, a datki coraz się pomnażały. Zaczęto odtąd nie pojedynczo, ale po kilkaset razem i po kilka nawet tysięcy odwiedzać te cudowne miejsca; ten sołowiecki monaster tak wzrosł w sławę, iż na całą Rosyją jest pierwszym po Kijowie; schodzą się do niego pielgrzymi z najodleglejszych części Azji. Monaster ten jeden z najobszerniejszych w dostateczną liczbą czernców zaopatrzony, będąc położony w strefie lodowatej i ledwie przystępnej, utrzymuje się tylko z jałmużny i datku bohomolców. Od niejakiemu jednak czasu, przez usilność i pracę zakonników, rodzą się na tej wyspie dla potrzeby monasteru niektóre jarzyny: a najlepiej z nich udaje się kapusta, której sadzą podostatkiem: mąkę, krupy, olej, zboże w ziarnie i inne rzeczy potrzebne do życia sprowadzają z Archangielska. Kwas, który ma być bardzo dobrym, robią zakonnicy w wielkiej ilości, zlewają go do obszernych beczek dla potrzeby bohomolców. Klasztor ten ma dosyć krów, wołów i nieco koni; jest przy nim także młyn wodny, własność klasztoru. Tuż koło klasztoru jest wielkie jezioro przezroczystej wody, nazwane jeziorem oczyszczenia (uakształt Siloe w Jerozolimie). Żaden pielgrzym, to jest: bohomolec, nie może wyjść ani do klasztoru, a tém mniej do cerkwi, póki się wprzód w tém jeziorze dobrze nie wykąpie i niewymyje i na biało nieprzywdzieje. Jeżeli to jest akt religijny, niemniej jednak nazwać go można środkiem higienicznym, a szczególnież zręczną ostrożnością przeciw ćmie robactwa, którego bohomolcy tysiącami na sobie mają. Tuż przy monasterze są pobudowane liczne i obszerne komory dla tłumoczków bohomolców, a liczniejsze i nierównie obszerniejsze mieszkania dla nich samych. W tych salach znajdują się stoły długie, a na około nich

ławki: tu bohomolcy śpią, mieszkają i jadają: osobno kobiety, osobno mężczyźni. Są zakonnicy przeznaczeni do przyjmowania bohomolców i do utrzymania między nimi porządku; odbierają od nich tłumoczki i pod numerem składają je do komorek i pod klucz zamykają, później partyjami dzielą ich po salach. Każdy bohomolec ma prawo przez trzy dni mieszkać, odpoczywać i żyć kosztem klasztoru, za co ani grosza niedaje; jeżeli zaś dłużej dla nabożeństwa chciałby w klasztorze pozostać, musi wówczas żyć o swoim koszcie. Bohomolcy jedzą dwa razy na dzień, obiad i wieczerzę; na każde cztery osoby jest miska, to jest: porcja osobna; obiad i kolacja zwykle składa się z dwóch potraw: z barszczu z rybą i kaszy, lub z kapusty i czego drugiego. Daje się tych potraw do syta, do których wydziela się każdemu bohomolcowi wielka skiba chleba, jak bohomolcy powiadają, bardzo smacznego, a kwasu daje się tyle, ile kto wypić może. W czasie obiadu bohomolców jeden czerniec czyta w każdej sali Żywoty Świętych lub jakie inne modlitwy. Przyjęcie prawdziwie chrześcijańskie i bardzo podobne do przyjęcia i gościnności naszych polskich dawnych klasztorów: Bernardynów, Kapucynów itd. Bohomolec w ciągu trzydniowego pobytu i nabożeństwa modli się, stawia świeczki, każe odprawiać nad sobą akapysty, czytać ewangeliją na swój głowie, spowiada się jeżeli chce itd., rozumie się, na wszystko jest cena i za wszystko potrzeba płacić; cena zaś jest tak mała, że każdy bohomolec, choćby najbiedniejszy, był w stanie zapłacić; od dobrej woli jednak bohomolca zależy dać więcej nad przepis. Oprócz tego do dobrej woli także bohomolców zostawia się wrzucić co do skarbony lub nie, nikt mu o tém ani wspomni; jednak pobożność ludu słowiańskiego, a następnie i rosyjskiego, jest tak wielka, iż chybaby który wcale nic nie miał, aby do skarbonki grosza niewrzucił. Niewiem z pewnością, ale zdaje się jednak, że za odwiedziny grobu Świętych Zosymy i Sawatija także się coś

placi. Nierzadko się zdarza, że zamożniejsze osoby, jak n. p. kupcy bogaci z wielką hojnością darzą monaster; rzeczywiste jednak dochody monasteru składają masy bohomalców, których tu każdego lata do kilku dziesięciu tysięcy rok rocznie przybywa. Niektórzy z bohomalców czynią ślub pozostania rok i dwa i więcej lat w monasterze dla pokuty, lub ćwiczenia się w obowiązkach chrześcijańskich. Chętnie takich zakonnicy przyjmują, pozwalając im modlić się i pokutować, ale pod jednym tylko warunkiem, to jest: pod warunkiem być użytecznym klasztorowi: potrzeba albo być bogatym i płacić klasztorowi za pobyt w nim i życie, co jest bardzo słusznem, albo w braku pieniędzy potrzeba być jakim rzemieślnikiem, szewcem, krawcem, piekarzem, ogrodnikiem, albo przynajmniej mieć dobre zdrowie, aby być zdatnym do zwykłych monasteru posług, jako to: do rąbania i wożenia drzewa, do palenia w piecach i t. d. — inaczej próżna chęć pokuty. Po dopełnieniu ślubu lat naznaczonych, pokutach, namodliwszy się wiele, napracowawszy się daleko więcej i niedostawszy w zamian ani grosza, syt tylko wiarą dobrego uczynku, i rozgrzeszeniem jakie mu przełożony klasztoru udzielił, odchodzi do miejsca rodzinnego; wszyscy jednak bohomolcy zgadzają się w pochwałach dla uprzejmości, łagodności, dobroci i bezinteresowności tych zakonników. Niekiedy nawał bohomalców jest tak wielki, że niema gdzie ich pomieścić w klasztorze.

Jak tylko statki zaczynają pływać po morzu Białem, a co zwykle poczyna się z samym początkiem czerwca każdego roku, natychmiast bohomolcy z różnych stron uwiązują się do monasteru solowieckiego; najwięcej ich jednak przybywa z Archangielska, dokąd przybywają na barkach i pieszo, a ztąd dopiero płyną do monasterów niewielkimi statkami nazwanymi Karbasy; w tych karbasach bohomolcy gnieźdzą się dosłownie jak śledzie po osmdziesięciu, lub po stu i po więcej, stósownie do objętości karbasa; podróż ta jest bardzo niewygodna i przykra, jak

mi bohomolcy mówili. Cena za przewóz z Archangielska do monasteru i na powrót jest bardzo umiarkowana: z przyczyny jednak niewygodnej i niebezpiecznej podróży morzem, wielu bohomalców z Archangielska udaje się na pieszo południowym brzegiem morza Białego i doszedłszy aż do cypla wystającego w morze na wysokości wyspy Solowki, od której ten cypel oddzielony jest morzem na kilkadziesiąt tylko verst szeroki, tam dopiero siadają na karbasy i przewożą się. Pielgrzymka do tych monasterów trwa tylko do końca miesiąca września, to jest: przez cztery tylko miesiące, czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień. Przy końcu września i na początku października żegluga na morzu Białem ustaje z przyczyny północnych wiatrów wzburzających morze, a jeszcze więcej z przyczyny ogromnych a licznych brył lodu doń naniesionych z Oceanu północno-lodowatego. Z końcem zatem września solowiecki monaster zupełnie jest opuszczony od bohomalców. Troskliwość zakonników solowieckiego monasteru dla bohomalców rozciągnęła się aż do Archangielska i tam wybudowali dla ich wypoczynku i przyjęcia tak nazwany z powyższego powodu solowiecki Dworzec, to jest: Solowiecki Dom, o którym już mówiłem i w którym podczas pobytu w Archangielsku stałem i nocowałem.

Ale jeżeli solowiecki monaster z odludnego i lodowego ustronia wlewa rok rocznie w serca tylu tysięcy otuchę, nadzieję i pociechę, podnosząc częstokroć z upadku dusze, namiętnościami lub zbrodnią skażone i obiecując im przebaczenie od Boga Ojca, gdy powstaną z grzechu i nawrócą się szczerze do niego: to władza despoty jakby na urągawisko miejscu świętemu wybrała takie to ustronie dla wiania boleści i rozpaczy w serca szlachetne i dla tego jej nienawistne, albo te, których uczucia mogły trwożyć duszę i bezpieczeństwo samodziścy. Na własnem oczy niewidział tego, ale od wielu ludzi, a szczególnie prostodusznych bohomalców, którzy po lat kilka w solowieckich monasterach bawili, słyszałem to, co tu powiem. Za wia-

rogodność prawdy nie ręczę, ale za wiarogodność opowiadania, którem słyszał, zaręczam sumieniem. Niedaleko murów monasteru w fortecy jest więzienie; prostych zło-
czyńców ani politycznych jawnych przestępców tam nie
sadzają; jest na to Syberya, posilenie i katorga. Któż
w tém więzieniu siedzi? ilu tam jest więźniów? — Głu-
cha tajemnica jak cisza grobowa nad tém panuje — a je-
dnak ktoś tam musi siedzieć, bo i ścisła warta żołnierzy
czuwa, i niewolno się dowiadywać o tym, kto tam jest
zamknięty. Przed kilką laty, jak mi mówiono, siedział
w tém więzieniu jakiś starzec wysokiego pochodzenia,
z długą białą brodą, za młodu jeszcze do niego wtrącony;
w tém więzieniu postarzał, osiwił i ociemniał na oba
oczy — od płaczu. Ale nikt nie wie, kto był rzeczywiście
ten człowiek. Czy niema w tych więzieniach kogo na-
kształt Iwana, co zrodzony na cara, od kolebki samęj do
więzienia wtrącony, w niem wzrósł i z rozkazu Katarzy-
ny II., *cnotliwej* babki Mikołaja Igo dla bezpieczeństwa
jój tronu i jój spokojności w niemże zamordowany został?
Czy Konstanty carewicz wraz z żoną i dzieckiem rzeczy-
wiście w naszej i po naszej rewolucyi jak na komendę
pomarli? czyli téż mniemanie ogólnie w wojsku rossyjskiem
od Kijowa aż do głębi Syberyi rozszerzone i utrzymywane
(a o czóm sam miałem sposobność przekonania się,) o
jego życiu tajemniczem, jest przeczuciem, że istotnie Kon-
stanty jeszcze gdzieś żyje? — Jakkolwiek bądź zgroza
i tajemniczość jakby mgłą pokrywające więzienie sołowie-
ckiego monasteru mogą naprowadzać na rozmaite domysły,
za których fałsz lub prawdziwość ręczyć równie jest nie-
bezpiecznie. Może w nich jaka się maska żelazna (*Ma-
sque de fer* za Ludwika XIV) za panowania *łaskawego*
Mikołaja Igo rzeczywiście ukrywa.

Lud rossyjski, równie jak ruski i polski i w ogóle
słowiański jest religijny: w czasach gorliwości chrystya-
nizmu, cały świat chrześcijański odwiedzał świętą Jerozo-
limę. My Polacy dotychczas odwiedzamy Matkę Boską

Częstochowską, Ostrobramską, Berdyczow i Kalwaryą;
Rossyanie mają Kijów, Moskwę, Wielki Nowogród i So-
łowiecki monaster: ze wszystkich stron obszernego pań-
stwa rossyjskiego, dla którego słońce nigdy nie zachodzi,
lud pobożny tysiącami te miejsca cudowne odwiedza: i są
bohomolcy, którzy za jedną pielgrzymką kilka lat trwa-
jącą wszystkie te miejsca od razu zwiedzają. W czasie
mojej podróży z Archangielska, za miastem Onegą zda-
rzyło mi się spotkać z dwiema kobietami, jedna młoda
a druga średniego wieku, obie bohomolki a rodem z ir-
kuckiej gubernii w Syberyi, które piechotą zwiedziwszy
Moskwę, Kijów, Poczajów i Wielki Nowogród, szły tą
razą do sołowieckich monasterów, zkąd zwiedziwszy je-
szcze inne miejsca cudowne tych okolic, miały wracać
przez góry Uralskie i Werchoturje nazad do irkuckiej
gubernii. Prostý kozak syberyjski Nazimow rodem także
z irkuckiej gubernii, przejęty uwielbieniem dla swego cara
Mikołaja, o własnym koszcie, piechotą z irkuckiej gu-
bernii przybył do Petersburga jedynie dla widzenia carskiej
osoby. Otrzymał posłuchanie, widział cara i całą jego
rodzinę: od samego cara i od każdego członka jego ro-
dziny otrzymał upominek i wrócił do Syberyi szczęśliwy
i zadowolony z przedmiotu osiągniętego swęj podróży.
Historja podróży Nazimowa i jęj cel z rozkazu wyższej
władzy została wydrukowaną. W Rossyi ludzie nawet
majętni, jak np. kupcy ślubują częstokroć piechotą od-
prawiać pobożne pielgrzymki. Ci bohomolcy w całej Ros-
syi są dobrze widziani i przyjmowani: chociaż między nimi
wielu jest także istotnych próżniaków lubiących się włó-
czyć z miejsca na miejsce. Wielu pomiędzy bohomolcami
ani grosza prawie nie mając, długie lata podróżują, a nie
zbywa im wcale na pierwszych potrzebach życia; tak są
gościnne, tak szczodre serca rossyjskiego ludu; rzeczywi-
ście ten naród rossyjski godzien jest lepszego losu, który
go może w niedalekiej czeka przyszłości. — Bohomolcy
udają się do sołowieckich monasterów, dla uniknienia nie-

wygodnej w tych stronach bagnistych podróży, czynią podróż zimową porą aż do miejsca, gdzie są rzeki spławne, tam zatrzymawszy się aż te rzeki nie puszcza; poczem wsiadają na barki i na nich płyną do Archangielska; wielu z bohomalców mniejszymi statkami przypływa rzeką Onegą aż do miasta Onegi, zkąd korbasami udają się do sołowieckich monasterów. — Teraz wracam do dalszego opisu mej podróży.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Dalszy ciąg podróży (mieczki) z Archangielska przez Onegę, Wytiegrę, Nową Ładogę, Schlüsselburg, Petersburg, Rewel, Rygę, Mitawę, Połongę (gubernia Archangielska, Wołogodzka, Ołowiecka, Sankt-Petersburska), Estoniją, Liwoniją (Infanty), Kurlandiją. Przejście granicy pruskiej; podróż przez Memel, Tylżę. Przybycie do Królewca. Przygody tej podróży.

Bruksella (Belgia) 12 lutego 1850.

Przenocowawszy po raz trzeci w Sołowieckim Dworze, odebrałem mój tobolek od klucznika, któremu oświadczyłem, że odpływałem do sołowieckich monasterów; rzeczywiście zaś chciałem iść piechotą, nie do sołowieckich monasterów ale ku Polsce. Kupiwszy kilka bułek chleba na drogę, udałem się na przystań dla znalezienia przewozu na tamtą stronę Dzwiny, to jest: na brzeg jej lewy; był to dzień targowy a 2 czerwca 1846 roku. Po długim szukaniu i dopytywaniu się, znalazłem jednego chłopca, który przywiozłszy na łodzi siano i takowe sprzedawszy, miał z południa wracać do domu za Dzwinę. O naznaczonym czasie siadłem samotrzeć na łódkę i po trzygodzinnem moim płynieniu przybyłem na drugą stronę Dzwiny, zapłaciwszy za przewóz 50 kop. (25 groszy) po-

szedłem dalej. Dzień był piękny i ciepły. Okolice równa, ale dzika, pusta, aż mi się tęskno zrobiło. Idąc wskazaną drożyną i minawszy parę wiosek małych opodal od drożyny leżących, ku wieczorowi przybyłem do trzeciej jeszcze mniejszej, na drodze położonej, ale której domki opodal od siebie były odosobnione. Robactwo mnie mocno dokuczało, potrzebowałem z niego się oczyścić; zaszedłem do jednego domu na noc, przy którym była łaźnia; za kilkanaście kopiejek napalono ją mocno, poszedłem do niej, zabrałem z sobą wszystko moje odzienie, które na drągach wysoko w najgorętszym miejscu porozwieszałem, aby robactwo podusiło się w parze. Operacya udała się najwyborniej; ani jednej sztuki żywej nie pozostało. Sam się przytęm wykąpałem, wymyłem mydłem, oczyściłem i bieliznę przeprawszy w gorącu wysuszyłem. Po tej kąpieli i tem oczyszczeniu się z robactwa, stało mi się jakoś lżej, raźniej i weseliej. Niewiem, dla jakiej przyczyny zachciało mi się gwałtem świeżego, surowego słodkiego mleka; moja gospodyni go nie miała, ale wskazała mi dom, gdzie go można było dostać. Wszedłem do wskazanego domu i sposobem grecko-rosyjskim przeżegnawszy się trzy razy, pozdrowilem trzy kobiety, które się tam znajdowały, poczem prosiłem o mleko za pieniądze; wahając się jedna z nich, pewno gospodyni, odpowiedziała że jest, i dawszy dosyć mało za pieniądze, którem ofiarował, zaczęła a raczej zaczęły wszystkie trzy, podczas gdy jadłem, mnie się rozpytywać zkąd i dokąd idę i t. d. Ztąd wpadła mowa na religiję: wkrótce postrzegłem, że to były starowierki i silne swych zabobonów propagatorki; naprzód zaczęły mnie strofować, że się źle, nie po chrześcijańsku żegnam; odpowiedziałem, że mnie tak nauczono; zaczęły tedy mnie uczyć żegnać się po swojemu, utrzymując, że kto się inaczej od nich żegna, to nigdy zbawion nie będzie i po uszy będzie siedział w piekle. Chociaż dobrze znałem ich sposób żegnania się, udałem że pierwszy raz go widzę: po długim z ba-

bami certowaniu się i po licznych dowodach z ich strony, aby raz z niemi tę dysputę zakończyć, udałem, że im wierzę, że się nawróciłem i że ten a nie inny sposób żegnania się jest prawowierny jedynie i do zbawienia wiodący, a na dowód, że wierzyłem, przeżegnałem się sposobem wyuczonym. Baby tak były kontente z nowonawróconego, że dwa razy mi tyle co poprzednio dały mleka, ani kopijki za to niewziawszy: ja zaś śmiejąc się w duchu, z prawdziwej wdzięczności z apetytem zjadałem mleko. Otóż co to jest sekciarstwo. Przy pożegnaniu się z niemi, przeżegnałem się trzy razy nauczoną sposobem, i przy najszczerzych ze strony bab życzeniach, aby mnie Bóg na drodze prawowierności, to jest: starowierstwa zachował, odszedłem na kwatere, gdzie musiałem się znowu inaczej żegnać, bo gospodarstwo niebyli starowiercy. Trudno sobie wyobrazić nienawiść, jaka panuje między starowiercami a prawosławnymi. W tej wiosce z kilku chałup złożonej były dwie partye najzaciętsze, z powodu żegnania się.

Dodnia puściłem się w drogę. Idąc dzień cały krajem, wrzosem i niewielkimi karłowatymi szpilkowemi łąkami wśród bagien pokrytym, a wśród których długą i ciężką pracą złą usypiano drogę, zanocewałem w lesie, choć prawdę mówiąc niebyło nocy, bo tu dla mnie nowy przedstawił się fenomen. O tej porze roku w tej części północnej Rossyi prawie niema nocy; bo chociaż słońce zajdzie, to brzask dnia od zachodzących promieni trwa tak długo, iż prawie widać jak się posuwa ku wschodowi, gdzie niezadługo i samo pokazuje się na horyzoncie. W dalszej podróży to jeszcze wyraźniej widzieć się dało; tak, że noc ode dnia można było rozróżnić tylko po pewnej ciszy panującej w naturze. Słońca na horyzoncie wprowadzie niewiada: ale mimo to tak jest widno, jak kiedy wśród dnia tarcza słońca chmurami jest powleczone: słowem nie tylko można najwygodniej pisać i czytać, ale najdelikatniejsze ręczne roboty, światła i dobrego wzroku wyma-

gające można wykonywać. Jeden z flisów, z którym razem z Wielkiego Ustjuga do Archangielska Dźwiną płynąłem, ten sam co tak zręcznie wiosłem linę podchwycił i być może życie mi ocalił, pływał dwa razy z Archangielska do Islandyi za stokfiszem (sajgą) i mówił mi, że przez cały czas żeglugi od maja do września nigdy im słońce niezachodziło: tylko to się podwyższało, to zniżało. Z systematu słonecznego i z formacyi globu ziemskiego wiedziałem dobrze o tém; ale mimo tę wiadomość, to, że tak powiem, zjawisko działające wprost na moje zmysły, dziwne na mnie sprawiało wrażenie. Odpocząwszy, usnąwszy, nieśmiem powiedzieć przemocowawszą, gdzie nocy niebyło, udałem się dalej. Szedłem piaskami, lasami gęstemi, ale karłowatymi a wszystko szpilkowemi. Okolice biedna, smutna i tęskna i wyszedłem w końcu na sam brzeg morza Białego, którym odtąd szedłem. Długo była piękna pogoda, a słońce tak dogrzewało, że zrzuciwszy nawet z siebie kożuch, jeszcze mi iść było gorąco. Nareszcie powstał wiatr silny i morze Białe burzyć się zaczęło. Jak lubię słuchać burzy, gromów i piorunów, tak lubię się przypatrywać piętrzącym się w górę wściekłym bałwanom rozlukanego morza: zatrzymałem się tedy nieco nad tym widokiem; a później wszedłszy na wzgórze długom się ztamtąd przypatrywał z zachwyceniem straszemu żywiołowi; całe morze od pieniających się bałwanów białych zdawało się pokryte śniegiem, (czy nie dlatego nazywa się Białém?) a fale jak wysokie wzgórze rzucając się na brzeg daleko od morza i znowu się cofając a następnie poruszając na dnie kamienie trącające się o siebie, oprócz szumu i ryku, wydawały jeszcze odgłos najwyraźniej naśladujący rozgłos ciągle nieustającego gromu. Poczém zstąpiwszy z pagórka na drogę tak blisko morza będącą, że fale na nią wskakiwały, poszedłem dalej, przysłuchując się z upodobaniem wspaniałemu głosowi przyrody, opowiadającemu tym strasznym pieniem potęgę Stwórcy: szedłem dni kilka a wiatr i burza nieustawały, nocując po lasach, rzadko kiedy ja-

kiego człowieka na drodze spotkałem. W jednym miejscu na drodze na samym brzegu morza widziałem świeżo ubitego węża, co jest dowodem, iż pod tą szerokością jeszcze płazy się znajdują. Jednego dnia przybyłem do jakiegoś bardzo małego miasteczka nad samém morzem położonego, a które tam jeszcze dawnym sposobem od Rzeczypospolitej nowogrodzkiej przyjętem, Posadem się nazywa, (Posad zapewne kolonija), w tém miasteczku znalazłem bardzo wielu bohomalców, a między nimi niemal wszystkich moich znajomych, którzy dwoma dniami przede mną wypłynęli karbasami z Archangielska do solowieckich monasterów. Burza zmusiła te karbasy mocno uszkodzone przybliżyć się do brzegu, tak dla ich naprawy, jak i dla bezpieczeństwa życia bohomalców. Jeden karbas wraz z bohomalcami rozbil się i zatonął. Bohomolcy czekali tedy pogody, a ja z nich niby żartując, że piechotą prędzej będę w monasterze solowieckim, niż oni karbasami, poszedłem dalej. Ku wieczorowi burza ustała, nazajutrz morze się uspokoiło pomalu. Ja przybywszy nad samo morze i utkwivszy w niem mój kij pielgrzymi, przypatrywałem się jego powierzchni lśniącej się od jasnych promieni słońca a gładkiej jak powierzchnia zwierciadła. Stojąc i dumając myślałem: mój Boże! za dawnych, świetnych Rzeczypospolitej Polskiej czasów, gdy Polak z dumą przed światem podnosił swe czoło, a wrogi przed nim drzeć musiały, zwycięzkie pułki naszych dzielnych Lisowczyków, może tu na tém miejscu płukały kopyta bitnych swych rumaków i pewno wówczas ani im się marzyło, aby który z ich następców we dwa wieki później, ratując się ze srogięj niewoli tylekroć od nich pokonanego wroga, zabłąkał się w te strony z uczuciem swój niemocy, trwogi, z uczuciem poniżenia i wstydu, że jego ojczyzna dźwiga kajdany, a on prócz westchnienia, łez i gorących pragnień za jęj oswobodzenie, nic więcej dla nięj zrobić niemoże: i dziś tułając się jako złoczyńca zaparł się nawet swego pochodzenia i rodu i jak podły

niewolnik niewolniczym sposobem, bo chytrąścią tylko i przebiegłością stara się oszukać czujność swych dzikich władców, uszcząjących się dzisiaj na nas naszej przeszłości, wielkości, naszej sławy i znaczenia, a może cnót naszych! Poczem idąc dalej, przybyłem do jakiegoś obszernego zabudowania i samotnie na samym brzegu morza położonego: była to solownia, gdzie z wody morskiej sól gotowano. Wkrótce wróciwszy na lewo od morza, napotkałem wieś niewielką, w której chciałem kupić chleba, ale już od kilku dni w całej wsi go nie było. Przyczyna tego była ta: wszystkie wioski i posady blisko brzegów, lub nad brzegami południowemi morza Białego pobudowane, z przyczyny surowego klimatu i zlej, bo po większej części bagnistej ziemi, sieją i to tylko w bardzo małej części, i na najlepszych z wielkim trudem i nakładem uprawianych ziemiach jęczmień i owies, co ani w setnej części niewystarcza do wyżywienia ludności tych okolic; dla zaradzenia zatem temu niedostatkowi zboża sprowadzają takowe karbasami z Archangielska w zamian swojego przemysłu i połowu ryb. Otóż z tej wsi oddawna popłyniono do Archangielska za mąką, ale niewiadomo, z jakiej przyczyny opóźniono się z powrotem; azatém i w całej wsi nie stało chleba. Ale w niedostatku chleba dostałem w tej wsi kilka świeżych, wielkich i dość smacznych śledzi z morza Białego. Idąc dalej spotkałem człowieka już powracającego z solowieckich monasterów, w których ciągle dwa lata bawił jako pokutnik, a teraz wracał do domu: usiadłszy obaj dla odpoczynku: wiele mi o tych monasterach opowiadał; poczem w przeciwną każdy z nas udał się stronę. Wkrótce znalazłszy się na wysokości Cypla, z kądby można się udać karbasem do monasterów, rzuciłem drogę na prawo do nich prowadzącą, a wziąłem się na lewo drogą prowadzącą do miasta Onegi, jako ten co niby wracając z solowieckich monasterów tamtędy przechodzi. Szedłem więc odtąd jako bohomolec wracający z solowieckich monasterów, a udający się przez Wielki

Nowogród do Kijowa na poklonienie świątym moszczom, (na oddanie czci zwłokom świętych). Po niejakiem czasie wyszedłem znowu nad samo morze i wpadłem na tak wielkie piaski, że po kilkogodzinnym ciężkim marszu ledwie z nich wybrnął, a wróciwszy się na lewo i wszedłszy na wzgórze, opuściłem odtąd nazawsze brzegi morza Białego i szedłem już tylko lasami, gdzie niegdzie polami i tak zbliżyłem się do miasta Onegi. Ilem dni szedł z Archangielska do Onegi, tego już nie pamiętam, wiem tylko, że ani sił, ani nóg nie szczędził, a szedłem dniem i nocą. Brzeg morza południowy, niemal w całej swjej długości opiera się o nieprzerwany łańcuch wzgórz dość wysokich, pokrytych lasami prawie bez przerwy wzdłuż brzegów ciągnącemi się. Droga od Archangielska do Onegi, bardzo zła i niewygodna, wielką pracą i kosztem utrzymana, ciągnie się już to po wzgórzach nadmorskich, już to samym brzegiem morza i nad samym brzegiem jest najlepszą, najrówniejszą. W najpiękniejszej dla tych okolic porze roku cała przestrzeń od Archangielska do Onegi, przedstawia bardzo smutny widok, bo jest nędzną i biedną. Oprócz lasów, choć obszernych i gęstych, ale niebujnych, oprócz bagien, wrzosu i piasku, nic więcej niewidać; gdzie niegdzie tylko około biednych wiosek, widać trochę pola ornego. Jednakże i tym miejscom w ogóle smutnym nie braknie na pięknych gdzie niegdzie widokach, szczególnie nad samem morzem: lud jednak wszędzie jest wesół, zdrowy i zdaje się być szczęśliwym ze swego położenia. Prawda, że tam niema ani poddaństwa, ani niewoli, bo mieszkańcy wszyscy są to skarbowi włościanie. Niewiedziałem tam twarzy smutnej i melancholicznej cechującej wieśniaka Litwy lub żyznej Ukrainy.

Z dość wysokiego wzgórza postrzegłem w szerokiej i długiej dolinie przeciętej jakby wstęgą rzeką Onegą, miasto Onegę, na prawym brzegu rzeki zabudowane, bardzo długie, ale bardzo wąskie, bo w większej części swjej długości jeden tylko szereg domów nad rzeką mające; to

miasteczko a raczej wieś duża, oprócz kilku pięknych cerkwi nic w sobie niema szczególniejszego, domy wszystkie są drewniane. W porcie tego miasta było kilka okrętów zagranicznych, przybywających tu za drzewem do budowy okrętów, za tarcicami. Zrażony niepowodzeniem się w Archangielsku, nie chciałem tu próbować, czyby mi się nieudało wsieść na jaki okręt, a przytém brakowało mi powodu i sposobności bawienia, gdyż bohomołców tu zapewno niebyło; rzeka Onega wpada także do morza białego. Ze wzgórza skąd przyglądałem się miastu, postrzegłem na około nieprzebyte lasy. Z Onegi potrzeba mi było iść albo przez Finlandyą i rzekę Torneo do Szwecyi, albo przez Wytiegrę obok Petersburga, i do Prus. Pierwsza droga była niezawodnie nierównie dłuższą, więcej mordującą, ale za to pewniejszą; druga zaś nierównie krótszą, wygodniejszą, ale bardzo niebezpieczną: potrzeba tedy było wybierać. Gdybym uciekał wprost z Onegi, uciekałbym niezawodnie do Finlandyi, ale po tylu trudach i niewygodach doznanych, po tylu i tak długich pragnieniach, stanąć jak najprędzej u celu mój podróży, ta długość drogi mnie przeraziła; obrałem więc drogę krótszą obok Petersburga, a choćby nawet i przez sam Petersburg; powodowany tą maksymą: audaces fortuna juvat, a bardziej ufnością w Boga, który mnie dotychczas we wszystkich przygodach życia ratował.

Rozpytawszy się tedy jako bohomołec, miejscowych ludzi, których po drodze spotykałem, o drogę, do Wytieгры, przeszedłem przez niewielką część miasta, w którym kupiwszy tylko chleba i wcale się niezatrzymawszy, udałem się małą dróżką, lasem i prawym brzegiem rzeki Onegi i ku jej źródle idącą. Ponieważ już było ku wieczorowi, zboczywszy w las przenocowałem. Dodnia ruszyłem w podróż, i może o werst tylko kilka od miasta Onegi, nad rzeką Onegą, w lesie i nade drogą, ujrzałem dość wielki tartak drewniany, a na około niego ogromne stósy pięknych tarcic; niemożę twierdzić z pewnością, czy

ten tartak jest rządowy czy prywatny. Wiem tylko, że on najwięcej dostarcza dla okrętów drzewa do budowy. Niedaleko za tym tartakiem dał mi się słyszeć szum wody, który powstawał z powodu progu przez całą szerokość rzeki przecinającego; próg ten czyli katarakta, bardzo mało nad powierzchnią wody wystająca, czyni rzekę Onegę nieposobną do żeglugi większemi nieco statkami, małe zaś statki ładowne mąką lub czém inném, zatrzymują się przed progiem w pobliskiej wiosecie, zkąd do Onegi na wozach ładunek się przewozi. Czy jest jeszcze więcej progów na Onedze, o tém niewiem. Przybliżywszy się do wioski, zaszedłem do odosobnionego, lecz porządnie zabudowanego domu, dla rozpytania się o drogę. Córka gospodarza może siedemnastoletnia i ładna dziewczyna była bardzo chorą; rodzice jej i przyjaciele leczyli ją, każąc jej jeść szczaw' zielony, surowy, do którego z resztą miała apetyt z przyczyny wielkiej gorączki, co ją trawiła. Zdziwiony tym sposobem leczenia gorączki, zapytałem czy szczaw' jej niezaszkodzi? odpowiedziano mi, że to jest u nich zwykły sposób leczenia się, i że to jest bardzo pomocném; choć temu niewierzyłem, nie innego jednak radzić nieśmiałem. Żał mi tylko było patrzeć na tę piękną z niebieskim okiem dziewczynę, mordującą się z gorączką, a może niezadługo i ze skonem; gdybym był lekarzem szczerzebym był chciał przyjąć jej w pomoc. W tej wsi na czołnie przewiozłem się na lewy brzeg Onegi, którym kilka dni szedłem; dolina rzeki Onegi jest bardzo piękna. Na prawym jej brzegu są pobudowane wioski, a na lewym naprzeciwko są pola orne i łąki do tych wiosek należące. Wogóle jednak pola ornego jest bardzo mało, ale łąk podostatkiem i pięknych, jak równie podostatkiem jest tam bydła, i dla tego nabiał jakoto: mleko i ser jest prawie za bezcen; dowiedziawszy się o tém często się mlekiem i serem zasilałem. Duże były piękne i gorące, przeplatane jednak niekiedy

rzęsiwym, długo trwającym i chłodnym deszczem; nocowałem jak zwykle po lasach. Jedną razą gdy deszcz mnie cały dzień moczył, i gdy potrzebowałem od niego ochrony, przenocowałem w oborze pobudowanej z drzewa jak izba, i pokrytej słomą. W niektórych wioskach nad Onegą jest zwyczaj, że i obory są z drugiej strony rzeki, a to zapewne z przyczyny pastwisk, na tej stronie znajdujących się. Po drodze spotykałem mnóstwo bohomolców, kobiet i mężczyzn, ciągnących jak zórawie do Solowieckich monasterów, z których niby już wracałem i różnych im udzielałem w tym względzie wiadomości, jeżeli byli ciekawi wiedzieć o czemś. Między innymi spotkałem samotnie do Solowieckich monasterów idącego jednego staruszka do sześćdziesięciu lat liczącego, białego jak gołąbek, niskiego wzrostu, ale żywego, wesołego, zwinnego, czerstwego, pełnego życia i ochoty, i na bok kapelusz trzymającego; spotkawszy się, zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy gawędzić. Z kolei zapytałem go, zkadby był rodem? A zgadnij. Zgadnąć trudno, bo świat wielki. Jednakowoż jak ci się zdaje? Może z Petersburga? Nie. Może z Moskwy? Nie. No to już niewiem. Ja Kargopał, odpowie pocieszny staruszek, ale to z taką dumą, z taką powagą, z takiem uwielbieniem dla swego pochodzenia, jak niegdyś Rzymianin mówił: sum civis romanus. Od niego tedy dowiedziałem się, którędy mi iść wypadało do Wytiegry; musiałem pierwój przechodzić przez jego rodzinne miasto Kargopał, do którego miałem jeszcze 400 werst. Wśród lasów nieustannie ciągnących się po lewym brzegu Onegi, jest jakiś klasztor zakonników (Czernców); ale nazwiska tego monasteru niepamiętam. Minąłem oprócz wiosek, kilka tak nazwanych Pohostiej. Pohost' nazwa sięgająca, równie jak posad, jeszcze czasów Rzeczypospolitej nowogrodzkiej; jest to zwykle duża wieś mająca jedną lub więcej cerkwi i smętarz. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że pahost' to samo

znaczy co parafia, a raczej miejsce gdzie ksiądz parafii mieszka. Jednego dnia chcąc się posilić, zaszedłem do samotnego domu, opodał ode drogi położonego; zastałem w nim tylko gospodynią i jakąś inną kobietę. Oprócz tołokna nic w domu niebyło. Prosiłem tedy, aby mi dała tego tołokna, o którym bardzo często słyszałem, a którego dotąd nie tylko nie jadłem, ale nawet niewidziałem. Gospodyni postawiwszy przedemną na stole niewielką drewnianą miseczkę, a raczej kubek napelniony do połowy jakąś mąką suchą i brunatną, jakby była przepaloną, dawszy łyżkę i postawiwszy dzbanek z wodą, usiadła przy mnie i rozpytując się o mojej podróży zapraszała mnie do jedzenia. Ale ja niewiedząc, jakim sposobem wziąć się do tego jadła, nieśmiałem zaczynać obawiając się, aby się nie zdradzić niewiadomością użycia pokarmu tak narodowego, tak miejscowego. Bo mi się jakoś niezdawało, aby można łyżką jeść suchą mąkę, którą możnaby się zakrztusić, zadławić nimby było podobno ją przelknąć. Mniemałem tedy, że musiała być jakaś do tej mąki, to jest: do tego tołokna przyprawa, ale niewiedziałem jaka; zdawało mi się także, że gospodyni albo się pomyliła, dawszy mnie czego innego na miejsce tołokna, albo wszystkiego co do niego było potrzebnem nie dała. Byłem rzeczywiście zaambarasowanym. Niewiedząc jak wybrnąć z tego kłopotu, bawiłem kobietę rozmową, ażeby mi się nadarzyła sposobność mogąca mnie naprowadzić na prawdziwy sposób jedzenia tej potrawy. Gospodyni pewno zdziwiona, że rozmawiam a niejem, zapytała mnie, czemu niejem i czemu do miski niewlewam wody? i natychmiast podchwyciła: może lepiej lubisz z kwasem, niż z wodą? Tym sposobem dowiedziawszy się o sekrecie, i niby przenosząc jeść tołokno z kwasem niż z wodą, odpowiedziałem: pażałujcie kwasu, to jest: proszę mnie dać kwasu. Gospodyni przyniosłszy kwasu, nałagała go do mojej miski i roztworzyła z tołoknem; mąka

sucha nasyciona cząstkami wodnymi tak napęczniała, że z połowy miski całkiem ją napelniła; a mąka przybrała istotę ciasta. Wziąwszy tedy za łyżkę zacząłem zjadać, i przyznam się, że mi ta potrawa zdawała się dość przyjemnego smaku i jadłem ją z apetytem. Ponieważ kilka razy to tołokno w tych okolicach jadłem, chcę objaśnić czytelnika, jakim sposobem ono się robi. Bierze się po prostu owies w ziarnie, i gotuje się przy ogniu w pieciu w dużych garnkach, poczem do gorącego wysypuje się pieca, dla wysuszenia go jak można najmocniej aż do przypalenia: tak zgotowany i upieczony owies, aż do nadania mu brunatnego koloru, oczyszcza się z łuski, poczem mieli się na mąkę, z której robi się *tołokna*, nalawszy wody lub kwasu i posoliwszy. Tołoknem nazywa się od *totoczenia*, zacierania na ciasto. Wartoby tego sposobu nauczyć naszych karpackich górali, żyjących po największej części owsiannemi plackami. Jęczmienne pierogi o których już mówiłem, byłyby dla nich wielką także łakocią.

Jednego razu prawie o wschodzie słońca i niedaleko już miasta Kargopola, przechodząc przez jedną wieś na trakcie położoną, zaszedłem do jednego, drugiego i trzeciego domu dla kupienia chleba; niewiem z jakiego powodu chleba w tych domach nie było; w ostatnim z nich mi powiedziano: że na przednówku w tej wsi trudno dostać chleba wyjąwszy w jednym, gdzie się zawsze chleb znajduje, i tu mi gospodarz wskazał ten dom; dla lepszego jednak pewności powiedział mi: Widzisz ten wóz przed domem stojący? — Widzę, odrzekłem. — Otóż w tym domu dostaniesz chleba. Ale ten wóz porządniejszy od zwykłych wozów nieco mnie zastanowił, zapytałem tedy: Czy kto w gości do tego domu nieprzyjechał? — No jacy tam goście, to kapitan i sprawnik zjechał tutaj za jakimiś rządowymi obowiązkami (po kazionnym dielam). Na tę wiadomość aż mnie dreszcz przejął, byłbym samo-

chcąc wlaź w matnię i szpony czynownika. Pożegnawszy tedy gospodarza, który natychmiast wszedł do swego domu, nietylko że nieposzedłem do wskazanego domu za kupnem chleba, ale skręciwszy na bok wszedłem w drugą ulicę, aby nawet przed tym domem, gdzie stał kapitan i sprawnik, nieprzechodzić, boby mnie z okna mógł dostrzedz i porwać w swe szpony. Jeść mi się odechciało, zapomniałem o chlebie i co tchu bocznymi uliczkami opuściłem wioskę tyle dla mnie złowrogą. Niebyłaż to Opatrzność, która mnie i tu uratowała? Pominawszy nudne opowiadanie jednostajnej mojej podróży, w której oprócz trudów, ciągłego i o ile sił mi tylko starczyło pochodu, obawy, trwogi i pragnienia dostania się czémprędzej za granicę Rossyi, nic szczególnego nie zaszło, i przepłynąwszy kilka razy z lewego na prawy, a z prawego na lewy brzeg rzeki Onegi, przybyłem w końcu do miasta Kargopola, gdzie na zawsze opuściłem rzekę Onegę. Rzeka Onega dość długa i często w łuki zaginająca się, jest małą rzeką w porównaniu z Dźwiną północną i nietylko z powodu progu (katarakty), ale nawet z ilości wody nie jest sposobną do dźwigania nieco cięższych statków. Oprócz niewielkich batów, a raczej łodzi, i to napelnionych tylko ludźmi, a nie towarami, żadnego ruchu statków na niej niewidziałem; ta rzeka zdaje się być fałszywym nerwem w systemacie komunikacji wodnych w tych północnych okolicach. Ale za to większa część doliny, którą przebiega, począwszy od miasta Onegi, jest prawdziwie zachwycającą. Być może, iż czas i pora roku w której ją przechodziłem, wiele się do jej uroku przyczyniła; jednak z tém wszystkiem niemożna tej dolinie odmówić pewnych piękności, do których najwięcej się przyczyniają zielone ogromne lasy i bujne, zielonością i kwiatami pokryte obszerne łąki. Ponieważ czas był prawdziwie piękny (w miesiącu czerwcu), choć w tak smutném znajdowałem się położeniu, żywo jednak czułem piękność przyrody, powab

życia i ojcowską dobroć i Opatrzność Stwórcy. Smutek, tęsknota, wdzięczność, wesołość i uniesienia naprzemian mną miotały. Przechodząc tę dolinę, czułem się nierównie szczęśliwszy, niż wtedy, kiedy cztery miesiące temu nazad przechodziłem góry Uralskie.

Kargopol, jest to niepoczesna miścina jedynie z drzewa pobudowana i wyglądająca raczej na wieś niż na miasto; ulice szerokie, domki szeroko od siebie i odlegle pobudowane, tém bardziej mu to podobieństwo nadają. Kupiwszy chleba w dalszą puściłem się podróż już wielkim gościńcem, co mi wcale do smaku nieprzypadało, ale wkrótce zeszedłem z niego z wielką mą radością. Na wielkim gościńcu, gdzie przejazd jest większy, gdzie lud więcej handlowy, przemysłowy, a nawet w swoim rodzaju więcej oświecony, to jest: przebiegły, i interesowność jest większa; tu jak wszędzie na całym świecie pomiędzy narodami oświeconymi i dbającymi o lepszy byt materyalny, gościnność nie jest popłatną, a każdy stara się jak może coś dla siebie zyskać. Przekonałem się o tém najoczywiście kupując chleb lub inne drobniejsze żywności zapasy; i tak w jednym miejscu za trochę tołokna wartującego najwięcej 5 kopijek, wzięto po długim targu kopijek 15. Tu nabił, jak mleko i ser, w mniejszej nierównie obfitości i droższy jak na dolinie ciągnącej się wzdłuż Onegi rzeki. Zboczywszy z wielkiego gościńca, zmuszony byłem dla powzięcia pewności o drodze wiodącej do miasta Wytiegrzy, zejść do domu na ustroniu i niedaleko ode wsi i drogi położonego. Zastałem w nim jednego tylko starca z długą, siwą brodą i z wielką uprzejmością mnie przyjmującego. Po rozpytaniu się o drodze, odpoczywając rozpoczęliśmy z sobą gawędkę, i wkrótcem się przekonał, że rozmawiał ze starowierem. Ten staruszek starowier tak był przywiązany do swojej sekty, tak w wielkiej nienawiści miał wszystkich popów i rząd i cara, że jeżeli by wszyscy jego spółwyznawcy tchnęli

podobną nienawiścią, bunt byłby nieuchronnym. Nienawiść ta jednak niepochodziła z osobistości, ale z głębokiego przekonania, że religija starowierów jest najświętsza, i że popi i rząd ją skazili. Rozmawiając o tém, płakał z rozrzewnienia, a na dowód, że sposób żegnania się przyjęty przez reformę Nikona jest odszczepieńczy, a ich starowierów jest jedynie prawosławny, po zapewnieniu się uprzedniem, że nikomu o tém niepowiem, dostał z ukrycia ulany z żółtej miedzi obraz niewielki przedstawiający Chrystusa błogosławiącego, gdzie istotnie palce prawej błogosławiącej ręki były złożone tak, jak kiedy starowiercy żegnają się; robota tego obrazku była gruba, nieokrzesana i zapewno datująca od pierwszych czasów wprowadzenia religii chrześcijańskiej, rytuału bizantyńskiego do Rosyi. Opowiadał, że ich zmuszają chodzić do cerkwi odszczepieńców przemocą i popi każą im się żegnać po swojemu, ale po powrocie z cerkwi, mówił dalej, modlimy się, aby nam Bóg przebaczył ten grzech, który przez przemoc tylko popełniamy. W tych modlitwach przeklinamy i popów i cara. O wszystkiem tém staruszek mi mówił, aby ze mnie zrobić swojego sekciarza. Niewielem się temu sprzeciwiał, bo jedna i druga grecka wiara dla mnie była zupełnie rzeczą obojętną. Nareszcie wydostawszy jakiś stary sextern obejmujący opis życia Józefa najmłodszego syna Patryarchy Jakóba, którego bracia przedali, a który później stał się zbawcą Egipcyan przez zapobieżenie głodowi, zaczął czytać niektóre ustępy, i tak się unosił nad cnotą czystości Józefa prześladowanego od Putyfarowej, że staremu aż się łzy toczyły. Jednem słowem, przekonałem się, że ten staruszek był poczciwym człowiekiem, bo miał uczucie moralnej piękności. Ale nierozważny fanatyzm religijny mógłby z niego zrobić najokrutniejsze narzędzie prześladowania. Ztąd wniesć można, że wszystkie stronnictwa tak religijne, jak i polityczne nawzajem siebie srogo

prześladujące i niszczące są tylko dowodem słabości umysłu i głupoty.

Idąc dalej, dogoniłem w tę samą co i ja udających się stronę ze dwudziestu żołnierzy rossyjskich bez liderwerków i najmniejszej broni, tylko w czapeczkach i płaszczach; po większej części byli to młodzi żołnierze, którzy się okazali niezdatnymi do frontowej służby, choć większa z nich część dopiero rok, dwa, a najwięcej pięć lat do wojska była wzięta. Zdziwiony młodością i zdrowiem tych żołnierzy, w pogadance z nimi zapytałem o przyczynę tej ich niezdatności do służby frontowej i dowiedziałem się, że jeden był głuchym, drugi ślepy na jedno oko, inny niemiał zębów, ten miał żebra poprzetrącane, ów ciężki oddech, ten chory na nogę itd.; a kiedy zapytałem o przyczynę tych defektów, przekonałem się, że po największej części pochodziły one ze złego i nie-ludzkiego obchodzenia się z tymi nieszczęśliwymi ich oficerów. Bijąc bez litości w czasie mustry, pięściami po głowie, po twarzy, po zębach i pod boki swych żołnierzy, ci dzicy i barbarzyńcy oficerowie ich poogluszali, poślepiali, powybijali im zęby i pognietli żebra itd. Takie to jest traktowanie rossyjskiego żołnierza w carskiej służbie. Ci nieszczęśliwi byli przeznaczeni i szli na służbę i do dozoru kanałów tak licznych w gubernii ołonieckiej. Nareszcie po kilku czy więcej dniach pochodu przybyłem do miasta Wytiegry.

Od Kargopola do Wytiegry kraj mi się wydał i w rzeczy samej był bardzo biednym; tu już w niektórych miejscach byli poddani (krepostnyje) prywatnych dziedziców. Wsie małe choć dość porządnie z drzewa pobudowane; domy ich podobne do domów w całej Rosyi. Ubiór mieszkańców tych okolic nie niema w sobie szczególnego. Lasy od Kargopola do Wytiegry ciągnące się prawie bez przerwy, w wielu miejscach wytrzebione, są to nieprzebyte puszcze przeplatane jeziorami licznymi i obszernymi

dostarczającymi wody do kanałów i rybniami. Ztąd też ryba jest tam jednym z najgłówniejszych zapasów do życia; gdzie nigdzie są piękne wzgórza i widoki zachwycające. Nad kanałami łączącymi system rzek i jezior, są pobudowane piękne drewniane domki zwykłe na żółto pomalowane z pięknymi przy nich ogródkami z wielką pracą wyrównaniami, poprzecinaniami w grzędy, w klomby drzew, a w niektórych miejscach napelnionemi jarzynami. W tych domkach są żołnierze przeznaczeni do pilnowania kanałów; takie domki najczęściej znajdują się przy szluzach. Przechodząc przez mosty tych kanałów i obok tych domków, bardzo często napotykałem w liczbie żołnierzy Polaków, żołnierzy rewolucyjnych, a których łatwo rozeznawałem po złém mówieniu po rossyjsku, jak to zwykle Mazury po rossyjsku mówią. Serce mi się ścisnęło na widok mych braci w te strony od tak dawna, bo już od lat szesnastu zagnanych (szedłem w roku 1846) i może przeznaczonych nigdy więcej nieoglądać swojej kochanej ojczyzny. Widok mych braci i cieszył mnie i smucił zarazem, z niektórymi nawet rozmawiałem wypytując się niby o drogę, w rzeczy zaś samej, aby mieć sposobność pomówienia z nimi, choćby nawet po rossyjsku. Ośmielałem się niekiedy ich zapytać, niby sądząc z akcentu mowy, że niebyli rodem Rosyjanie, z jakiego byli pochodzenia? Odpowiadali: że byli Polacy; ale na to imię Polak, na to wspomnienie poruszające najgłębsze i najświętsze uczucia serca, jakby zelektryzowani płonili się niewiem czy ze wstydu z przyczyny poniżenia w jakim się znajdowali, czy z oburzenia i gniewu przeciw tym co do tego stanu ich przyprowadzili, czy nakoniec z żalu tak naturalnego w ich nieszczęśliwym położeniu, czy ze strachu, bo im niewolno mienić się Polakami. W ogóle postrzegłem w tych moich braciach wielkie nieukontentowanie z ich losu, i wielką, wieczną nienawiść ku sprawcy ich i ich ojczyzny niedoli. Oni zaś ani się domyślali, ani się mogli nawet domyślić z kim rozmawiali; bo nietylko

że przed żadnym z nich nieprzyznawałem się, że Polak, ale ani cienia pozoru nierzuciłem, aby się nawet mogli domyślić. Bo niestety wiedziałem z doświadczenia, że wielu z naszych nieszczęśliwych rodaków jarzmem niewoli długo ugniecionych opadło na duchu, a ztąd mały przedział do spodlenia się. Zresztą cóżbym sobie, co bym im dopomógł mojem przyznaniem się? Za chwilę radości i wynurzenia się, mógłbym zapłacić i moim ich nieszczęściem.

Przy tych kanałach spotykałem także gdzieś niegdzie żołnierzy żydów, którzy zapomniawszy i o swojej religii i o swoim pochodzeniu, przyjęli wiarę grecko-rosyjską i poženili się z Moskiewkami. Droga, którą szedłem, często przechodziły partye (jak mi miejscowi ludzie mówili), dzieci żydów polskich od dziesięciu do piętnastu lat i nawet mniejszych, a przeznaczonych do Archangielska na majtków. Tych biednych dzieci wielka liczba po drodze umierała. Wszędzie tedy, którądy tylko szedłem widziałem ślady błogiego panowania Mikołaja. Na kanałach, rzekach i jeziorach ruch statków rozmaitej objętości jest wielki; kanały dość szerokie w ziemi kopane, lecz ani podmurowaniem, ani drzewem niepodtrzymane, muszą się często zamulać i częstego zapewne potrzebują wyczyszczenia; jednak na ludność miejscową dość starannie są utrzymywane.

Od samego Archangielska, przez Kargopol aż do Wytieгры, z nielicznym wyjątkiem (w miesiącu czerwcu) czas był piękny i pogodny, przeplatany niekiedy ciepłym deszczem. Jeżeli zimową porą najczęściej nocowałem w lasach pod śniegiem, to latem nocowałem zawsze w lesie. Zwykle z drogi wchodziłem w głąb lasu i daleko ode drogi, aby czasami pies mnie niezwąchał i nie dał hasła; tam dopiero wybrawszy jakie najgęściej drzewami i krzewami zarosłe miejsce, i nagromadziwszy kupę liścia pod głowy dla wygodniejszego spania układałem się, po zmówieniu wprzód gorącego pacierza. Tak się przyzwyczaiłem do podobnego noclegu, iż żadnego już na mnie nie-

czynił wrażenia i zachodziłem do lasu jak do jakiego gościnnego domu. Prawda, że bez żadnej będąc broni, samotny i śpiący, łatwo mogłem być od niedźwiedzia lub wilków rozszarpany, ale nigdy mi się nawet nie zdarzyło ich spotkać, choć wycia wilków słyszałem, choć mi mówiono, że wiele jest w lasach niedźwiedzi i wilków wielkie czyniących szkody. Ale ja miałem wielką ufność w Bogu, że mi się nic złego nietylko nie stanie, ale nawet stać nie może. Wiara moja zbawiła mnie.

Przybyłem do Wytieгры w piękny czas około południa, miasto to nad rzeką Wytiegrą położone jest obszerniejsze i piękniejsze od Kargopola; znajdują się w niem nawet domy murowane, a że jest położone nad rzeką spławną pośredniczącą między kanałami, które mi odbywa się wielki ruch handlu przewozowego, jest zatem dość handlownem. Wszedłszy do tego miasta jakąś uboczną drogą i wcale się w niem nie zatrzymując, przybyłem od razu i wprost nad przystań czyli nad port, gdzie zwykle przechodzące statki się zatrzymują. Wzdłuż przystani, pobudowanych mnóstwo sklepów drewnianych a napełnionych różnemi zapasami żywności, jakoto chlebem, jagłami, krupami, rybą itd. dostarczają łatwo i za dosyć umiarkowaną cenę wszystkiego co tylko potrzeba do życia i wygody majtków. Ledwie staną nad przystanią, gdzie dosyć było ludu, gdy jeden z przytomnych wieśniaków, przybliżywszy się do mnie zapytał: z kąd jestem i dokąd się udaję? Jestem bohomolec wracający z sołowieckich monasterów i udający się przez Petersburg do Wielkiego Nowogrodu a ztamtąd do Kijowa dla oddania czci zwłokom świętych (dla pokłonienia światym moszczam). No to dobrze, ja z moją małą barką płynę do Petersburga, kiedy chcesz, to cię wezmę z sobą, a ty mnie przez drogę będziesz pomagał. Dobrze, ale co mi dasz za to, że ci będę pomagał? Zawiozę cię do Petersburga, moja barka bardzo mała, mam konia do ciągnięcia, robotę na niej niewielką i nieciężką. Ja wiem, co jest ro-

bota na barkach i jaka na nich praca, no co dasz? Właściciel barki kontent, że mu się nadarzyła gratka, nie chciał się odemnie odczepić, obawiając się, abym się na inną barkę niezobowiązał: ale przytém niechciał mi nic zapłacić. Ze wszystkich barek, jakie były na przystani a mających płynąć do Petersburga, jego najwcześniej odpływała, co mi było bardzo na ręce, a zatem wymógłszy od niego, aby mi kiedy niekiedy dał ciepłej potrawy do jedzenia, zobowiązałem się z nim płynąć. Kontent z ugody, zaprowadziwszy mnie do pobliskiego szynku, poczęstował ogromną szklanicą, ale kiepskiej wódki, aż mi się wesolo zrobiło, tego samego dnia przed wieczorem naładowaliśmy jego małą barkę, w kształcie wielkiej łodzi z pomostem zbudowaną, a mieszczącą w sobie niewiele nad 400 pudów ładunku, mąką w workach, którą się zobowiązał dostarczyć do Petersburga. Wymagał ode mnie, abym dla bezpieczeństwa mojego zobowiązania się, oddał mu mój pasport do schowania, ale tego uczynić niechciałem i przestał na tém.

Kiedy mały ten statek był zupełnie naładowany, przyprowadził konia, którego na statek po umyślnie na to zrobionym mostku wprowadził i mostek na statek wyciągnął. Tak przygotowani, gospodarz barki, siedemnastoletni chłopiec dosyć krępy i zręczny, i ja trzeci odbiliśmy barkę od brzegu i płynęliśmy rzeką Wytiegrą w tym samym co i my kierunku płynącą i jak się zdaje wpadającą do jeziora Onegi. Gospodarz był u steru barki. W niewielkiej od miasta Wytieгры odległości, rzeka Wytiegra płynie nieco na prawo, a na lewo, czy to dla skrócenia drogi, czy dla jakich na téj rzece przeszkód, łączy się z tą rzeką kanał. Przybliżywszy tę barkę do brzegu i wyprowadziwszy na brzeg konia, z chłopcem mającym tego konia brzegiem prowadzić, jako też zaczepiwszy barkę na długi sznurze do konia, popłynęliśmy kanałem. Koń barkę ciągnął spieszonym krokiem. Ponieważ już było późno w nocy, choć noc była widna, gospodarz poszedł odpoczywać, a ja

usiadłszy u rudla, sterowałem barką; i choć to robota niebyła ciężka, wymagała jednak ciągłej czujności i pracy, aby barka albo o brzeg, albo o inne przechodzące lub stojące barki lub płyty drzewa niezawadziła. W niektórych miejscach trudno było się rozminąć; a natłok statków i płytów drzewa płynących do Petersburga trudny do opisanja. W jednym miejscu tak wielki, a nieprzerwany był ciąg płytów drzewa odpoczywających, iż nieprzesadzę gdy powiem, że ich rozciągłość zajmowała przynajmniej cztery wersty. Nad wschodem słońca, płynąc noc całą, przybyliśmy nad samo jezioro Onegę, gdzie kilkanaście statków rozmaitej wielkości stało na przystani. W tém miejscu śród piasków i karłowatych drzew, znajduje się mała wioska z kilkunastu domów złożona. Około 8 lub 9 z rana tego samego dnia, pięć statków rozmaitej objętości, w liczbie których była i nasza barka, przyczepionych do parostatku, puściło się na jezioro Onegę. Jezioro Onega jedno z największych w Rosyi i największe po jeziorze Ładodze, ma mieć, jak mi miejscowi ludzie mówili, 60 werst czyli $8\frac{1}{2}$ mile szerokości, a do 250 werst czyli 30 mil polskich długości. Nasza barka jako największa, była przyczepiona na samym ostatku, a mimo to jednak z powodu kół parostatku balwaniących wodę, wznosiła się i opadała, jakby na jakim wzburzonym morzu. Czas był cichy i pogodny, spokojna powierzchnia jeziora, jakby zwierciadło odbijało w sobie jasne promienie słońca. Widok prawdziwie był zajmującym i zniewalającym do spokojnej rozwagi i marzeń. Dla mnie stan taki duszy jest prawdziwą rozkoszą, której byłbym się niezawodnie oddał, gdyby nie gospodarz wraz z koniem swoim, którego zuowu na barkę wprowadził, nieprzyjął był także na nią trzech chłopów, swoich znajomych, a między którymi jeden był tak pijanym, iż trzeba go było pilnować, aby z barki nieścoczył się do jeziora. Oprócz mnie, wszyscy byli mniej więcej pod dobrą datą i niewiele się troszczyli o pijanicę. Śmieli się tylko z jego

grymasów i stanu, w jakim się znajdował, ale ja musiałem mieć na niego bardzo baczne oko i niemal ciągle go trzymać aż do zmordowania się. Gdybym był w inném położeniu, możebym sobie tyle trudów i pracy niezadawał, bo pijak gniewał się na mnie, kłął mnie i z pięściami się rzucał. Ale w położeniu, w jakim się znajdowałem, na nic nieważałem; szło mi tylko o to, aby pijak się nieutopił. Przyczyna mego stoicyzmu była ta, że gdyby ten człowiek utonął, na pierwszej zaraz przystani, barkęby zaraz zatrzymano dla zrobienia przedwstępnego śledztwa. Wszyscy, którzy na tej barce byli, jako świadkowie musieliby koniecznie wykazać kto i z kąd byli? Wszyscy ci jako niemal miejscowi, łatwoby się mogli wykazać; ale ja musiałbym jedynie zasłonić się mym pasportem; gdybym ten mój pasport pokazał, to byłoby dostatecznem dla zatrzymania mnie samego, a wówczas coby mogło się stać ze mną? Łatwa bardzo odpowiedź. Otóż dla czego słusznie się lękałem, aby pijak nieutonął. Nareszcie może około pierwszej z południa przybyliśmy na drugą stronę jeziora Onegi. Na przystani tego miasteczka mnóstwo było statków rozmaitej objętości i kształtu i nasza barka na tej przystani zatrzymała się. Wesół ze sposobności, jaka mi się nadarzyła, spiesźnie móżdż odprawiać podróż i bez wszelkiej obawy, bo raz na statku nikt się o pasport niepyta, wesół żem się pozbył pijaka, którego śmierć mogłaby mnie popchnąć w nieszczęście, wyszedłem z barki poszedłem do przystani i dla ufetowania się kupiłem dwa funty białego pszennego chleba, który z łakomstwem zjadłem od razu i napiłem się do syta kwasu. Pokrzepiony tą ucztą, wróciłem do barki i spać się położyłem na pokładzie obok konia.

Gospodarz przyjawszy na barkę dwóch mężczyzn, z których jeden porządnie po mieszczańsku ubrany i dwie jakieś kobiety ubrane po wiejsku, około 6 wieczorem popłynęliśmy z biegiem rzeki Świry. Rzeka Świr, poczynając się w jeziorze Onega ma swe ujście w jeziorze Ła-

dodze: z początku niezbyt szeroka, ale bystra, za zbliżeniem się ku Ładodze staje się coraz szerszą i wolniejszą. Poczynając od jeziora Onegi, ma 6 czy 7 progów w pewnej odległości od siebie będących; te progi są tém niebezpieczniejsze, iż niewystając nad powierzchnią wody, są ukryte; każdy jednak z tych progów ma przejście, czy z natury, czy sztuką otworzone, a przez które największe rzeczne i kanałowe statki mogą przechodzić, cała zatem trudność w przebyciu tych progów zależy na tém, aby trafić na ten otwór i nieutkwic statku na sterczących w wodzie ostrych kamieniach. Dla pewności i bezpieczeństwa statków, zapewno z polecenia rządowego, przy każdym takim progu jest pewna liczba tak nazwanych po rosyjsku łocmanów (pilotes); za zbliżeniem się statku do progu, jeden łocman podjeżdża na łódce do statku i nim kieruje. Jeden z takich łocmanów wszedł na naszą barkę od samego początku rzeki Świry i przeprowadziwszy ją przez próg pierwszy, wrócił piechotą nazad. Przez drugi próg przeprowadził ją drugi łocman do tego progu należący i znowu wrócił, i tak następnie przez wszystkie progi. Co jednakże nieprzeszkadzało, choć płynęliśmy z wodą, robić doskonale wiosłami, szczególnie gdzie przejście było wąskie i niebezpieczne. Przez noc i drugiego dnia do południa, wszystkie sześć czy siedm minęliśmy progów i wypłynęliśmy na miejsce wolne od zawad. Dwa wielkie statki natknięte na kamienie minęliśmy, co wszystko dowodzi, że rzeka Świr niejest bardzo bezpieczną do spławu. Płynęliśmy dzień i noc; za zbliżeniem się ku jeziorze Ładodze, gdzie rzeka Świr bardzo jest szeroka i powolna, rozpięliśmy na jednym maszcie żagiel, ale ponieważ wiatr ustał i aby barka należyta płynęła drogą, tak sobie zaradzono: nasza barka uczepiła się do wielkiego statku; kotwicę tego statku na dłuższej przywiązano linie, odwożono na łódce na wielką naprzód i nieco w bok odległość i rzucono ją na dno. Statki wolnym biegiem wody popychane, nierzucały się na bok, ale należytem

nurtem płynęły. Kiedy barki minęły kotwicę na całą długość liny; znowu tę kotwicę wyciągano i przewożono na przód i tak następnie. Praca ta jest zbyt mozolna i przykra. Ponieważ nasza barka była przyczepiona do większego statku, a zatem nasz ekwipaż dla pomocy przeniósł się na ten statek. Na tym statku był mały piętnastoletni chłopiec, żywy, zręczny i jak wiewiorka po statku i po jego ławkach biegający. Ja z kilku innymi stałem na ławkach po obu bokach statku będącemi dla popychania go długimi i ciężkimi dragami, nazwanemi szostami. Ławki były wąskie i bez poręczy. Deszcz rzęśisty, który chwilą przed tem przepadł, uczynił ławki bardzo ślizkimi. Chłopiec biegający po ławkach niedaleko mnie, pośliznąwszy się wpadł do rzeki i w nią się zanurzył. Sądziłem, że podpłynie pod statek i utonie, aż po chwili wybrnął na wierzch, lecz nałykawszy się wody, stracił przytomność. Podbiegłem czemprowadź do niego, aby go z ławki można ratować; na nieszczęście ławka była za wysoko a chłopiec nieco od niejże za daleko. Położywszy się zatem na ławkę, sięgnąłem raz i drugi ręką, ale napróżno: chłopiec to się zanurzał, to wypływał; nareszcie sięgnąwszy raz trzeci, schwyciłem go za długą czuprynę, wystającą z wody, ale w tym samym czasie straciłem równowagę ciała, trzymając go jedną ręką za łeb, a drugą za ławkę ślizką, zacząłem się ja zsuwać do wody, bo chłopiec obiema rękami chwycił się za moją rękę; po krótkim lecz silnem passowaniu się, ławka mi się z rąk wysunęła i ja głową naprzód także do wody się wsunąłem i moim ciężarem chłopca głębiej zanurzyłem; niewiem coby się ze mną stało, bo choć dobrze pływam, ale chłopiec trzymając mnie za rękę zupełnie mnie zbezwładnił, ale na szczęście w tej chwili, gdym się głową zanurzył w wodzie, dwóch ludzi porwało mnie za nogi, i mnie i chłopca, co się zawsze mnie trzymał, wciągnęli na statek.

Niedaleko ujścia rzeki Swiry do jeziora Ładogi, od-

czepiwszy naszą barkę od wielkiego statku, wpłynęliśmy do kanału tak nazwanego ładozskiego od jeziora Ładogi. Ten kanał ładozski zasilony wodą z jeziora Ładogi, ciągnie na całą długość jeziora ze strony południowego jego brzegu; rzekę Swir zostawiliśmy na prawo, a kanał jest na lewo. Zapytawszy gospodarza barki, dla czego niepłyniemy jeziorem Ładogą, ale kanałem, ten odpowiedział: że jezioro jest bardzo burzliwe i bardzo niebezpieczne dla małych statków, i że tylko większe statki po niem pływać mogą. Niemogę wiedzieć z pewnością, czy dla przeprowadzenia statków przez to jezioro są parostatki czy nie. Wpłynąwszy do kanału wyprowadziliśmy znowu konia na brzeg dla ciągnięcia barki. Ledwieśmy minęli wioskę nad kanałem, i niedaleko jego początku będąc, a ujrzeliśmy za naszą barką i za innemi kilkanaście cyganek i cyganczaków dzieci, bieżących brzegiem, proszących o jałmużnę sposobem zupełnie cygańskim, a dla wzbudzenia litości płynących, przewracających młynkowego koziołka i bijących się w tył piętami; rzucano im na brzeg kto co mógł i chciał, ten kopijkę, ów kawał chleba: wszystko to z nadzwyczajną porywali chciwością. Rzecz godna uwagi i zastanowienia się, że cyganie gdzieby się nieznajdowali, wszędzie mają te same zwyczaje i obyczaje, wszędzie prowadzą ten sam sposób życia. Widziałem cyganów w Węgrzech, na Wołyniu, na Ukrainie, w orłowskiej gubernii, w Syberii, i nad jeziorem Ładogą: wszędzie prowadzą życie koczujące, próżniacze, łajdackie; cywilizacja kraju, w którym żyją, jego obyczaje żadnego na nich niemają wpływu. Żyją tylko żebranią, okpiewaniem i kradzieżą. Cyganczaki co nas prześladowały były brudne, obdarte, w pół nagie. Między nimi była cyganka dość ładna, szesnastoletnia dziewczyna, w pół naga. Odczepiwszy się od prześladowania cyganczaków, popłynęliśmy dalej. W niektórych miejscach kanał tak blisko jeziora Ładogi przechodził, żeśmy jego szum słyszeli. Tymczasem gospodarz jednych pas-

sażerów przyjmował na swą barkę, drugich się z niej pozbywał. Kilka nareszcie zostało tylko kobiet, z których jedne były już w Petersburgu, a drugie poraz pierwszy do niego się udawały, wszystkie zatem jechały do Petersburga. Że zaś barka była mała i trudno się było wszystkim na pokładzie pomieścić, wpychano tedy kobiety pod pomost napelniony workami mąki, i gdzie zostawiono dla wygody podróżujących próżne miejsce, najczęściej dwa kubiczne łokcie; w tak szczupłym miejscu mieściło się pięć lub sześć osób płci obojga, tak we dnie jak w nocy. Niektóre z młodych kobiet naprzemian musiały się brać do wiosła (nasza barka miała dwa wiosła) po dwie osoby do każdego. One się przemieniały, ja zaś ciągle wiosłowałem; miałem tedy zaszczyt i przyjemność z każdą naprzemian wiosłować i zabrać ściślejszą znajomość. Niektóre z tych młodych kobiet po kilka i kilkanaście lat bawiły w Petersburgu w służbie, i na powrót do niego płynęły, i wcale niewiele się różniły od tak nazywanych gryzetek wszystkich miast europejskich, pod względem kształcenia, kokieteryi i świegotania, a nawet wszystkich nałogów. Lubily ze mną rozmawiać, i ja dla przepędzenia nudnego czasu, w braku miłszego i więcej stósownego towarzystwa, niebardzo także od nich stroniłem. Jako młode, więc z rozmów poważniejszych często i z chęcią wpadały na rozmowy lżejsze i pełne pustoty. Ja jako poważniejszy wiekiem, i zaszczycony tytułem bohomołca, miałem prawo wesołe trzpiotki karcić, i tego karcenia pozwalałem sobie; ale z kobietami w stolicy, choćby nawet w Petersburgu wychowanymi, lub do jego sposobu życia i prowadzenia się przywykłymi, trudno poradzić. Na wszystkie moje argumenta miały zawsze gotowe odpowiedzi, z których często śmiać się musiałem, niewiedząc czasem jak się wywikłać z zastawionej sieci, ich prostego i naturalnego rozumowania.

W takich z niemi na wpół wesołych i poufłych, na wpół poważniejszych rozmowach, starałem się od nich

dowiedzieć o sposobie życia w Petersburgu, o tanich gospodach, o miejscach, gdzie się te gospody znajdują, i o innych rzeczach i szczegółach na wszelki przypadek mogących mi być użytecznymi. W liczbie tych kobiet była jedna staruszka do siedmdziesięciu lat mająca, a udająca się do Petersburga dla odwiedzenia swjej córki, będącej w téj stolicy od lat już piętnastu praczką. Staruszka była rodem z prowincyi Korelii, graniczącej z prowincją Ingriją, w której się znajduje Petersburg. Jak wszędzie tak i na naszej barce starość niedołączna była przedmiotem żartów, śmiechów i szykan próżnej i pustej, a złe wychowanej młodzieży. Stara zatem Korelka niemogła ujść losu swojego, żartowano z niej i śmiano się. Ja zawsze trzymałem stronę staruszki, i wpół żartem, wpół na serio strofowałem młode psotnice, przekładając im, jak jest nie po chrześcijańsku i z obrazą Boga, żartować ze starości, kiedy my wszyscy, jak Bóg wieku dozwoli, zestarzeć się musimy. Te uwagi i morały broniły staruszkę, która mi za to bardzo była wdzięczna, i przez szacunek nazywała mnie zawsze swoim batiuszką, to jest: ojcem; zobaczymy, iż ta staruszka bardzo mi się przydała później i stokroć mi się wywdzięczyła. Mieszczanin, którego gospodarz wziął na samym wstępie do rzeki Swiry, widać dość majątny, bo niemal przy każdej wiosce wysiadający z barki dla kupowania wódki, tak się nieraz nią upijał, i tak po pijanemu bruzdził, żeśmy go nieraz musieli pod pokład zamykać.

Płynąc kanałem, naszą barką lekką i małą mijaliśmy wiele statków cięższych i większych, a nieciągniomych końmi, tylko podpieranych szostami, to jest: drągami. Wkrótce przybyliśmy nad rzekę Wołchów, w poprzek kanału będącą, dość szeroką, a w téj chwili mocnym północnym wiatrem z jeziora Ładogi, w wielkie wzdętą bałwany, i oddzielającą nas od miasteczka nazywanego Nowaja Ładoga, na drugiej stronie rzeki położona. Z przyczyny wiatru dmącego z jeziora Ładogi,

i pędzącego fale w tymże kierunku, niemogłem rozpoznać, czy rzeka Wołochow wpada do jeziora Ładogi, czyli też z niego wypływa. Za zbliżeniem się do rzeki Wołochowa, konia wzięto na barkę, wszystkim kobietom kazano się schować pod pokład; a nas czterech mężczyzn zostało na pokładzie, sam gospodarz wziął się do steru, drugi wziął się do żagla już rozpiętego, a dwóch do dwóch wiosł; ja byłem przy jednym wiosle. Wołochów wzdęty i wzburzony był niebezpieczny dla naszej barki, i bardzo łatwo mógł ją zatopić, ale mimo to puszczono się na rzekę. Z początku było jako tako, ale ledwieśmy wyjechali na miejsce, gdzie wiatr z wściekłością poruszał bałwany rzeki, które przeskakiwały przez naszą barkę; barka mocną falą w bok prawy uderzona, i żagiel z tej samej strony gwałtownym uderzeniem wiatru wzdęty, tak mocno barkę nachyliły na lewą stronę, iż mało co brakowało aby się nieprzewróciła. Kobiety zaczęły wrzeszczeć, modlić się i z pod pomostu wydobywać, ale je napowrót wepchnięto i zamknięto, a koń stojący na barce, zachwiał się i padłszy na tylne nogi, o mało że się niezsunął do rzeki. W tym gospodarz krzyknął na mnie: Ławrentij, derżij łosza! za chwost; to jest: Ławrenty trzymaj konia za ogon. Rzuciwszy wiosło i uchwyciwszy konia za ogon trzymałem go póty, pókiśmy na drugą stronę rzeki nieprzejechali. Przybywszy do przystani zatrzymaliśmy się przy samem wejściu do nowego kanału i blisko służy. Ściany kanału pięknie, mocno i wysoko z ciosanego kamienia wzniesione i obwarowane, przypominały mi kanały Francji. Zatrzymawszy się na odpoczynek z wielu innymi statkami, na téjże przystani znajdującemi się, poszedłem do miasta Ładogi tuż nad samym kanałem i po obu jego stronach położonem. Miasto Nowa Ładoga niewielkie, nie dość porządnie zabudowane, ma rynek w nizinie. Oprócz chleba, bułek, ryby i innych zapasów żywności, wielka ilość znajdowała się zielonej cebuli, którą Rosyianie chętnie jedzą nadrobiwszy ją do kwasu. Ku-

piwszy chleba i napiwszy się w miejsce gorącej herbaty sbitniu, wróciłem na barkę. Sbitień jest to napój gorący zwykle w Rosyi, szczególnież zimową porą używany; kto tylko był w Rosyi, musiał koniecznie widzieć po miastach ludzi, czy roznoszących na plecach w naczyniu, czy siedzących na miejscu przed samowarem a krzyczących: czaj garaczaj. Otoż to są sprzedawcy sbitniu, który jest herbatą pospółstwa; herbatę zastępuje trawa tak nazwana perz, lub jaka inna trawa, mająca w sobie cząstki cukrowe; miejsce cukru zastępuje miód, albo po prostu melas, lub ostatki jego.

Wkrótce otworzono szluzę, i w nowy wjechaliśmy kanał; koń znowu zaczął barkę ciągnąć. Jeżeli w poprzednich kanałach wiele mijaliśmy statków, to w tym kanale, ciągnącym się bez przerwy od miasta Nowej Ładogi, aż do miasteczka Szlisselburga (Schlüsselburg) była tych statków moc nieprzeliczona, dosłownie kanał był zapchany, nabity. Były statki ze smolą, z przędziwem, ze zbożem różnego rodzaju, z mąką, z sianem, z bydlęm rogiatym, z drobiem, były płyty drzewa, sposobnego do różnego rodzaju budowy, i z tym podobnego rodzaju zapasami; wszystko to płynęło ku Petersburgowi. Kto w północnych stronach Rosyi niebył, kto niewidział jaki ruch handlowy na rzekach i kanałach tych okolic się odbywa, ten z trudnością o nim będzie miał dokładne wyobrażenie. Gdybym na własne oczy tego niewidział, mógłbym także opowiadającemu o tym ruchu niewierzyć. Ja byłem nim zdziwiony, bo to prawie do niewierzenia. Ale jeżeli byłem zdziwiony, nieidzie za tem abym był z tego zadowolony, gdyż te ciągle omijania się wymagały ciągłej baczności i pracy, to przyczepianie się hakami do innych statków, to odpychanie się od nich; była to praca prawdziwie mozolna. Nareszcie około południa, przybyliśmy do miasteczka Szlisselburga, także nad kanałem i po obu jego stronach położonego, i północną swą częścią sięgającego rzeki Newy; tuśmy się zatrzymali dość

długo, ja wyszedłem na miasto. Miasteczko Szlisselburg niewielkie, ale czysto, pięknie i na wesołym miejscu pobudowane, podobne jest do cacka. Nad samym kanałem ma przechadzkę drzewami wysadzaną i żwirem wysypaną; niżej przechadzki porządne domki, po większej części na żółto malowane i z kamienia pobudowane, w rząd postawione piękny przedstawiają widok. Jest tam nawet kilka wielkich gmachów dość okazałych. Miasteczko Schlisselburg mogłoby się nazwać willą Petersburga, gdyby forteca Schlisselburg oddzielna zupełnie od niego, mała, wodą ze wszech stron oblana, a położona w miejscu, gdzie Nawa rzeka wypływa z jeziora Ladogi, swym widokiem nieprzypominała tragicznej sceny, każącej piękność położenia i wesołość miasta. Wiadomo bowiem wszystkim, że książę Holsztyński będący później carem Rosyi pod nazwiskiem Piotra IIIgo, z rozkazu swej żony, księżniczki Anhalt-Zerbst, panującej później pod nazwiskiem Carycy Katarzyny IIgiej, godnej babki w prostej linii łaskawego Mikołaja Igo dziś szczęśliwie nam panującego, w tej fortecy był uduszony przez Aleksieja Orłowa będącego później admirałem w nagrodę swój zbrodni, księcia Boratyńskiego i trzeciego ich spółnika, którego nazwiska nie pamiętam.

Około 8mej wieczorem tego samego dnia przy pięknym ku zachodowi chylącym się słońcu wypłynęliśmy ze Schlisseburga rzeką Nawą, szeroką, głęboką i dosyć bystrą: a dla prędszego przybycia do Petersburga dopomagaliśmy bez przestanku wiosłami. Noc była spokojna i cicha, a myśmy ciągle płynęli. Śród ogólnego śmiechu i radości z przyczyny końca podróży, jam się pogażał w dumania jak wyjść do Petersburga, jak w nim nie być schwytanym. Może jest najbezpieczniej wleść w paszczę smokowi, gdyż jedno z dwojga, albo nas pochłonie, albo go można udusić. Różne mną myśli i uczucia miotały, przyszedł mi na myśl i Mucyusz i Brutus. Któżby mi zabronił wstąpić w ich ślady? bo na ich sercu i mnie nie zbywało. Miłość i niewola onej ojczyzny bolały mnie jak Rzymia-

nina, a jej poniżenie i moje własne przez cara nadawały mnie święte prawo odwetu; jako niewolnik, jako katorżny, mógłem, mozem być powinien zemścić się po niewolniczemu; utkwic mój sztylet w sercu, co w tylu milionach serc nieszczęsnego ludu długiego konania męki wszczepiło: i cóżbym był na tem stracił? Własne tylko życie, ale kosztem życia najdzikszego z naszych tyranów. Ludzkość i Bóg sam tę cnotliwą zbrodnię pewnieby mi przebaczył, stawałem w obronie praw własnych, naturalnych. Była zatem chwila walki okropnej w mém sercu. Nareszcie cofnąłem się przed wykonaniem tego zamiaru. Dla czego? Może z obawy, z bojaźni? Oh nie, stokroć nie, miałem serce zbyt zakrwawione, a życie było mi ciężarem. Może z przyczyny niepodobieństwa wykonania zamiaru? W mojem ubraniu chłopca rosyjskiego mógłbym znaleźć sposobność. Może dla tego, że to był car, pomazaniec bony jak go nazywają? Dla czegoż się tedy przed tym zamiarem cofnąłem? Dla prostej, może kto powie blachęj przyczyny: to jest, że zabić kogoś potajemnie i podstępnie, nie jest uczciwie, a przedewszystkiem nie jest po polsku. Oko w oko, szabla na szablę tak Polakowi przystoi, bo tak szlachetnie, dla czego? bo otwarcie i bez zdrady. Ale zabić potajemnie lub podstępem i zdradą choćby najdroższego swego nieprzyjaciela jakim jest na przykład Mikołaj: to było tak przeciwnem mojemu uczuciu, mojemu przekonaniu o szlachetności i moralności, iż mimo mojego uwielbienia dla enót obywatelskich dawnych Rzymian, w tym przynajmniej względzie niemołem być Rzymianinem i uczulem, że jestem tylko Polakiem, do którego duszy i serca żadna zbrodnia nawet usprawiedliwiona, i wszelkiemi pozorami słuszności upiększona przystępu mieć nie może. Gdyby Mikołaj miał w sobie choć iskierkę szlachetnego uczucia, jakżeby się czuł poniżonym tą wspaniałomyślnością katorżnego? I nad takim to narodem tyran pastwi się?

O wschodzie słońca zaczęły się pokazywać stojące

nad brzegiem Newy po obu jej stronach liczne piękne domki, wioski grupowane, i ogromne fabryki, znak najpewniejszy bliskości wielkiego miasta i stolicy, jakoż wkrótce w dali sam się nam odsłonił Petersburg około 8mój z rana przybyliśmy do przystani czy do portu stolicy, będącego na przeciw i w przedłużeniu bardzo szerokiej i długiej ulicy nazwanej Prospekt Newski. Płynąłem tedy ze Schlüsseburga do Petersburga 12 godzin. Port był dosłownie mówiąc zatarassowany statkami różnego rodzaju, różnej wielkości, i z rozmaitemi zapasami jako z mąką, owsem, sianem, krupami, drzewem, bydłem, drobiem itd., mieliśmy wiele trudności w zatrzymaniu naszej barki z przyczyny tej ilości statków, w końcu stanęliśmy za piątym czy szóstym statkiem od brzegu. Wszyscy podróżni co ze mną płynęli, tak mężczyźni jako i kobiety, powtórzywszy mi jeszcze na której ulicy i pod którą nazwą i numerem są tanie kwatery, co tchu zabrali się, wyszli z barki każdy w swą stronę: jedna tylko staruszka Korelka, uprosiwszy, aby dano znać jej córce pracze, aby przyszła pomódz jej zabrać rzeczy, została się na barce i rzekła do mnie: zaczekaj batiuszka, pójdziemy razem z moją córką do miasta; ona od tak dawna mieszkając w Petersburgu może ci najlepiej wskazać, gdzie jest najtańsze mieszkanie. Niemając co lepszego robić, że tak powiem, machinalnie zostałem. Nikt statka ani rewidował, ani się o cokolwiek pytał. Oczekując przybycia staruszki córki, leżąc, myślałem co dalej będzie. Ale spuściwszy się na Opatrzność i łaskę Boga spokojnie usnąłem. W usposobieniu w jakim zostawałem zapewno sen miałem niespokojny, bo marząc zacząłem coś mówić po polsku i dość głośno, żebym się przecknął. W chwili kiedy się ocknął i natychmiast postrzegł, że coś mówił przez sen po polsku: usłyszałem rozmawiających tuż przy mnie z gospodarzem barki kilku przybyłych do niego znajomych, z których jeden przerwawszy rozmowę rzekł do przytomnych, mówiąc o mnie: da kakim on jazykom

baltajet? to jest: jakim on językiem belkoce? Drugi rzekł na to: No ty chcesz się dowiedzieć jakim językiem śpiący mówi: śpiący jak pijany, ani on sam siebie ani nikt go nierozumie. I tu poszła między niemi gawęda o marzących we śnie i pijanych, kontent byłem z tego toku nadanego rozmowie i udałem że śpię. Rzecz szczególna: ta długa, ciągła choć pojedyncza baczność nad sobą tak myśl moję do siebie nazwyczaila, że ledwie się przecknął, pojąłem od razu i moje położenie i następstwo, jakieby mogło dla mnie wynikać, gdyby się domyślano z senniejszej mowy, że Polak. Poleżawszy chwilę udałem, że się dopiero obudził, choć już wcale nie spałem; gospodarz rzekł do mnie: Ławrentij, co ty tam we śnie bruździłeś? albo co? Coś belkotałeś, belkotałeś, w pół po rosyjsku, w pół czort wie po jakiemu, ani cię można było zrozumieć? U mnie to jest nałogiem: jak tylko zasnę, tak zaraz nagadam więcej niż potrzeba; gdybym był złodziejem, wszystkobym przez sen wyśpiewał: gdzie kiedy i kogo okradłem i gdzie schowałem. Tak przez to samo ty musisz być uczciwym człowiekiem odpowie gospodarz przy ogólnym przytomnych śmiechu! Tak się spodziewam dzięki Bogu. No to dobrze i na tem się w tym przedmiocie cała rozmowa skończyła.

W końcu nadeszła córka stariej Korelki: wzięwszy tedy z córką jej skrzynkę na drąg i na plecy, i naczepiawszy na tę skrzynkę i na siebie różnych jej łachmanów, i choć przy upale ubrany w kozuch jak przystoi na ruskawo czelowieka, wyszliśmy wszyscy troje z barki wprost na ulicę Prospekt Newski. Dla większej oryginalności zgarbiona staruszka ledwie idąca, włożyła sobie na wierzch czepca na głowę swoją drewnianą miseczkę, w której zwykła była jadać. W takim ekwipażu śmiałym choć wolnym krokiem szliśmy przez ulice Petersburga, ściągając od czasu do czasu na siebie uśmiech przechodzących. — Przechodząc, przypatrywałem się temu rzeczywiście pięknemu i okazałemu miastu: jego gmachom ogromnym, jego

ulicom szerokim, czystym i porządnie brukowanym; dziwilem się tylko, że na swój ogrom Petersburg zdawał mi się pustym: ludzi bardzo mało. Nareszcie przeszedłszy kilka czy kilkanaście ulic i kilka mostów pobudowanych na kanałach ciągnących się wśród miasta, przybyliśmy do mieszkania praczki, córki Korelki. Był to tak nazwany dom postojalny, to jest: dom postojny czyli gościnny. Ten dom postojalny mający wniście od małej i dość brudnej uliczki, był to gmach czworoboczny o dwóch piętrach z dziedzińcem pośrodku: z wewnątrz dziedzińca na około przy każdym piętrze były galerye drewniane z przykryciem i dość szerokie. Ten dom jest przeznaczony dla najbiedniejszych wyrobników, których w tym domu z nadchozącą nocą jest jak mrówia. Większa ich liczba śpi po komnatach, ale ponieważ wszyscy nie mogą się w nich pomieścić, wielka ich część śpi na galeryach, i to tak po rosyjsku, na golęd podłozie a pięść pod głowy. — Wielka liczba tych wyrobników jest tak biedną, że nie ma obuwia, chodzą więc boso lub w lichych łapciach i w jednej obdartej sukmance i w koszuli brudnej jak sadza. Ale oprócz mężczyzn znajdują się także w wielkiej liczbie w tym samym domu i kobiety; rozumie się wolnego i rozwiązłego życia. Propinacyjne nosy i obrzękłe twarze tak mężczyzn jak i kobiet jasno poświadczają, że oprócz nędzy, w tym tłoku ludzi panuje wszelkiego rodzaju rozpusta i poniżające człowieka nałogi. Gdzie taka ciżba, gdzie tyle nędzy i rozpusty się znajduje, tam nie może być czystości i ochędóstwa: ztąd też atmosfera całego domku postojalego jest zepsuta i zaraźliwa. Ale oprócz tej zgrai biedoty w tym domu są lokatorowie stali, najmujący rocznie lub na więcej kilka komnat i przyjmujących do siebie za pewną opłatą na kwaterę. Córka mojej Korelki była jedną z takich lokatorek; ale że jej stancya była całkiem zajęta, niemogła tedy mnie u siebie umieścić i nastęrczyła mnie swojej sąsiadce obok mieszkającej, która z chęcią mnie przyjęła na kwaterę. Ale

opowiem, jakim sposobem byłem przyjęty na kwaterę w Petersburgu, gdzie policya tak ostróżna i ostra.

Przyszedłszy do nowej przyszlęj kwatery, przeżegnawszy się trzy razy, i tyleż razy pokłoniwszy się obrazom w kącie postawionym, pozdrowilem gospodynią i zapytałem jej, czy może mnie przyjąć na kwaterę? — I owszem, bardzo dobrze. — Cóż zechcesz za dobę? — Ośm kopijek (4 grosze). — Zgoda: ale gdzie spać będę? — Ot na tym tapesanie rzekła pokazawszy mnie gołe deski. — Dobrze: teraz powiedz mi, gdzie jest policya, abym w niej mój pasport zameldował. Zadałem jej to pytanie dla tego, aby, gdyby koniecznie potrzeba było iść do policyi, do której żadnym sposobem iść mi było niepodobna, aby powiadam, przekonany o niemożności pozostania w Petersburgu, wynieść się z niego cichaczem: nie przez rogatki, gdzie ścisła czujność i rewizya, ale wypłynąć Newą tak jak nią wpłynąłem, a w razie gdyby niepodobna było znaleźć łódki, rzucić się do Newy wpław i wypłynawszy z wodą za Petersburg, dojść do morza Bałtyckiego i jego brzegów, tak samo jak brzegiem morza Białego w dalszą puścić się drogę. Na moje tedy zapytanie, gdzie jest policya dla zameldowania w niej pasportu, gospodyni odrzekła: a długo tu w Petersburgu myślisz zabawić? — Trzy lub pięć dni najdlużej, chcę tylko trochę odpocząć. — A dokąd idziesz? — Jestem bohomolec, wracam z sołnieckich monasterów, a teraz udaję się przez Wielki Nowgorod do Kijowa dla oddania czei świętych zwłokom. Dobrze robisz, niech ci Bóg dopomaga. — A zkad jesteś? — O zdaleka, z Zawologodzkiej gubernii. — A pokaż swój pasport. — Ponieważ nie było nikogo, tylko my dwoje i ponieważ była prostego stanu, a zatem jak sądziłem nieumiejąca czytać, w czym się nie omyliłem, więc jej pokazałem niby mój pasport; spojrzawszy na pieczęć rzekła: Dobrze, tak ja tobie powiem, że ty nie masz po co iść do policyi. — Jak ci się podoba, bo ja nie wiem jaki tu zwyczaj, ale dla czego nie iść? — Ty za trzy lub pięć dni ztąd wyjdiesz,

a chodzić do policyi to tak wiele kłopotu. — A to jakim sposobem? — Gdybyś ty szedł do policyi, to i ja z tobą jako gospodyni, u której stoisz, także isćbym musiała. — A po co byś ty ze mną chodziła? — Od niejakiego czasu policya nadzwyczaj jest surowa: dawniej kto przybywał do Petersburga, sam tylko szedł do policyi i sam do niej chodził kiedy z Petersburga wyjeżdżał; dziś przeciwnie i gospodarz lub gospodyni, u której przybyły stoi, z nim do policyi isć musi i to czy staje na kwaterze, czy z niej odchodzi. W policyi zawsze jak nabito ludzi, nim przyjdzie kolej, trzeba bardzo długo czekać. Jeżeli lokator staje na miesiąc lub więcej, to jeszcze nie żał czasu i facytygi; ale jeżeli staje na jedną noc lub tylko na kilka dni, to gdybym z każdym z tych lokatorów którzy przybywają lub odchodzą chodziła do policyi, to całybym dzień straciła na samém chodzeniu, nie w domu nie zrobiwszy, a tu żyć potrzeba, policya chleba nieda: otóż z tych powodów my tak robimy: jeżeli lokator staje u nas na długo, to idziemy z nim do policyi, a jeżeli na dzień lub na kilka dni, to ich nie meldujemy. Tym sposobem jako tako zarabiamy na utrzymanie, a jak policya nie wie, to nic w tém złego. Gdyby we wszystkim jej słuchać, to potrzebaby chyba z głodu umrzeć. Otóż dla czego i ty nie chódź do policyi. Po kilku dniach pójdziesz sobie z Bogiem spokojnie; a jak spytają się ciebie na rogatekach, dla czegoś nie wizował pasportu w policyi, to powiesz, że ty tylko przechodzisz przez Petersburg, wcale się w nim nie zatrzymując. Jak łatwo wnosić, bardzo byłem szczęśliwy z podobnego zdarzenia, którego wcale nie przewidywałem, ani mógłem się spodziewać; ale tając mą radość, odpowiedziałem dobrej gospodyni, jakby z niechcenia: no, kiedy tak mówisz i chcesz, niech tak będzie, dla mnie wszystko jedno, ale w duszy byłem jej nadzwyczaj wdzięczny.

Dwie ostateczności stykają się z sobą, mówi przysłowie: zbytne pobbłażanie jak zbytina surowość, jednakowa

sprowadzają następstwa; w pierwszym razie każdy robi co mu się podoba, lekce waży rozkazy słabego rządu, w drugim widząc się w niemożności wykonania woli i rozkazów rządu zbyt surowego, ludzie mimowolnie tych rozkazów niemogąc wykonać, chwytają się sposobów samowolnych, tym niebezpieczniejszych, bo ukrytych i niewidzialnych. Do pewnego stopnia rząd może być tylko surowym, przestąpiwszy zaś tę granicę, jak z jednej strony okazuje się jego słabość przez samą surowość i okrucieństwo (bo okrucieństwo jest także oznaką słabości i podłości) tak z drugiej strony powiększa się śmiałość i zuchwałstwo gnębionych; wielkim uciskiem tylko przynębieni, słabi uczują całą swą moc i siłę. Rząd despotyczny surowy jest to łuk mocno naprężony, który albo daleko strzałę poniesie, albo sam pęknie. Z tego małego wypadku wniósłem: że nawet w Petersburgu pod boki samego cara, lud pomalu przyzwyczajają się do gardzenia środkami surowemu ostrożności despoty. Miejmy nadzieję, że z czasem przyzwyczai się i do pogardy samej jego władzy. Lecz jakkolwiek bądź, ta surowa ostrożność może najwięcej takich, jakim ja wówczas byłem tycząca się, była jedynym powodem mojego ocalenia, a mogła prawie z pewnością być przyczyną śmierci Mikołaja, gdybym był — Rzymianinem a nie Polakiem. Z tém wszystkim rzadko komu tak jak mnie Opatrzność dozwoliła tak zażartować i wyszydzić tak samego Mikołaja jak i całą jego potęgę. Byłem w jego ręku, w jego żelaznych kleszczach; jego życie było może w mój mocy, jednak nie tak dalece złegośmy sobie nie zrobili; jam tylko nabył większego przez cierpienia doświadczenia, i większej nabyłem ufności w sprawiedliwość Boga i jego miłosierdzie; a Mikołaj może tegoż doświadczenia i przekonania także nabędzie, to jest: że niewolno być zbrodniem choćby ukoronowanym bezkarnie, że oprócz ziemskiej jest sprawiedliwość nieba, która z tem większą mocą dotyka wystę-

pnych, im więcej na nich łask swych Opatrzność ziała, dla uszczęśliwienia, a nie pognębienia innych.

Otrzymawszy tak łatwym sposobem i nad wszelkie moje spodziewanie bezpieczny i wolny pobyt w Petersburgu na dni kilka i nieco uspokoiony takim wypadkiem, rozgościłem się na swojej nowej kwaterze; moja gospodyni między innemi rzekła do mnie: jeżeli wieczorem zechcesz wyjść na miasto, to wiele pięknych rzeczy zobaczysz, bo całe miasto będzie oświetlone. — A to dla czego? — Dziś są zaręczyny czy wesele, już tego dobrze niepamiętam, księżniczki Olgi z jakimś księciem. Były to właśnie zaręczyny księżniczki Olgi z księciem Württembergskim. Przybyłem zatem do Petersburga właśnie na weselne gody, które o ile sobie przypominam, były 27 czerwca 1846 roku: ale już niepamiętam, czy podług kalendarza rzymskiego czy greckiego. Ale ponieważ i podróżą, a raczej bezsennością i pracą na barce byłem zmęczony i nieznałem wcale Petersburga, niechciałem tedy awanturować się po jego ulicach w nocy, gdzie mógłbym się łatwo zabłąkać i przypadkiem dostać się (jako nieznający i zwyczajów i miejscowości) do rąk policyi; przytém ważniejsze rzeczy od wesela i oświetlenia mnie zajmowały; położyłem się zatem z wieczora spać i całą noc aż do białego dnia przespałem bez przebudzenia się.

Nazajutrz wyszedłem do miasta, obszedłem kilkanaście ulic i kilka rynków: dni następnych chodziłem także po mieście, przypatrywałem się jego gmachom i ludności, jak i sposobowi jej życia. Miasto Petersburg, wielkie, piękne, okazałe, może najokazalsze z całej Europy pod względem ogółu swych gmachów, szerokich a wyrównanych ulic; domy stoją rzędem, jak żołnierze w ściśniętym szeregu, jednak przy tém wszystkiem zdalo mi się, jakby puste i mało ruchu mające, z wyjątkiem rynków i portu. Jest coś nienaturalnego, jakby przymusowego, w życiu mieszkańców tej stolicy, niema w niej niczego, coby nosiło cechę rzeczywistego miasta i życia miast mieszkańców;

jest to raczej hyperboliczne naśladowanie miasta tak dalekie od rzeczywistości; możnaby to miasto porównać do wybijanego płodu noszącego w sobie zarody rychłej śmierci; łatwo dostrzedz, że to miasto niepowstało ze zbiegu naturalnych okoliczności, ale z woli despoty, który jedynie tylko utrzymuje jego znaczenie i wielkość. Petersburg godnie odpowiada swą napuszystą zewnętrzną postawą ochrzczoną z ukazu mianem miasta, a częzą wewnątrz, napuszystej, nadętej władzy i postawie cara, który mimo napuszystości, jak wiadomo, jest bardzo ograniczonego umysłu, jak równie jego władza jest szyderczą anomaliją w dzisiejszym wieku i przy dzisiejszych pojęciach; słowem, wart Pac pałaca, a pałac Paca. Niech dzisiaj pręśnie władza carska, a Petersburg zostanie tém, czém być powinien, to jest: podrzędném miastem portowém, którego większa połowa dzisiejszych gmachów zamieni się w pustki i gruz. Pojedynczych zaś pałaców okazałych, jakie są na przykład w Warszawie, bardzo mało widziałem. Pałac, gdzie mieszka książę Lejchtenberg, zupełnie od innych domów odosobniony, a niedaleko Isakowskiej cerkwi i placu, gdzie znajduje się statua Piotra Wielkiego, stojący, jest jeden z najokazalszych w Petersburgu i przynajmniej ma minę pałacu. Idąc od pałacu księcia Lejchtenberga, przechodzi się obok cerkwi Isakowskiej, wspaniałej nie tyle swą architekturą, ile kolumnami, a którą wówczas poprawiano; cerkiew ta znajduje się po prawej ręce przechodzącego; od tej cerkwi otwiera się i poczyną obszerny plac czworoboczny, kończący się u rzeki Newy; poprowadziwszy prostopadłą od cerkwi do Newy, plac będzie przecięty prawie na dwie równe części: z lewej strony tej linii i placu pewno dla jego ozdoby, jest jeden czy dwa manneze (rejtshule), już dobrze niepamiętam, na którego frontie z białego marmuru znajdują się dwa rozhukane konie naprzeciw siebie stojące, a trzymane przez jednego każdy jezdca na pieszo; dalej w tej samej linii jest ogromny gmach, ale wcale nieokazały, pochodzący na prostą kil-

kopiętrową kamienicę; w tym gmachu była kordegarda wojskowa i dosyć w niej żołnierzy; ten gmach, jak mi mówiono, miał być miejscem posiedzeń senatu; przypiera on do samej Newy, od której jest oddzielony szeroką drogą idącą brzegiem. Z drugiej strony linii, to jest: po prawej stronie placu znajduje się tak nazwane zabudowanie admiralteijstwo (Amiranté), gmach bezpieczeństwa i wcale nieokazały. Prawie po środku placu stoi statua Piotra Wielkiego przez Falkoneta. Piotr Wielki na koniu, w to-dze i bez kapelusza trzyma lewą ręką cugle rwiącego się rumaka, a prawą rękę trzyma podniesioną, jakby rozka-zywał. Pospólstwo petersburgskie mówi: że Piotr Wielki chciał Newę przeskoczyć. Obejrawszy plac zbliżyłem się do statui ogrodzonej opodal na około i w czworobok że-laznemi kratami; wewnątrz téj zagrody na około statui były nasadzone niewielkie drzewka już wtenczas rozwi-nięte drzącą topoli (osiki), sztyldwach stał przy statui. Ledwie się zaczął z bliska przez kraty przypatrywać téj statui i temu arcydziełu i wyczytałem napis: Katarzyna II Piotrowi I, w tém sztyldwach krzyknął na mnie: Idź precz chłopie, niewolno ci patrzeć (padi procz muzyk, tiebie nielzia smatriet'), więc poszedłem. Do pałacu Mi-kołaja (Carskawa Dworca) anim się zbliżał. Odstąpi-wszy od mojego zamiaru zabrania ściślejszój z carem zna-jomości, a wiadomo dla jakiej przyczyny, niechciałem się napróżno narażać i kompromitować, bo nieznając miej-scowych zwyczajów i obejścia się mieszkańców w przy-tomności carskiej osoby i na widok jego pałacu, mógł-bym przestąpić zakresznaczony dla pospólstwa, mógł-bym niezdzając czapki, gdzie zdjąć potrzeba podług ukazu, mógłbym stanąć na lewo lub tyłem, gdzie potrzeba sta-nąć na prawo i przodem, mógłbym spojrzeć na prost i w górę, gdy potrzeba patrzeć w bok i na dół; mógłbym kichnąć, gdzie kazano milczeć lub kaszlać; a wszystko to, jak wiadomo, w Petersburgu i około pałacu cesarskiego, jest wielkiem przestępstwem przeciw nakazanej subordy-

nacy, i dla tego mógłbym popaść w nowe nieszczęście bez żadnej przyczyny.

Żyłem w Petersburgu sposobem następującym: jako prawdziwy ruskij czelowiek, brałem u gospodyni dzbanek i na targu, na blizkim rynku kupiwszy kwasu, zielonój cebuli i chleba wracałem na kwaterę: gdzie do kwasu nadrobiwszy téj cebuli (łuku) zajaadałem smacznie. Zda-rzało się także czasami, że tamże na rynku, sposobem używanym, kupiwszy ryby, lub szcuj, pożywałem je, raz czy dwa razy napiłem się sbitniui gorącego (to jest her-baty z siana). Tym sposobem można żyć bardzo tanio w Petersburgu. Sławne są w Petersburgu szynkownie pod domami tak nazwane pogrebok to jest piwnica, gdzie po-spólstwo hojnie się raczy napitkiem różnego rodzaju, bo są nawet i wina.

Ale czy chodząc po Petersburgu ostrożnie choć śmiało i przypatrując się jemu, miałem jedynie na celu zaspo-kojenie próżnej ciekawości? oh nie. Dostałem się do Pe-tersburga, to prawda i dobrze, ale jak z niego i którędy się wydostać, to było dla mnie zagadką, nad której roz-wiązaniem od samego przybycia rozmyślałem i zastana-wiałem się. Przez rogatki wyjść ani podobna, mimo za-pewnienia gospodyni, bo pasportu mojego pokazać nie-mógłem, mógłbym ostatecznie, jak to już mówiłem, wy-płynąć Newą i brzegiem morza Bałtyckiego pójść dalej, ale z tém wszystkiém sposób łatwiejszy i prędzszy wydo-stania się z Rossyi, gdyby tylko był możliwym, nie był wcale do odrzucenia. Wiedziałem dobrze, że statek parowy chodził z Petersburga do Hawru we Francyi, ale jakim sposobem na ten statek się dostać, mnie co niemiałem czem téj podróży opłacić, i w których dniach miesiąca on z Petersburga odpływa; to było celem moich usiłowań. Nieśmiałem nikogo pytać, gdzie ten statek na Newie się zatrzymuje, dla niewzbudzenia nieufności i podejrzenia, postanowiłem tedy sam go szukać w moich najczęstszych przechadzkach nad Newą: i gdybym go był znalazł, my-

ślałem sobie, starałbym się pod różnemi pozorami wywieźć, czy niemożnaby dostać się do niego szczególnie, gdyby kapitan był Francuzem; w takim razie może mógłbym odkryć się przed nim, kim byłem i dla czego żądałem jego wsparcia; gdyby zaś kapitan był Rossyaninem w takim razie niebyło co nawet i myśleć o tém. W tych myślach i zamiarach pogrążony postanowiłem szukać tego statku: na Newie w Petersburgu dosyć jest statków parowych, a przy każdym z nich na szerokiej czarnej tablicy żółtymi, lub na białej czarnemi głoskami napisano po rossyjsku i po niemiecku, czyj statek, dokąd i kiedy odchodzi. Poszedłem tedy lewym brzegiem Newy ku jej ujściu od placu statui W. Piotra: zbliżam się wolnym krokiem do jednego statku i z ukosa i nieznacznie czytamy na tablicy: Parochod Jewo Impieratorskowo Wielichestwa Nikołaja Igo to jest: Parostatek Jego Cesarzskiej Mości Mikołaja Igo; znajduję drugi statek parowy, na nim napisano: Parostatek Jego Cesarzewiczowskiej Mości następcy tronu; dalej parostatek Cesarzowej i jej frauzymeru, dalej, Wielkiego Księcia Michała (Panie świeć nad jego duszą), później inne tytułowane statki podług rodu i czynów, nareszcie znalazłem kilka statków prywatnych kompanij, ale w przeciwną od mojej podróży udających się stronę, a tego którego szukałem, wcale nie znalazłem. Zlustrowawszy brzeg lewy w całej jego długości, przeszedłem na prawy po moście naprzeciw statui Piotra Wielkiego zbudowanym i udałem się tym brzegiem ku ujściu Newy. Niedaleko od mostu doszedłem do dwóch sfinksów starożytniej egipskiej roboty, dobrze wykonanej, bez najmniejszego uszczerbku zachowanych, ogromnej wielkości, nad samym brzegiem Newy, i naprzeciw muzeum sztuk pięknych (Izjaszcznych Iskustw) postawionych i głowami do siebie obróconych. Sfinksy egipskie w Petersburgu nieco mnie zastanowiły: tem mocniej, że niewiedziałem jakim sposobem i kiedy one się tam dostały. Przypatrzywałem się tedy choć z ciekawością, ale z gapioską

miną jak prosty muzyk zwykły i powinien się przypatrywać. Lecz dla niezwrócenia na siebie uwagi przechodzących, po chwili odszedłem i wolnym krokiem zbliżałem się do jednego parostatku ze smutnem przekonaniem, że i ten musi mieć jakąś rangę: jakież jednak było moje zadziwienie i radość, gdym na jego tablicy wyczytał: Statek idący z Petersburga do Rygi i że jutro odpływa. Na taką niespodziankę zwolniłem kroku przypatrując się niby statkowi, wreszcie zatrzymałem się zupełnie. Było to około siódmiej wieczorem. Niby gapiąc się i jakby z niechcenia wzrok rzucając na parostatek, w rzeczy samej myślałem, jakimby sposobem można się nań dostać. Na statku oprócz przechadzającego się chłopca, pewno służącego, nikogo nie było: ja stałem, myślałem i czekałem, sam niewiedząc kogo i czego? Gdy w tej niepewności zostawałem, ten chłop w czerwonej koszuli na spodnie napuszczonych, przechadzający się po pokładzie parostatku spojrzawszy na mnie zapytał: Może ty chcesz do Rygi płynąć, to siadaj na ten statek. — Ja mu na to jakby z niechcenia: Ja właśnie miałbym potrzebę udać się do Rygi, ale gdzie mi tam myśleć płynąć parostatkami, to zapewne tak drogo kosztuje, nie nam to muzykom parostatkami pływać. — Dla czego nie nam, niebój się, siadaj, jak od ciebie muzyka to nie drogo wezmą. — A ileż? — No co tam, i tu mi powiedział tak niską cenę, że ażem się zdziwił, ale ile, już nie pamiętam. Cena mi się podobała, ale cóż kiedy bez pasportu nieprzyjmą na statek. Gdym tedy myśląc nic nie odpowiadał, on mnie znowu zagadnął: no i cóż niemyśl, zabieraj się i siadaj. — Siadać nie wielka sztuka i cena nie zbyt droga, to prawda. — No, tak czegoż się ociągasz? — Dla czego? dziś dopiero przybyłem do Petersburga i jeszcze pasportu mego w policyi niezameldowałem, a zatem muszę go pierwój zameldować. — A ten mi na co: he, he, he: jeżeli chcesz pasport swój meldować, to i za trzy dni niebędziesz gotów, ja znam lepiej jak ty, policyą tutejszą; a statek jutro odchodzi. — No,

to jakże zrobić? — Siadaj tak niemeldując pasportu. — Ba, żeby w biedę później popaść? — Ot durak muzyk, on jeszcze chce mnie uczyć, kiedy ja ci mówię siadaj, to siadaj, ja wiem, co robię, polegaj na mnie. — No kiedy już tak mówisz, to niech tak będzie, ty wiesz lepiej, jak ja, co trzeba robić. — To się rozumie: a masz pasport przy sobie? — Mam. — Pokaż. — Wyciągnąłem mój pasport z kieszeni, chustką obwiniony jak to zwyczaj między rossyjskiem pospółstwem i zacząłem go rozwijać. Eh, musi być bardzo ważnym, kiedy go tak starannie chowaś i utrzymujesz, schowaj go nazad. — Domyślam się, że zapewno nieumiał czytać — ja zaś go zapytałem, kiedy statek odchodzi? — Jutro rano o siódmej czy o ósmiej godzinie, już dobrze niepamiętam. — Ale czy mnie tu przyjmą, jak ja przyjdę? — Niebój się, przyjdź tylko i patrz, gdzie ja będę i przyjdź do mnie; a jakby mnie nie było, to poczekasz mnie tu na tém miejscu: a ja ci już powiem, co masz robić — a teraz stupaj.

Po takiej opatrnej choć dziwnej ugodzie, ledwie mogłem wierzyć podobnemu zdarzeniu; byłem wesół, szczególnie, choć niezupełnie jeszcze spokojny. Nazajutrz rano wstawszy i zapłaciwszy gospodyni, co się należało, oświadczyłem jęj, że wychodzę do Kijowa i pożegnawszy ją, wyszedłem. Przybywszy do statku o naznaczonej godzinie, zastałem tam mnóstwo ludzi i w ich tłumie postrzegłem mego Mentora. Kiedym się do niego zbliżył, rzekł do mnie: dawaj pieniądze (dawaj dieńgi), dałem mu je, lecz ledwie je wziął odemnie, natychmiast gdzieś zginął w tłumie. Pomyślałem sobie: i pieniądze zabrał, i na statek nie wsiądę, i jeszcze może mnie w kłopot wprowadzić. Po dość długiem czekaniu wrócił i przyniósł mi żółtą kartkę na ostatnie miejsce, to jest: na pokład i w nosie parostatku. Chociaż wiedziałem dobrze, co ta kartka znaczy, zapytałem go jednak, co ja z tém mam robić? Ot durak muzyk: już stój, nic niemów, ja ci powiem, co masz robić. Więc stałem i czekałem. W tém dzwonią raz,

dzwonią drugi i trzeci, baryera parostatku się otwiera, podróżni się nań cisną, a mój mentor wzięwszy mnie za ramię i powiedziawszy stupaj, popchnął mnie na statek, na którym sam prawie niewiedziałem, jakim sposobem się znalazłem.

Puszczono parę, woda pod kołami zaszumiała, parostatek popłynął. Dzięki Bogu, pomyślałem sobie, że się wydostał z matni, jestem w bezpieczeństwie aż do samej Rygi. Z Archangielska do Petersburga moja podróż trwała cały miesiąc czerwiec; 27 przybyłem do Petersburga, a pierwszych dni lipca, to jest: 2 czy 3go z niego wyjechałem; bawiłem więc w Petersburgu 5 czy 6 dni. Słońce podróży pięknie przyświecało, parostatek z biegiem wody szybko pędził i Petersburg wkrótce znikł za nami. Niedaleko ujścia Newy pokazało się niezadługo miasto i forteca Kronstadt wychodzące z morza i jakby na jego powierzchni wzniesione; płynąc obok i blisko Kronstadtu, który był z prawej naszej ręki, z ciekawością i jemu samemu i lasowi masztów okrętów w jego porcie będących przypatrywałem się. Dziwny to, zajmujący, choć nienaturalny widok, miasto wśród morza. Choć słońce świeciło, wiatr jednak gwałtowny z północy wysoko wzdymał bałwany Bałtyckiego morza i przeszkadzał parostatkowi szybszym płynąć pędem; prawie na wysokości Kronstadtu niemal cała flota, zapewne robiąca ewolucye, wówczas stała na kotwicy, w jeden długi nieprzejrzały szereg i wyrównany pod linią jak żołnierze; okręt od okrętu stał w pewnej odległości. Nasz parostatek przejeżdżając przez tę linią, a raczej ją przecinając, zwolnił swój pęd, i kapitan jego w rozszczepany kawał dość grubego i długiego drzewa włożywszy jakieś papiery, rzucił w morze ku łódce, na której kilku majtków wojskowych podpłynęli. Domyśliłem się z tego, że to była brandwachta czyli straż morska rewidująca pasporta, a przynajmniej listę osób przejeżdżających, którą kapitan rzucił w morze. Na tej liście zapewno Ławrentija niebyło. Po

tęj formalności popłynęliśmy dalej. Parostatek należący do towarzystwa miasta Abo w Finlandyi, był okazały i piękny, passażerów było mnóstwo i dosyć osób z wysokiego towarzystwa płci obojga. Przy świeżem powietrzu, przy wesołym humorze jeść mi się zachciało; inni podróżni kazali sobie podawać herbatę, kawę, beftiki, bulliony, wina itd., ja zaś dobywszy z mojej błękitnej torby jeszcze z Francyi czarnego chleba, soli i zielonej cebuli dla zaostrenia apetytu, jak to zwyczaj u prawdziwych rossyjskich ludzi, zacząłem smaczno zajadać przyprawiając to jadło częstém westchnieniem, a niekiedy i zwilżoną powieką. Zapachy z kuchni smacznych potraw mile drażniąc nerwy węchu, budziły szósty zmysł żołądka, któremu niestety zostało tylko wspomnienie chwil szczęśliwych, ale już dawno ubiegłych. Kiedym pożywał na otwartém powietrzu, na pokładzie i na nosie parostatku, chleb, sól i cebulę przy których siedziałem, dwóch jakichś Ichmościów porządnie ubranych przybliżywszy się ku mnie i patrząc na mą ucztę, rzekli do siebie ze wzgardą i po niemiecku mówiąc o mnie: *Man sieht, dass es eine russische Schweine sey*, to jest: łatwo poznać, że to jest rossyjska świnia. Małom nieparsknął od śmiechu na taki dla mnie komplement, ale przytém niemalom się ucieszył, że tak podobnym byłem do Rossyanina w tej chwili i w tym ubiorze. Pomyślałem jednak sobie: a wy niemieckie pijawki, co naszą krew polską i w ogóle sławiańską od tak dawna ssiecie, czyście zapomnieli, że do nas przyszliście z torbami, albo skacząc po linie dla zarobienia na kawał chleba u nas, a teraz spanoszywszy się naszym kosztem i zajadając knedle, już zapomnieliście o swoim początku i pochodzeniu?

Parostatek miotany bałwanami, które wskakiwały na pokład, nabawił mnie jak i wielu innych morskiej choroby, do której naturalnie mam wiele skłonności, najmniejszego wahania się znieść długo niemożę; zacząłem chorować dość mocno, ale mimo choroby niemógłem się

od śmiechu czasami wstrzymać, patrząc na chorobę innych, szczególnie na damy, które prowadzone przez swych mężów lub braci czy znajomych, równie jak one chorych, przedstawiały oryginalny widok. Dla ulżenia słabości położyłem się na pokładzie, mniej dbając o bałwany, co mnie oblewały; siermięga, kożuch, kamizelka, koszula były na wskroś przemoczone; nadeszła noc, zimno mi się zrobiło, deszcz zaczął padać. Marudząc i nudząc się na pokładzie, niewiem dla czego zszedłem do kajuty drugiego miejsca, gdzie były damy; to było w nocy. Jedne siedziały, drugie leżały, w toalecie i negliżu, w kapeluszach i we włosach roztrzepanych i w nieładzie, a wszystkie prawie stękały. Ledwie zstąpiłem do kajuty, jedna z dam poważna już wiekiem, rzekła, a raczej krzyknęła do swoich towarzyszek po francuzku: *Ah! ce paysan va nous empêter encore davantage, il nous manque déjà d'air, il vient pour le corrompre tout a fait, il faut le chasser d'ici*. Słyszając te groźby, z których mi się śmiać chciało, sam się już zabierałem do wyjścia, gdy wszedł lokaj, niosąc na tacy filiżankę bullionu czy herbaty, a postrzegłszy mnie, krzyknął: *zaczem ty zdieś muzyk, paszoł won, to jest: po co ty tu chłopie, pójdź ztąd precz*. Wygnany tym sposobem i z ciepłej kajuty i z pośród milego dam towarzystwa, wyniosłem się na świeże powietrze na pokład.

Płynąc dzień cały i noc prawie całą, nadedniem parostatek zatrzymał się pod samem miastem Rewlem w Estonii. Ponieważ miał dopiero ruszać o dziesiątą z rana, więc jak się rozwidniło dobrze, z drugim podobnym mnie kolegą prostym Rossyaninem poszedłem do miasta, gdzie na rynku zjadłszy mięsa, kazaliśmy sobie dać w jednej traktyerni gorącej herbaty; wypiliśmy jej po pięć czy po sześć szklanek i bardzo tanio nas kosztowała; poczem wróciliśmy do statku. Miasto Rewel na wzgórku i staroświeckim sposobem zabudowane, z wązkami i krętymi ulicami, było i dziś jest jeszcze dosyć warowne; mnóstwo dział na okopach się znajduje, fortyfikacye wówczas na-

prawiano, ludność po największej części niemiecka. Przybywszy do Rewla, wspomniałem na dawne świetne polskie czasy, kiedy Zygmunt III Waza widział się w tém miejscu ze swoim ojcem królem szwedzkim: i Rewel był niegdyś polskim. Ta myśl przez porównanie dzisiejszego stanu Polski z dawnym, mocno wpłynęła na mój humor; wróciłem tedy na statek pełen smutnego usposobienia i tęsknoty. O dziesiątej chciano ruszyć, ale parostatek uwiązł na podwodnych palach; wezwano marynarki wojсковей do pomocy, przyszło z pięćdziesięciu najtków i dwóch oficerów marynarki i po godzinnej niemal pracy parostatek wyszedł na pełne morze. Dzień z rana pochmurny wkrótce się wypogodził, płynęliśmy szybko, bo wiatr ustał i balwany nietamowały siły pary. Między podróżnymi było dwóch młodych Polaków wracających z Petersburga do Litwy, a ztąd do Polski, jeden a drugi na Ukrainę. Ci dwaj Polacy wcale się niemieszali do towarzystwa, choć mieli prawo do kajuty, niemal ciągle byli na pokładzie i z sobą tylko i po polsku rozmawiali. Smutek rozlany na ich obliczu, jak na obliczu każdego Polaka czującego położenie Polski, świadczył, że cios, który dotknął ich ojczyznę, głęboko utkwiał w ich sercu. Zbliżając się do Rewla, rzekli do siebie z cicha: i tu niegdyś była Polska, jak boleśnie jest myśleć, że dziś prawie ję nigdzie niema. Słyszac mych braci po polsku rozmawiających i cierpiących nad niedolą ojczyzny, powziąłem o nich najlepsze wyobrażenie i z chęcią nastawiałem ucha na ich rozmowę, nie dla wybadania od nich jakichkolwiek tajemnic, któreby mi się na nic nieprzydały, ale jedynie dla nasycenia się miłym dźwiękiem mowy rodzinnej, tęg mowy, w której od kolebki nauczyliśmy się wyrażać i wynurzać nasze myśli i uczucia, naszą radość i boleści; przytém tak miło jest słyszeć choćby z ust Polaka, szczere chęci i życzenia dla Polski, dla tęg Polski tyle dziś nieszczęśliwej, od całego świata opuszczonej, tęg sieroty, nad którą nikt litości, nikt spólcucia niema, iż

ta moja ciekawość, jak u mnie samego, tak i u wszystkich pewnie znajdzie przebaczenie. Doznane własne nieszczęście czyni ludzi więcéj ludzkimi, więcéj przystępnymi; kto doznał nieszczęścia i niedoli, ten żadnym człowiekiem pogardzać nieumie, a przynajmniej niepowinien. Otóż i ci moi rodacy ze wszystkich passażerów byli mi najprzychylniejszymi, i chociaż mieli mnie za Moskala, wchodzili czasami ze mną w rozmowy. Wiedziałem co i jak miałem z nimi mówić. Że ja miałem dla nich sympatyą, nic w tęg dziwnego, bo wiedziałem, że byli Polacy i kochali Polskę, a zatem byli ludzie poczciwi; ale że oni dla mnie, dla Moskala, mieli pewne względy i zdawali się mieć przyjemność w moich z nimi rozmowach, to rzecz trudna do pojęcia. W tych wzajemnych a przychylnych dla siebie usposobieniach przybyliśmy tęg samego dnia około 7tęg wieczorem do miasta Rygi. Płynęliśmy tedy z Petersburga do Rygi dwa dni i noc jedną mimo złęg pogody. Przy samém ujściu Dźwiny zachodniej na lewym jęg brzegu jest forteca, niegdyś za Polski czasów dosyć słynna Dünamünda czyli Dyament, zresztą nie szczególnego na obu brzegach Dźwiny aż do Rygi, po przybyciu do której wysiadłszy z parostatku, każdy się udał w swą stronę; ja zaś z moim kolegą Moskałem, z którym piłem herbatę w Rewlu, udałem się wprost na tak nazwane rosyjskie przedmieście, gdzieśmy się wkrótce z sobą rozłączyli.

Jeszcze w Petersburgu, jakem tylko wsiadł na statek parowy, przyjąłem na siebie miano szczetinnika, to jest: tęg, który po wsiach zbiera, skupuje, lub za pierścionki i inne bagatele zamienia i bierze szczecinę dla dostarczenia jęg na okręty. W Rosyi, w ziemiach ruskich i na Litwie ten przemysł jest dosyć znany. Przybywszy do Rygi, udałem się do jednego kupca ryczałtowego mieszkającego na rosyjskiem przedmieściu, dla zobowiązania się dostarczać mu szczecinę za umówioną cenę; ten za miernęj wartości szczecinę pud płacił 50 rubli as-

sygnacyjnych, a za wyborowej szczeciny pud płacił 70 rubli. Przytém wskazał mi, w których miejscach najlepsza jest szczecina; w Kurlandyi bardzo zła, na Litwie dość dobra, a najlepsza na Ukrainie, dokąd mnie namawiał, abym się udał, co mu przyrzekłem. W takich umowach kontraktu żadnego niema, tylko polubowna ugoda: ile mu dostarczę, tyle mi zapłaci. Że zaś już było późno, kupiec pozwolił mi przenocować w swojej wozowni, bynajmniej niepytając się o pasport, zapewne dla tego, że kto wchodzi w układy pasport mieć musi. Przespawszy się wygodnie i smaczno w wozie, gdzie było trochę słomy, rano wyszedłem na miasto.

Ryga leży na prawym brzegu Dźwiny na pochyłości niewielkiego wzgórza zniżającego się ku Dźwinie i nad samym jej brzegiem; miasto samo było niegdyś okopami obwarowane, i dziś tych okopów czyli szanów są mocne ślady; pobudowane staroświeckim sposobem, ma ulice wąskie i kręte, a jednak jest w niem coś, co się podoba. Zamek niegdyś kawalerów mieczowych niedaleko Dźwiny stojący, jest mieszkaniem gubernatora gubernii inflanckiej (Inflant polskich czyli Liwonii). Obwarowane staremi szanami, Ryga miasto ma mocne bramy i może się dziś jeszcze nazwać miastem obronnem. Nad samym portem przed bramą do miasta jest targ i rynek, na którym można dostać jadła już gotowanego, choć niebardzo smacznego, ale za to dość drogiego. Przedmieście rosyjskie za okopami i nad brzegiem Dźwiny rozciągające się, jest dość piękne, obszerne i długie: na niem mieszka mnóstwo żydów. Język powszechnie używany jest niemiecki, ale mówią także po rosyjsku, a nawet i po polsku; są w Rydze nawet mieszkańcy Polacy. Chodząc po Rydze, przypomniałem, jak niegdyś Karól Chodkiewicz w wojnie ze Szwedami w tém mieście gospodarzył. Dziś się wszystko zmieniło. Gdzież sława, gdzie świetność imienia polskiego, gdzie dziś Polska sama? Aż mi oczy nabrzmiały

łzami od tego wspomnienia. W porcie Rygi było dosyć statków handlowych.

Zabawiwszy w Rydze niemal do godziny drugiej z południa, przeszedłem most drewniany, łączący Rygę z przedmieściem na lewym brzegu Dźwiny położonem i udałem się piękną szosą i przy parném dnia słońcu ku Mitawie, wstępując na lekko pochyłe ku Dźwinie wzgórze. Szedłem krokiem sporym i w zamyśleniu przypatrując się pięknym i chędogim domkom po obu stronach drogi położonym. Tu zawczasu nadmienię, że nie piękniejszego, nad gościniec wiodący z Rygi do Mitawy; na wielką odległość od Rygi, piękne, osobne, zwykle z ogródkami i łaskami przedstawiają się villa, zapewne bogatych kupców albo też właścicieli w nich samych mieszkających; rola dobrze uprawna, widać porządek, przemysł i gospodarność. Piękne dylżanse, nakształt francuzkich, często przechodzą z Rygi do Mitawy i nawzajem, a droga dobrze wymoszczona i gładka ciągnie się po gładkiej jak dłoń równinie. Choć było gorąco i parno, szedłem jednak w kożuchu, jak przystoi na Rossyanina, z workiem na plecach, do którego, dla większego prawdopodobieństwa mojego nowego powołania, włożyłem kilka paczek kupionęj i złej szczeciny. Było mi wesoło i tęskno zarazem, bo już byłem w granicach dawniej Polski. Gdy w myślach pogrążony szedłem zwykłym krokiem, mało zważając, co się na okolo mnie działo; buda żydowska grubem płótnem powleczone, dla ochrony podróżnych od upału słońca i deszczu, jak to zwyczaj w tych stronach u Żydów furmanów, zaprzężona trzema końmi, minawszy mnie, zatrzymała się nagle. Po chwili wyskoczyli z niej moi dwaj Polacy, z którymi zabrałem znajomość, płynąc z Petersburga statkiem do Rygi i kazawszy swemu furmanowi jechać stępą, zbliżyli się do mnie, uprzejmie mnie przywitali. Jechali także z Rygi do Mitawy, a z niej do Litwy. Rozmawiając ze mną ciągle po rosyjsku, prosili mnie, ponieważ w tę samą co i oni stronę udawałem się,

aby z nimi wsiadł do bryki i dojechał aż do Mitawy. Ta ich uprzejmość i dobroć mocno mnie zniewoliła, ale ich ofiary przyjąć niemogłem, rozmaite dając powody. Gdy oni nalegali, a ja się ciągle wymawiał, jeden z nich się odezwał: niewiem jakie uczucie nas ku wam pociąga, ale to pewna, że od pierwszej chwili naszego poznania się, myśmy w was widzieli pocziwego człowieka i mimo wasz ubiór, mniemamy, że nie tym jesteście, kim się być okazujecie i że jakiego nieszczęścia musieliście doświadczyć, ztąd chcielibyśmy choć małą wam oddać usługę i dlatego prosimy, abyście z nami do bryki usiedli. Na to pytanie, którem byłem nieco wzruszony i zatrwożony, odpowiedziałem: jeżeli macie do mnie uczucie, to moje dla was jest nierównie większe, jest tajemna siła co ludzi do siebie zbliża lub odpycha, a co się tyczy nieszczęścia, jakie przypuszczacie, że na mnie spadło, to ono tak jest ogólne, że jak mniemam i wy od niego niejesteście wolni i dla tego niechęć z wami jechać. Na tę odpowiedź spojrzeli się na siebie i jeden z nich rzekł: ach! czyżby to była podobna? Nietylko że podobna, ale tak jest w rzeczy samej; jestem przekonany, że jesteście pocziwi ludzie, a przedewszystkiem prawi Polacy, wiem, że tajemnicy nie zdradzicie (i tu odezwawszy się po polsku rzekłem:) jestem Polak i uciekam z Syberyi; niepytajcie ztąd i kto jestem, mogę być lada chwila schwytanym, w takim razie nie chcąc was kompromitować, niechęć z wami siadać; znam rząd rossyjski: powiedzianoby, żeście mi ucieczkę ułatwili. Jedźcie z Bogiem i nikomu nie powiadajcie, żeście mnie znali. Na tę wiadomość obaj zbledli i zczerwienili się i lży im się potoczyły; ja także mocno byłem wzruszony. Chcieli mi dać pieniędzy, ale nieprzyjąłem, nareszcie postanowili mnie czekać w jednym mieście w Litwie, aby mi ułatwić ucieczkę za granicę; zgodziłem się na to, a uściśnawszy się nawzajem, rozstaliśmy się z sobą. Oni dogoniwszy bryczkę, wsiadli do niej a ja poszedłem dalej piechotą.

Przenocowawszy w polu w zhożu, dodnia ruszyłem w podróż; około 8 z rana, daleko przed sobą postrzegłem zamek czyli pałac Mitawy, i aż mi się sprzykrzyło patrzeć na niego, nim do niego doszedłem, z tak daleka go widać. Kiedym się zbliżył do rzeki; nazwanęj zdaje się Aa, za którą ten pałac jest wzniesiony, zatrzymałem się dla przypatrzenia mu się z bliska i wcale niepojmowałem, jakim sposobem Karól książę syn Augusta III króla polskiego, chciał i mógł się w nim bronić? gdy ze wszystkich stron był odsłoniiony, a ślepy artylerzysta mógłby do tego zamku działo wymierzyć i weń trafić. Kurlandya jak wiadomo była pierwszym powodem zaczepki Rossyi przeciw Polsce. Katarzyna II przywoławszy Birena dzikiego i okrutnego z Syberyi, dokąd go była wysłała Elżbieta Piotrowna, chciała go uczynić, co i uczyniła księciem Kurlandyi, która należąc prawnie do Polski, której się dobrowolnie pod opiekę oddała, żadnego do siebie prawa Rossyi nie dawała. Zamek ten o kilku piętrach, obszerny i okazały, a złożony z frontu obróconego ku Rydze i z dwóch pawilonów długich zgiętych ku Mitawie i od tego miasta bynajmniej pawilonem niezamknięty, a który gdyby był zamknięty, formowałby równoległobok, jest postawiony na nizinie, na najniższej części i cokolwiek opodal przed miastem. Widać że dawniej na około niego były okopy, które go jednak niemogły bronić od kul działowych, i obszerny ogród: dziś zaś wały są zaniedbane, drzewa gdzieniegdzie sterczące i połamane, woda w dawnych zapewno wałach stojąca, zapleśniała i śmierdząca, żadnego płotu i ogrodzenia: oto są ozdoby pałacu, który choć sam okazały a stojący pośród bagna, zdaje się smucić, że zamiast księcia krwi Kettlerów, lub w braku jego księcia krwi polskiej, musi mieścić w sobie jakiegoś stupajkę gubernatora z woli najmiłościwszego Mikołaja I. Pałac ten w porządku utrzymywany musiał mieć swe powaby i dla tego wcale się niedziwić, że piękna i dowcipna panna Krasieńska, jeżeli rozkochana się w księciu Karolu, musiała także

niebyć obojętną na wspaniałe mieszkanie księżnej Kurlandyi.

Przypatrzywszy się do syta bogatej i wspaniałej nędzy zamku, przeszedłem most drewniany na rzece Aa będącej i groblą, po której szedł gościniec, udawałem się ku Mitawie: zamek stał po prawej mej ręce. Przed samem wejściem do miasta boczną ulicą, spotkałem stojących i rozmawiających po polsku, jedną poważną już damę, młodą pannę i młodzieńca, zapewno jej dzieci z księdzem; widok tej grupy polskiej, której naturalną ozdobą była młoda ośmnastoletnia Litwinka i dźwięk mowy polskiej, tak miłej i powabnej dla ucha i serca Polaka, mile mnie zajął i wzruszył, żałowałem, że niemogłem do ich grona się wmieścić; przeszedłszy zatem obok nich wolnym krokiem dla nacieszenia się dźwiękiem ich mowy, wszedłem do miasta. Miasto Mitawa nieco na wzgórku pobudowane jest obszerne, wesołe i porządnie zabudowane; rynki przestronne, ulice wyrównane i szerokie, zdaje się nierównie rozleglejsze od Rygi; jednak niewiem, dla czego przeniósłbym mieszkać w Rydze niż w Mitawie. Był to dzień targowy; przybywszy daleko przed południem, wmieszałem się w tłum targowy, gdzie kupiwszy chleba i sera, którego podostatkiem wieśniacy nawieźli i nim się posiliwszy, w dalszą ruszyłem podróż. Ale zaledwo wybrałem się z tłumu na wolniejszą przestrzeń, gdy jakiś kacap z długą rudawą brodą mnie spostrzegłszy, zbliżył się do mnie i bardzo uprzejmie mnie przywitał, biorąc mnie za swego spółziomka i może swego spółwyznawcę; a czegom się wcale niezapierał i owszem. Po kilku słowach rozmowy przekonałem się, że był starowiercem, ja naturalnie nim być musiałem; ztąd otwartość i zaufanie zobopólne bez granic; témci łatwiejsze do otrzymania, że był pod dobrą datą. Niebędę powtarzał, com już gdzieindziej o tej sekcie starowierców powiedział, dodam tylko, że ten zwolennik sekty w niczem nieustępował najzaciętszym jej wyznawcom, w przywiązaniu do

niej i w nienawiści ku popom i carowi. A ponieważ był miejscowym, korzystałem zatem z tej sposobności dla rozpytania się u niego o rozmaite drogi, tak do Litwy jak i w głąb Kurlandyi prowadzące, zasłaniając się mojem przybranem mianem i obowiązkiem szczetinnika.

Przypomniawszy sobie obietnice dwóch moich rodaków mających mnie czekać na Litwie w umówionem miejscu, chciałem się wprost z Mitawy przez Janiszki udać do Litwy, tém bardziej, że do tego byłem popchnięty bardzo naturalnem uczuciem ujrzeć ojczystą ziemię, być między rodakami, jeżeli się nie pocieszyć, przynajmniej posmucić z nimi, a później za ich pomocą przepawić się za granicę do Prus, zkad do Poznańskiego, a później do Francyi. Już zbliżyłem się do samych rogatek, to jest: do końca ulicy wiodącej ku Janiszkom, kiedy nagle nową uderzony myślą, cofnąłem się i wróciłem nazad do miasta. Że dwaj moi rodacy byli pocziwymi ludźmi, dobrymi Polakami i życzącymi mi dobrze, niemiałem w tém żadnej wątpliwości, ale czy byli dość ostrożni i wytrwali, za to ręczyć niemogłem po doświadczeniu, jakie miałem na sobie w Kamieńcu, Kijowie a nawet w Syberyi. Przypomniawszy sobie, że posiadali sami wszystkie te przymioty, któż wie, czy ci, którym się zwierzą, a zwierzyć się muszą, takowe przymioty mają? W tém ostatniem przypuszczeniu i ja, i oni, i ci wszyscy, coby do tej niebezpiecznej tajemnicy byli przypuszczeni, popadlibyśmy w nowe i wielkie niebezpieczeństwo: a tak mimowolnie stałbym się znowu przyczyną nieszczęść kilku lub może kilkunastu rodzin, bez korzyści dla mnie i ze szkodą własnego kraju. Miła mi jest ich spokojność i bezpieczeństwo, z wielkim tedy moim żalem opuściłem drogę do Janiszek, a udałem się drogą wiodącą ku Goldyndze.

Podróż moja przez Kurlandją była jedną z najprzyjemniejszych; pora roku i czas piękny jej sprzyjały i wkrótce postrzegłem, że mój ubiór chłopca rosyjskiego

był między mieszkańcami księstwa najlepszym i otwartym pasportem. Cała Kurlandya dobrze uprawna i zagospodarowana, przedstawia jedną wielką płaszczyznę, przeplatana dość częstemi lecz niewielkimi łaskami jakby gaikami. Wsie choć dość częste, ale za to bardzo małe, niektóre z kilkunastu lub nawet ledwo kilku domków złożone, lecz w zamian widać po wszystkich polach otwartych porozrzucane domki jakby folwarki dość gęsto. Po między temi domkami bardzo skromnemi, jako też czasami i przy wiosce, widać okazałe domy i pałace, to są mieszkania właścicieli, dziedziców. Mimo urodzajność ziemi i rolnictwo posunięte do wysokiego stopnia, widoczna jest jednak nędza ludu, która się objawia w ich potulnej postawie, w ich nędznem i brudnem odzieniu, słowem w pewnej poniżonej powierzchowności. Przyczyna tego jest ta, że tam jest pańszczyzna i niewola. Ale za to dziedzice żyją wystawnie i okazale. Smutna sprzeżność, smutniejszy jeszcze przywilej zdobyty siłą oręża, a zamieniony w prawo. Kiedyż sprawiedliwość zostanie opartą na właściwej podstawie? Wszyscy niemal dziedzice z bardzo nielicznym wyjątkiem są Niemcy, i mówią po niemiecku; są to potomkowie sekularyzowanych kawalerów mieczowych. Wszyscy zaś mieszkańcy pierwotni Kurlandyi, mówią odrębnym swym językiem łotewskim do żadnego narzecza słowiańskiego niepodobnym. Ztąd miałem nieraz wielką trudność dać się im zrozumieć, gdym się pytał o drogę, lub kiedy jeść potrzebowałem. W wielu miejscach stodoly, fabryki, browary i domy, są pomalowane na czerwono, jak to jest zwyczaj w Prusach wschodnich.

Im bardziej zbliżałem się ku Polsce, ku Litwie, tém większy smutek mnie tłoczył, jakby powietrze z ziemi ojczystej zalatujące a przesycone cierpieniami nieszczęsnych jej mieszkańców, mnie owiewając i odnawiając krew w mych płucach, mieszała zarazem do niej boleść i westchnienia nieme i ukryte, które uniósłszy z sobą w taje-

mnicości, w braku sere spółczujących rozniosło po podniebnej przestrzeni jako skargę wielkiego i nieszczęśliwego narodu przed przyrodą, przed samym Bogiem, gdy rządy, ludy, i świat cały są głuche i nieme na jego boleść, smutek, poniżenie i niewolę. W takim usposobieniu człowiek zwykle głębiej wchodzi sam w siebie, i odkrywa i bada najskrytsze tajniki swjej duszy, poznaje sam siebie i pokazuje się tém czém jest rzeczywiście. Niemogąc ani żyć poświęceniem się dla szczęścia drugich, ani swemi cierpieniami dopomódz ich niedoli, bo i poświęcenia się zamknięte pole, bo i uskarżać się zabroniono, z jednej ostateczności przechodzimy w drugą: z pola działań w ustroenie, z ruchu w bezczynność, z towarzystwa w osamotnienie, z zawiedzanego rzeczywistego szczęścia do zwodniczej nadziei, z ogółu do szczegółów, z ogólnej miłości narodu do samolubstwa, do miłości siebie; z obywateli kraju stajemy się tylko ludźmi, a nieczując się w stanie przyczynić do dobra powszechnego, szukamy przynajmniej osobistego szczęścia; wielkie nieszczęście jak wielka pomysłność, są równie i nadzwyczaj samolubne. Zagroźmy człowiekowi szlachetnych popędów i wzniosłych a gorących uczuć, drogę do wylania się z niemi na zewnątrz, na korzyść i cel ogólny, zmusimy go do zagrzebania tych, że tak powiem, skarbów w samym sobie, a mimowolnie stać się musi ich lichwiarzem, i on co żył tylko, co oddychał dla dobra i szczęścia drugich, żyć odtąd jest zmuszony dla siebie, i aby wynagrodzić niczém i nigdy nieodżałowaną stratę, żadnych, chociaż godziwych tylko, niezaniedba sposobów dla uczynienia o ile można znośnem swe istnienie. Może to choć w części wytłómaczy pozorną odrętwiałość i obojętność wielu z naszych rodaków, tak w kraju jak i za granicą będących, tak co do położenia sprawy narodowej, jak i co do stanu nieszczęśliwszych od nich rodaków. Była chwila, gdiem i ja uległ tak zgubnemu wpływowi, w czasie mojego przejścia przez Kurlandya; piękny czas i urocze miejsce, przez które

przechodziłem, mocno się przyczyniły do tego usposobienia. Było to ku wieczorowi: przechodziłem obok wioski, tuż nade drogą i za wioską stał niezbyt okazały, ale schludny, niewielki, biały i o piętrze domek, zapewne mieszkanie dziedzica wioski; wychodząc z domu ku drodze na mały dziedziniec, po lewej jego stronie był ogród owocowy, za nim obora i stodoły, po prawej zaś jego stronie znajdował się niewielki ogród angielski z krętymi ścieżkami, kłębami, trawnikami, a pośród nich mały strumień wody; przed domkiem i przed dwoma ogrodami otwierała się wielka przestrzeń, zasiana zbożem już wkrótce mającém wynagrodzić trudy gospodarza, i zasadzona kartoflami; a kończąca się pięknym lasem, prawie w półkole zagiętym i zasłaniającym z tej strony horyzont; na prawo angielskiego ogrodu i za nim, równie jak i za domem odsłaniały się obszerne, piękne i zielone łąki zakończone małemi wzgórzami, upstrzonymi niewielkimi gaikami, i rozsypanemi po nich tu i owdzie odosobnionemi domkami; świeżość powietrza i woń kwiatów z ogrodu zalatująca, nadawały piękności tego miejsca czarujący powab, co przez wrażenia na nas działające, zlewając, że tak powiem, nasz organizm z przedmiotem, na który patrzymy z zachwyceciem, i z nas i z przedmiotu tworzy prawie jedną tylko całość. Minąwszy wolnym krokiem domek i część ogrodu angielskiego, usiadłem niby dla odpoczynku na podniesionem nieco miejscu tak, abym domek, ogród i całą otaczającą je okolicę mógł widzieć; rzuciwszy z kolei okiem na wszystkie strony, i przypatrując się całej okolicy, mimowolnie prawie utkwilem wzrok błędny w ogródek, i wpadłem w marzenie — ach! jak błogo, jak mocno czułem rozkosz życia. Gdyby po tylu latach tułactwa, trudów i znojów, dozwolono mi było na przyszłość odpocząć w podobnym temu ustroniu, nietylko żebym niezłorzeczył, alebym błogosławił przeszłości: bo przez porównanie podwójniebym cenił spokojne, błogie, rzeczywiste szczęście. Cóż ja, co tysiące mnie podobnych rodaków

zyskali broniąc i poświęcając się za prawa najświętsze prawdzie, ale których teraz odzyskać niepodobna? Czyż nie lepiej, nie rozsądniej poddać się nieubłaganemu przeznaczeniu i szukać ulgi w cierpieniach, którym zapobiedz niepodobna w spokojnem, domowem, rodzinnem życiu? Tak i tym podobnie rozmyślając i przechodząc z jednego uczucia w drugie, zupełnie sprzeczne, napelniałem przyszły mój raj ziemski lubemi marzeniami, a którego najpiękniejszą i jedyną osobą być musiał koniecznie anioł mój duszy. Niewiem, jak długo byłbym rozmyślał i marzył, gdyby jadący chłopci swym hukiem i łoskotem wozów byli mnie niewywieśli z tego letargicznego usposobienia. Kiedym się ocknął, już słońce zaszło i ciemnieć zaczynało; niestety! smutna rzeczywistość bolesnie mnie przekonała o czczości mych nadziei, i srodze byłem ukarany za chwilę samolubstwa. Podniósłszy się z miejsca poszedłem dalej, i wkrótce zanocowałem nie w domku z angielskim ogródkiem, ale po prostu między krzakami w lesie.

Niebędę opisywał po szczególe mój podróży przez Kurlandję, która oprócz mnie nikogo niemoże zajmować, gdyż ta podróż nic osobliwego w sobie niema, chyba to tylko: że szedłem i szedłem; przytoczę jednak kilka ważniejszych zdarzeń. — Jednego dnia późno już wieczorem przybywszy do odosobnionej karczmy nade drogą stojącej, ośmieliłem się w nią przenocować; gospodarz luter wskazał mi na wielki długi stół, na którym mogłem się spać położyć; znużony podróżą, choć na gołych deskach, prędko i mocno zaśnąłem. W tém przez sen usłyszałem jakąś melodią szumną muzyki; jakież było moje zadziwienie, kiedy po zupełnem przebudzeniu się usłyszałem rzeczywiście w drugim karczmie pokoju hałaśliwą muzykę, grającą mazura na nótę pieśni: *Nasz Dwernicki wojak, dzielny, śmiały*, itd.; nie wiedząc, co to znaczy, porwawszy się usiadłem, przysłuchując się muzyce hucznnej, ale kaleczoną swém zacięciem i dysharmonią nasz śpiew narodowy.

Była to banda żydów muzykantów przejeżdżających czy przechodzących, a którą kilku młodych Kurlandczyków rzemieślników do téjże karczmy przybyłych, a chcących trochę pohulać, zniewolili do grania za ugodzone pieniądze; poczem grali trzeciego maja i inne mazurki i walce, ale to po żydowsku; młodzi rzemieślnicy podpiwszy dobrze i popoiwszy muzykantów tak się dobrze bawili, że całą noc przebulali i mnie wcale spać nie dali, a zatem daleko jeszcze do dnia wyruszyłem z bardzo gościnnego domu. Tego dnia przeszedłem obok wsi opodał ode drogi leżącój a będącój własnością hrabiego Medem i gdzie jest pałac niewielki, ale okazały z jedną wieżą; czy nie będzie to ten sam Medem, który był w Londynie chargé d'affaires petersburskiego dworu?

W Kurlandyi niechętnie biorą banknoty rossyjskie, tylko miedź, srebro i złoto: sprzeczność dyametralna z Syberyą, z której tylko same wyniosłem banknoty. W ciągu podróży starałem się te banknoty wymieniać na srebro; zostawała tylko jedna dziesięciorublowa bumażka; zbliżając się ku granicy pruskiej, chciałem i te zmienić na srebro. W karczmie tedy jednę w dość obszernej wsi kazawszy sobie dać kwartę piwa, chciałem za nie zapłacić banknotem, ale karczmarka wołała piwo mi darować, niż wziąć banknot; zapłaciłem jęj innemi pieniędzmi, a karczmarka powiedziała mi, że mój banknot będę mógł zmienić u dziedzica téj wsi, którego piękny dworzec stał opodał wioski za rzeką, przez którą mi koniecznie przeprawić się należało. Długom się wahał, czy miałem pójść do tego dziedzica czy nie, ale dowiedziawszy się, że Kurlandczyk i bardzo mało po rossyjsku mówi, to mnie ośmieliło i poszedłem do niego. Przyszedłszy do dworu, ledwie się dał zrozumieć, że mam interes do samego dziedzica, tak tam mało po rossyjsku mówią, a po niemiecku odezwać się nie chciałem; trafiłem na sam obiad, więc dla poczekania wprowadzono mnie do kuchni. Stając się tedy w kącie, czekałem. Miły zapach pieczenia

ogromnego szczupaka nadziewanego i innych smacznych potraw zaleciał mi do nosa z całą bezczelnością szyderstwa i wzruszył mi wnętrze zgłodniałego żołądka wskazanego od kilku już miesięcy (sześciu) tylko na chleb i wodę, albo w zbytku na rzepę, tołokno i nabiał, a każdą potrawą, którą lokaj obok mnie przynosił, ślina mi się miwowlonie do ust toczyła; tém bardziej, że wszystkie niemal potrawy były mocno korzenne, byłem tantalem nowego rodzaju, blisko godziny, nim się obiad skończył. Jeżeli wszyscy dziedzice Kurlandyi żyją, jak ten dziedzic (a nazywał się Nigry czy Negry), to przyznam się, że prawie w niczem nieustępują, przynajmniej co do stołu, naszej szlachcie polskiej, jeden dowód więcej, że Kurlandya powinna do Polski należeć. Po skończonym obiedzie jeden czy dwóch chłopczyków i trzy córeczki starsze, dzieci pana Negry, bardzo ładne i miłe, szczególnież panienki, paradnie i czysto ubrane wraz ze swą guwernantką, zapewne dla przypatrzenia się rossyjskiemu chłopu, wyszli przez kuchnię na dziedziniec dworu dla zabawy. Po chwili wyszedł do mnie do kuchni sam pan Negry, słusznego wzrostu, bardzo szykownej budowy, prosty, sprężysty, twarzy ściągłej, pięknej, wyrazu męskiego, dumnej, choć uprzejmej, z wąsami bez faworytów, blondyn, w obcisłym odzieniu: słowem, w całym swym układzie doskonale reprezentował wyższą, a wyłączną klasę w Kurlandyi; stanawszy na progu kuchni, zapytał mnie złą moskiewczyzną, ale głosem uprzejmym i łagodnym: Czego ode mnie potrzebujesz? — Pokłoniwszy mu się nisko i skrobiąc się w głowę odpowiedziałem: że niechcą mi tu nigdzie banknotu rozmieniać i przyszedłem do niego, aby mi tę łaskę wyświadczył. — Co za głupi naród, odpowie, przecież banknoty są tak dobrze carskie pieniądze, jak srebro i złoto; dobrze rozmieniam tobie, zaczekaj trochę i wróciwszy do pokoju przez lokaja wkrótce przysłał mi srebra. Kontent z rozmiany co tchu oddałem się z domu pana Negry, którego kuchnia długo mnie prześladowała. Ażeby

choć w części przynajmniej zaspokoić natrętną prośbę żołądka, nazajutrz rano w jednej karczmie kazałem sobie dać jakiejś gorącej potrawy; właśnie gospodarze gotowali wówczas kluski z jęczmienną mąki, niewiem dla kogo, a które tam po miejscowemu nazywano kilkien: więc i ja temi kilkien uraczyłem się do syta. Już mówiłem, że lud w Kurlandyi mówi odrębnym językiem łotewskim, do żadnego słowiańskiego narzecza niepodobnym, a jednak kiedy rachowali, wszystko rozumiałem, bo zupełnie liczą podobnie, jak dawni Rzymianie, to jest nakształt: unum, duo, tres, quatuor, quinque, sex i t. d. Dziwiłem się, jakim sposobem ten sposób liczenia został przyjętym przez ludność kurlandzką tak różną pochodzeniem i tak wielką przestrzenią oddzieloną od dawnych Rzymian. Chybaby, przypuściwszy że Żmudzini byli kolonią rzymską, przypuścić należało, że ta kolonia rozpostarłszy się i w Kurlandyi i uległszy wpływowi miejscowej ludności, zostawiła jej w spuściźnie swój język rzymski tylko w liczeniu, gdy tymczasem język mowy rzymskiej z czasem zupełnie się zatarł. Ale w takim razie przypuściłoby należało, że język żmudzki jeżeli nie ten sam co kurlandzki, to przynajmniej bardzo do niego zbliżonym być musi, i że Żmudzini także po łacinie liczą, a o czém wcale sądzić nie mogę, nieposiadając wcale ani jednego ani drugiego języka. Pomijając, iż podobny przedmiot godzien byłby zająć uwagę badaczów starożytności i pochodzenia szczepowego Żmudzi i Kurlandyi, aby raz rozwikłać nierozwiązaną dotąd w historii naszej zagadkę; ja tymczasem śmiem mniemać, że szczątki mowy łacińskiej w liczeniu tylko między ludnością kurlandzką zostawione, są ślady panowania nad nią niegdyś bractwa kawalerów mieczowych chociaż Niemców, ale i z cywilizacji ówczesnych wieków i z obowiązku język łaciński posiadających i nim zapewno mówiących, bo w owych wiekach język łaciński był językiem naukowym, dyplomatycznym, administracyjnym.

Jednego dnia około południa przeszedłem przez mia-

steczko dość rozległe jak na Kurlandya Grobinge położone niedaleko od portowego miasta nad Bałtykiem, Lipawy (Libau); w Grobindze są ślady, a raczej jeszcze stojące mury małego zameczku warownego niegdyś wałami i wodą opasanego. Z Grobingi udałem się na lewo drogą na Polondze: nie daleko od Grobingi poczynają się lasy, które z niektórymi małemi przerwami ciągną się aż ku samej Polondze, a przez które przechodzi droga, którą szedłem; droga ta w niektórych miejscach przypiera niemal do samego morza zasłoniętego jednak drzewami. Szedłem ochotczo i raźnie, choć byłem smutny, mijalem lasy i wioski. Kożuch długi, zwierchni, a całkiem od sloty i wilgoci zeskorpiały, dla ulżenia sobie w marszu w gorącej letniej porze, rzuciłem w lesie nade drogą niedaleko Archangielska; armiak jeszcze z Syberyi, dobrze już podszarżany i wystrzępiony zgubiłem w pochodzie niosąc go na plecach niedochodząc do Grobingi, został mi tylko spodni kożuch krótki po kolana, jeszcze dobry i mało uszkodzony, bo na spodzie odzienia będący, ale zbliżając się ku granicy pruskiej i jego chciałem się pozbyć, to jest, gdzie rzucić w krzaki. Już dobrze z południa, w dzień znojnny i gorący, idąc z Grobingi ku Połace, zaszedłem do jednej karczmy dla rozpytania się o drogę, i gdzieby można zebrać wiele szczeciny. Gospodarz karczmarz wpół chłop, a wpół szlachcie zagonowy, dawszy mi dokładne objaśnienia, zaczął na mnie nalegać, abym mu sprzedał mój kożuch, dając za powód, że w nim musi mi być bardzo gorąco, tego mi właśnie potrzeba było. Po pozornym z mej strony oporze, gospodarz dla zachęty poczęstował mnie sporym kieliszkiem wódki bardzo taniej w całej Kurlandyi: udałem żeś się trochę rozochocił, co i w rzeczy samej było; podczas gdyś się posilał chlebem i solą, gospodarz nalegając ciągle o mój kożuch, chciał mi jeszcze dać wódki; ale ja poprosiłem o kwartę piwa. Niby dobrze podochocony skłoniłem się na sprzedanie kożucha: za krótki surdut ledwo do kolan dochodzący, z grubego

szarego sukna, z którego wieśniacy noszą opończe i dobrze już podszarzany, i za trzy ruble miedzią (3 franki) w dodatku; nadto ani za wódkę, ani za piwo nie niewziął. Karczmarz zapewno sądził, że mnie okpił, korzystając z wesołego mojego usposobienia, które więcéj jednak było udane, niż rzeczywiste, ale ja życzyłem sobie tak być okpionym. Poczém bardzo kontent z zamiany, włożywszy mój surdut do worka, który niósłem na plecach niby na szczecinę, poszedłem dalej. Ten dzień był dla mnie dniem szczęśliwym. Ku wieczorowi, w drugiej bardzo biednej karczmie, gdzie zastał żyda zbierającego starzyznę, sprzedałem temuż żydowi, który mi się sam nastroczył, sukienne spodnie, które miałem na sobie, parę koszul rossyjskich i bóty naprawione w Archangielsku, prawie za nic, bo téż wszystko to było prawie zupełnie zszarżane. Przewdziawszy się na czysto, to jest: wiawszy na siebie nowe bóty mniej wielkie, a zrobione jeszcze w Syberyi, nowe błękitne kitajkowe spodnie, także z Syberyi i ruskim krojem zrobione i białą koszulę, poszedłem dalej na noc całą; rozumie się samo przez się, że kupionego surduta niekładał na siebie, bo nastajaszczemu ruskomu czelowieku nietylko surdut podobnym krojem robiony jest nie do twarzy, ale nadto byłoby mnie w nim bardzo niebezpiecznie.

Drugiego dnia od czasu mojego nowego przebrania się, około ósméj z rana przybyłem do rogatki Połagi. Przy rogatkach stał żołnierz; na widok prawdziwego Moskala, zamiast pytać mnie o pasport (jeżeli miał polecenie), żołnierz mnie zapytał: A z której gubernii ziemiak? Już niepamiętam z jakiej byłem, ale po tém zapytaniu wszczęła się rozmowa: żołnierz kontent z ziemiaka rozmawiał z ochotą; na moje zapytanie: czy nie wie, gdzie tu wiele świń, a następnie i szczeciny? odpowiedział: a czort jego wie, ale idź do miasta, to tam się rozpytasz, tém bardziej, że dziś dzień targowy; więc poszedłem. Przybywszy na rynek, gdzie dosyć było ludu i wozów żmudz-

kich z kurami, jajami, serem, masłem itd.; zacząłem się wałęsać po targu, przysłuchując się z uniesieniem mowie polskiej dość powszechnie tam używanej. Ale żeby mieć jaki taki pozór wałęsania się, wchodziłem ze Żmudzin-kami w targi, mówiąc nawiasem, bez chęci kupienia, tam targowałem ser, tu masło, gdzieindziej co innego, a nie niekupiłem. Nareszcie zbliżyłem się do jednej Żmudzinki siedzącej na swym wózku, wygadanéj i sprzedającéj sery: Co za ten ser? zapytałem po rossyjsku. — Tyle i tyle. — No, co tak drogo, weź tyle? — A kiedy drogo to nie jedz, odpowie. — Równie tak biedny, jak i bogaty chce jeść. — To się najedz pieczonéj rzepy lub brahy. — Cóż się ty tak gniewasz? — Oto idź sobie i kupuj gdzieindziej, nie u mnie. Odstąpiwszy od niej cokolwiek, kontent z gniewu Żmudzinki na Moskalu, odwróciłem się w inną stronę, niby dla gawronienia, a moja Żmudzinka nuż się dąsać na Moskali: oj dałabym ja wam dobrego sera, ażbyście przełknąć go niemogli, gdyby to było można, czarci was tu nanieśli itd. itd., całą litaniją życzeń wyrecytowała, a ja małym nieparskałem od śmiechu; w końcu odszedłem spojrzawszy tylko na nią. Chodząc po rynku i targu, myślałem: otóż już jestem na samej granicy Ros-syi i Prus, idzie tylko o to, jak i którędy przejść granicę? Moskale i Prusacy zapewno pilnują granicy. Jeżeli w Prusach mnie schwytają, bez wątpienia wydadzą Moskałom, bo kartel wzajemnego wydania zbiegów został odnowiony, obostrzony; o tém wiedziałem jeszcze w Syberyi. Za przejściem zatém granicy pruskiej potrzeba się przewdziąć do niepoznania, a przedewszystkiém potrzeba ogolić brodę, a tu ani odzienia, ani brzytwy niema. Ale przedewszystkiém jak i którędy przejść granicę? w dzień czy w nocy? Niebędąc miejscowym, a następnie niewiedząc przepraw, mógłbym najść sam na strażnika lub żołnierza. Czy nie lepiej w takim razie zająć do jakiego nadgranicznego szlachcica żmudzkiego i zwierzyć mu się ze wszystkiém, aby mi dopomógł do przeprawy i jeżeli

potrzeba czas jakiś u siebie przechował, nim się przyjazna okoliczność nastreczy? Ale jak znaleźć, jak trafić mnie zupełnie tu obcemu i nieznanemu na takiego szlachcica, któryby do patriotyzmu łączył potrzebną w dzisiejszych szczególnież czasach, gdzie się każdy obawia własnego prawie cienia, odwagę do przeprowadzenia za granicę mnie katorżnego, uciekającego z Syberyi? Któryby mi zawierzył i nie mniemał, że to łapka na niego od rządu zasadzona? Jakie mu złożę rękojmię, że jestem ten a nie inny? Ja, którego nikt tu nie zna i o którym nikt nawet nie słyszał? Zresztą gdybym i trafił na prawego i śmiałego Polaka, któryby mnie nawet i przeprowadził za granicę; a nuż, jakimkolwiek sposobem ten jego postępek szlachetny zostanie odkrytym i doniesionym rządowi, coż się z nim, co z jego całą rodziną i majątkiem stanie? On musiałby pójść na całe życie na moje miejsce do katorgi, majątekby jego skonfiskowano, a cała jego rodzina osierocona i nieszczęśliwa. Czémby mu i jego rodzinie wynagrodził jego szlachetność i nieszczęście? Nie, cudzym kosztem, cudzymi łzami, łzami i nieszczęściem mych ziomków własnego niechęć ocalenia. Jeśli mam zginąć, zginę sam, nikt przynajmniej mej pamięci nie będzie złorzeczył! Przytém któż może zaręczyć, iż zamiast na dobrego, trafię na złego lub tchórza Polaka, który albo dla przysłużenia się rządowi, albo z obawy skompromitowania się przed nim, zamiast pomocy, o którą prosiłem, wyda mnie wprost rossyjskim władzom? Nie, niech się dzieje wola Boga, sam przejdę granicę; z Syberyi aż tutaj pod opieką Boga i bez żadnej obcej przybyłem pomocy, pod opieką Boga i bez żadnej obcej pomocy przejdę granicę i pójdę dalej.

Takie czyniwszy postanowienie, zaszedłem do jednego sklepu, w którym kupiłem małe lustro składane i oprawne w blachę, do drugiego zaszedłem dla kupienia brzytwy; żyd kupiec patrząc na mnie, zapytał: A na co tobie brzytwa? — No, co ci do tego żydzie, na co, da-

waj jeśli masz i to dobrą a nie drogą. — Czy ty nie konował? A jużci, na cóżbym kupował brzytwę, wszak widzisz, że się niegolę: jaki ty nieprzezorny! — Czy ty wieprze, czy konie pokładasz? — I wieprze i konie. Kupiwszy brzytwę prawdziwie angielską, ale zardzewiałą, za bardzo tanie pieniądze, zapewno jako pochodzącą z kontrabandy, zapytałem żyda: Słuchaj, kupiec, ty tutejszy, ty musisz wiedzieć, gdzie tu wiele świń i koni, nastrecz mi miejsce. — No, tutaj wszędzie pełno świń i koni w każddej wsi znajdziesz. — Dobrze, bywaj zdrow — i wyszedłem. Mydła kawalek jeszcze miałem z Syberyi; zaopatrzyłem się tedy we wszystko, co było potrzebnem do ogolenia brody. Poszedłem później do szlifierni żyda dla wyostrzenia brzytwy; u tegoż żyda obrabiano piękne burzuty na musztuki do fajek i na naszyjniki (collier).

Szło mi tylko teraz o wybór miejsca, którędy miałem przejść granicę, a postanowiłem ją przejść czy przeleźć w nocy. Kiepskie miasteczko Połoga (z przeproszeniem szanownych i kochanych Żmudzinów) leży na samej granicy tak, że jedno jego przedmieście już jest w Prusiech; granica pruska na Żmudzi idzie w klin ku morzu Bałtyckiemu. Połoga od morza jest oddaloną najwięcej na werstę. Za miejsce przejścia granicy obrałem zatem przestrzeń między Połogą a morzem. Ponieważ miałem tę granicę przejść w nocy, postanowiłem ją w dzień nieznacznie zlustrować, co tém łatwiej mogłem uczynić bez zwrócenia na siebie niczyjjej uwagi, że o téj porze dosyć się zjeżdża do Połogi na kąpiele morskie, i wiele ludzi, szczególnie w dzień targowy, snuje się po nad samą granicą między Połogą a morzem. Idąc zatem z Połogi ku morzu dla zrekonoskowania granicy, przechodziłem mimo łożyska dość szeroko wydrążonego, zapewno wezbraniem wody na wiosnę i w jesieni, a wpadającej do morza; w tém korycie długiem i szerokiem, jakby koryto małej rzeki, była woda; tak dla zabicia czasu do wieczora, jak i dla oczyszczenia się z brudu i wymycia bielizny, korzystając

z dnia gorącego, zacząłem się w tém korycie kąpać i myć bieliznę, rozmyślając nad sposobami przejścia granicy. Po chwili przyszedł jeden żołnierz także dla wykąpania się i dla wymycia swój bielizny z niewielkim szafikiem. Jak się masz? — jak się masz; wszczęła się rozmowa; z akcentu, jakim żołnierz mówił po rossyjsku, poznałem, że był Rusinem; więc go zapytałem: z której gubernii? — Z puławskiej, odpowie. — I ja z puławskiej. — Tak my ziemlaki. — Ziemlaki. Żołnierz jeszcze się więcej rozochocił w rozmowie i zaczął, jako przed swoim rodakiem, więcej mówić otwarcie, narzekać na swój los i uzalać na służbę; żołnierz rossyjski jest tak nieszczęśliwa istota, iż więcej dziwiłby się należało, gdyby się nieuskarżał, niż że się uzala. Czuły na nieszczęście drugich, bo sam nieszczęśliwy, cieszyłem go, jak mogłem, ale zarazem postanowiłem korzystać z jego szczerego przedemną wynurzenia się na korzyść mojego zamiaru przejścia granicy; potrzeba mi było wiedzieć, jak i gdzie najwięcej granica jest pilnowana? W ciągu zatem rozmowy rzekłem: Już to że bieda, to bieda być żołnierzem, was zapewno tak tu, jak i wszędzie męczą mustrą i służbą? — Już to że męczą to męczą, a do tego jeszcze pałki. — To jeszcze przynajmniej dobrze, że Bóg dał noc, jak człowiek zaśnie, to i o biedzie zapomni. — Da, gdyby to w nocy jeszcze spać dali. — A cóż wy w nocy robicie? — Co? musimy iść na warty i z kolei na czaty na granicę. — Jak to, to wy jeszcze w nocy i granicy pilnować musicie? — Da jakże. — A kozacy, a strażnicy na co? — Ta i oni pilnują, ale to niestarczy. — To wierzę, że jesteście mocno nieszczęśliwi; męczą, biją i jeszcze spać niedają: ani w dzień, ani w nocy niemacie pokoju. — Da, cóż robić, widać tak podoba się Bogu. — Ale po cóż tak mocno granicy pilnujecie? — Żeby niebyło kontrabandy i żeby nikt z Rossyi do Prus nieuciekał. — Co to znaczy kontrabanda? — Oto że towary zagraniczne w nocy przez granicę przekradają i wprowadzają do

Rossyi. — Przyznam się, że wcale niepojmuję, jak można w nocy upilnować, chyba, że bardzo gęsto stać musicie? — Dosyć gęsto, na strzał od siebie, a czasami i gęściej; na werstę (to jest na 500 sążni, czyli na 1500 kroków) stoi nas zwykle czterech, dwóch kozaków lub kawalerzystów i jeszcze objezdczyk. — Jeżeli tak pilnujecie, to zapewno trudno kontrabandyście przejść w nocy. — A jednakże czasami przechodzą. — Rozumiem, to jest: jeżeli biedny żołnierz zmęczony dzienną mustrą uśnie czasami na warcie; bo też czortby mu wystał całą noc bez spania, to prawie niepodobna, tém bardziej, że tam w nocy nikt żołnierza niepilnuje. — Da zaśniesz, niepilnuje, nam zabroniono nawet usieść i musimy chodzić jeden do drugiego naprzemian, aby łańcuch utrzymać i czuwać; a gdyby oficer albo runt zastał żołnierza śpiącego, takby do śmierci pałkami go zabito; za to bardzo srogo karzą; przytém boimy się kontrabandyistów, którzy bandami i zbrojni na nas napadają; jeżeli uśniesz albo się niestrzeżesz, to cię nietylko wezmą i zwiążą (a jeżeli się bronisz, to cię i zabiją), ale nadto każą iść z sobą i nieść towary, które przekradają; a później zaprowadziwszy Bóg wie gdzie w lasy, jeżeli niezabiją, to puszcza i idź wtenczas, gdzie chcesz; niedawno jednemu żołnierzowi się zdarzyło, że na niego kontrabandyści napadli, rozbroili, sznurkiem go przewiązali i włożywszy jeszcze na niego kilka pak ciężkich, kazali je nieść; później zaprowadziwszy gdzieś w lasy i dawszy mu pięćdziesiąt kijów i chleba na drogę, puścili; po sześciu czy po dziesięciu dniach wrócił do nas, natychmiast wzięto go do aresztu, a później tak go jeszcze zbito pałkami, że półżywego do lazaretu zanieśli. A drugiemu przed nim jeszcze gorzej było; ten pilnował brzegu morza, bo kontrabandyści podpływają czasami w nocy na łodziach z towarami, napadłszy zatem na niego śpiącego kazali mu wyladowywać z łódki towary, poczem wzięwszy go na łódkę, chcieli w morzu utopić; co się ich nienaprosił, nienamodlił, nic niepomogło; kilka razy z łódki

rzucili go w morze na sznurku, później wpółmartwego wywiozłszy na brzeg, zostawili; nieszczęśliwy tak się przełakł, że dostał gorączki i ledwie nieumarł po długiej chorobie; kiedy wyzdrowiał, już go niebito, przebaczone mu. Ale na samo wspomnienie kontrabandzystów drży ze strachu; pewnie że drugi raz już nie zaśnie (i tu się śmiać zaczął). Ot sukiny syny kontrabandziści, co z nami wyrabiają, śpij tu jak chcesz. Dla zachęcenia nas, gosudar przykazał, aby, jeżeli kto z nas złapie kontrabandzystę i towary, płacono nam 50 czy 100 rubli assygnacyjnych (tego już dobrze niepamiętam), a dla naszego biednego brata 50 rubli to nie żart, toż my dla tego w nocy dobrze pilnujemy i nieżyczymy nikomu, aby się w nasze ręce dostał. — To przynajmniej dobrze, że gosudar taką nagrodę przeznaczył; niezał i niespać i dobrze pilnować, przynajmniej jest za co soldata trochę podchmieleć i trosków zapomnieć. — Da, to lepsze nad wszystko. — Czy na całej granicy tak mocna warta? — Na całej, i dla tego na samej granicy pobudowane są koszary w pewnej, niewielkiej od siebie odległości. — Nad morzem jednak najmniej pilnować musicie, bo tu kontrabanda jest trudniejsza? — Przeciwnie, tu ostrzej pilnujemy niż gdzieindziej, bo kontrabanda idzie i morzem i ziemią. — Ale zapewno w dzień niema po co granicy pilnować, bo złodziej dnia się boi? — W dzień tylko połowa nas stoi na granicy, dla tego, że daleko widać, a przytém niezdarza się, aby w dzień przekradano kontrabandę. — Ja niepojmuję, jakim sposobem kontrabandziści odważają się przekraczać granicę, bo jeżeli nasi ich niezłapią, to ich złapią Prusacy, wszak i oni muszą swojej pilnować granicy? — Toboto i bieda, że Prusacy granicy niepilnują, a wszystko na naszego cara złożyli i my musimy i za siebie i za nich pilnować. — To nie po sąsiedzku, to niesprawiedliwie. — Cóż robić? Dowiedziawszy się o wszystkim, o czém potrzeba mi było wiedzieć, zacząłem rozmawiać z żołnierzem o innych rzeczach dla odwrócenia

jego uwagi. On zaś wymywszy swą bieliznę i wykąpawszy się, pożegnał mnie wyrazy: *praszczajcie*. *Praszczaj*, to jest: *bywajcie zdrowi, bywaj zdrow* — i odszedł.

Z otrzymanych wiadomości wniosłem, że pierwotkowy plan potrzeba zmienić i zamiast w nocy, przejść należy granicę we dzień i nie między Połagą i morzem, ale gdzie dalej za Połagą. Niecierpliwość rosła do najwyższego stopnia, a bilem się z myślami aż do zmordowania się, których ostateczny wynik był: dziś w dzień muszę przejść granicę, albo na nią zginąć. Ubrawszy się zatem, poszedłem drogą wiodącą z Połagi ku Kurszanom, która, jak miejscowym dobrze wiadomo, idzie z początku na pewną odległość od Połagi o kilkaset tylko kroków od samej granicy. Przyszedłszy do pierwszej wsi niedaleko Połagi będącej, a leżącej na prawej stronie drogi, a zatem ku granicy, wszedłem do niej i pod oknem pierwszej izby krzyknąłem po rosyjsku: *nietu szczetiny?* to jest: *czy niema szczeciny?* Odpowiedziano z domu: *niema*; a tu żołnierz z kawalerii zmierzwszy mnie podejrzliwem pierwej i badawczem okiem (widać, że tam stała kawaleria, a żołnierz graniczny z rozkazu musi być podejrzliwym), rzekł później obojętnie, jakby niewierząc właściwemu podejrzeniu: w tej wsi jest mało szczeciny, ale pewno się znajdzie, idź dalej w górę; to rzekłszy, poszedł ku Połudzie. Poszedłem tedy dalej ulicą wiodącą między domami prostopadle ode drogi do granicy, wszędzie krzyząc pod oknem: *nietu szczetiny?* Odpowiadano mi: *niema*; ja idę dalej: aż nareszcie kilka kobiet razem stojących rzekły do mnie: teraz w całej wsi nieznajdziesz szczeciny, chyba we dworze, idź do dworu, który, jak uważałem, leżał już na samej granicy; więc poszedłem do dworu położonego na wzgórku i oddzielnego ode wsi niewielką przestrzenią. Wszedłszy na dziedziniec obszerny, w którym kilkunastu ludzi było zajętych jego czyszczeniem i wywożeniem gnoju czy czegoś podobnego, zapytałem ich: *czy niema we dworze szczeciny?* — A niewiemy,

czy jest szczecina, idź do dworu, sam zapytaj, ale jeżeli chcesz jeść, tu znajdziesz ser, masło, wódkę i chleb, bo tu mieszka pachciarz. — Dobrze, pójdę, zapytam, a może co i podjem — i wszedłem do dworu. Zapach nabiału mocno czuć się dawał, służąca zaprowadziła mnie na pierwsze niewysokie piętro, a raczej na podniesienie tylko, na którym stało *vez-de-chaussée* do samej gospodyni. — Gospodyni młoda, Polka, na moje zapytanie: czy niema u niej szczeciny, odpowiedziała bardzo złą moskiewszczyzną (za co jej mocno jestem wdzięczny), że szczeciny niema, ale jeśliby chciał jeść, to może mi sprzedać. Da sztoż dielať, nada pokormytsia, odpowiedziałem; wypilem kieliszek wódki, wziąłem trochę masła i za wszystko zapłaciwszy, dobyłem z torby i z worka chleba, który zawsze z sobą miałem, zacząłem jeść w drugim zupełnie pustym i nieumeblowanym pokoju, położonym po drugiej połowie domu; drzwi pokoju, w którym jadłem, i drzwi do tej połowy, gdzie mieszkała gospodyni, były otwarte, mógłem tedy nie tylko wszystko słyszeć, co w nim mówiono, ale i widzieć, co się w nim działo. Prędzěj, prędzěj, Kasiu czy Marysiu (już nie pamiętam), nastaw samowar, bo niezadługo goście przyjadą, rzekła młoda gosposia po polsku do służącej. — Już ja o tём pamiętałam i nastawiłam samowar. — To bardzo dobrze, jaka ty pocziwa, a teraz zapnij mi i popraw sukienkę; czy moje włosy dobrze ułożone, czy mi tak do twarzy? — Wszystko leży bardzo dobrze, a Panienska tak ładnie wygląda, że jak przyjedzie jej narzeczony z Panem Wysokim, to jeszcze się więć w Paniencę zakocha. — Ty myślisz; niewiem czy ksiądz z nimi przyjedzie. — Mniejsza o księdza, niech tylko kawaler przyjedzie; jak będzie mąż, będzie i ksiądz. — Prawdę mówisz — i tu się śmiać zaczęły. Gdyby ten kacap (mówiąc o mnie) prędzěj sobie ztąd wyszedł, żeby go goście niezastali, rzekła gosposia. — Jak zje, to sobie pójdzie, cóżby on tu robił? — odrzeknie służąca.

Przysłuchując się tej rozmowie, może nie bez pewnego przykrego uczucia, rozmyślałem o przykrém mém położeniu, jako też, czy niebyłoby bezpieczniej zwierzyć się tej Polce i jej bratu ze wszystkiém i prosić ich, aby mnie przepawili przez granicę tuż pod ich bokiem będącą: ale i tą razą cofnąłem się przed następstwami podobnego udziału w moich zamiarach; tymczasem przez okno postrzegłem dość wielki budynek drewniany na wzniosłym miejscu i najdalej na dwieście kroków. Jak mi się zdawało, od domu gdzie byłem, oddalony; ze struktury tego budynku i z bliskości granicy wniósłem, że to były koszary, na samej granicy już postawione. Gosposia już ubrana i wesola wyszła do pokoju, gdzie byłem, pewnie dla wyproszenia mnie z niego, i stanąwszy w oknie patrzyła na pola i koszary. Dla przekonania się, czy to rzeczywiście koszary, wzięwszy na siebie worek, bo już jeść dawno skończyłem, zapytałem gosposi: a w tym dworku, wskazując na koszary, czy niemożna dostać szczeciny? Albo to dworek, odpowie, to są koszary, tam żołnierze mieszkaają, nieidź tam, bo cię wezną i do aresztu wsadzą. A za co by mnie mieli sadzać do aresztu? Za co, będą myśleli, że ty chcesz przez granicę uciekać. Przez jaką granicę? Jak to, to ty niewiesz, że to już granica? Gdzie granica, pokażcie mi proszę, ja jeszcze od urodzenia granicy niewidziałem. Patrz, to jest nasz dom, ten rów co po pod domem idzie to już granica, to żyto, które widzisz pomiędzy pierwszym a drugim rowem, jeszcze do nas należy, brzoza ta za tём żytem stojąca jest już na samej granicy, widzisz i koszary na tej linii stoją; a za tą brzozą za trzecim rowem, to już cudza ziemia. Bardzo dziękuję za przestrożę, niewiedząc o niczem, chciałem pójść do tego dworu za szczecina. Poszedłbyś tam na swoje nieszczęście, nikomu niewolno do granicy się zbliżać, nieidź tam, nieidź. A jaki naród mieszka za granicą? Prusacy. Bardzo dziękuję: bywajcie zdrowi. Idź z Bogiem; a niechódź nad granicą, a po cobym ja nad nią

chodził, bywajcie zdrowi i wyszedłem z pokoju. Ledwie się znalazł na dziedzińcu, gdy w téjże chwili zajechała przed dom parokonna bryczka niekryta, na której siedział ksiądz i dwóch cywilnych; zapewno kawaler młodej gosposi i Pan Wysocki. Spojrzawszy tylko na nich i ani im się nieukłoniwszy, poszedłem dalej, przez dziedzińiec na prost małą drożyną wiodącą do Połagi, a idącą nad samą granicą, będącą po lewej mój ręce; odszedłszy za wrota może na sto kroków, w pole, na którym z rzadka gdzieś były pojedyncze drzewa, zwróciłem się na lewo ku granicy, i o dwadzieścia kroków najdalej od pierwszego granicznego rowu położyłem się na trawie pod drzewem niby dla odpoczynku, w rzeczy zaś samej dla zebrania ducha i upatrzenia chwili sposobnej do przeprawy granicy, to było może między 3 a 4 z południa w miesiącu lipcu; leżałem minut z dziesięć i jeszcze się wachałem; nareszcie niech się dzieje wola Boga rzekłem, żyć lub zginąć, audaces fortuna juvat; dobyłem z za cholewy duży nóż składany w kształcie sztyletu zrobiony, który miałem z Syberyi, rozłożyłem go i porwawszy się na nogi, w prawej ręce trzymając sztylet, a w lewej mój worek, spiesznym krokiem i śmiało przybliżyłem się do szerokiego i głębokiego rowu, którego wał osłonięty był porośnięty na nim krzewami; uczepiwszy się za nie, wlałem na wał; ponieważ ten rów był na wzgórzu a sama granica ciągnęła się doliną leżącą między tym wzgórzem i jemu przeciwnym już na stronie pruskiej, więc z wału, na którym już byłem łatwo było objąć całą przestrzeń okiem: na lewo na trzysta lub najwięcej czterysta kroków na dość wyniosłym wzgórzu były koszary, przedemną na kilkaset lub mniej kroków jeden od drugiego, dwóch żołnierzy chodziło z bronią po granicy w przeciwnym od siebie kierunku: jeden z nich zatem szedł ku koszarom, a obaj byli do siebie obrócenie plecami, nie było więc ani chwili do stracenia; zpełzłszy zatem z wału i zgiąwszy się prawie we dwoje, biegiem po pod żytem zasłaniającem

mnie od koszar zacząłem się spuszczać w dolinę; gdy brakło żyta, wyprostowałem się jak struna i pędem zbliżywszy się do drugiego rowu, jednym skokiem go przesadziłem; byłem na samej linii granicy, po której żołnierze chodząc ścieżkę udeptali. W tém krzyk z koszar: łowij! strielaj! ale nim się żołnierze zdolali obejrzeć, już przesadziłem rów trzeci i skryłem się do tuż za rowem będącego lasku już na granicy pruskiej: teraz pomyślałem sobie, łapaj i strzelaj jak ci się podoba, a tymczasem co tchu zmykając i ubiegłszy może z tysiąc kroków od granicy, skryłem się pod bardzo niski, ale rozłożysty i prawie po ziemi się rozścielający a liściasty dębeczak. Zdaje mi się, że nigdy w życiu nieczułem się tak lekkim i tak szybko niebiegałem; jak drugi, ale więcej szczęśliwy Akteon, miałem jelenie nogi. Wdarcie się na wał pierwszego rowu, bieg chyłkiem, przesadzenie skokiem dwóch pozostałych rowów i skrycie się do lasu, co miało przestrzeń do dwiestu kroków: słowem cała ta przeprawa trwała może dwadzieścia sekund; ledwie mógł wierzyć, że już na drugiej stronie: żołnierze chodzący po granicy nie mogli ani razu wystrzelić, czy zdziwieni tym wypadkiem, czy też tak chyżo im się przesunąłem, iż nie wiedzieli, co mają robić.

Tymczasem, gdy po tak gorącej kąpieli, trzymając ciągle sztylet w ręku, leżałem pod krzakiem przyczajony, jak zając przed sforą psów go ścigających, powstał na granicy, od chwili spostrzeżenia mnie z koszar wielki hałas, krzyk, szamotanie się, tentent koni i przekleństwa. — Czemu ty sukin syn niestrzelał, czemuś dobrze niepa-trzał? — A diabli go widzieli — czort się mógł spodziewać, jeszcze przykładu nie było, żeby kto w dzień przed naszym nosem uciekał. — Ot śmiały i zuchwały sukin syn moszennik. — To nie kontrabandzista, to pewno buntowszczyk. — Nie to muzyk. — Czemu sukije syny Prusaki niepilnują granicy. — Śród tych i tym podobnych grzeczności rossyjskich, słychać było i policzkowanie,

i pałki i jęk: pamilujcie, to jest: zlitujcie się, jaki zwykle żołnierz rossyjski wydaje, kiedy go biją pałkami. Widać także, że wpadli i do pachciarza Wysockiego, z przyczyny zapewno, że to się stało blisko jego domu, mocne szczekanie psów licznych i wielki krzyk i hałas rozlicznych zmieszanych głosów mnie przekonywały o tym domysle, a raczej pewności. Ale o czém tam dowiedzieć się mogli? Chyba że był kacap, napił się wódki, zjadł chleba i poszedł — szukać szczeciny. Żał mi tylko jeżeli z tego powodu wcale nieproszeni goście popsuli humor Państwu narzeczonym.

Ten hałas, krzyk i ruch trwał więcej godziny; ja leżąc ciągle, trzymałem sztylet w rękę więcej dla siebie niż dla kogo innego. Znając Moskali, sądziłem że wyszlą pogonąć nawet za granicę i że będą ten lasek przetrząsali; na wszystko zatem byłem jeszcze przygotowany i nieczułem się bezpiecznym. Gdyby las był większym, siedłbym nim wciąż dalej, ale ponieważ był małym, dobiegłszy do jego krawędzi, nieśmiałem w dzień wyjść na pole obawiając się, aby Prusacy mnie nieschwytawszy, niechcieli wydać Moskalom na mocy kartelu wzajemnego wydania sobie zbiegów; co nastąpić mogło tém łatwiej, że to jeszcze było na samej granicy. Z tych więc powodów musiałem leżeć i czekać. Niebo się nieco zachmurzyło i mały deszczyk zaczął padać, co w części ochłodził skwar dnia znojnego.

Kiedy się już wszystko uciszyło i pogoni niewidziałem, chociaż jeszcze niepewny, co się ze mną stać może, ośmieliłem się jednak ruszać pod krzakiem, ale bardzo z wolna i cicho. Położywszy przy sobie i na podporządku sztylet, dobyłem z torby brzytwę, mydło i lustro i zacząłem się cywilizować. Zawiesiwszy lustro na gałązce pod krzakiem zacząłem mydlić brodę, ale niebyło wody; mógłbym nabierać wody dla pomoczenia brody z rosy osiadłej na trawie, ale z pod krzaku wyleźć nieśmiałem; a zatem ścierając dłonią wilgotne liście mojego krzaku

i pluając w nią, częścią wody, a większą częścią śliny namydliłem jako tako brodę. Leżąc oparty tylko na lewym łokciu, zacząłem się golić; trzeba było widzieć operacyę; kto wie co to się golić tępą brzytwą mając brodę zle namydloną, ten tylko może mieć o niej jakie takie wyobrażenie; krzywić się, zgrzytając, podczas gdy łzy z oczu padały, w części ogolony, w większej daleko wyskubany i pokaleczony, jako tako poradziłem z brodą: to jest tylko z tą częścią, co była na przodzie, resztę zaś długich włosów zebrawszy w dłoń do kupy i położywszy je na grubiej gałęzi krzaku, oderznąłem brzytwą i tak dokończyłem postrzyżyn europejskiego człowieka. Potem podczesawszy faworyty podwiązałem je chustką, aby się ułożyły; włosy także uczesałem jak mogłem najlepiej. Z czapki sybirskiej okrągłej, niegdyś czerwonej, a dziś wypłowiałej i grubo podwatowanej, wypruwszy watę i podszewkę już zużytą, zszyłem ją u góry na bok, niby nakształt francuskiej *bonnet de police*: a zatem z okrągłej stała się owalną i bardzo płytką, tak, że się ledwie na głowie trzymała: dodajmy do tego, że ta czapka miała obwódkę ciemną i dość szeroką futrzaną jakiegoś zwierza, którego nazwiska nie wiem, a łatwo pojąć, co to za dziwolak i z kształtu i z materji była ta moja czapka. Ale ponieważ odtąd postanowiłem udawać Francuza, a Francuzowi wszystko uchodzi i naśladują go wszyscy w moździerze, mniej się o to troszczyłem. W końcu przewidziałem koszulę. Tym sposobem doczekałem się późnego zmroku pod krzakiem, pod którym zapewno z pięć godzin leżałem.

Kiedy już się dobrze zmierzchno, i kiedy sądziłem, że już ludzie z pola zeszedli, podziękowawszy szczerze Panu Bogu za jego pomoc i opiekę nade mną, wylazłem z pod krzaku, ale już zupełnie ucywilizowany człowiek, byłem zaś ubrany tak: biała koszula z kołnierzem, moja własna jeszcze z Kamieńca Podolskiego, a którą wzięłem z Syberyi; kamizelka z granatowego grubego sukna, w której

byłem przez całą podróż, spodnie kitajkowe błękitne z fałdami po rusku robione, szerokie, ale nogawice nie w bóty ale na bóty napuszczone, szaraczkowy sukienny krótki surdut, którym wymieniał za kozuch, ale już wystrzępiony i podartymi łokciami; ten surdut zasłaniał fałdy szerokich mych spodni; szalik bawelniany szary z Syberyi na szyi; a dla dokompletowania całego tego ubrania, na głowie już wiadoma czapka. O jakże czułem się szczęśliwym i spokojnym, będąc już za granicą, ciężkie brzemie obawy, cierpienia i smutku przez sześć miesięcy ciągle mnie tłoczące, zdawało się, że spadło z mych piersi; czułem się wesołym, rzeskim i pełnym nadziei: ledwie sam sobie wierzyć mogłem, że już byłem w Prusach. Obejrzawszy się na około dla zorientowania się i przeżegnawszy się, poszedłem na ukos ku wielkiej drodze idącej z Połagi do Memla (Kłapejdy żmudzkiej) przez łąki, zboża, orne pola, sianozęcia i bagna. Daleko od miejsca gdzie odpoczywałem pod krzakiem na koszonem sianie rzuciłem mój worek z resztą niepotrzebnych rzeczy, wziąwszy z sobą tylko moją błękitną torbę, nieodstępną towarzyszkę mej niedoli. Po dwugodzinnym może pochodzie nocnym (noc była bardzo ciemna), wybiłem się po omacku na wielką drogę; chwala Bogu, poczem zwróciwszy się na lewo szedłem ku Memlowi. W ówczesną godzinę najdalej, przybyłem do jakiegoś małego miasteczka, przy którego rogatek stał żołnierz pruski. Idąc śmiało, jakbym był miejscowym, prosto w rogatek, powiedziałem żołnierzowi: *Guten Abend*, a odebrawszy od niego podobne pozdrowienie i o nic go niepytając, wszedłem do miasteczka. Czy to było jakie święto, niedziela, lub jaka inna miejscowa uroczystość, bo choć już było po północy, w wielu miejscach, zapewno po karczmach, brzmiała wesoła muzyka, przy weselszych jeszcze krzykach i tańcach. Wyszedłszy za miasto i oddaliwszy się od niego na dość wielką odległość, położyłem się na spoczynek w sosnowym lesie. Jakże ten spoczynek był dla mnie błogim, a sen pokrze-

piającym, nowa nadzieja we mnie wstąpiła, swobodniej oddychać zacząłem, nowego nabrałem życia a raczej się odrodziłem; pod tym rosyjskim, okrutnym rządem, zdaje się, że krew w naszych żyłach, że uczucia w sercu, że życie duszy, że nawet powietrze, którem oddychamy, są w więzach i więzieniu. Bóg tylko w surowej swój sprawiedliwości, a szatan w zaciętej zemście, pierwszy jako karę za grzechy, drugi aby popchnąć do grzechu, mogą na ludzkość podobny rząd sprowadzić, a raczej nim ją jakby zarazą dotknąć. W tym rządzie carskim, w jego duchu, w jego ustawach jest coś tak zabójczego dla czującego i myślącego człowieka, iż jeżeli się nie zniży i nie spodli aż do stanu nierozumnego bydlęcia, jeżeli zechce, co mówię, jeżeli może czuć i zachować swą godność, to albo zostać musi męczennikiem swych uczuć i swojego poznania, albo zwątpić o wszystkim. Smutne dwie, ale konieczne ostateczności, od których żaden może mieszkaniem rozległej Rosyi nie jest wolnym — jeżeli nie zawsze, to przynajmniej bardzo często. I taki to rząd ma jeszcze swoich zwolenników!

Pokrzepiony snem słodkim i bezpiecznym, jeszcze do dnia ruszyłem w podróż: a gdy się dobrze rozwidniło, spojrzałem na siebie, na mój ubiór, i przez lusterko na ubiór głowy, na czapkę; i mimo położenia, w jakim zostawałem, nie mogłem się wstrzymać od śmiechu. W różnobarwnem, w różnonarodowem odzieniu bardzo podejrzanego pochodzenia, sam osmolony, byłem podobny do włóczęgi najposledniejszego stopnia jeżeli nie do rozbójnika to przynajmniej do złodzieja. Mimo to szedłem śmiało i ochocho odpowiadając przechodzącym albo ich pozdrawiając jako to w Prusiech i w Niemczech jest zwyczaj, wyrażanie: *Guten Morgen!* Wiedziałem dobrze, że w Prusach nikt oprócz chyba żandarma przechodzącego na drodze i we wsi nie zaczepi; ale jak tylko chcesz gdzie nocować, natychmiast gospodarz pyta: *haben Sie Pass?* z tego więc powodu postanowiłem nigdzie w Prusach po karczmach

lub po innych domach nie nocować, tylko w polu lub lesie. Tego dnia około dziesiątej z rana zaszedłem do odosobnionego domu dla rozpytania się o drogę; w tym domu był Żmudzin i z trudnością po niemiecku mi wytłómaczył, że jestem na wielkim gościńcu do Memla; tamże kazałem sobie dać śniadanie: dano mi kaszy jęczmienną gorącą, a do niej zimnego słodkiego mleka bez chleba; zapłaciwszy co się należało, poszedłem dalej. Około południa odpocząwszy na ustroniu, gdzie zniszczyłem mój dotychczasowy niby pasport, aby i śladu moskiewszczyzny nie zostało. Idąc, spotkałem wielu przejeżdżających i przechodzących, którzy po zwykłym pozdrowieniu, z wielką ciekawością mnie, a raczej mojej przypatrywali się toalecie. Minawszy kilka wiosek i kilkanaście karczem około szóstej wieczorem zbliżyłem się do Memla (Kłajpedy). Niebędąc pewnym, czy na rogatkach tak wielkiego i handlowego miasta няма warty i czy nie pytają o pasport, zamiast rogatkami wszedłem do miasta szeroką aleją drzewami wysadzoną opodal od rogatek z szosy na lewo poczynającą się. Od Połagi aż do Memla wszędzie biorą pieniądze rossyjskie srebrne, od Memla zaś szczególnie drobne, kursu nie mają. Zaszedłszy więc do jednego bankiera, rozmieniałem ruble rossyjskie srebrne na talary pruskie; z tej zamiany otrzymałem *dwanaście talarów srebrnych*, z którymi miałem dostać się w Poznańskie, a może i do Francji. Wiadomo, ile miałem pieniędzy w Wielkim Ustjugu, ile zarobiłem na barce do Archangielska: łatwo więc sobie wyobrazić z jak wielką żyłem oszczędnością przez dwa miesiące (czerwiec i lipiec), kiedy się mi jeszcze tyle zostało. Z bankierem rozmawiałem po francuzku i uchodziłem za wyrobnika fabrykanta en coton Francuza wracającego z Rosyi, któremu tam się niepowiodło i szukającego zatrudnienia w Prusach. Ten bankier miał jakiś proces z Moskałem, już od lat kilku ciągnący się; narzekał na sprzedajność i szachrajstwo urzędników rossyjskich a jam mu potakiwał jako bliżej się znający.

Z Memla tego samego dnia wyszedłem wielkimi rogatkami, a nie widząc żadnej na nich warty, ztąd wnosiłem, że i w wielkich miastach pruskich przechodzących o pasport nie pytają, co nową dodało mi otuchy. Przenocowawszy w sosnowym lasku niedaleko za Memlem, rano puściłem się w drogę, Wciąż idąc i posilając się chlebem, czasami piwem lub kartoflami ze śledziem, jak to tam jest zwyczaj, i nocując po lasach i zbożach, które niejednemu Prusakowi wygniotłem, przybyłem do Tylży miasta mniejszego, ale nierównie weselszego od Memla i dość porządnie i czysto zabudowanego, a do którego wszedłem przez most na Niemnie; a z Tylży do Królewca, nie tylko bez najmniejszego przypadku, ale bez najmniejszej nieprzyjemności; oprócz że idąc szybkim pochodem od świtania do późnej nocy dzień w dzień z małym odpoczynkiem; tak byłem zmęczony, że ledwie iść mogłem; ale im bliżej byłem celu, tém większa, gwałtowniejsza rosła niecierpliwość, prawie gorączka czém prędzej dojść do niego: prawdziwie byłem dla siebie najniełitościwszym tyranem. Przybyłem tedy do Królewca przez wielkie rogatki około 2giej z południa w dzień skwarny a 26 czy 27 lipca. Podróż zatem moja z Petersburga do Królewca trwała jeden miesiąc nie spełna.

Od Połagi przez Memel, Tylżę i aż pod sam niemal Królewiec z wyjątkiem mieszkańców miast i kolonistów, ludność cała składa się ze Żmudzinów, których rysy zawidele, ponure i jakby groźące, muskuły suche i wydatne zupełnie różnią od napływowych Niemców. Z rozmów jakie z tymi Żmudzinami ciągle po Żmudzku, a bardzo lichu po niemiecku mówiących, miałem, przekonałem się, iż bynajmniej nie życzą, ani chcą być Niemcami, a jeżeli Żmudzina zapytasz czy on Prusak, Niemiec, z oburzeniem ci natychmiast odpowiada: O nie, nie, ja nie Prusak, nie Niemiec, ja jestem Litwin (ich bin Lithau): ale z taką dumą ci odpowie, że on Litwin-Żmudzin, że się drugi raz mu nie odważysz powiedzieć, że on Prusak,

czy Niemiec. Mają siebie za coś wyższego od Prusaka i Niemca, jak równie za dzielniejszych siebie od Prusaków i Niemców żołnierzy. Jak między naszymi bracią Litwinami, tak równie i między nimi wielkie jest braterstwo i jestem pewnym, że Żmudzin Żmudzina krzywdzić Niemcowi niepozwoili. W ogóle ci Żmudzini niecierpią Prusaków-Niemców i ze wstrętem i z pogardą o nich mówią, a jednak kochają swojego króla. Zapewne to pochodzi ztąd, że niebędąc prawie wcale oświeconymi (mówię tu o ludzie wiejskim) w ich przekonaniu król nie jest Prusakiem-Niemcem, ale jakoś odrębną i oderwalną istotą, która żadnej nie ma narodowości. Ci Żmudzini tak są o sobie uprzedzeni, iż jeden z nich mi powiedział: że gdyby król nie miał żołnierzy Żmudzinów, toby nie miał się czem bronić i na kim polegać. Jednak jakkolwiek bądź przekonanie narodowości żmudzkiej od tak dawna jarzmem niemieckiem przytłoczonej nie jest bez znaczenia w zamiarach Opatrzności względem Polski. W danym czasie potrzeba tylko umieć tę narodowość zobowiązać, podnieść i właściwy nadać jej kierunek: nasi bracia Żmudzini tyle kochający Polskę, swą ojczyznę, tyle się dla niej poświęcający, mogliby mocno wpływać na swoich jednoczupowych braci, aby wiedzieli, na kogo mają obrócić straszną szablę Kiejstuta ich przodka. Liczba Żmudzinów pruskich może dochodzić do miliona nie pełna. Zauważałem także, że konie w tej części Prus wschodnich są pięknej rasy, rosłe i mocne najwięcej skarogniade.

ROZDZIAŁ XXIX.

Pojmanie i więzienie w Królewcu. Śledztwo. Udaję Francuza. Przyznanie się do imienia Polaka uciekającego z Syberyi. Trudność mojego położenia. Graf von Ellenburg za rękojmią wypuszcza mnie z więzienia. Rozkaz z Berlina wydania mnie Rosyji. Wyjazd z Królewca przez Elbląg, Gdańsk, Szczecin, Berlin, Lipsk, Frankfort, Heidelberg do Strasburga. Przybycie do Paryża.

Bruxella (Belgia) 9 marca 1850 roku.

Przybywszy do Królewca około 2giej z południa 27 lipca, najpierwszą rzeczą było dla mnie dowiedzieć się, czy z niego do Elbląga wypływa statek parowy i kiedy; o czém przekonawszy się poszedłem do bióra tego statku. Był w tém biurze jakiś stary Prusak wysłużony żołnierz i trochę mówiący po francuzku; od niego się tedy dowiedziałem, że parostatek odchodzi nazajutrz bardzo rano (podobno o 6 godzinie) i że jutro można będzie zapisać się i dostać kartę, gdyż w tej chwili nikogo z urzędników w biurze nie było. Myśl jechania parostatkiem nastęrczyła mi się tak z powodu znużenia się długą, a ciągłą podróżą, która niemal wycieńczyła wszystkie moje siły, jako też z przyczyny wielkiej niecierpliwości, a raczej gorączki dostać się jak najspieszniej w Poznańskie między swoich i

tam raz dobrze odpocząć w pokoju i bezpieczeństwie; przytém mniemałem, że ponieważ nigdzie na rogatkach nawet miast wielkich jak np. Memel, Tylża i Królewiec o pasport nie pytają, z jakiegożby powodu o niego pytano wsiadając na parostatek. Chciałem tedy dla skrócenia drogi i czasu z Królewca odpłynąć do Elbląga, a ztamtąd dojść piechotą przez Bydgoszcz do Poznańskiego, wcale niewiedząc o wypadkach, jakie tamże miały miejsce kilka miesięcy przedtém, że baczność policyi w Poznańskim była nierównie surowszą, niż gdzieindziej w Prusach.

Ponieważ parostatek miał dopiero jutro rano odpłynąć, a do wieczora jeszcze było daleko, doczekując się go zatém, zacząłem się włóczyć po mieście dla przypatrzenia mu się: wszak ztąd po większej części wszystkim naszej Polski poszły nieszczęścia. Zakon Krzyżaków, ich sekularyzacya pod Albertem księciem pruskim, siostrzeńcem Zygmunta Augusta, przekazanie tytułu książęcego, prawem lennem, domowi brandenburgskiemu, zlanie się Krzyżaków i Kawalerów mieczowych w jedno ciało, słowem, wzniesienie i wzmocnienie nowego państwa tyle nam nieprzychylnego na północy granic Polski, były jedną z najważniejszych przyczyn naszego upadku, bo osłabienia. Chodziłem tedy, przypatrywałem się i rozmyślałem. W mieście żadnym sposobem nie mogłem nocować, bo wszędzie pytają o pasport; potrzeba mi tedy było wyjść z miasta w pole na nocleg. Zmęczony chodzeniem usiadłem na ustroniu na kupie kamieni pod murem jednego domu leżącego w gruzach, w zamiarze doczekać się tam przynajmniej zachodu słońca i przy spóźnionej porze wyjść za rogatki, aby korzystając ze spóźnionej pory, kiedy wszyscy z pola już wrócą do domów, nieoddalając się od miasta i tuż za rogatkami, od nikogo niepostrzeżony mogłem przenocować na polu: a to jedynie dla tego, aby jutro na czas można było wrócić na parostatek, co byłoby niepodobnem, gdybym się był nazbyt od miasta oddalił. Zapewno moje znużenie było tak wielkie, iż niemogłem się oprzeć na za-

den sposób zniewalającemu mnie do spoczynku snowi; usnąłem tedy, wcale sobie tego nieżycząc i niewiedząc, jakim sposobem; uspienie zmysłów musiało być gwałtowne, nagle i bez żadnego stopniowego do snu przejścia, bo nie przypominam sobie, czym się snowi upierał. Kto niewie-rzy, że po wielkiem znużeniu, siedząc, można nagle usnąć, niech przypomni sobie, jeśli był żołnierzem i to w czasie wojny, a przynajmniej niech zapyta tych, co byli żołnierzami, a przekona się, że nie tylko spokojnie siedząc, ale jadąc na koniu, a nawet idąc piechotą z karabinem na ramieniu spać można; napróżno otwierasz powieki, rozszerzasz oczy: patrzysz a nie widzisz, bo nerwy zmysłu widzenia są w odrętwieniu, w uspieniu. Usnąwszy siedząc i zapewne po straceniu równowagi zsunąwszy się z kamieni, spałem jak zabity. Jak długo spałem, nie wiem. Uczulem nareszcie jakby przez sen, że ktoś mnie mocno szarpał, ale się obudzić nie mogłem; uczulem w końcu raz i drugi ból dotkliwy i głos niezrozumiały; ten głos, a szczególnie ten ból mnie ocuciły: raz trzeci mocniej i dotkliwiej zadany i donośny głos: was für Landsmann? (co za człowiek), zupełnie mnie otrzeźwił. Otworzywszy oczy postrzegłem, choć noc była ciemna, stojącego nad sobą człowieka z kijem w ręku, którym mnie bijąc budził, i ciągle powtarzającego: was für Landsmann? W pierwszej chwili obudzenia się i niepojętego wrażenia, mimowolnie i jakby z nałogu raz mocno powziętego zamiaru, sięgnąłem do cholewy po sztylet. Na moje nieszczęście, a raczej wielkie szczęście nie znalazłem go, bo zgubiłem. Tego samego dnia, którego przybyłem do Królewca, kapalem się w jednym jeziorze i zapewne tam mój sztylet zostawiłem. Tymczasem w tej prawie samej chwili, w której myśląc o obronie, byłbym popełnił morderstwo, gdybym był znalazł sztylet, przypominałem sobie zaraz, gdzie się znajdował. Z uniesienia, a raczej ze wzruszenia i odurzenia, nagle przeszedłem do krwi najzimniejszej. Na powtórne zatém zapytanie stróża nocnego, czy żandarma: was für

Landsman, odpowiedziałem spokojnie po niemiecku: Ich bin Handwärker im Baumwolle und ich bin beschaeftigt bei dem Kaufmann Schulz hier in Königsberg. — A gdzież on mieszka ten Schultz? pyta mnie dalej. — Na tej i na tej ulicy. — No wstawaj, chodź ze mną do aresztu. — A po co ja pójdę do aresztu, puść mnie, pójdę do domu. — O nie, pójdiesz ze mną do aresztu, a jutro sobie pójdiesz do domu; po co o tej godzinie śpisz na ulicy. — Któraż teraz godzina? — Pierwsza po północy. — Ale ty nie jesteś Prusakiem, źle mówisz po niemiecku? — Nie, niejestem Prusakiem. — A któż ty jesteś? Polak? — Nie, jestem Francuz. — Tak rozmawiając szliśmy, dokąd mnie zły czy dobry geniusz prowadził. Liczny wrzaskliwy, a po wszystkich częściach miasta czuć dający się świst, jakby tysiąca susłów, naruszał spokojność nocy; byli to stróże nocni, po wyznaczonych każdy sobie ulicach chodzący i za każdym uderzeniem półgodziny dmuchający w piszczałki i powtarzający na głos godzinę: co wszystko ma mnie żalobnego pogrzebu w nocy, albo trwogi od napadu nieprzyjaciela. Noc była ciemna, gdybym był znał dobrze ulice miasta i niebyło po nich tyle czuwających wartowników, mógłbym być częścią pięściami, a częścią nogami uwolnić się od mojego przewodnika i wybiec z miasta i na tej chęci wcale mi niezbywało. Ale przy przeciwnych zupełnie okolicznościach, niechciałem, nawet niemogłem bez żadnego dla mnie użytku pogarszać mojego położenia. Mój przewodnik spotykając wszędzie po ulicach stróżów nocnych, chwalił się ze swojego obłowu, tak przyszliśmy do aresztu, do więzienia. Ten areszt był w ziemi, w piwnicy, do której z poziomu ulicy potrzeba było schodzić po schodach. Było to dwie izby, pierwsza większa i światlejsza, druga zaś mała i ciemna; obie zaś niskie, a pułap w kształcie sklepienia; pełne brudów, śmiecia, pluskiew, pchłów i wszów, przy gorących upałach i braku powietrza w tych podziemnych sklepieniach; ja co tak długo wolnym oddychałem powietrzem, zdawało mi się,

że się uduszę. Obejrawszy mnie wszędzie i naokoło, przetrząnąwszy moją torbę i odebrawszy odemnie pieniądze, wepchnęli na resztę nocy do ciemnego pokoju.

Zostawiony sam sobie, zacząłem rozmyślać nad mojem nowem położeniem, jako też nad sposobami ratowania się; chociaż nadziei nie tracilem, nie miałem jednak pewności wydostania się ze szponów losu tak zacięcie mnie ścigającego, postanowiłem udawać i utrzymywać, że Francuz. W tych myślach usnąłem na golęd desce. Nazajutrz o ósmej godzinie z rana poprowadzono mnie do policyi, i nim poschodzą się urzędnicy, i nim kolej na mnie przyjdzie, wprowadzono mnie do małego pokoiku pięć kroków długości, a cztery najwięcej szerokości mającego, brudnego, nieczystego, mającego dwie krótkie ławeczki i jedno duże okno prawie całkiem deskami zabite, z wyjątkiem małej jego części u góry i zamknięte; po wprowadzeniu do tego pokoju, gdzie już zastałem kilku delinkwentów, zamknięto na klucz; co chwila liczba winowajców powiększała się i za każdym drzwi na klucz zamynkano. W tym małym i ciasnym pokoiku nazbierało się nas więcej dwudziestu rozmaitego pochodzenia i kategorii; po największej części byli to ludzie, tak mężczyźni, jak kobiety, bo wszystko było razem, moralnie mocno upośledzeni; z ich obszarpanego odzienia, z ich obrzękłych twarzy, z ich gestów i rozmów widać było, iż należeli do klasy będącej plagą, raną i zarazą każdego społeczeństwa, może słusznie nią dotkniętego z przyczyny fałszywych, a wyłącznych urządzeń stosunków między jego różnymi klassami i członkami. Znajdowali się jednak w ich liczbie ludzie doręczni, przyzwoici, jak na przykład rzemieślnicy, którzy przypadkiem tam się dostali. Sama przyzwoitość nakazuje odłączyć jednych i drugich, ale w rządzie pruskim ówczesnym, szcycącym się oświatą i wyższą cywilizacją, tak mało było względu na godność człowieka, że żadnego nieczyniono wyjątku. Wszyscy zatem i ja z nimi byliśmy w tym ciasnym pokoiku, gdzie z przyczyny tylu ludzi,

braku świeżego powietrza i smrodu, ekliwo i mdło się robiło. Około dziesiątej czy jedenastej i mnie powołano do indagacyi. Zaczęto mówić do mnie po niemiecku, odpowiedziałem po francuzku: je ne comprends pas (nierozumiem). Jeden z indagujących bardzo źle mówiący po francuzku, monosyllabami, zadawał mnie pytania i był niejako tłumaczem dla innych. — Zkąd Pan jesteś? — Z Francyi — indagujący zmierzyli mnie okiem od stóp do głowy, bo, jak wiadomo, byłem arcy po francuzku ubrany. — Z którego miejsca? — Ztąd i ztąd (już niepamiętam zkąd). — Jak się Pan nazywasz? — Tak i tak (także niepomnę). Czy Pan masz pasport? — Miałem, ale go zgubiłem niedaleko Królewca. — Przez jakie miasta Pan przejeżdżałeś? — Przez takie a takie. — Czy Pan wizowałeś w nich pasport? — W niektórych wizowałem, a w niektórych nie. — Kiedyś Pan wyjechał z Francyi? — Wtedy a wtedy. — Co Pan jesteś za jeden? — Ouvrier en coton (wyrobnik bawełny). Po tych przedwstępnych pytaniach kazano mnie odprowadzić do więzienia, do tak nazwanéj *blauen Thurm*, to jest: błękitnéj wieży.

Blauer Thurm, jest to gmach staroświecki i opuszczony, a stojący na wyspie uformowanéj przez rzekę Pregel tuż pod wieżą płynącą i liczne dźwigającą wicie, to jest: niewielkie statki i przez kanał. Ta wieża służy za więzienie, tak dla mężczyzn, jak i dla kobiet, w osobnych jednak każda płeć izbach zamknięta. Przyprowadzono mnie wraz z wielu innymi obdartusami do dozórcey więzienia w téjże saméj wieży od frontu mieszkającego, od jego woli zupełnie zależało, w której izbie miał mnie umieścić; ukończywszy rozmieszczenie innych, mnie zostawił na koniec i był tyle grzecznym, że bez mojej prośby, umieścił mnie w najwygodniejszém, jakie tam było, więzieniu, to jest: w tak nazwanéj *Bürgerstube* (izba dla obywateli miasta). Dozorca więzienia, długi, cienki, suchy, dość jeszcze młody, były żołnierz artylleryi, mający żonę i dzieci, ludzki i uprzejmy, nazwiskiem Emen, pó-

zniéj, kiedy się ze mną dość dobrze zaznajomił, powiedział powód względu, jaki miał dla mnie, umieszczając mnie w *Bürgerstube*, rzekł więc: Chociaż Pan bardzo lichy, dziwacznie i śmiesznie byłeś ubrany, jednak ja, co nam zwyczaj obserwować ludzi, których mnie tu codziennie przyprowadzają, z fizyonomii Pana osądziłem, że nienależysz do rzędu ludzi upośledzonych; w rysach pańskich była szlachetność i godność, która mnie natychmiast zniewoliła i poznałem od razu, że jakieś tylko nieszczęście Pana do tego stanu przyprowadziło, i dla tego dałem mu najlepsze więzienie *Bürgerstube*. Że zaś podałem się w policyi za Francuza, więc i dozorca więzienia Pan Emen, miał mnie także za takiego, i ciągle mnie nazywał: Herr Franzose.

Przybywszy do *Bürgerstube*, zastałem w niej dwóch towarzyszy, z których jeden był krawiec, długo podróżujący po Europie i Francyi, a następnie nieco mówiący po francuzku; drugi był podobno rzeźnik. Krawiec kontent, że ujrzał Francuza, wszedł natychmiast ze mną w rozmowę, i dla ochoty napił się wódki z fiaszki, którą miał z sobą i mnie nią poczęstował. Trzeba wiedzieć, że każdy Prusak niemoże żyć bez sznapsa, który wszędzie w Prusiech jest wyborny, a zatem każdy *Bürger* przychodzący na dni kilka lub kilkanaście do aresztu, ma sobie za pierwszy artykuł wiary zaopatrzyć się w sznapsa (wódkę) dla wygodniejszego spędzenia nudów więzienia. Każdy przytém *Bürger* ma prawo kazać sobie z domu jeść nosić i przynieść pościel. Po gawędce z krawcem zacząłem przypatrywać się więzieniu; był to obszerny pokój do trzydziestu stóp długości, a do dwudziestu szerokości mający, sufit wysoki w sklepienie zamknięty, mający dwa duże w głębokich framugach okna, mocno na zewnątrz kratami ustrojone i najwięcej na ośm stóp nad poziom ziemi podniesiony, ale nieczysty, brudny, zapylony, stare walące się mury, nieodnowione nowym tynkiem, zarażały powietrze cząstkami wapiennymi tyle szkodliwemi

plucom; podłoga drewniana, stara, w wielu miejscach powydzierana i kupę śmieci w sobie kryjąca, miała kolor zeschłego czarnego błota; jedném słowem, cała ta sławna Bürgerstube dokładnie przedstawiała opuszczoną żydowską u nas w Polsce karczmę, w której wróblom tylko, nietoperzom i sowom, a nie ludziom godzi się mieszkać. Dla wygody uwięzionych był stół drewniany z niedobrze ociosanych desek zbity i dwa stolki podobnej roboty i materiału; dla ich zaś odpoczynku było cztery tapczany z desek prostych zbite, a na cztery tapczany były tylko dwa sienniki z rassowego płótna, niegdyś szarego, ale ponieważ nigdy nie były prane, dziś brunatno-błotnistej koloru uszyte.

Jeżeli Bürgerstube, to jest: najcelniejsza izba więzienia, tyle jest okropną i opuszczoną, cóż dopiero mówić o innych więzieniach, gdzie przed wyrokiem trzymają włóczęgów, złodziei, lub kobiety nierządnego życia? Gdybym na własne oczy niewidział, nigdybym temu nieuwierzył, takie w pruskich więzieniach nieochędństwo, nieczystość, nędza i poniżenie człowieka. Pod Bürgerstube były lochy, w których zamykano więźniów niespokojnych, upartych i niebezpiecznych, nałożywszy im pierwej na nogi i ręce kajdany, albo przykuwszy ich do ściany. Nad Bürgerstube i na wyższych piętrach były także więzienia dla mężczyzn i kobiet, miałem sposobność je wszystkie zwiedzić; zgrozę, oburzeniem i litością byłem przejęty na widok nieszczęśliwych w tych więzieniach zamkniętych, a jednak jeszcze im występki nie były dowiedzionym, gdyż dopiero był to areszt i śledztwo z nich ciągnięto. Nagromadzeni na kupę, po kilkunastu w ciasnej izbie, po większej części obdarci, a nawet wpólnadzy, leżący na barłogu lub na gołej podłodze, więcej do widziadła niż do ludzi byli podobni; pluskiew, pchłów i wszów tak wielka ilość, że ekliwość i niedolę obudza; biada ci, jeżeli trzy minuty na jedném miejscu postoisz, pchły cię osiędą, a wszy literalnie oblazą. Stróż więzienia Emen niechę-

tnie i tylko z potrzeby do tych więzień zazierał, bo, jak mi mówił, lękał się ataku robactwa: i bardzo mu wierzyłem, bom sam to na własne oczy widział. Otwarte okna latem odświeżały w tych plugawych więzieniach powietrze, ale cóż się tam zimą dziać musi? Jeżeli więzienia pruskie są tak przerażające, to pokarm więźniów jest także bardzo lichy i ledwo od głodu broniący. O 8miej godzinie z rana każdego dnia, każdy więzień dostaje bułkę razowego chleba dość smacznego i dobrze wypieczonego, ale najwięcej jeden funt lub pięć ćwierci funta ważącego, i to jest racya całodzienna chleba; około drugiej z południa, każdy z nich dostaje albo kwartę jęczmienną kaszy na rzadko, jak krupnik, zgotowanej, niby to z masłem, którego wcale nieczuć, albo kwartę wody z mąką i masłem, jak mówią, przegotowanej, do której się wysypuje półkwarty grochu w ziarnie i na posno zgotowanego, i to naprzemianą, to jest: jednego dnia jęczmienna zupa, a drugiego gorąca woda i groch. Innej potrawy lub mięsa nigdy więzień niewidzi, przynajmniej ja, będąc przez dwa miesiące w więzieniu, nigdy nic innego niewidziałem, aby więźniom dawano, na to mogę dać słowo uczciwości. Teraz pytam: czy funtem chleba i kwartą rzadkiego krupniku lub kwartą gorącej z mąką wody i półkwartą grochu, człowiek zdrowy przez kilka tygodni w więzieniu zostający, niebędzie czuć głodu? i czy to przykre uczucie żołądka, z czasem osłabiającego organizm, wraz z zepsutem powietrzem więziennym i plugawstwem różnego rodzaju, niewpływa na zdrowie i na moralność więźnia? Przez dwa miesiące, jakie bawiłem w tém więzieniu, żadnej nie było rewizyi, żaden wyższy urzędnik nieprzyszedł i nieobejrzał, czy wszystko jest w porządku, czy należna żywność więźniów dochodzi, czy należycie są umieszczeni? zdaje się, iż w Prusiech więzień raz zamknięty, jest na zawsze zapomniany, a jeżeli o nim pamiętają władze, to chyba dla tego tylko, aby wydobyć z niego to, o czém chcą wiedzieć. Po obejrzeniu tych więzień, ileż byłem

obowiązany stróżowi Panu Emen, że mnie umieścił w Bürgerstube, a nie zaś posadził, gdzieby mnie pchły, a szczególnież wszy zjeść mogły, ja, co mam nieprzechwyconą cikliwość ku temu plądawstwu! Niewiem, jak w innych częściach Prus więzienia i więźniowie są utrzymeni, ale z tego com widział i doświadczył na sobie w Królewcu, sądząc tak z aresztu, gdzie pierwszą noc po schwytaniu mnie przepędził, z poczekalnej izby w policji, jako też z więzień błękitnej wieży, gdzie byłem zamknięty, wyznać muszę, iż zapewno nigdzie, oprócz jednej przewrotnej Austrii, większego lekceważenia człowieka, większej ku niemu pogardy, jak w Prusiech, niema. W więzieniach rosyjskich barbarzyńskich, przynajmniej co do czystości i pokarmu więźniów, daleko więcej jest troskliwości i opieki, niż w więzieniach Prus, szczytujących się wyższą w Niemczech cywilizacją. Zkądże to pochodzi, że dzisiejsza cywilizacja w wielu wydatnych punktach społeczeńskiego życia, jest niższą od samego barbarzyństwa? Czy nie ztąd, że na fałszywych zasadach oparta i rozwinięta, zmierzać koniecznie musi do punktu, z którego wyszła? Teraz wracam do siebie.

Obrawszy jeden tapczan za legowisko, położyłem na nim siennik, na którym się sam wyciągałem: ale po kilku minutach precz go odrzucić musiałem, bo samemi pchłami był nadziany. Te dwa sienniki służyły mi czasem za rozrywkę, o czém niżej powiem. Nazajutrz rano dwaj moi towarzysze wyszli z więzienia, a mnie do policji powołano. Długo czekałem w śmierdzącej, brudnej, dusznej poczekalnej izbie, nim na mnie przyszła kolój; tą razą w gronie mnie badających znajdował się Francuz nazwiskiem Fleury, od dwudziestu lat w Królewcu mieszkający, trudniący się nauczycielstwem, tamże już ożeniony i za przysięgłego tłumacza służący. Tak długo bawiąc w Prusach Pan Fleury, bardzo dobrze mówił i był pośrednikiem między mną a mnie badającymi. Zadano mnie tą razą te same co i przeszłą pytania, tylko z większą

dokładnością; odpowiedzi moje były też same co i przeszłe, tylko także więcej dokładne: pytania i odpowiedzi spisywano w protokule. Odpowiadałem śmiało i bez wachania się. Po kilku żądanych pytaniach i odpowiedziach z mej strony, Pan Fleury, sądząc, jak zapewno wszyscy indagujący sądzili, że po niemiecku nierozumiem, odezwał się do nich po niemiecku: to niezawodnie musi być Francuz, bo się tłómaczy po francuzku płynnie i bez akcentu i śmiało, jakto jest właściwa Francuzom. Byłem kontent z téj uwagi Pana Fleury, która niezawodnie i na innych wpłynęła, gdyż większą w nich dla siebie postrzegłem grzeczność. Po skończeniu pytań kazano Panu Fleury mi oświadczyć, że po przekonaniu się o wiarygodności mych zeznań, będę wypuszczony z więzienia. Ale to może długo potrwa, zapytałem Fleury? — Dni kilkanaście odpowie, nim odpowiedź przyjdzie z Francji. — Dobrze, odrzekłem na pozór spokojnie i zostałem odprowadzony do błękitnej wieży.

Wróciwszy do więzienia, zacząłem rozmyślać, co to będzie z mojego zeznania, bo byłem przekonany, że rząd pruski za pośrednictwem swego ambassadora uda się do policji francuzkiej dla przekonania się, czy istotnie byłem tego nazwiska i z tego miejsca urodzenia Francuzem za jakiego się podałem; jak równie byłem pewnym, że z Francji przyjdzie odpowiedź zaprzeczająca całkowicie moje zeznania, ale myślałem, że w takim razie rząd pruski niemogąc ze mnie wybadać przyczyny mojego wyjścia z Francji i pobytu w Królewcu, jak równie nieschwytawszy mnie na gorącym uczynku, a nawet niemając na mnie dowodów do poślaki mnie w czémkolwiek, coby mu dawało powód do trzymania mnie w więzieniu, mając jednak na mnie podejrzenia występku lub zbrodni popełnionej we Francji, z której uciekłem, zechce mnie pod strażą odprowadzić do granic Francji i jój władzom mnie oddać: tego właśnie sobie życzyłem. Raz będąc we Francji i odsłoniwszy się kim byłem w rzeczy samej, łatwoby

mi przebaczone przyjęcie nazwy Francuza, jako jedyne go środka mnie ocalić mającego i wypuszczonego mnie w końcu na wolność. Tak rozmyślając i będąc prawie pewnym, że moje więzienie skończyć się musi odesłaniem mnie pod exortą do Francyi, czekałem z niecierpliwością dnia, w którym mnie powołają do policyi i powierzą opiece żandar-mów dla odstawienia do Francyi. Tymczasem sam jeden zostawszy w obszernym więzieniu, w braku książek lub innego zatrudnienia, mimowolnie ciągle myślałem i zastanawiałem się nad moim położeniem, nad moim przeznaczeniem; najwięcej się zaś obawiałem, aby się niedowiedziano, a nawet niedomyślano, że Polak, bo w takim razie byłbym niezawodnie wydany Rossyi, niemając nawet czem sobie życia odebrać: bo jak wiadomo mój sztylet zgubiłem, starałem się przeto udawać, że nie wcale po niemiecku nierozumiem i że jestem Francuzem: i dla tego stróż więzienia i moi późniejsi spółwięźniowie nazywali mnie herr Franzose. Rozmyślając, dumając byłem niekiedy spokojny i zupełnie poddany wyrokowi Opatrzności; ale niekiedy wpadałem we wściekłość i szaleństwo. Jakże myślałem, tyle trudów, tyle niebezpieczeństw przebytych i tak szczęśliwie, maż się skończyć na niczym? Mamże tak wartką, szeroką, najeżoną śmiercią przebywszy rzekę, jak przysłowie mówi, utonąć na brzegu? Czyliż Opatrzność, w której opiekę nad sobą tak mocno wierzyłem i ją czułem, przeprowadziwszy mnie przez tyle niebezpieczeństw i przygód, gdzieś sto razy powinien zginąć, chciała tylko zemnie zażartować, opuszczając mnie w chwili, gdy już był bliski mojego celu, gdy byłem pewny, że już jestem wolny, że najdroższe serca mojego życzenia już się wkrótce ziszczą, że prawdziwe, rzeczywiste życie w moję duszę wstąpi... ja co tak długo i tyle cierpiałem, wdychałem i konałem?

Obrawszy tapczan bez siennika, posłania, poduszki i przykrycia, spałem na gołych deskach, przykrywając się mym surdudem; żyłem zaś tylko potrawą więzienną: to

jest funtem chleba na dzień i kwartą krupniku, lub gorącej wody z mąką i grochem. Jedzenie to było dla mnie wcale niewystarczające, czułem głód mocno; a z moich pieniędzy zabranych a złożonych w policyi ani grosza dać mi niechciano. Przez dni blisko 8 sam jeden tylko zostawałem w więzieniu. Później zaczęto od czasu do czasu przyprowadzać mi towarzyszy: to jakiegoś rzeźnika, to krawczyka lub szewca, to ślusarza lub dłużnika, którzy wyznaczoną w policyi poprawczą karę wysiadywali; kto na dzień, kto na dwa, trzy, pięć lub więcej dni; poczem każdy z nich wychodził a nowi przybywali, często się jednak zdarzało, że przez kilka dni sam jeden byłem. Niektórzy z moich towarzyszy, zamożniejsi i uczynni, traktowali mnie wódką, niekiedy jedzeniem, jakie im ich żony, siostry, służący lub przyjaciele przynosili do więzienia, do którego wchodzili, i przyznam się, że głód mnie przymuszał do przyjęcia wszystkiego, co mi dawali, wprawdzie bardzo skromnie i wcale po niemiecku. Kiedy było kilku razem, pili sznapsa, kurzyli fajki, grali w karty, niekiedy tańczyli, śpiewali, a zawsze krzyczeli. Wszystkie te ich radości i zabawy wcale mnie nieobchodziły, często nawet były mi nieznośne, ale przynajmniej jako tako mnie rozrywały. Czasami z nowo przybywających pozwalałem sobie żartować; niemal każdy do więzienia przybywający, jeżeli oprócz mnie cudzoziemca nikogo nie zastał, dla skrócenia czasu, nim mu jedzenie i pościel przynieśli, chciał się położyć i zasnąć, i dla tego pytał mnie się, wskazując na tapczan z siennikiem, który umyślnie na tapczanie rozciągnąłem, czy to nie moja pościel, i czy można na nią się położyć? odpowiadałem: że nie moja i jeżeli chce, może się położyć. Ale ledwie Prusak się wyciągnął na sienniku i zaczął drzeć, zrywa się jak oparzony, niewiedząc, gdzie pierwój ręką sięgnąć i w największym gniewie, dla mnie bardzo komicznym, porrywa za siennik i ciska go w kąt w największym oburzeniu, wrzeszcząc: Ach mein Gott, mein Gott, verfluchte

Flöhe, so viel Flöhe, so viel Flöhe. A to mu pchły z siennika, któremi był nadziany, taką łaźnią sprawiły. Jeżeli nowy gość przybywał, to mu pierwszy podobną łaźnię sprawiał, z czego później oba się śmieli i dla kurażu sznaps popijali.

Dzień po dniu upływał, a ja z niecierpliwością oczekując nim mnie powołają do policyi, dla spędzenia jako tako czasu, siadywałem zwykle w jednym lub drugim oknie za kratami, tak dla przypatrywania się przechodzącym i statkom tuż przedemną po Preglu płynącym, jako też dla oddychania świeżem powietrzem, gdyż po kilku dniach pobytu w więzieniu uczulem, iż jego powietrze częstkami wapiennymi spadających murów przesyczone mocno, szkodziło mojemu płucom: i dla tego niemal po całych dniach siedziałem w oknie. Nakoniec dnia 16 czy 17 miesiąca sierpnia zawołali mnie do policyi, bardzo daleko od więzienia położonej, to było rano. Po zwykłym w dusznej izbie oczekiwaniu, stanąłem przed nią, pan Fleury był przytomny. Z miny indagujących poznałem, że nie są ze mnie kontenci; odezwno się do mnie glosem surowym: wszystko coś pan powiedział, jest kłamstwem; aniś się pan tam rodził, ani pana tam znają gdzieś nam powiedział, proszę z nami nie żartować i prawdę mówić. — Kto pan jesteś? — Francuz odpowiedziałem. — Ale to nie prawda. — To jest prawda. — My mamy dowody że to nie prawda. — Ja mam większą pewność niż dowody. — Indygujący unosili się, grozili, ja z mej strony spokojnie, lecz śmiało odpowiadałem, a pan Fleury radził mi, abym się przyznał. — Nareszcie nic ode mnie nie wybadawszy, powiedziano mi, abym się namyślał i nie ściagał na się surowej praw pruskich odpowiedzialności. — Odpowiedziałem, iż kto jest Francuzem, ten się bynajmniej nie obawia odpowiedzialności przed prawami pruskimi — i zostałem odprowadzony do więzienia.

Po południu znowu mnie przyzwano do policyi i znowu nalegano na mnie tylko z większymi groźbami, abym

się przyzna, kim byłem i jaki popełniłem występki? — Moje odpowiedzi były niemal te same co poprzednio tylko w miarę groźb z większą odpowiedziałem śmiałością jako człowiek, który wie, że w przypadku pokrzywdzenia znajdzie i powetowanie w opiece praw narodu, do którego należy. — Pan Fleury przekonany, że Francuz, radził, życzył jak swemu rodakowi, abym się przyznał do wszystkiego, i że jest pewnym, że to przyznanie się zmniejszy przykrość mojego położenia, inaczej mogą się ze mną obejść najsurowiej. Ale wszystkie jego nalegania na to mi się nie przydały. Odprowadzono mnie znowu do więzy. Nazajutrz rano znowu mnie wezwano do policyi. Po przedwstępnych i zwykłych pytaniach, zaczęto na mnie z większą niż przedtem nalegać mocą i groźbą, używając nawet obrażających wyrazów; ja zaś odpowiedziałem jak piewój, obstając ciągle przy pierwszym moim zeznaniu. Pan Fleury przypatrzawszy mi się z uwagą obrócił się do innych, rzekł z cicha po niemiecku: sądząc z miny i ruchów tego złowieszka, zdaje mi się, że to musi być wojskowy; ja co znam dobrze karny kodeks wojskowy francuzki który jest bardzo surowy, wnoszę, że on musiał coś przekroczyć, a wiedząc jaka go za to kara czeka, może kara śmierci, o co ni trudno, niemając innego sposobu ratowania się, uciekł z Francji, rozumie się bez żadnych dowodów i bez pasportu. — Ta uwaga pana Fleury zdała się innym trafną, spożywszy na mnie, rzekli do siebie: prawda, że ma minę wojskową: tak sądzili zapawno ze śmiałych moich odpowiedzi, a może ze śmiałej miny i wąsów w górę pokreconych. Co do mnie byłem kontent z tej uwagi pana Fleury i postanowiłem z niej korzystać; przede wszystkim owiem jak już mówiłem, życzyłem sobie, aby mnie jakmbądź sposobem można było dostać do Francji. Stosownie zatem do tego zamiaru przedsięwziąłem odpowiadać na pytania, jakiego mi zadawano, jakoż pan Fleury z pozwolenia a raczej z woli indagujących, zapytał mnie natychmiast: Pan zapewno musisz być woj-

skowym? — Ja niby wahając się i obawiając się, że na trop wpadnięto, odpowiedziałem z nieśmiałością: tak jest jestem wojskowy. — Indagujący spojrzeli po sobie. — Zapewno Pan musiałeś uciec z wojska? — Były powody dla których musiałem uciec z wojska za granicę. — Jakież to są powody? — Panowie mi przebaczyć, że ich odkryć nie mogę, zresztą nauczy się panom to nie przydało. Owszem my musimy wiedzieć co pana spowodowało do opuszczenia swych szeregów? — A mnie na tém najwięcej zależy, aby tych powodów nie odsłonić. — Dla czego? — Dla tego, że choć rzecz sama z siebie małą wagę, lecz że więcej osób do niej było wpłatanych, nie chciałbym przeto, aby jej wyjawienie mogło szkodzić innym. — Cóż Pan takiego zrobiłeś, czy Pan przekroczyłeś przepisy wojskowe, czyś Pan kogo zabił w pojedynku? Prozę Panów na to nienalegać, tego niepowiem, tego powiedzieć nie mogę. — Pan musisz powiedzieć. — Gdyby tylko szło o mnie mógłbym powiedzieć, ale że idzie o innych, powiedzieć nie mogę. — O to są żarty, my mamy sposoby dowiedzenia się o wszystkim. — Te sposoby nie dla wszystkich są dobre i panowie zapewno macie tyle zdrowego rozsądku, iż wiecie dobrze, jak z nim postąpić macie i powinniście. Pnieważ pan niechcesz się przyznać do niczego, my musimy uważać pana jako zbrodniarza. To mnie oburzyło i w mocném wzruszeniu, gniewie i głośno odrzekłem. Nim kto ośmieli się mnie nazwać zbrodniarzem, powinien wprzód wiedzieć i być przekonany, że nim jestem; patrzeć na mnie czy wyglądam na zbrodniarza. Krótko mówiąc, p tej odpowiedzi, tak się na mnie rozdałali, że na prawdę zaczęli grozić, szwargocąc między sobą po niemiecku. On niezna praw naszych, on niewie, że my z nim postąpić możemy jak się nam podoba; a ponieważ do niczego niechce się przyznać, mamy prawo uważać go za największego zbrodniarza i jako ze zbrodniarzem postąpić. Ja słuchając tego wszystkiego i rozumiejąc, stałem w ponurém milczeniu. Pan Fleury zainteresowany smutnem położeniem

swojego rodaka, stał się smutnym i przyszedłszy do mnie rzekł: Życzę panu przyznać się do wszystkiego, radzę to jako memu rodakowi, ja znam tutejsze prawa, i wiem jak z Panem mogą postąpić, ach tu nie tak, jak we Francyi tu mogą pana wrzucić między największych zbrodniarzy, użyć do najcięższych, do najpośledniejszych robót, a nawet bić kijami, bo tu jest we zwyczaju kara cielesna. Niech się pan na to nie wystawia, a ponieważ pan uciekłeś z Francyi, prawo francuzkie niemoże pana zasłonić, i tym podobne czynił mi uwagi, i widziałem, że to czynił z dobrem sercem i życzliwością. Ja czułem całą słuszność uwag pana Fleury, i sam wiedziałem dobrze o tém wszystkim, co mi mówił: ale jak się tu przyznać, kim byłem, rzeczywiście, wiedząc dobrze, że po przyznaniu się, będę wydany Moskalowi. Więc i tą razą nieprzyznawszy się do niczego, zostałem odprowadzony do więzienia.

Łatwo sobie wyobrazić, jakimi myślami i uczuciami byłem miotany, wróciwszy do więzienia. Czyż los mnie zawsze tak srogo będzie przesładował? Czyż nigdy spoczynku, nigdy pokoju nieznajdę? Czyż mojem koniecznie jest przeznaczeniem zginąć, i zginąć marnie w moskiewskich katuszach? Pocóż uciekałem z Syberyi, gdy wola Opatrzności, czy fatalizmu była ta, abym w niej zginął? Zaiste życie mi jest nieznośnem, w tak upornej, zaciętej walce z mym nienbłaganym losem: azatém jeśli koniecznie potrzeba zginąć, lepiej zginąć wcześniej, niż później, bo przynajmniej oszczędzę sobie zniewag i męczarni pozostałego mi życia. Jeszcze raz będę obstawał przy zamiarze dostania się jakimbądź sposobem do Francyi, użyję wszystkiego, aby mnie w ręce władz francuzkich jako podejrzanego o wielką zbrodnię wydano; a jeżeli to się nieuda, przyznam się, żeś Polak uciekający z Syberyi. Ale srogi Mikołaj niebędzie miał tygrysięj uciechy, mieć mnie żywego w swych ręku, aby okuwszy ręce i nogi na granicy pruskiej, i zaprowadziwszy mnie piechotą w partye złoczyńców aż do Syberyi, na miejsce ząd uciekłem, (bo

podług praw rossyjskich kara odbywa się na miejscu występku) kazał mi skonać w męczarniach pod sześcią, lub siedmią tysięcy kijów, lub pod razami knuta lub platinie, tej uciechy mieć niebędzie w chwili gdy mnie zechcą oddać Rossyi, sam sobie życie odbiorę: dłużej żyć mi się już niechce. Tak mówiąc a raczej myśląc sam w sobie ze stałością oczekiwałem chwili, w której się miał stanowczo los mój na ziemi rozstrzygnąć. Do tej stanowczej determinacji wpłynęła niemało, na pozór bardzo mała przyczyna. Jeszcze w samych początkach, gdy mnie do błękitnej wieży wsadzono, niemając co robić, zacząłem szperać po wszystkich kątach więzienia, jak to właściwa i naturalna rzecz każdemu więźniowi i w rozpadlinie podłogi pod jednym tapeczanem znalazłem nie wielki, składany, ale tępy i zupełnie już zardzewiały nożyk, którego żelazce miało długości do czterech cali. Trudno sobie wyobrazić jaką stąd miałem smutną radość, przynajmniej rzekłem sobie w ostatnim razie będę miał czém sobie życie odebrać! Niemając przy sobie ani trucizny, ani sztyletu, którym zgubił, cała moja nadzieja była w tym zardzewiałym nożyku, wyczyszcivszy go tedy i zaostrzywszy jak mogłem o cegłę, schowałem tak, aby go stróż więzienia lub kto inny z więźniów nie widział. Samobójstwo bez wątpienia jest jedną z największych zbrodni i każdy religijny i uczciwy człowiek nigdy się go dopuszczać niepowinien. Wyznać jednak potrzeba, iż dopuszczający się samobójstwa musi mocno, mocno cierpieć, kiedy się na własne targa życie: bo cóż miłszego nad życie! Co do mnie; nigdy samobójstwem niechciałbym uprzedzić zgonu przed szubienicą, lub kulą; chyba w chwili szalu, ale przed tysiącami palek, pod któremi długie godziny trzeba konać niewypowiedzianych męczarni, lub przed knutem rwiącym ciało i rozdzierającym nerwy, aniby się chwili nie namyślał odebrać sobie życie.

Gdy mnie tego dnia po południu wezwano do policyi, szedłem do niej z przedsięwziętem już mocno posta-

nowieniem. Zaczęto znowu na mnie nalegać i grozić, abym się przyznał do prawdziwego nazwiska i rodzaju występku jaki popełniłem. Po długim oporze rzekłem do indagujących: jeżeli panowie możecie mi dać słowo honoru, że po przyznaniu się do występku, jaki popełniłem, nie będę wydanym władzom francuzkim, to się przyznam do wszystkiego. Spojrzawszy po sobie rzekli: niewiedząc jakiego rodzaju był pański występki, niemożemy dać słowa honoru na to co pan od nas żadasz. A więc w takim razie, ponieważ prawa pruskie żadnej niezapewniają dla mnie opieki, chociaż wiem, co mnie czeka we Francyi, z której uciekłem, sam żądam, aby mnie w ręce władz francuzkich wydano, dla usprawiedliwienia się, jeżeli podobna przed właściwymi moimi sędziami. O nie, jeżeli potrzeba, pan będziesz wydany władzom francuzkim, ale musisz się pierwój tu do wszystkiego przyznać. Nikt mnie do tego niezmusi, jestem Francuz, i znam prawa narodów; jakkolwiek mogę być występnym w obliczu prawa francuzkiego, nieprzestałem przeto być Francuzem, do którego osoby tylko rząd francuzki ma jedynie prawo, i do tego prawa ja się odwołuję tém bardziej, że oprócz braku papierów udowadniających, kimbym był, nic w Prusiech niepopełniłem takiego, coby panom dało prawo mnie sądzenia, bo i cóż panowie macie mi do zarzucenia? jaka wina ciąży na mnie? jaki w Prusiech popełniłem występki? — Dla czegoż koniecznie chcecie nadużyć mojego położenia? Żądam przeto być wydanym Francyi. Na takie moje oświadczenie nowe powstały gniewy i groźby. Pan Fleury znowu mnie zaczął radzić, przedstawiać i upominać, abym się napróżno nienarażał na surowe ze mną obejście się, na kije, jakieniami traktują tych, do rzędu których i mnie chcą zaliczyć. Widząc, że mój upor obstawiania przy nazwie Francuza (którego żadne nieprzteguje prawo) do niczego mnie nie doprowadzi, a raczej doprowadzi tylko do najsmutniejszej ostateczności, to jest: do zamykania w łańcuchach ulic Królewca, do ciężkich

i brudnych robót, a może i do kijów; przytém stosując się do powziętego stanowczo już zamiaru, tak się do tych panów odezwałem: „Ponieważ panowie koniecznie chcecie, abym się do wszystkiego przyznał, przyznam się, ale się obawiam, aby przez to przyznanie się nie naraził ich uczuć na przykrą próbę między ich obowiązkami a ich sumieniem. Zdawali się tego nie rozumieć, nareszcie jeden z nich rzekł: to niech pan mówi. — Tu w przytomności wszystkich, i gdzie tyle ludzi przychodzi powiedzieć niemożę, ale prosiłbym pana Fleury i jednego z panów do osobnego pokoju. Spojrzeli na siebie z pewnem zadziwieniem, i w końcu zezwolili. Znalazłszy się w osobnym pokoju wraz z panem Fleury i drugim, którego już niepomnę nazwiska, powiedziałem im otwarcie, kim byłem i że uciekałem z Syberyi. To przyznanie się niepomale zdziwiło tych obydwu panów; pan Fleury wykrzyknął: *mon Dieu! mon Dieu!* a drugi *Herr Jezus! Herr Jezus!* — i przypatrywali mi się, jakby niewierząc temu co widzieli i słyszeli. Po chwili jeden z nich rzekł: czemuż się pan odrazu do tego nieprzyznał? A czyż panowie nie wiecie, że między Prusami a Rosyą jest traktat wzajemnego wydania zbiegów, w mojem położeniu jakże mógłem się przyznać, kim byłem? Chciałem panom oszczędzić téj nieprzyjemności, i dla tego tylko domagałem się, aby mnie do Francyi odesłano. Ach to prawda, to prawda, odrzekli nieco zasmuceni. Teraz kiedy panowie wiecie, kim jestem, i dla czego żadnych dowodów przy sobie mieć niemógłem, spodziewam się, że jeżeli sami niemożecie nic mi poradzić, przynajmniej podacie mi sposoby ratowania się, abym nie był władzom rosyjskim wydany. Tém pytaniem mocno ich zaambarassowałem, nic mi na to nie mogli odpowiedzieć. Jeden z nich wyszedł zapewno dla udzielenia innym szczegółów mojego przyznania się, a pan Fleury zostawszy ze mną rzekł ze wzruszeniem: oprócz jednego grafa pana von Eulenburg, *Oberregirungs-rata* tu-tejszego, nikt pana uratować niemoże od wydania go

w ręce Moskali; wiem o tém dobrze, bo niedawno kilku wydano, staraj się pan z grafem von Eulenburg sam widzieć, jestto światły, dobry, uczynny i bardzo zacny człowiek, od wszystkich jest kochany i poważany, co za nieszczęście, co za nieszczęście rzekł dalej. Trzeba oddać sprawiedliwość Francuzom, że mimo lekkość charakteru, i nieśmiałość w uczuciach, a nawet we wszystkim, Francuz zawsze jest ludzki, prędzej od każdego innego zrozumie przykre położenie człowieka, i chętnie z niego chciałby go wydobyć, byleby to niewiele kosztowało zabiegów i trudów; Francuz prędzej od każdego innego wzruszy się obcem nieszczęściem, ale także prędzej od każdego innego o niem zapomni; przyjaciel wesołego humoru i dowcipu, chętnie unika wrażeń, któreby go na chwilę od wrodzonej jego swobody umysłu mogły oderwać; Francuz czy przez szczęśliwą organizacyą, czy przez zabytek chrystyanizmu ma nagle, wrodzone uczucie wszelkiej piękności moralnej, które jednak niszczy i zabija w sobie samym rozumem i dowcipem: jest to żywa i chodząca sprzeczność dwóch pierwiastków, dobrego i złego; idący za swém uczuciem, za swém sercem, Francuz jest szlachetny, wzniosły i wielki; idący za swym rozumem, jest dowcipny, przebiegły, przenikliwy, rzadko głęboki, a częściej poziomy i płaski; pierwsze porywy jego serca są piękne, a działania jego rzadko moralne i chętnie poświęca swoje uczucia dla błyskotek rozumu lub dla materialnego bytu; rzadko Francuz na wzniosłem utrzyma się długo stanowisku, bo jest zawsze blizkim upadku; na Francuza przyjaźń lub nienawiść liczyć niemożna, jak długo kochać tak równie długo nienawidzić niemożę; jest to kameleon odbijający na sobie wszystkie barwy z szybkością po sobie następujące i niknące. Nic w nim stałego, nic pewnego, nic charakterystycznego; Francuz jest to istota nijaka, ni zła ni dobra, ale naprzemian jest jedną i drugą. To co widzimy w indywiduach, to się znajduje w całym narodzie, i w najwydatniejszej jego części w rzą-

dzie. Patrzmy na jego członków, na administracyą, a szczególnie na jego politykę! Jaki jego człowiek stanu był długo na wysokości swojego stanowiska, swojego przekonania? — Jeżeli Francya nie pójdzie za swém sercem, lecz za swoim rozumem i dowcipem, jój rozum i dwcip zaprowadzi ją do przepaści.

Teraz wracam do siebie. Chwilę zostawszy z Panem Fleury, wezwany zostałem do nowego protokołu. Raz się przyznawszy do właściwego rodu i nazwiska, przyznałem się do wszystkiego, gdzie się rodził, kiedy był wysłany i za co do Syberyi, gdzie był w Syberyi, którego wracał i gdzie przeszedł granicę pruską itd. Potem prosiłem, aby mi dozwolono było widzieć się z hrabią von Eulenburg; przyrzeczono wyrobić mi to pozwolenie i odprowadzono mnie do więzienia. Od chwili mojego przyznania się, postrzegłem wielką zmianę w obęściu się ze mną: miejsce gniewu, grózb i lekceważenia, zastąpiły grzeczność, uprzejmość i pewna litość. Naza jutrz po południu znowu mnie wezwano do policyi: tą razą już dla przekonania się, czym istotnie był Polak? Miejsce Pana Fleury zastąpił kto inny i ledwie stanął przed tymi panami, nieznajomy odezwał się do mnie czysto po polsku: czy Pan jesteś Polakiem? — Tak jest, odpowiedziałem, i po kilku minutach rozmowy, przekonano się, że Polak, co nieznajomy obecnym oświadczył, potem ponowiono poprzednie pytania, na które jak pierwszy odpowiedziałem. Ten nieznajomy Polak nazywał się Szymkiewicz, rodem ze Żmudzi i poczciwy człowiek, miał żonę rodzoną siostrę majora Urbanowicza, będącego w Emigracyi, którego po przybyciu z Królewca poznałem osobiście. Pan Szymkiewicz, literat i urzędnik, ze zbiegu okoliczności niezawisłych często od naszej woli i chęci, jest zarazem żmudzkiem poetą i w języku żmudzkim, jak mi mówił, wiele napisał wierszy. Z przyjemnością tu wspominam o Państwie Szymkiewiczach, którym pewną winienem wdzięczność. Przy tej nowej indagacyi prosi-

łem znowu, aby mi pozwolono widzieć się z hrabią Eulenburg, a przynajmniej do niego pisać, i dopomniałem się także, aby mi z moich własnych pieniędzy udzielano na żywność, gdyż żywność więzienna była dla mnie niewystarczającą. Odpowiedziano, że w jednym i drugim względzie odniosą się do prezydenta policyi Pana Lauterbach i odprowadzono mnie do więzienia.

Pan Lauterbach wkrótce zezwolił, aby z moich pieniędzy, na ręce dozorca więzienia Pana Emen. codziennie wydzielono pięć srebrnych groszy pruskich, czyli złoty polski, a względem widzenia się z Panem Eulenburg lub pisania do niego, żadnej nie dał odpowiedzi. Za te pięć srebrnych groszy żona dozorca więzienia kupowała mi kartofli, masła lub mięsa do rosółu i gotowała; odtąd zatem zacząłem żyć wygodniej; życie w Królewcu tego roku było bardzo drogie. Przy pytaniach, jakie mi zadawano w policyi przy Panu Szymkiewiczu, zapytano mnie także: czy ja temi czasy nie byłem w Poznańskim? — Odpowiedziałem, co było istotną prawdą, że nie byłem: ale to pytanie nieco mnie zastanowiło; po czém zapytano mnie także, czy nie znałem w Emigracyi Ludwika Mierosławskiego? — Ah! pomyślałem sobie, coś musi być, kiedy się o niego pytają; więc zdziwiony tém pytaniem odpowiedziałem: że znałem go z widzenia. — To jest bardzo zdatny i uczony człowiek (gelerter Mann). Z takiej pochwały złem wróżył o położeniu Mierosławskiego; a wiedząc, że pochwała w takim razie więcej szkodzi niż pomaga, odpowiedziałem jakby z niechcenia: jaką on ma naukę, tego nie wiem, ale słyszałem, że to jest roztrzepany i lekki człowiek, wiele lubi gadać, sam niewierząc w to, co mówi, jak to wiele młodych ludzi robić zwykło. Kiedy wyszedł już z więzienia, powiedziano mi, że Mierosławskiego, który był wówczas w więzieniu, pytano także o mnie, i że Mierosławski miał odpowiedzieć, że w Emigracyi wielu było Piotrowskich i niemoże wiedzieć, jakim jest ten, o którego się pytają.

Po powrocie do więzienia zacząłem rozmyślać, po co mnie się pytano, czym nie był w Poznańskim i czym nie- znał Mierosławskiego? Jest w tem jakaś tajemnica, którą potrzeba rozjaśnić, ale jakim sposobem? W więzieniu wkrótce także dowiedziano się, że Polak, a z czem się wcale nie tailem przed spółwierzniami, zapytałem tedy jednego z nich, czyby niewiedział, dla czego w policyi chciano wiedzieć odemnie czy byłem lub nie w Poznańskim, musiało zajść co w Poznańskim. — Jak to, to Pan nie wiesz, co w Poznańskim zaszło przed kilką miesięcy? — O niczém niewiem, cóż tam było? — Polacy chcieli rewolucyą zrobić: ale spisek odkryto i spiskowych pochwytano a między nimi ich naczelnika Mierosławskiego; i tu mi zaczęto opowiadać niektóre szczegóły tego powstania jako też i rzezi galicyjskiej. Proszę sobie wystawić moje zdziwienie i moję boleść, dowiedziawszy się po raz pierwszy o tych smutnych wypadkach i ich smutnych następstwach. Teraz zrozumiałem, dla czego mnie pytano, czy byłem w Poznańskim i czy znałem Mierosławskiego? Ucieklszy na początku lutego z Syberyi i będąc sześć miesięcy w podróży przez Rossyą, o niczém wcale niewiedziałem i chociaż w Wielkim Ustjugu napomykano ukradkiem, że w Polsce kogoś powiesili, nie mogłem jednak ztąd wnosić o rzeczywistych do tego powodach, oprócz jednego powodu, to jest, że Mikołaj chętnie wynajduje pozory do wieszania, szczególniej Polaków.

Rozmyślając o tych nowych klęskach na nieszczęśliwą Polskę spadłych, a które nowym ciężarem przytłoczyły mą duszę, myślałem zarazem i o mojem położeniu, a raczej o moim rychłym zgonie; bo sądziłem, że po przyznaniu się do rzeczywistego rodu i nazwiska, i po zdjęciu ze mnie protokołu, niema żadnej wątpliwości, że mój protokół będzie Rossyi zakomunikowany, i że niezwłocznie od niej nastąpi reklamacya mnie wydania; żadną tedy nadzieją ludzić się niemogłem. Ale że nie tak łatwo z życiem uczynić rozbrat, jak się nie którym zdaje, szcze-

gólniej kiedy im żadne niebezpieczeństwo niegrozi, i że człowiek niczego nieopuszcza, nawet niemając nadziei, aby je można ocalić, a przynajmniej wyczerpać wszystkie środki dla jego ocalenia, z wyjątkiem tylko osobistego poniżenia i kosztem uczciwości, od czego Boże uchwaj każdą zacząć duszę, postanowiłem, jakem to już powiedział, albo się widzieć z hrabią von Eulenburg, albo przynajmniej do niego napisać. Ale ponieważ Pan Lauterbach prezes policyi, na moje ciągłe i usilne żądania, żadnej w tym względzie niedawał odpowiedzi, a dozorca więzienia Eume bez wyższego pozwolenia niemógł mi dać ani papieru, ani atramentu, więc po kilku dniach próżnego oczekiwania i kiedym całą stracił nadzieję otrzymania, już niemówię pomyślniej, ale jakiegokolwiek bądź odpowiedzi od Pana Lauterbacha, uprosiwszy jednego spółwierznią Kli-....go, dość długo wraz ze mną będącego, rodem Polaka, ale już zpruszczałego, aby przez tych, co mu jeść przynosili, kazał przynieść papieru, pióra i atramentu, dnia 24 sierpnia napisałem pokryjomu list po francuzku do hrabiego Eulenburg. Niepodobna dokładnie powtórzyć tego listu i żałuję, że niezdjąłem i niemam jego kopii; treść zaś jego była następująca: winszowałem sobie, że tak smutny dla mnie wypadek schwywania zdarzył się w miejscu i czasie, gdzie tak światły i ludzki człowiek, jakim jest hrabia Eulenburg, jest wysokim urzędnikiem, który jeden tylko z tak przykrego położenia może mnie wydostać; w tem widzę wolę Opatrzności; namieniłem, iż wiem dobrze o traktacie wzajemnego wydania zbiegów, zawartego między Prusami i Rossyą, i że jeżeli człowieka stanu ten traktat zobowiązuje, to człowieka sumienia i przyjaciela ludzkości nigdy zobowiązywać niepowinien, tém bardziej, jeżeli mu jest wiadome dzikie obęście się rządu rossyjskiego z wydanymi z zagranicy, a szczególniej jakie byloby ze mną, co uciekłem z Syberyi, do której za żadną inną zbrodnię, tylko za przywiązanie do swęj ojczyzny byłem wysłany. Kary tej niewymie-

niam, bo samo o niej wspomnienie tak wielkiem jest poniżeniem, iż ubliżyłbym szacunkowi hrabiego, gdybym mu całą dzikość i jej okrucieństwo przedstawił. W końcu polecając się jego względem i pamięci, prosiłem o rychłą odpowiedź. — List ten niezbyt długi, ale pełen uprzejmości i uczucia, dokładnie malował stan ówczesnej mej duszy; gdybym wiedział, gdzie się znajduje dziś hrabia Eulenburg, pisałbym do niego, aby mi jego nadesłał kopiją; są chwile w życiu człowieka tak ważne, iż wartoby mieć ciągle przed oczyma i w pamięci to, cośmy w tych chwilach czuli i myśleli: a to możeby nas ochroniło od zarozumiałości, od zbytnej w sobie ufności i od lekceważenia obowiązków względem Boga i bliźniego. Byłbym bardzo obowiązany, ktoby w mojem imieniu, lub we własnem swoim kopiją tego listu od hrabiego Eulenburg otrzymał.

Pan Klima....ski, ten sam co mi dostarczył materyałów do listu, był tyle dobrym mi przyrzec, że po wyjściu z więzienia sam odniesie dla większej pewności mój list Panu Eulenburg, co najrzetelniej dotrzymał, a za co mu nieskończenie jestem obowiązany. Tymczasem oczekując na mój list odpowiedzi, a raczej postanowienia względem mojego losu i rozmawiając ze współwięźniami o wypadkach Poznańskich, coraz więcej szczegółów dowiadywałem się. Jeden z odwiedzających swego kolegę więźnia, miły, ukształcony, oddający się naukom i altylerzysta z landwerów, młodzieniec, Prusak rodowity, ale sumienny i bezstronny człowiek, następujące smutne opowiadał mi zdarzenie: „Kiedym był przed kilką miesięcy w Grudziązu (czy w Kostrzynie, już tego dobrze niepomnę) był tam w więzieniu Polak w ostatnich wypadkach w Poznańskim skompromitowany; chciano od niego dowiedzieć się, o czem może sam niewiedział; gdy nie czy niechciał, czy niemógł powiedzieć, tak go nielitościwie rozciągnawszy kijami bito, że pod drugim czy trzecim powtórzeniem z bólu skonał. Ach jak wspomne

„o tem, zgroza i oburzenie mnie przejmuję.“ — Ale czy to jest pewna co Pan mówisz? — Jakże niepewna, gdy sam na to musiał patrzeć. — W głosie, w wyrazie twarzy i oczu tego młodzieńca tyle było szczeroty i prawdy, tak się unosił szlachetnym, rzeczywistym gniewem wyrażającym się u niego przez zaplonienie oblicza i jaskrawość spojrzenia, iż niepodobna było niewierzyć jego słowom. Zresztą on Prusak, jakizby miał powód przede mną Polakiem to mówić?

Dni więzienia upływały, a ja żadnej od Pana Eulenburg niemając odpowiedzi oczekiwałem z rezygnacją mojego losu; aż nareszcie 7 września doręczono mi za pośrednictwem Pana Lauterbach, zawiadomienie, niby odpowiedź Pana Eulenburg na mój list do niego pisany. Odpowiedź ta dosyć dyplomatyczna, która się zresztą pojmuje od tak wysokiego urzędnika, datowana 4 września, była następująca, napisana po niemiecku, a którą przytaczam po polsku: — „Na podanie z 24 zeszłego miesiąca do nadradzcy rządowego (Oberregirungsrath) wyśtosowane, a przez niego nam doręczone, niniejszem oświadczamy Panu, iż teraźniejsze swoje położenie, musisz sobie samemu przypisać, jako będące skutkiem przybycia tu bez najmniejszych legitymacyjnych papierów. Dalsze postąpienie z Panem zależeć będzie od wykrycia, czy i jaki miałeś udział w zaburzeniach Poznańskich. Potrzebne ku temu kroki już przedsięwziął Pan prezes policyi: musisz Pan przeto być cierpliwym dopóki ukończone niebędą. — (Podpisano). Królewiec 4go września 1846 roku. Królewsko-rządowy wydział spraw wewnętrznych *B. G. von Eulenburg*.“ — Na dole tej ekspedycyi napisano: „Do Pana Rufina Piotrowskiego szlachetnie urodzonego — w miejscu, w niebieskiej wieży.“ Na kopercie zaś tej ekspedycyi napisano: „Do królewskiej policyi Prezydenta Pana Lauterbach wysoko szlachetnie urodzonego — w miejscu.“

Otrzymałszy podobną odpowiedź od pana Eulenburg

bo tylko z niej wniesć mogłem, że nie wierząc mojemu zeznaniu, w zupełności, czynili względem mnie w Poznańskim poszukiwania i że stosownie do wypadku tych poszukiwań ze mną postąpią. Jam się bynajmniej nieobawiał poszukiwań w Poznańskim, gdzie nawet dotąd nigdy niebył; ale idziez stąd, że niebędę wydanym Moskałom? odpowiedź pana Eulenburg była tak dwuznacznie dyplomatyczna, że nic z niej pewnego wnioskować niemożna było; i jeżeli co mogło mi czynić jaką nadzieję, to chyba sama odpowiedź, jaką mnie raczył pan Eulenburg zaszczyścić i ostatnie jej wyrazy zachęcające „tymczasem bądź pan cierpliwym.“ Jakkolwiek te wyrazy nieco mnie pokrzepiły, tyle razy już zawiedziony od losu, nieśmiałem żadnego pocieszającego znaczenia do nich przywiązywać, i czekałem tylko, rychłoli z Rossyi przyjdzie reklamacya, aby mnie wydać, to jest czekałem, nim przyjdzie chwila odebrania sobie życia. Jeszcze w przeszłym miesiącu zaraz po przyznaniu się do właściwego nazwiska i rodu, otrzymawszy pozwolenie pisania do Paryża, napisałem dwa listy jeden do księdza Kajsiewicza, a drugi do kogo innego w jednej kopercie, ale niezapieczętowane; gdyż władze pruskie miały je wprzód przeczytać, a później zapieczętowany odesłać do Paryża. Prosiłem, aby te listy, które oprócz zawiadomienia, gdzie się znajdowałem, i nadziei, (której nie miałem) prędkiego z więzienia wydostania się, nic więcej w sobie niezawierały, były jak najspieszniej wysłane, co mi przyrzeczono: czekałem tedy z wielką niecierpliwością odpowiedzi, która nie nadchodziła i nigdy nie nadeszła. Czy umyślnie, czy przez zapomnienie wysłano te listy dopiero po moim z Królewca wyjeździe i ja pierwój przed niemi przybyłem do Paryża.

W jednym z przykrych i najboleśniejszych usposobień, owiany zewsząd niepewnością, pewny tylko smutnej przyszłości, jaka mnie czekała, żal mi się zrobiło życia, źle mówię, nieżycia, lecz co było jego życiem. Złożyłem kilka strof z głębi serca płynących, a zbytkiem uczuć może grze-

szących przeciw Bogu i wierze. Łatwo odgadnąć ich temat. Ale jeżeli kiedy bluźnierstwo srogo było ukarane, ja za nie byłem najsurowiej dotkniętym; a boleść i zbytek tej kary wraz ze mną zstąpią do grobu. Jedną razą siedząc w oknie za kratami, jakto miałem zwyczaj, w jednej tylko koszuli i patrząc na przechodzących, ujrzałem jedną damę, która ostrożnie zbliżywszy się pod moje okno, aby od szyltwachu nie być postrzeżoną, i podniósłszy się szybko na ławeczkę pod oknem stojącą, rzuciła mi kilka-złotową sztukę srebrną, wdzięczny jej byłem za ten dar, a szczególnież za jej dobre serce, ale, że ponieważ wówczas dawano mi już z moich pieniędzy, i nie miałem głodu więc natychmiast tę sztukę srebrną jej zwróciłem, bardzo pięknie jej dziękując i dając jej do poznania, że mam pieniądze, że ich niepotrzebuję; biedna zapłomiona zdawała się nierozumieć, co jej mówiłem postawszy chwilę i przypatrzwszy mi się z pewnem podziwieniem, odeszła.

Między moimi spółwięźniami ciągle się zmieniającymi był także jeden żyd polski z grodzieńskiej gubernii za podejrzenie o kradzież w Królewcu popełnioną do błękitnej wieży wsadzony, z którym przeszło dni ośm sam na sam zostawałem. Mniej go obchodziło, jak mówił podejrzenie o kradzież, której nie popełnił, jak nieszczęśliwy los wszystkich jego spółwynawców pod panowaniem Rossyi będących, i tu opowiadał mi nieszczęsne ich położenie, i rozmaite względem nich rządu rosyjskiego rozporządzenia: a między innemi branie dzieci w rekruty, i zmianę ich ubioru, co ich najwięcej obchodziło i martwiło. Niektórzy z żydów polskich dla nacieszenia się swym starodawnym ubiorem pod rozmaitemi pozorami wybierali się i wychodzili na czas jakiś za granicę, stąd i w Królewcu było ich niemało. Z tego, co starozakonny mi opowiadał, łatwo wniosłem, że dziś żydzi nadzwyczaj są zawzięci na Mikołaja; on zaś tak się odzywał: to jest mocny nasz Faraon: ale ponieważ on już zaczął nas żydów tak przesładować, no to on już długo żyć niebędzie, to on musi

upaść; bo tak w bibliach napisano; a co tam stoi, to tak być musi. A cóż tam stoi zapytałem? Tam stoi, że kto będzie nas żydów prześladował, to go Bóg ukarze, to on zginie: a Mikołaj tak nas męczy, tak męczy, aj waj waj, to już niemu nieżyć, bo niedługo będzie gosudarem. Więc jak widzę, to wam bardzo źle teraz pod Mikołajem? No, jeszcze jak źle. Za Polski czasów było wam nierównie lepiej? Jak starzy mówią to było bardzo dobrze. Dla czegoż we wszystkich naszych przeciw Moskalom wojnach, i w ostatniem naszym powstaniu byliście zawsze nam Polakom, tak nieprzychylni i trzymaliście stronę Moskala, któremu przeciw nam służyliście za szpiegów? No prawda, że tak było, ale to nie wszyscy byli szpiegami, byli tacy między nami, co kochali Polaków. Wyście wszyscy Polskę i Polaków powinni kochać, bo zapewno wiecie, że po zburzeniu Jerozolimy waszego świętego miasta gdyście się rozproszyli po całym świecie, gdy was wszędzie zaczęto prześladować, Polska jedna dała wam schronienie i w niej rozmnożyliście się, jak piasek w morzu, jakże jej zawdzięczacie teraz? kara zatem i prześladowanie jakie ponosicie, jest bardzo słuszne. No, może to i prawda. Bądźcie zatem przekonani, że póki Polski niebędzie, póty cierpieć musicie, niema Polski, niema żydów, których Mikołaj lub jego następcy w Moskalów przemieniają. No to wielka prawda, ale cóż robić? Jak będzie kiedy jeszcze wojna Polski z Moskwą, potrzeba, abyście wszyscy byli za Polską, inaczej jak bez waszjej pomocy wybijemy się na wolność, to was wszystkich z Polski wypędzimy, jako szkodliwe dla niej nasienie. No niech tylko będzie wojna, a nasze żydki wszystkie się rzucają na Moskala, bo on tak nas męczy, aj waj waj, tak męczy.

Ten starozakonnny był niezłym człowiekiem, ale zaciętym i upornym żydem. Od niejakiego czasu dostarczono mi między innymi niemieckimi książkami ewangelią, którą zawsze z upodobaniem czytałem. Kiedym czytał nagłos niektóre ustępy moralne ewangelii, żyd z wielką

przysłuchiwał się ciekawością i potwierdzał wszystko; ale ledwie się dowiedział że to jest ewangelia opowiadana przez Chrystusa, cofnął się od słuchania jej z przestachem i odtąd nigdy go niemógłem uprosić, aby zwrócił uwagę na naukę tyle zgodną z przeznaczeniem i prawdziwem szczęściem człowieka. Często z nagle, przerwawszy z nim obojętną rozmowę, zacząłem nagle czytać ewangelią: żyd natychmiast zaczął wpół głosem śpiewać swoje paciery, a to jedynie dla tego, aby nie słuchać ewangelii. — Zaczekaj, nie śpiewaj, czemu nie słuchasz! — No, mnie słuchać nie wolno. — Dla czegoż nie wolno, kiedy to są rzeczy piękne i wzniosłe, sam je potwierdziłeś. — Może to piękne, ale ja mam piękną wiarę. — I żadnym sposobem nigdy nie dał się więcej nakłonić do słuchania ewangelii. Podobny upór znamionujący głupotę i uprzedzenie, a będący ogólną cechą wszystkich naszych żydów, których liczba do trzech milionów blisko wynosi, będzie niegdyś dla prawodawców i ustawodawców Polski przeszkodą trudną do pokonania. I w rzeczy samej, ta wielka liczba żydów, ósmą część całej ludności polskiej składająca tak ciemna tak zacięta w swych religijnych ku Chrześcianom przesadach a składająca osobne społeczeństwo w społeczeństwie polskiem, jest raną ciężką do uleczenia.

Około drugiej połowy miesiąca września nastąpiły nocy chłodne i zimno dość mocno czuć mi się dawało, tem bardziej że dostałem pewnego rodzaju gorączki, po której następowało mocne ziębienie. Ponieważ sypiałem ciągle na gołych deskach przykrywając się tylko krótkim surdudem, który mnie wcale ogrzać niemógł, a zatem tym sposobem tylko powiększałem choć dotąd niewielką słabość. — Dozorca więzienia pan Emen zlitował się nad moim stanem i dał mi do odziania się i przykrycia swój stary, sążnisty szlafrok, którego poly gdym się weń ubrał, na kilka jeszcze cali włożyły się za mną po ziemi; choć to było śmiesznie i nie podług mody, ale za to wygodnie i ciepło i mocno temu pocziwemu człowiekowi byłem za

to obowiązany — i nie zadługo przyszedłem do zdrowia. W tymże samym niemal czasie odwiedził mnie w więzieniu jakiś nieznajomy jegomość, pytając mnie, czybym nie życzył sobie być wziętym na porękę. — Zdziwiony taką niespodzianą propozycją, odpowiedziałem, że i owszem, bardzobym sobie tego pragnął, ale nie wiem, czy to mi będzie dozwolonem. — Ja pójdę do pana Lauterbach prezydenta policyi, sam się o tym dowiem, przekonam i dam panu natychmiast wiedzieć. Bardzo mu pięknie za ten uczynek miłosierdzia podziękowałem a on natychmiast wyszedł. — W parę godzin powróciwszy do mnie ten Jegomość nazwiskiem Kamke, kupiec krolewiecki oświadczył mi, że pan Lauterbach nic w tym względzie zdecydować nie może, aż się względem mnie nie skończą poszukiwania, i w Poznańskim. — Jednakże rzekł dalej pan Kamke, niech pan będzie spokojnym, ja się będę ciągle do policyi dowiadywać i jak tylko można będzie pana wziąć na porękę, sam mu o tym dam wiedzieć. — Nowa nadzieja, której jednak już nieufałem, we mnie wstąpiła. Czyż istotnie i tą razą Bóg mnie niechce opuścić, rzekłem do siebie, i podaje? i podaje mi środki ocalenia? — Ukłękawszy zatem ze łzami w oczach dziękowałem mu za nowy i tak widoczny dowód swojej Wszechmocnej nade mną opieki. Odtąd byłem już nieco spokojniejszy, weselszy choć niezupełnie pewny losu, jaki mnie spotka. Nareszcie ostatniego dnia miesiąca września, czy pierwszego października, wołają mnie do policyi. Nie pewny, co się ze mną stanie, bo kazano mi zarazem wszystkie z sobą zabrać rzeczy, ukryłem, jak można najlepiej przy sobie mój nożyk, jedyną w ostatnim razie schronę, przed rosyjskiem morderstwem. W policyi zastałem już pana Kamkę na mnie czekającego, który ledwie mnie ujrzał, przyskoczył do mnie i oświadczył z radością, że jestem już wolnym. Niepodobna opisać radości i wzruszenia jakich doznałem na tę wiadomość, prawie nieprawdopodobną i serdecznie z rzewnością panu Kamke rękę uściśnałem. Wkrótce po-

tém urzędownie mi w policyi oświadczone, że jestem wolny, i zarazem zapytano, czy chcę natychmiast jechać do Francyi, czy chcę pozostać w Królewcu pod odpowiedzialnością pana Kamke? — Przyznam się, że tym pytaniem byłem nieco zaambarasowany; gdybym tylko radził się serca, natychmiast chciałbym być jechać do Francyi; lecz radząc się rozsądku inaczej postanowiłem. Jeżeli ledwie wierzyć mogłem, że byłem wolnym, to dane mi pozwolenie wyboru jechania do Francyi lub pozostania w Królewcu, zdawało mi się ukrywać pewien podstęp dla przekonania się o moich rzeczewistych usposobieniach; tak więzien jest ostryżny, tyle niepewny! Dziś gdy się nad tym zastanawiam z zimną krwią, nie widzę w tej propozycji żadnego podstępu, ale mnie wówczas pod smutnemi zostającym wrażeniami, to zdawało się nieprawdopodobnem. Przypomniłem także, iż dobrzeby było pozostać tu na miejscu tak dla przekonania się o wszystkim co zaszło w Poznańskim, jako też i dla tego, że jeżeli co ma jeszcze nastąpić, lepiej być na miejscu w kraju, bliskim Poznańskiego, do którego z czasem mógłbym się dostać i tam osieść, niż wlec się do Francyi na nową Emigracyą, odpowiedziałem tedy, że ponieważ władze tu tejsze były tyle względne na mnie, że mnie z więzienia uwolniwszy, nie wydały w ręce Moskali, chciałbym pod ich opieką i nadal tu zostać i mojem postępowaniem przekonać, ile im jestem obowiązany za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Uważałem, że z tego oświadczenia bardzo byli kontenci w policyi i ci sami panowie co niedawno przedtem tak groźnie i surowo ze mną obchodzili się, zaczęli mi ścisnąć ręce, winszować mi, że z tak wielkiego wybrnął niebezpieczeństwa i widziałem, że ta radość ich pochodziła z serca. Żegnając mnie powiedzieli: mamy teraz w Królewcu jednego Bürgera (obywatela) więcej. Późem pan Kamke zaprowadził mnie do swego domu będącego na ulicy vor dem Rossgarten Nr. 46.

Pan Kamke był we spółce interessów handlowych

z panią Przetak, wdową mającą ośmnastoletniego syna Henryka, i szesnastoletnią córkę pannę Emmę i w jednym domu z nimi mieszkał. Dom był dość obszerny, dziedziniec wewnętrzny przestronny i piękny, dość duży owocowy, kwiatowy i spacerowy ogród tuż za dziedzińcem położony, gdzie także była altana i łazienki. Przyjęty byłem w tym domu najuprzejmiej, dano mi osobną stancją i porządną pościel, a przedewszystkiem natychmiast mnie przeobleczono w czystą bieliznę, jednym słowem, przyjęto mnie tam z uczuciem, jakie tylko mieć można dla człowieka rodziny, lub dla mocno nieszczęśliwego, którego niechce się obrazić dumy przez obojętną tylko życzliwość, tyle upokarzającą i nieszczęście i dobroczynię. Dziwnie zniewalający jest takt osób uczuć prawdziwie delikatnych i wzniosłych; nigdy przedtem tych zacnych ludzi nieznałem, a pierwsza z nimi znajomość stawiała mnie w bardzo przykrém względem nich, bo zależném położeniu; z tém wszystkiém jednak w ich ze mną obejściu się tyle było prostoty i szczeroty, że od razu stanąłem z nimi na stopie przyjacielskiej, a nawet jakby rodzinnej; nieczułem wcale tej drażliwej, i tyle dotkliwej zależności, jakiej zwykle doświadczamy, kiedy odbierając dobrodziejstwo, niewidzimy się w stanie podobnym sposobem odwdziżyć. Pani Przetak średniego wieku kobieta, miała dla mnie uczucie matki lub siostry, panna Emma jej córka, miła i ładna panna, nieco po francuku mówiąca, przy całej godności i skromności jej wiekowi i płci właściwej, była mi najżyczliwszą; w tém dziewiczym, czystém i nieskażoném sercu, litość i współczucie nad moim losem często się przez łzy objawiało, które napróżno starała się ukrywać; pan Henryk brat panny Emmy i pan Kamke, byli to przyjaciele, którzy swemi radami i obejściem się ze mną dowiedli, iż szczerze mi życzyli, i chcieli mnie widzieć szczęśliwszym. Ponieważ miałem zamiar pozostania w Królewcu, różne zatem podawali mi projekta dla ustalenia się tamże. Pan Kamke na drugi

czy trzeci dzień, poszedł ze mną do kupca sukni, i dobrawszy takowe, o ile to było tylko możliwém do mojej kibici, kupił mi czapkę, kamizelkę, spodnie i surdut, ale wcale niewiem za czyje pieniądze, bo mi tego powiedzieć niechciał, ale to pewna, że za swoje; napróżno się sprzeciwiał temu kupnu, musiałem uleść jego naleganiom. Przebrany w bürgera królewieckiego, poszedłem tego samego wieczora z Henrykiem Przetakiem na operę *Córka regimentu* (Regimentstochter). Orkiestra była przewyborna, główna aktorka (córka regimentu) której nazwiska niepomnę, była piękna i głos miała porywający, a tak harmonijnie donośny, że całą orkiestrę pokrywał, i zdawał się być jej oddźwiękiem chłonącym w sobie rozliczne tony i nadającym im ostateczną melodyjną wibracyą. Jako piękny głos żywy nad wszystkie przenoszę muzyki, nawet nad skrzypce, byłem tą operą zachwycony i kilka godzin czasu najmiliej mi upłynęło. Dziwna sprzeczność losu: przed dwoma jeszcze dniami byłem w więzieniu, i przygotowywałem się prawie do niechybnej śmierci, gdy oto teraz oddychając pełnią życia, czułem prawdziwie jego rozkosz; prawda, że to tylko na chwilę. Sposób mego życia u pani Przetak był następujący: o ósmej z rana spora filiżanka dobrej kawy ze śmietanką i z bułką czy z sucharkiem; około dziesiątej kieliszek wybornej wódki i bułka z masłem lub z szynką; o dwonastej obiad wysmienity z piwem i kieliszkiem wina; po obiedzie czarna kawa, około piątej, jeśli chciałem, podwieczorek, około siódmej dobra kolacya, po kolacyi albo w domu, albo w kawiarni piwo. Tak żyjąc w kilku dniach przyszedłem do zdrowia i nowych sił nabrałem. Mówię z upodobaniem o tych szczegółach, dla okazania mej wdzięczności i pamięci, jaką zachować winienem i zachowam na zawsze, o tych zacnych i pocziwych ludziach; oby te wyrazy mogły z czasem dojść i do nich, choćby tylko dla zapewnienia, że szlachetne nieszczęście szlachetność duszy czuć i cenić umie. W chwilach swobodnych chodziłem

i przypatrywałem się miastu, i jego rozpoczętym fortyfikacyom, jako też oddawałem wizyty znajomym mi z procesu, panu Szymkiewiczowi i panu Fleury. Pan Fleury zaprosiwszy mnie raz na obiad, między innemi rzekł do mnie: czy pan wiesz, że ja jestem założycielem nowej religii w Królewcu? (*Savez-vous que je suis fondateur de la nouvelle religion ici à Königsberg?*) ale to z taką dumą pocziwy, ale próżny Francuz to powiedział, jakby największego dokonał dzieła. Mahomet wśród swoich zwycięstw niemógł być dumniejszym. Z dalszej w tym względzie rozmowy przekonałem się, że pan Fleury chwycił się nauki Rongiego. Czerski z Poznańskiego chwyciwszy się téj nauki, przybył dla jój opowiadania do Królewca, i pan Fleury dawszy się czy przekonać czy ujęty nowością, istotnie został w Królewcu *fondateur de la nouvelle religion*. W Królewcu od niejakiego czasu i kiedym się w nim znajdował, panowała wielka opozycya przeciw królowi pruskiemu, a kiedy po wstąpieniu na tron, przybył dla koronacyi podług zwyczaju do Królewca, nawet mu niekrzyczano wiwatów, tak przynajmniej mnie zapewniano. Ale jeżeli ta opozycya była wielka, to bojaźń sąsiedztwa Moskali była nierównie większą i prawdziwszą u obywateli Królewca.

Bez wątpienia, iż po Bogu, który nastroczał i kierował okolicznościami, w których się naprzemian znajdowałem, moje uwolnienie i ocalenie jedynie byłem winien panu hrabi von Eulenburg; sama zatem przyzwoitość a nawet prawdziwa ma wdzięczność nakazywały mi, abym mu osobiście złożył moje uszanowanie, i podziękował za tak wielki dowód ludzkości i względów mi wyświadczonych, i miałem mocne postanowienie to uczynić, tém bardziej, że tak postępując szedłem za naturalną skłonnością mojego serca; ten obowiązek a raczej powinność, była dla mnie bardzo miłą, i szczerze życzyłem poznać osobiście tego, którego szlachetne uczucia serca wysoko ceniłem, szukałem tylko sposobnej do tego pory. Tym-

czasem gdy w tych usposobieniach zostawałem i zajmowałem się już sposobami dalszego w Królewcu życia; aż tu dnia 7 października przychodzi oficjalnie do mego mieszkania w którym naówczas niebyłem, żandarm z rozkazem, abym się niezwłocznie stawiał w policyi. To wezwanie tyle urzędowe zatrwożyło życzliwe mi osoby, które różnemi sposobami dowiedziawszy się o wszystkiem, kiedym wrócił do mieszkania, oświadczyły mi z wielką niespokojnością i trwogą, że z Berlina przyszła sztafeta do miejscowej władzy, aby mnie zakutego w kajdany odstawić do granicy rossyjskiej, dla wydania w ręce władz rossyjskich, jak tego dwór petersburski się domagał, ale zarazem też same życzliwe osoby mnie oświadczyły, iż miałem za sobą opinią i przychylność miasta, a nawet życzliwość samej policyi. Łatwo sobie wyobrazić, ile ta wiadomość mnie zelektryzowała, ile ten nowy cios był dla mnie okropnym. Radzono mi tym czasem, abym na miasto niewychodził, i ukryto mnie w bardzo bezpiecznym miejscu. Wieść wydania mnie Moskalom prędko się rozniosła po mieście, i wywołała powszechne oburzenie, co musiało niepomału wpłynąć na postanowienie władz miejscowych, dotąd mi dość życzliwych, i mniemam, że pan hrabia von Eulenburg chcąc mnie koniecznie z rąk moskiewskich uratować, z chęcią się przyczynił do ogólnej opinii, tyle zgodnej z jego szlachetną duszą. Jako wysoki urzędnik wiele mogący, ale zarazem na większej będący widowni, niemógł, niepowinien nawet jawnie się sprzeciwić rozkazowi odebranemu z Berlina, ale miał sposoby pogodzenia obowiązków urzędu z obowiązkami swojego sumienia, chciał mnie koniecznie ocalić i ocalił. Za jego usposobieniem poszli i inni urzędnicy.

Kiedy już wszystko za pośrednictwem moich przyjaciół było przysposobionem, dnia 8 października rano musiałem się udać do policyi, do której mimo zapewnienia dobrze mi życzących, szedłem z wielką nieufnością, i dla tego ukryłem w zanadrzu mój nożyk, na wszelki nieprze-

widziany przypadek. W policyi w osobnym pokoju zastałem tylko dwóch panów, którzy mi byli zawsze życzliwymi, a którzy na mój widok mocno byli wzruszeni. Ci panowie półgłosem mi oświadczyli, że przyszedł rozkaz mnie wydania Rossyi, że jednak oni podają mi możliwe środki ocalenia, to jest: że potrzeba jak najrychlej z Królewca wyjechać, i zrobili co mogli; dodając jednak, że to wszystko niejest dostatecznem, że mogą być na drodze schwytanym, że przeto zostawiają mnie mojemu tylko przemysłowi i obrotności, życząc z całego serca abym się mógł ocalić. W czasie tych przygotowań mówili do siebie z oburzeniem: jakim sposobem Rosssa mogła się dowiedzieć, że on (mówiąc o mnie) tu się znajduje? Czy ma tu szpiegów między nami? Czy my nie możemy być pewni nawet u siebie? Ale jakim sposobem nasz rząd może zezwolić na takie okrucieństwo? Czy on istotnie jest pod wpływem moskiewskim? itd. Ja nie nie mówiąc, przysłuchiwałem się temu wszystkiemu, i widziałem, że szczerze mówili. Lecz nim opowiem dalsze me przygody, a raczej dalszą mą podróż, zatrzymam się tu nieco dla zrobienia kilku uwag, jakim sposobem Rosssa mogła się dowiedzieć, że byłem w Królewcu, i dla czego żądała mojego wydania.

Kiedy mnie śpiącego na kamieniach wzięto w nocy i zaprowadzono do więzienia, dzienniki królewieckie (jakem się później dowiedział) napisały, że jakiegoś Francuza pojmano, nieszczędzając bynajmniej zwykłych komentarzy dziennikarskich; kiedym się przyznał, że Polak, też dzienniki ogłosiły, że Francuz znaleziony śpiącym, był to Polak uciekający z Syberyi, i tu znowu wyprowadzały ztąd swe wnioski. Wątpię, aby protokół zdjęty ze mnie jako z Polaka, był posłanym do Rosseyi dla sprawdzenia mych zeznań, postąpienie ze mną władz królewieckich, a szczególnie pana hrabi von Eulenburg, zdaje się temu zaprzeczać; ale czyż niemogli w Petersburgu dowiedzieć się z dzienników niemieckich? albo od

konsula rossyjskiego rezydującego w Królewcu? Od chwili zatem mojego przyznania się do nazwiska narodowego i familijnego, upłynęło dosyć czasu, (półtora miesiąca) aby dowiedziano się o tém w Petersburgu, dano znać w Berlinie a z Berlina do Królewca, aby mnie wydano. Ja inaczej tego wszystkiego wytłómaczyć sobie niemogę.

Kiedy się w policyi wszystkie przygotowania skończyły, i kiedy mnie ci dwaj panowie pożegnali szczerem uściśnieniem ręki, wróciłem do miejsca mojego schronienia, i otrzymałem list rekommendacyjny od zacnego fundatora nowej religii, do pana L. w Gdańsku. Dnia 9 października bardzo rano pan Kamke wzięwszy mnie do swego własnego kabrioletu, wyjechał ze mną z Królewca drogą wiodącą ku Gdańskowi, jadąc wolno i rozmawiając zatrzymaliśmy się w jednej oberży, może o dobrą milę od Królewca położonej, i tam zjadłszy śniadanie, wolno ruszyliśmy dalej. W drodze pan Kamke, dał mi piękny pugilares niewielki, którego okładki paciorkową robotą były wyszyte, mówiąc mi: że to był dla mnie mały upominek od panny Emmy, i prosząc zarazem, abym do niego niezagładał aż po rozłączeniu się z nim. Z prawdziwą wdzięcznością przyjąwszy ten upominek, przyrzekłem panu Kamke, że doń niezajrzę aż po pożegnaniu się z nim. Na pierwszej stacyi napędził nas dyliżans, a pan Kamke pomówiwszy z konduktorem wsadził mnie do niego, mówiąc: że aż do samego Gdańska podróż mi jest zapłacona, że najbezpieczniej do niego się dostanę. Pożegnawszy się z tym pocziwym człowiekiem, i zobowiązawszy go, aby pani Przetak i całemu jej domowi oświadczył odemnie szczerą mą wdzięczność, w dalszą ruszyłem podróż. Otwieram darowany mi pugilaresik i znajduję w nim dziesięć czy dwanaście talarów. Tyle względów, tyle delikatności od ludzi i od młodej ładnej dziewczyny, dla których byłem zupełnie obcym, do łez mnie prawie wzruszyły, i rzekłem do siebie, jak drugi kwaker: i między Prusakami są pocziwi i szlachetni ludzie. Tego

samego dnia i następującej nocy przejechałem Elbląg, Marienburg dawną stolicę Krzyżaków, i nazajutrz o ósmiej z rana byłem już w Gdańsku. Wsiadłszy z dyliżansu z rekomendacyjnym listem udałem się natychmiast do pana L., zastałem go leżącego w łóżku i chorego. Po przeczytaniu listu pan L. mówiący nieco po polsku, mocno się mną zajął, i powiedziawszy, że tu jest dosyć pańskich rodaków, prosił mnie, abym do niego wrócił za godzinę. W czasie tej godziny oglądałem miasto Gdańsk i mocną fortecę. Poczem wróciwszy do pana L. zastałem u niego dwóch moich rodaków tam bawiących za własnymi interesami, pana J. z Galicyi i pana Z. podobno z Kongressówki. Ledwie się pokazał, pan J. po kilku słowach przywitania, dając mi woreczek z pieniędzmi rzekł: niech pan będzie łaskaw to przyjąć, i zmykaj jak możesz najprędzej, bo przy teraźniejszych wypadkach i w twojem położeniu, nigdzie w całych Niemczech a szczególniej w Prusach nie możesz być pewnym; staraj się jak najprędzej dostać do Francyi. Przyjąwszy pieniądze z wdzięcznością z rąk zacnego rodaka, i cztery rekomendacyjne listy, które pan L. już wygotował, natychmiast się oddaliłem. Wszystko to nietrwało nad kilka minut. Idąc na dyliżans spotkałem bandę polskich wieśniaków, mniejsza z której byli okolicy, gdyby nawet mowa polska nie zdradzała ich narodowości, poznałbym że byli Polakami, a raczej Polski ilotami: słomiane kapelusze, szare, białawe, lub ciemne sukmanki z grubego sukna, dobrze podszarżane, koszule brudne, spodnie brudne płócienne, krótkie; nogi bose czerwono zabłocone, płócienne węzłki na plecach stanowiły cały ich ubiór; twarze zasmolone, wyschłe, smutek w obliczu i spojrzeniu, w całej postawie jakaś upokarzająca pokora, cechująca poniżenie w jakim się znajdują; wszystko to razem wzięte, najdobitniej malowało nędzę i niedolę polskiego wieśniaka. Na ten widok tak rażący wśród bogatego miasta, serce mi się od żalu ścisnęło: bo czyż Polacy jedni

tylko na świecie począwszy od najwyższej aż do najniższej warstwy społeczeństwa są przeznaczeni do znoszenia obelg, pogardy, nędzy i poniżenia? Jedni tylko oni są wskazani między wszystkimi narodami przedstawiać się w pokornej postawie niewolnika? Zamoźniejsi, a bogatsi ugniecenii jarzmem obcych najezdnicznych rządów, a wieśniacy przyciśnieni jarzmem podwójnem: obcym i własnych swoich rodaków. Prawdziwie niepojmuję ślepoty i zatwardziałości wielu Polaków, tak mało dbających o los, o przyszłość swych młodszych, a stokroć liczniejszych od nich braci, a od których jednak ich, i ich potomstwa los i przyszłość zależy.

Mając podostatkiem pieniędzy, bo pan J. dał mi dziewięćdziesiąt czy sto dziewięćdziesiąt talarów, już dobrze tego niepomnę, byłem spokojny co do szybkiej mojej podróży; siadłszy zatem do dyliżansu przybyłem nazajutrz do dnia do Szczecina; tego samego dnia parowozem ze Szczecina przez Berlin dojechałem do Lipska. Nazajutrz rano udałem się z listem od pana L., do mieszkania nieszczęśliwego Roberta Blum, którego zastałem w swojej księgarni. Robert Blum niski, gruby, barczysty, mocno zbudowany, blondyn, twarzy okrągłej, szerokiej, krótkiej i kościstej, niebieskich oczu, nosa krótkiego z roztwartymi nozdrzami, włosów gestych, ze swą blondrudawą brodą, miał raczej fizyonomiją rossyjską niż niemiecką. Przyjął mnie najuprzejmiej, ofiarował swą pomoc, i miałem przyjemność widzenia jego żony i jego drobnych dzieci. Pan Robert Blum, który na pierwsze na mnie spojrzenie, jak mi mówił, od razu poznał żem Słowianin, bardzo się płynnie wyrażał i nieźle mówił po francuzku, a w całej jego fizyonomii nadzwyczaj wielka malowała się energija w głosie, w obejściu się było coś przyjemnego, łagodnego, ujmującego i delikatnego, w rozmowie ze mną bardzo trafnie o wszystkiem decydował, rozprawiał i daleko w przyszłość widział; wypadki, które później nastąpiły, mnie w tém utwierdziły. Robert Blum

był człowiekiem niepospolitym, tém bardziej, że sobie samemu i swój prawości był winien więźność u swoich współrodaków. Śmierć jego w Wiedniu, o ile przyniosła szkody sprawie Niemiec i unieśmiertelniła jego pamięć, o tyle okryła zlorzeceniem jego okrutnych i mściwych morderców. Co do mnie, szczerze żalowałem i żałuję straty tego pocziwego człowieka, który do wielu innych przymiotów łączył głębokie uczucie dla sprawy Polski i był jej prawdziwym przyjacielem. Cześć jego pamięci! Pan Robert Blum zaszedł ze mną, zdaje się, do teatru, którego był podobno jakimś członkiem, zamtąd wyszedłszy, udaliśmy się do znajomego mu dobrze lantkuczera, któremu mnie przyporęczywszy, abym bezpiecznie dojechał do Frankfurtu; przy pożegnaniu się ze mną dał mi trzy czy cztery talary; napróżnom się wymawiał, że mam pieniądze i pokazałem mu takowe, to nic niepomogło, musiałem je przyjąć, aby nieobrazić dobrego jego serca. We dwa dni później przybyłem szczęśliwie do Frankfurtu nad Menem i natychmiast z listem już od Bluma udałem się do doktora Pana J. Pan J. także, mimo mój woli, wetknął mi kilka talarów, mówiąc: my znamy położenie szczególnie terazniejsze emigrantów we Francyi. Do Francyi daleko, a kto wie, czy Pan jeszcze żold otrzymasz, a o zatrudnienie bardzo trudno; niegardź Pan tym małym datkiem ze szczerzego serca pochodzącym; więc musiałem przyjąć. Po naderadzeniu się z Panem J. przedsięwziąłem udać się z Frankfurtu na Heidelberg i Strasburg do Paryża, zamiast udania się przez Mannheim i Offenbach, jak to rekomendacyjne listy Pana D. wskazywały.

Pożegnawszy się w końcu z Panem J., wsiałem na kolej żelazną tego samego dnia we Frankfurcie i tego samego dnia przez Heidelberg, Carlsruhe przybyłem wieczorem do Kehl, z kąd omnibusem wjechałem do Strasburga, gdzie przy wjeździe wcale nikogo o pasport niepytano; byłem jeszcze niepewnym, pókim nie wjechał do Francyi. Trudno sobie wyobrazić, jakem się ucieszył, gdy ujrzałem

czerwone spodnie francuzkich żołnierzy na granicy będących; tu dopiero swobodnie odetchnąłem, tu dopiero rzekłem do siebie: tu nakoniec jestem zupełnie wolnym. W uniesieniu mój radości, gdyby przyzwoitość i okoliczności mi dozwoliły, najserdeczniej byłbym uściskał, ucałował pierwszego lepszego żołnierza Francuza; tyle wolność prawdziwa ma dla nas powabu, takie przynajmniej na mnie wywarła wrażenie, na mnie tak długo, ciągle, i srogo prześladowanego od losu, i żyjącego w męczącej obawie być co chwila schwytanym i oddanym Moskałom. Kiedym się zupełnie ujrzał po za niebezpieczeństwem, rzekłem w duchu: Niech będzie cześć i chwała najwyższemu Bogu i najświętszej Bogarodzicy Maryi Pannie! — Lekko i ochoczo zeskoczywszy z omnibusu, dopytałem się o swoich ziomków Strusia i Radziszewskiego, kapitana od artylleryi, z którymi parę dni przepędziwszy w Strasburgu, siadłem na dyliżans i przybyłem nareszcie dnia 22 października 1846 roku do Paryża, z którego cztery lata temu nazad (9 stycznia 1843) byłem do Polski wyjechał.

Dziś jeszcze, kiedy się zastanawiam nad tém wszystkiem, co mi się zdarzyło znieść w przeciągu lat czterech, od czasu wyjazdu z Paryża aż do mojego doń powrotu, ledwie sam sobie wierzyć mogę, żem został ocalony, a moje ocalenie żadnej mojej przezorności, żadnym zabiegom i odwadze, tylko samej Opatrzności Boga przypisać muszę. W tym przeciągu czasu najmniej trzy razy umrzeć byłem powinien; naprzd w Kijowie, gdzie miano mnie rozstrzelać a nie rozstrzelano; powtóre: gdy w czasie mojej ucieczki z Syberyi przez Rossyą, gdzie kilka razy mogłem być schwytyany, a schwytyany niebyłem; po trzecie: gdy mnie miano wydać Rosseyi z Królewca, a nie wydano. Samo nawet wzięcie mnie śpiącego i uwięzienie w Królewcu, można powiedzieć, było opatrne i posłużyło do mojego ocalenia, bo gdyby niewiedząc wcale, co

przed kilką miesięcy zaszło w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, i jak wielka w niem z tego powodu była czujność władz pruskich i przestach obywateli, gdybym, powiadam, i dostał się do niego, jak to było moim zamiarem, niemasz prawie żadnej wątpliwości, że schwy-tany (a co koniecznieby nastąpić musiało z przyczyny czuwania policyi) bez żadnych dowodów, byłbym natychmiast w ręce Moskali wydany. W tém więc wszystkiem, co w mych czteroletnich przygodach zaszło, widzę tylko zrządzenie Opatrzności, której się podobało mnie ocalić, zapewno dla ogłoszenia przed światem i dla potomności, okrucieństw i męczarni, jakich się za rządów Mikołaja dopuszczano na naszych rodakach, a które prawie nikomu dokładnie niebyły znane. Za to więc wszystko Bogu jednemu niech będzie cześć i chwała.

Rufin Piotrowski.

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.



Czcionkami N. Kamieńskiego i Spółki w Poznaniu ul. Berlińska Nr. 32.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
ROZDZIAŁ I. — Ogólny rzut oka na Emigracyę. Zkąd powstały partye demokratyczna i arystokratyczna.....	1.
ROZDZIAŁ II. — Powody i zamiar wyjścia do Polski. Przeszkody. Zatrudnienia emigracyjne. Wahanie się. Pierwsze usiłowania bez skutku.....	10.
ROZDZIAŁ III. — Powód zapatrywania się na Polskę z innego stanowiska. Reforma moich przekonań. Towarzystwo demokratyczne na drodze materyalnej, moja choroba w szpitalu, nadzieja otrzymania pasportu.....	18.
ROZDZIAŁ IV. — Otrzymanie pasportu. Ostatnie widzenie się z Centralizacyą. Mała przeszkoda.....	34.
ROZDZIAŁ V. — Wyjazd z Paryża. Podróż przez Niemcy, Strasburg, Stugard, Monachium. Małe przygody podróży. Przybycie do Wiednia. Pierwiastkowe plany względem Polski.....	46.
ROZDZIAŁ VI. — Podróż z Wiednia przez Preszburg, Kormorno do Pesztu; małe podróży przygody. Stan i usposobienie ówczesne Węgier. Widzenie się z Koszutem. Zawód i nowa determinacya; zmiana pasportu.....	64.
ROZDZIAŁ VII. — Podróż z Pesztu na Podole przez Erlau, Tokaj, Syhot, Trybusę i Koresmöze (Jasyn). Przygody tej podróży, przybycie na szczyt Karpat. Rzut oka na Węgry.....	100.
ROZDZIAŁ VIII. — Dalszy ciąg podróży na Podole z Karpat przez Dylatyn, Kołomyję, Czerniejowce, Nowosielicę, Chocim (w Bessarabii), przybycie do Kamieńca podolskiego.	132.
ROZDZIAŁ IX. — Pobyt w Kamieńcu. Maskowanie się. Pozwolenie pozostania w Kamieńcu. Jestem nauczycielem języka francuzkiego. Przykreść położenia z przyczyny pseu-	

do-imienia. Stan ówczesny tych prowincyj, nadużycia władz rossyjskich.....	158.
ROZDZIAŁ X. — Opisanie Kamieńca. Stan mojej duszy. Wyjazd do Bessarabii. Niedotrzymanie tajemnicy. Prózne poszukiwania władzy. Niebezpieczeństwo mnie grożące. Przyczyna, dla której nie chciałem uciekać.....	214.
ROZDZIAŁ XI. — Moje aresztowanie. Początkowe śledztwo. Długie zapieranie się właściwego nazwiska. Zeznanie innych. Nikczemność Alberta Nitowskiego i Leszczyńskiego. Słabość charakteru wielu z moich spółoskarżonych. Moje przyznanie się do właściwego rodu i nazwiska.....	248.
ROZDZIAŁ XII. — Wyjazd z Kamieńca. Podróż do Kijowa, przygody i przypadki tej podróży. Zakucie w kajdany. Przybycie do Kijowa.....	305.

TOM DRUGI.

ROZDZIAŁ XIII. — Więzienie w Kijowie. Wizyta i rozmowa z generał-gubernatorem w więzieniu. List do generał-gubernatora Bibikowa. Gniew jego z tej przyczyny.....	1.
ROZDZIAŁ XIV. — Komissya śledcza w Kijowie. Niektóre szczegóły o więzieniu. Koledzy więzienia. Urządzenie policyi tajnej w Rossyi Biblia.....	35.
ROZDZIAŁ XV. — Nowe przeciw mnie zeznania. Moje tłumaczenie się i odpowiedź. Przyczyna tych zeznań. Tęsknota więźnia. Waryat. Czerkies więzień.....	62.
ROZDZIAŁ XVI. — Oczne stawki w komissyi śledczej. Co to jest łaska carska? Mój rysopis. Wyrok na spółobwiniionych. Ja przed sądem wojennym. Rozmowa z oficerem rossyjskim. Słabość zdrowia. Wyrok wskazujący mnie na całe życie do robót ciężkich w Syberyi.....	83.
ROZDZIAŁ XVII. — Wyjazd z Kijowa. Instrukcje żandarmom dane. Podróż do Syberyi przez miasta Nieżyn, Baturyn, Królewiec, Gołuchow w Czerniechowskiej gubernii. Przemowa do Rusinów. Dalsza podróż przez Kromi, Orel w gubernii Orlowskiej. Przygody tej podróży.....	106.
ROZDZIAŁ XVIII. — Dalsza podróż do Syberyi przez Tułę, Riaziań, Kasimów, Murom i Niznij Nowogród (gubernije Tulska, riaziańska, włodzimirska). Przygody tej podróży. Kategorie wieśniaków rossyjskich. Niektóre szczegóły dotyczące się kraju.....	122.
ROZDZIAŁ XIX. — Knut. Plet', partye więźniów. Dalszy ciąg podróży przez Kazań, Polom, Perm, Kungur, Góry	

Uralskie, Jekaterynburg, Tiumeń, Jaktorowski. Małe przygody tej podróży. Gubernije kazańska, wjatska, permska i tobolska.....	144.
ROZDZIAŁ XX. — Przybycie do Omska. Kordegarda. Odwiedziny w niej. Główny rząd. Moje ostateczne przeznaczenie. Wyjazdy Omska do Zakładu Ekaterynińskiego. Podróż do niego. Opisanie części Syberyi, którą przejechał. Przybycie do zakładu, i przyjęcie do liczby katorżnych.....	178.
ROZDZIAŁ XXI. — Moje zatrudnienie katorżnawe z łopata i miotłą. Nocleg w kordegardzie. Co za ludzie moi koledzy katorżni? Obchodzenie się ze mną czynowników. Przyczyna mej słabości. Praca w biurze. Zakład. Gorzelnia. Nasz domek. Moje postępowanie i usposobienie. Sposób życia.....	200.
ROZDZIAŁ XXII. — Granice Syberyi. Jej pierwotni mieszkańcy Tatarowie. Podbój Syberyi przez Jermaka. Nazwa Syberyi. Kirgizy. Sposób ich życia i zwyczaje. Plody Syberyi. Różnoplemienność jej mieszkańców. Plemię przeważające. Ludność, przemysł i handel Syberyi.....	243.
ROZDZIAŁ XXIII. — Klimat Syberyi. Choroby miejscowe. Podział Syberyi pod względem administracyjnym. Duchowieństwo. Wojsko. Podział mieszkańców Syberyi na kategorie. Prawo względem katorżnych i na posilenie wysłanych. Sekta starowierców.....	289.

TOM TRZECI.

ROZDZIAŁ XXIV. — O Polakach w Syberyi. Piotr Wysocki pułkownik. Książd Sierociński i jego towarzysze, ich egzekucja i śmierć pod kijami.....	1.
ROZDZIAŁ XXV. — Zamiary i przygotowania do ucieczki, przeszkody. Ucieczka z Syberyi przez Tiumeń, Irbit, Werchoturje, góry Uralskie do Solikamska (tobolska i permska gubernije), przygody tej podróży. Opis tego kraju i gór Uralskich.....	35.
ROZDZIAŁ XXVI. — Dalszy ciąg podróży z Solikamska, przez Czerdyn, Kai, Lalsk, do Wielkiego Ustjuga (gubernije permska, wjatska, i wołogodzka). Miasto Wielki Ustjug. Opis tej części kraju. Przygody tej podróży.....	82.
ROZDZIAŁ XXVII. — Dalsza podróż Dźwiną do Archangielska; przygody tej podróży. Miasto Archangielsk. Pró-	

zue moje usiłowania dostania się na okręt. Opis Sołowieckich monasterów	Str. 117
ROZDZIAŁ XXVIII. — Dalszy ciąg podróży (ucieczki) z Archangielska przez Onegę, Wytiegrę, Nową Ładogę, Schlusburg, Petersburg, Rewal, Rygę, Mitawę, Połongę (gubernia Archangielska, Wołogodzka, Ołowiecka, Sankt-Petersburgska), Estoniją, Liwoniją (Inflanty), Kurlandją. Przejście granicy pruskiej; podróż przez Memel, Tylgę. Przybycie do Królewca. Przygody tej podróży.....	
ROZDZIAŁ XXIX. — Pojmanie i więzienie w Królewcu. Śledztwo. Udaję Francuza. Przyznanie się do imienia Polaka uciekającego z Syberyi. Trudność mojego położenia. Graf von Ellenburg za rękojmią wypuszcza mnie z więzienia. Rozkaz z Berlina wydania mnie Rossyi. Wyjazd z Królewca przez Elbląg, Gdańsk, Szczecin, Berlin, Lipsk, Frankfort, Heidelberg do Strasburga. Przybycie do Paryża.....	151. 233





BIBLIOTEKA PUBLICZNA
stoł. m. Poznania

~~#17183/3~~